

Jak cienka granica dzieli pożądanie i obsesję?

ANNA STAŃCZYK

BARLÓG

Jak cienka granica dzieli pożądanie i obsesję?



ANNA STAŃCZYK

BARŁÓG

ANNA STAŃCZYK

BARŁÓG



WYDAWNICTWO
VECTRA

Redakcja

Monika Tomys

Korekta

Robert Ratajczak

Projekt okładki, skład, łamanie

Natalia Jargieło

Fotografia autorki

Anna Antosik

© Copyright by Anna Stańczyk

© Copyright by Wydawnictwo „Vectra”

Druk i oprawa

WZDZ Drukarnia Lega, Opole

ISBN 978-83-67334-61-7

Wydawca

Wydawnictwo „Vectra”

Czerwionka-Leszczyny 2023

www.arw-vectra.pl

Mojemu mężowi



*Pożądanie nie zaczyna się od rzeczy
wymagowanych.*

*Pożądanie jest grzechem bardzo konkretnym –
zaczynamy pożądać tego, co możemy dotknąć,
zaczynamy pożądać tego, co widzimy na co dzień.*

THOMAS HARRIS, *Milczenie owiec*



Część pierwsza

1.

Wiało, jakby się ktoś powiesił.

Ze wszystkich głupich powiedzonek komendanta Kowalika, z którymi musiała się na co dzień mierzyć, Sara najbardziej nie lubiła właśnie tego. Przyczyna była prosta.

W pewien duszny lipcowy wieczór policjantka została wezwana na interwencję z powodu zaginięcia uczennicy drugiej klasy liceum w Zawierciu. Podejrzewano, że młoda uciekła z domu, co zdarzało się jej już wcześniej, i najdalej za dwa dni pojawi się z powrotem. Jednak tym razem finał okazał się tragiczny. Służby dostały informację, że widziano podobną dziewczynę w okolicy Osiedla Słonecznego w Ogrodzieńcu, a dokładniej – na terenie czteropiętrowego pustostanu, straszącego mieszkańców miasta od lat. Kiedy informacja dotarła do właściwego komisariatu, a zmęczona wielodniowymi upałami sierżant Wilczek wbiegała po chropowatych schodkach niewykończonej klatki schodowej, nie miała jeszcze pojęcia, że tego, co za chwilę zobaczy, już nigdy nie będzie w stanie zapomnieć. Bezwładne wątle ciało, podwieszane za szyję na skakance przywiązanej do zbrojenia wystającego z betonowej płyty, zdawało się takie nierzeczywiste. Cała ta sytuacja była nierzeczywista, nedorzeczna. Sara zwykle zachowywała konieczny dystans, jednak tamtego pamiętnego dnia nie potrafiła powstrzymać uczuć. Do jej oczu napłynęły łzy żalu i bezradności. Mimo że już w niczym nie mogła pomóc, pozostała na miejscu

zdarzenia, a potem, oparta o szorstką, nieotynkowaną ścianę, w otepieniu przyglądała się ściągającym ciało strażakom. W ich skupionych twarzach dostrzegała to samo pytanie, które tłukło się też po jej głowie – dlaczego? Co musiało się dziać w życiu tej młodej osoby, że postanowiła przestać czuć na zawsze, i to w tak okropnym miejscu, w zupełnej samotności, bez obecności choć jednej bliskiej osoby? W brudnym, surowym, śmierdzącym pleśnią i moczem bezdomnym pomieszczeniu, które kiedyś miało być czyjś pokojem, ale nigdy nim nie zostało. I chociaż policjantka nie знаła samobójczyni, a operacja odbywała się na terenie niepodlegającym jej jednostce, czuła, że zawiodła to dziecko. Zawiodł świat dorosłych, a ona, Sara Wilczek, była częścią tego świata.

Od tamtego czasu za każdym razem, kiedy słyszała ten ordynarny zwrot z ust Kowalika, czuła silną niechęć, a na jej plecach pojawiały się nieprzyjemne ciarki. Jednocześnie, jakby na przekór, zawsze przy wietrznej pogodzie ohydna fraza sama pojawiała się w jej głowie. Tak było i tego popołudnia.

Bo rzeczywiście wiało niemiłosiernie. Alerty rozsyłane przez Rządowe Centrum Bezpieczeństwa w wieczór Wszystkich Świętych okazały się jak najbardziej uzasadnione. Nocą musiał przejść jakiś orkan lub inny wybryk natury, strącając z nagrobków misternie poukładane dowody pamięci i miłości, przez co na drugi dzień cmentarz w Studzieńcu wyglądał jak akademik po bachanaliach. Sara momentalnie zganiła się w duchu za kolejne nieadekwatne porównanie, tym razem jakby wprost wyjęte ze słownika aspiranta Nowaka. Po chwili z goryczą stwierdziła, że przydałby jej się dłuższy urlop, z dala od pracy, rubasznego języka współpracowników i

wszechobecnego testosteronu, którym przez prawie dwadzieścia lat ciągłej służby zdążyła już przesiąknąć do kości.

Policjantka kluczyła alejkami nekropolii, omijając pozrywane gałęzie. Przechodziła obok kolejnych pomników, co jakiś czas się schylała i stawiała do pionu przewróconą doniczkę, chociaż zdawała sobie sprawę, że jej trud i tak za chwilę pójdzie na marne. W porównaniu z tym, co musiało dziać się nocą, wiatr już nieco zelżał, jednak pojedyncze podmuchy wciąż były na tyle intensywne, że zwarte struktury nagrobnych bukietów łatwo ulegały ich naporowi. Kwiaty sunęły po granitowych taflach niczym żagłówki po zamrzniętym jeziorze.

Sara mogła sobie tylko wyobrażać, jak pięknie było tu kilka godzin wcześniej, kiedy dziesiątki zniczy rozświetlały noc, tworząc wokół grobów tajemniczą aureę, świetlisty portal między wspomnieniami żywych a światem zmarłych. Nie było bardziej mistycznego miejsca niż cmentarz w ten jeden, wyjątkowy wieczór. Zwykle jeszcze przez kilka kolejnych dni pozostawał piękny i kolorowy. W tym roku było jednak inaczej – tliły się już tylko nieliczne świece, a prace porządkowe wykonane przy grobach obróciły się wniwecz.

Mimo wszystko nie żałowała, że nie była obecna pierwszego listopada przy rodzinnej mogile. Dzień Zaduszny był spokojniejszy, o wiele bardziej refleksyjny, bez tłumów i całej tej napompowanej otoczki. Mogła w spokoju postać przy nagrobku i powspominać, chociaż jej myśli szybko ulatywały w całkiem inne rejony.

Zeszłoroczne wydarzenia sprawiły, że dla niej był to czas zadumy nie tyle nad śmiercią, ile nad nie do końca udanym życiem. Powinna czuć satysfakcję z rozwiązania sprawy Elizy, zaginionej w

dzieciństwie siostry, lecz wciąż nie umiała zaznać zupełnego spokoju. Co prawda po zakończeniu postępowania sądowego pojawił się pewien rodzaj ulgi, lecz wraz z nią nastąpiła też nagła i niespodziewana pustka. Sara zdała sobie sprawę, że to, co do tej pory napędzało ją do działania, wyzwalało jakiś pierwotny bunt i niegodzenie się z losem, pozostało nieodwracalnie zamknięte.

Teraz, kiedy złapała sprawcę osobistej tragedii i odkryła całą prawdę o przeszłości swojej rodziny, mogłaby wreszcie w spokoju ułożyć sobie z kimś życie, jednak to nie było takie proste. Są rany, które bardzo długo się goją. Inne ropieją bez końca. A kto by chciał się wiązać z okaleczoną, pełną nieufności i strachu osobą?

Od kiedy sięgała pamięcią, nie potrafiła stworzyć udanego związku. Miała wręcz wrażenie, że w tej sferze życia ciąży na niej jakaś klątwa. A może po prostu nie była wystarczająco dobra, ładna, sympatyczna, żeby zasłużyć na prawdziwą miłość, jeśli coś takiego w ogóle istniało. Samotność coraz bardziej panoszyła się w jej życiu. Trawiła ją powoli jak egzotyczna choroba, na którą jeszcze nie wynaleziono skutecznego lekarstwa. Codziennie wykonywała te same czynności: wstawiała do pracy, jeździła na zakupy, oglądała seriale, nieregularnie jadła i dużo spała, a to wszystko było pozbawione radości, przytłaczające. Choć teoretycznie różne możliwości były w zasięgu jej rąk, nie potrafiła znaleźć w sobie siły, żeby cokolwiek zmienić. Była prawie tak martwa jak jej bliscy pochowani przy alejce pod samym lasem, mimo że wciąż oddychała.

Zatrzymała się przed jasnoszarym pomnikiem i przemknęła wzrokiem po napisach wygrawerowanych na prostokątnej płycie zwieńczonej na kształt fali.

Irena Wilczek i Ryszard Wilczek

Swoiste powitanie było jednocześnie przypomnieniem sobie bolesnej prawdy, że rodzice nie czekają na nią w rodzinnym domu z otwartymi ramionami i herbatą, tylko leżą tu, kilka metrów pod ziemią. Zjechała wzrokiem niżej, gdzie widniało jeszcze jedno imię, dopisane kilka miesięcy temu.

Eliza Wilczek 1979-1994

O ile po rodzicach pozostała jakaś materialna namiastka, siostry fizycznie nie było w grobie i Sara wiedziała, że nigdy już nie będzie. Ciało zamordowanej piętnastolatki na zawsze pochłonęła rzeka. Przynajmniej tyle śledczy zdołali ustalić w trakcie dochodzenia i dzięki temu, po ponad dwudziestu latach od zaginięcia dziewczyny, Sara mogła dokonać należytego, choć tylko symbolicznego pochówku.

Pochyliła się nad nagrobkiem. Strąciła dłonią kilka sosnowych igieł oraz połamanych gałązek. Wyjęła z reklamówki trzy duże znicze i kolejno je odpaliła długą zapalarką, po czym ustawiła jak najbliżej pionowej płyty, żeby zapewnić im ochronę przed niekorzystną aurą. Na pomniku przeżył się rozłożysty kwiat w kolorze bordo. Jego łodygi uginały się nieco, ale donica była na tyle okazała, że stał w miarę stabilnie. Pomyślała, że to najpewniej dar ciotki Renaty, która jak co roku przyjeżdżała na groby aż z Przasnysza. Sara jej nie lubiła, dlatego tym razem wykręciła się od spotkania policyjnym dyżurem.

Wyprostowała się i postawiła kołnierz, osłaniając szyję przed zimnem. Przez ten cholerny wiatr miała wrażenie, że temperatura spadła poniżej zera, chociaż telewizyjne prognozy nie przewidywały przymrozków przynajmniej na dwa najbliższe dni. Drzewa za cmentarnym ogrodzeniem wyginały się we wszystkich możliwych kierunkach, jakby usilnie chciały zwrócić na siebie uwagę, a Sara po

prostu stała i patrzyła w ogień świec, wsłuchując się w szum ich gałęzi.

Jednostronna rozmowa z bliskimi była cholernie trudna. Sara nigdy nie wiedziała, od czego zacząć. Pewnie dlatego, że w jej życiu nie działo się nic zasługującego na relację, żadna sprawa nie wydawała się dość istotna, by się nią dzielić. Mogła mówić jedynie o kolejnych niepowodzeniach, nieudanych związkach i stagnacji, z której nie umiała się wykaraskać. Nie żaliła się rodzicom, kiedy jeszcze miała możliwość spojrzenia im w oczy, żeby nie dokładać im zmartwień. A teraz? Nawet gdyby chciała, było już za późno. Nawet jeśli jakimś cudem mama i tata usłyszeli by jej myśli gdzieś tam, po drugiej stronie, już nie mogli jej przytulić, pocieszyć czy wskazać kierunku.

Zimne powietrze coraz bardziej podrażniało spojówki Sary, aż obraz migoczących świec zaczął się rozmywać. Wilgotne ciepło wypłynęło z jej oczu i przetoczyło się najpierw po prawym, a potem po lewym policzku. Nie wzbraniała się przed tym, pozwoliła, by wiatr robił swoje. Była sama i mogła sobie pozwolić na chwilę słabości.

Nagle poczuła za plecami czyjąś obecność i usłyszała rwący się oddech. Odwróciła się, ale w pierwszej chwili nikogo nie dostrzegła, bo włosy, których przez roztargnienie nie spięła, momentalnie powędrowały do przodu, falując przed oczami jak frędzle w hawajskiej sukience. Wkurzona na okropną pogodę, odgarnęła je i założyła za uszy. Zmrużyła wilgotne powieki, żeby przyjrzeć się człowiekowi stojącemu kilka metrów dalej.

Skrzywiony w grymasie zmęczenia starszy mężczyzna trzymał się za klatkę piersiową. Musiał iść o wiele szybciej, niż pozwalały mu na

to wiek i stan zdrowia. Miał na sobie wypłowiałą jesionkę w kolorze, który za nowości prawdopodobnie był granatowy, a jego znoszone półbuty już dawno zasłużyły na wieczny odpoczynek. Zerkał na Sarę niepewnie, jakby czuł, że swoją obecnością może zaburzać jej intymną chwilę. Policjantka pochyliła głowę i szybkim ruchem otarła mokre policzki.

- Dzień dobry - wysapał mężczyzna tak cicho, że ledwie go usłyszała.

- Dzień dobry - odpowiedziała skonsternowana nagłym towarzystwem.

- Miałem nadzieję, że tu panią spotkam.

Dopiero teraz go poznała. Stanisław Baran obecnie zamieszkujący dom po jej rodzicach bardzo się zmienił od ostatniego spotkania. Jego twarz się zapadła, a oczy okalała niezdrowa opuchlizna. Sara podejrzewała, że po śmierci żony zbyt mocno zaprzyjaźnił się z kieliszkiem, od którego bynajmniej nie stronił również i za jej życia.

Znała rodzinę Barana od dziecka. Wspólnie z małżonką uprawiali niewielkie poletko, mieli też dwie krowy i kilka kur. Nigdy nie doczekali się potomstwa, co Sara z biegiem lat uznała za jedną z przyczyn alkoholizmu pana Stanisława. Jednak, mimo nieumiejętnie skrywanego nałogu, uważała go za człowieka godnego zaufania. Dlatego gdy pewnego lata piorun uderzył w stodołę Baranów, a ogień w ciągu kilku minut strawił cały ich dobytek, Sara postanowiła, że to właśnie im sprzeda posiadłość, na którą tak ciężko pracowali jej nieżyjący już rodzice. I to za marne pieniądze, bo pan Stanisław miał tylko tyle, ile razem z żoną zdołali wynieść z pożaru, plus niewielką

sumę z odszkodowania. Zamiast pieniędzy Sara wołała jednak świadomość, że w jej domu rodzinnym mieszkają dobrzy ludzie.

– Jak zdrowie, panie Stanisławie? – zagaiła, choć odpowiedzi nietrudno było się domyślić.

– Jako tako. Jak to się mówi, w tym wieku to już nie może być idealnie.

– Widziałam, że odnowił pan elewację. Bardzo ładny kolor – skłamała i uśmiechnęła się życzliwie. Pan Stanisław wiedział, ile dla Sary znaczył ten dom, a ona nie chciała go obarczać żadnym poczuciem winy czy obowiązku wobec byłej właścicielki.

– Tak pani myśli? Mnie się średnio podobał ten żółty, zbyt jaskrawy, wolałbym jakiś zielonkawy albo beżowy. Ale Grażynka się uparła... Ona zawsze, jak to się mówi, umiała postawić na swoim.

Spuścił wzrok, z którego emanował jeszcze świeży ból żałoby.

– Bardzo mi przykro, że nie mogłam być na pogrzebie żony – powiedziała i dotknęła dłonią ramienia mężczyzny. Nie zareagował. Stał nieruchomo wpatrzony w tłący się znicz. Po chwili milczenia Sara zdała sobie sprawę, że starszy pan raczej nie zjawiłby się tu bez powodu. Grób pani Grażyny znajdował się po przeciwnej stronie cmentarza, więc wizyta przy rodzinnej mogile Wilczków musiała mieć konkretny cel. Poza tym zawsze, gdy widywała się z panem Stanisławem, choćby przy okazji zakupów w wiejskim sklepie, poza wymianą zwyczajowych ukłonów raczej ze sobą nie rozmawiali. Tym razem on pierwszy się odezwał, więc zgadywała, że mógł mieć do niej jakąś sprawę albo potrzebować wsparcia, tylko brakowało mu śmiałości, żeby powiedzieć o tym wprost. Postanowiła go wyręczyć.

– Jak pan sobie radzi? Może mogłabym w czymś pomóc?

Baran przebudził się ze snu na jawie i spojrzał Sarze w oczy bez zrozumienia. Dopiero po chwili się zorientował, o czym mowa.

– Nie, nie. Pani jest bardzo uprzejma, jak zawsze, ale ja wszystko mam. Siostra przyjeżdża ze szwagrem, gotuje mi, w słoiki kładzie. Mam, wszystko... mam.

Ostatnie słowa wypowiedział w roztargnieniu, jakby właśnie o czymś sobie przypominał. Zaczął rozpinać płaszcz i grzebać w jego wewnętrznych kieszeniach. Poły materiału unosiły się niesfornie, utrudniając mu zadanie. W końcu wyciągnął w kierunku Sary rękę. Trzymał w niej kopertę, która wyginała się na wietrze.

– Nie będę pani dłużej przeszkadzał, chciałem tylko to przekazać.

– A co to jest? – Sara była niemal pewna, że nic ważnego. Chociaż formalnie dom przy Konwaliowej 15 w Studzieńcu od wielu lat należał do Barana, czasem jeszcze przychodziły zaadresowane do niej pisma, najczęściej jakieś reklamy z banków albo listy z prośbą o pomoc od różnych fundacji. Nie chciało jej się zmieniać danych adresowych w każdej instytucji, z jaką miała wcześniej do czynienia. Dlatego kilka lat temu dała Baranowi zielone światło, żeby się takimi rzeczami nie przejmował i wyrzucał przesyłki, o ile nie mają urzędowej pieczęci.

– List przyszedł. Nie wiem od kogo, bo nie ma nadawcy. Gdzieś mi się zapodział pani numer telefonu i wpierw chciałem go zawieźć na policję, do Ogrodzieńca znaczy. Ale nie wiedziałem, czy pani ciągle tam pracuje. Za to wiedziałem, że tu panią znajdę, jak co roku, w Dzień Zaduszny, więc pomyślałem, że przekażę osobiście.

– Dziękuję. – Sara chwyciła gładką kopertę i pobieżnie spojrzała na własne dane nakreślone odręcznie tuż pod równo przyklejonym znaczkiem. Pismo wydawało się jej znajome, a korespondencja nie

wyglądała na reklamę. I faktycznie nadawca nie raczył się podpisać. Nie zamierzała jednak sprawdzać zawartości koperty na miejscu, za bardzo wiało. Uśmiechnęła się do pana Stanisława i schowała list do kieszeni kurtki, dając mu w zamian swoją wizytówkę. – Proszę, tu jest mój numer, żeby nie musiał się pan następnym razem fatygować.

– A co to za fatyga? Ja i tak codziennie na cmentarzu, jak to się mówi, w świętek, piątek do Grażynki przychodzę. – Machnął ręką i uśmiechnął się smutno. – Wczoraj się zapędziłem, bo patrzę, jakaś kobieta kwiaty stawia na grobie państwa Wilczków. Ale jak bliżej podszedłem, to się okazało, że jej nie znam. A dzisiaj samochód pani Sary pod bramą widziałem, więc miałem pewność, że uda się przesyłkę dostarczyć do rąk własnych. – Spojrzał na rodzinny grób Wilczków, przeżegnał się i wymamrotał początek modlitwy: – Wieczne odpoczywanie... To ja już pójdę. Do widzenia i wszystkiego dobrego – powiedział, po czym odwrócił się i ruszył w stronę głównej alei.

– Do widzenia. – Sara jeszcze przez moment patrzyła na oddalającego się z wolna mężczyznę, mając dziwne przeczucie, że widzi sąsiada po raz ostatni. – Wszystkiego dobrego! – krzyknęła, gdy był już nieco dalej, ale szum wiatru zagłuszył jej słowa, a potem porwał je w nieznane.

Poczuła przenikliwy smutek, a wraz z nim zimno ogarnęło całe jej ciało. Zbyt lekko się ubrała. Po raz ostatni przykucnęła i dotknęła dłonią gładkiego marmuru. Potem wstała i odeszła alejką w stronę cmentarnej bramy. Wsiadła do seledynowego nissana, a potem z ulgą zatrzasnęła drzwi. Wreszcie zrobiło się ciszej i cieplej.

Siedząc w aucie, przez chwilę się zastanawiała, czy nie sięgnąć po tajemniczą kopertę, jednak miała tak skostniałe palce, że zwalczyła ciekawość i czym prędzej odpaliła silnik. Ustawiła pokrętło nawiewu na gorące powietrze i powoli ruszyła w drogę. Wyjeżdżając ze Studzienca, pomyślała o swojej przytulnej, choć pustej kawalerce oraz jej dwóch największych atutach – wannie wypełnionej gorącą wodą i szafce skrywającej ulubione francuskie wino.

2.

Weszła do mieszkania. Palce wciąż miała skostniałe, więc rozsznurowanie ciasno związanych butów przysporzyło jej trochę trudu. Zdjęła kurtkę i powiesiła ją na wieszaku, który lekko odstawał od ściany, kręcąc się we wszystkie strony. Miała to naprawić, lecz ciągle brakowało jej czasu. Albo prędkiej – chęci, chociaż ta pierwsza wymówka była łatwiejsza do zaakceptowania. Przecież wszyscy cierpieli na brak czasu, niezależnie od tego, czy pracowali po cztery, czy dwanaście godzin, czy mieli gromadkę dzieci bądź schorowanych krewnych, czy też byli sami jak palec. Sara poza pracą nie miała innych zajęć ani zobowiązań. Ale była zmęczona długimi dyżurami, biurokracją i całą tą rutyną, która dzień za dniem skutecznie odbierała zwyczajną radość z codzienności.

Podeszła do okna i zaciągnęła zasłonę. Przechodząc obok komody, zerknęła na stojące tam zdjęcie ślubne rodziców, a potem przeniosła wzrok na drugą fotografię. Chwyciła ją, żeby lepiej dostrzec szczegóły. Wcześniej wielokrotnie je analizowała, mimo to za każdym razem jakiś drobiazg na nowo przykuwał jej uwagę.

W samym środku wyblakłego kadru siedział gruby mężczyzna w czerwonym kubraku. Siwa broda niemal całkowicie zasłaniała krągłą twarz, a śmieszna czapka obszyta białym futerkiem opadała na czoło, opierając się na krzaczastych brwiach. Do lewego boku Gwiazdora przyklejona była nastoletnia Eliza. Miała na sobie pastelowo żółtą bluzkę z olbrzymim białym kołnierzem i spodnie

typu dzwony w drobną kolorową kratkę. Podekscytowana zerknęła na rumiane policzki gościa, dumnie unosząc otrzymany od niego prezent, jakby swoją radością chciała obdzielić cały świat. Po prawej, krok od mężczyzny, na baczność stała Sara. Mogła mieć wtedy pięć lub sześć lat. W przeciwieństwie do starszej siostry nie zdawała sobie sprawy, że ten straszny pan z brodą to tak naprawdę jej tato. Wbijała przestraszone oczy prosto w obiektyw aparatu, a niedbale trzymany podarunek smętnie zwisał, częściowo ukryty za jej nogą.

Sara wygrzebała tę fotografię z rodzinnego albumu całkiem niedawno, tuż po pogrzebie siostry, kiedy informacja o jej śmierci wreszcie ugruntowała się w jej świadomości. Oprawiła zdjęcie w białą ramkę z głowami reniferów. Nie chciała tworzyć w mieszkaniu czegoś w rodzaju ołtarzyka pamięci z czarnymi akcentami, wołała pamiętać siostrę właśnie taką uśmiechniętą, pełną młodzieńczej radości i ufności.

Siostry Wilczek były jak dwa przeciwległe bieguny i wydawać by się mogło, że przynajmniej jedna z nich powinna mieć szczęśliwe życie. A jednak los nie oszczędził żadnej. Pewność siebie i ufność Elizy doprowadziły ją do tragicznej śmierci, z kolei podejrzliwość i dystans do ludzi, jakie od zawsze cechowały Sarę, nie uchroniły jej przed oszustwem i zdradą ze strony fałszywego przyjaciela, który wiele lat temu odebrał jej siostrę.

Odstawiła fotografię, zdjęła sweter i niedbale rzuciła go na oparcie krzesła, na którym wisiał też mundur. Rozejrzała się po pokoju. Niemal każdy mebel udekorowany był jakąś częścią garderoby, a na podłodze przy łóżku spoczywał zmięty, wilgotny jeszcze ręcznik, który musiał spaść jej z głowy, gdy zeszłego wieczoru zasnęła przy czytaniu. Ze zlewu kuchennego aneksu

złowrogo wychylała się wieża brudnych naczyń. Policjantka skrzywiła się tylko i odwróciła wzrok. Nie chciało jej się sprzątać. To samo tyczyło się gotowania, czego niezaprzeczalnym przykładem było leżące na blacie pudełko po sałatce cezar, zamówionej ostatniego wieczoru w podrzędnej włoskiej restauracji. Brakowało tylko papierków po batonach i znalazłaby się z powrotem w tamtym starym życiu. W życiu, którego się wyrzekła i które porzuciła na zawsze, pokutując drogimi i niełatwymi sesjami u psychodietetyka, a potem u psychiatry.

„Czyżby na zawsze?” – zakpiła w duchu z własnej naiwności. – „Na zawsze to można umrzeć. W życiu nic nie jest na zawsze, Wilczek” – podsumowała z goryczą.

Prawda była taka, że przez ubiegłe trzy lata utrzymywanie zdrowej diety stawało się coraz trudniejsze, co w efekcie przełożyło się na kilka nadprogramowych kilogramów. Sara czuła się z tym niekomfortowo, zwłaszcza jako czynna policjantka. Najgorsze było jednak to, że zaczęły wracać myśli o przeczyszczeniu. Miała wrażenie, że nadmiar jedzenia, ale przede wszystkim całe zło, które spotkało rodzinę Wilczków, gromadzą się w jej ciele, narastając grubą toksyczną tkanką, a jedynym sposobem na wyrzucenie z siebie całego tego syfu jest prowokowanie wymiotów.

Epizody bulimiczne zaczęły się już w dzieciństwie, niedługo po zaginięciu Elizy, kiedy rodzinny dom Sary przeistoczył się w jamę, która od progu wiała pustką i rozpaczą. Rodzice całą energię skupili wówczas wokół starszej córki, zapominając, że ta młodsza, obecna tu i teraz, również potrzebuje ich uwagi, i to bardziej, niż kiedykolwiek. W końcu ona też straciła bliską osobę, tęskniła za siostrą i żyła w ciągłym poczuciu niepewności.

Dusza i ciało Sary chorowały aż do momentu dorosłości, kiedy jako absolwentka liceum postanowiła wstąpić w szeregi policji i wreszcie zacząć żyć swoim życiem, godząc się z tym, że straciła siostrę na zawsze. Terapia była długa i trudna, ale ostatecznie skuteczna.

Do czasu. Bo kiedy trzy lata temu Sara rozwiązała sprawę Elizy i dowiedziała się, że nieświadomie żyła obok jej oprawcy, bezgranicznie mu ufając, wszystko wróciło w ciągu jednego dnia. Po ogłoszeniu wyroku skazującego wsiadła do auta i jak w transie pojechała na zakupy, wypełniła lodówkę po brzegi, a na koniec usiadła przed telewizorem i jadła do momentu, aż poczuła ból brzucha i mdłości. Potem poszła wszystko zwrócić. Nie potrafiła sobie wybaczyć, że dała się tak omamić tanimi zagrywkami tego psychopaty. Nie rozpoznała zła, które w sobie skrywał. Jej zaufanie do ludzi, które i tak od zawsze było ograniczone, zniknęło niemal całkowicie w chwili, gdy założyła Dzikiemu kajdanki, a potem spojrzała w jego zakłamane oczy. Odsunęła się wtedy od wszystkich, nawet życzliwych jej ludzi, przestała nawiązywać jakiegokolwiek kontakty towarzyskie, całkowicie skreśliła mężczyzn, chociaż czuła, że samotność kładzie zimny cień na jej życiu.

Mętne echa przeszłości znów zagościły w codzienności Sary, chcąc ją pochłonąć, zamknąć w klatce ciągłego napełniania się i opróżniania. Doskonale знаła ten stan i umiała go bardzo szybko zidentyfikować już przy pierwszych symptomach. Nieznośne drapanie gdzieś pod żebrami i trzepoczące się w brzuchu olbrzymie włochate ćmy, które za wszelką cenę chciały się wydostać. Oddawała treść żołądka z przekonaniem, że wyrzuci z siebie wszystko i że to już ostatni raz. A potem zamiast ulgi pojawiały się wstręt do samej

siebie i jeszcze większa chęć objadania się przy kolejnym emocjonalnym dołku. Wiedziała, jak trudno zatrzymać to błędne koło, i za nic nie chciała do tego wracać. Tylko czy była wystarczająco silna, żeby się nie złamać, nie mając w nikim oparcia? Najtrudniej było w dniu takim jak ten – odświętnym, pełnym zadumy, czasu wolnego od obowiązków, a nade wszystko pulsującym samotnością.

Weszła do łazienki i usiadła na toalecie. Sięgnęła do baterii przy wannie, po czym uniosła ją do góry, przekręcając maksymalnie w stronę ściany. Szum gorącej wody przerwał przenikliwą ciszę pustego mieszkania, a unosząca się para przyjemnie rozmiękczała przygnębienie. Sara zamknęła powieki i zanurzyła się w dźwięku, który koił nerwy lepiej niż butelka wina. Napięcie powoli odpuszczało.

Próbowała przekierować myśli na przyziemne sprawy: czy trzeba już nastawić pranie, czy zostały jeszcze jakieś warzywa, z których da się skroić sałatkę, i przy którym serialu najszybciej zaśnie.

A kiedy już całkiem się wyluzowała, przed oczami stanęła jej nagle pocziwa twarz pana Stanisława. Sara przypomniała sobie, że w kieszeni kurtki wciąż tkwi przesyłka, którą staruszek osobiście jej wręczył. Szybko naciągnęła spodnie, spuściła wodę w toalecie, umyła ręce i wyszła z łazienki.

Wygrzebała z kurtki lekko zmięty papier, a potem usiadła na kanapie. Przyjrzała się kopercie, tym razem dokładniej. Już po pierwszym spojrzeniu, tam na cmentarzu, była prawie pewna, że rozpoznaje pismo osoby, która adresowała list. Zamaszyste, lekko kanciaste „S” i prosty, jakby postawiony w pośpiechu ogonek od „g”. Pomyślała jednak, że jej przypuszczenia nie mogą być prawdą.

Nadawcą z pewnością jest ktoś inny, a podobieństwa wynikają ze zwykłego zbiegu okoliczności albo jej nazbyt wybujałej wyobraźni.

Niezgrabnie oderwała papierowy brzeg, a następnie wyciągnęła ze środka białą kartkę. Nie mogąc skupić uwagi na znaczeniu słów, przeczytała ciurkiem kilka krótkich zdań, które zdawały się nie mieć sensu: *Jeśli chcesz zachować swoją tajemnicę, przyjeźdź do Karczewa. Domek Modrzew w ośrodku wypoczynkowym Kormoran. Masz trzy dni, inaczej wszystko ujawnię. Pospiesz się, Sarenko, czas ucieka. K.*

Pismo było lekko koślawe, niestaranne, wyglądało na prowadzone niepewną ręką, jakby list pisano w pośpiechu.

Nie rozumiała. Totalnie nie rozumiała, o co tu, do kurwy nędzy, chodzi. Spojrzała na stempel pocztowy. Nie miała pojęcia, gdzie leży to całe Karczewo.

Odłożyła zapisaną kartkę na kolana i ponownie zerknęła do koperty, bo zdawało jej się, że jest w niej coś jeszcze. Ostrożnie chwyciła cienki papierek, który okazał się złożonym na pół wycinkiem ze starej gazety. Tak naprawdę był to jedynie nagłówek niestarannie oderwany od artykułu, który głosił: „Policjantka oczyszczona z zarzutów”.

Najpierw uderzyła w nią fala gorąca, a potem ją zmroziło. Jakby cały listopadowy chłód wdarł się nagle do mieszkania mimo zamkniętych okien. Patrzyła przez małe strzępy wspomnień jak przez soczewki, które z minuty na minutę wyostrzały obraz sytuacji. Bezradnie opuściła dłonie trzymające świstek papieru i utkwiała wzrok w pustej ścianie pokoju.

Znów poczuła strach, który towarzyszył jej tamtego feralnego dnia. Była młoda, niedoświadczona i emocjonalnie zraniona. Wszystko działo się tak szybko. Biegła za kimś główną ulicą,

mechanicznie przebijając nogami. Czuła się senna i otumaniona, momentami nawet traciła poczucie rzeczywistości. Wiedziała tylko, że nie może opuścić broni ani stracić uciekiniera z oczu. Zaciskała glocka tak mocno, że aż spocily jej się dłonie. Kolejne ulice, budynki migały jej w oczach, jakby była na karuzeli. Mijały ją samochody, jakaś kobieta z dziecięcym wózkiem wbiegła pod wiatę przystanku autobusowego. Potem był krzyk ostrzegawczy i nagły, niespodziewany wystrzał, który na długą chwilę ją ogłuszył. Nie potrafiła zlokalizować jego źródła. Czy to ona strzeliła? Rozpędzony uciekinier momentalnie runął na ziemię, a chwilę później Sarę też ścięło z nóg i upadła na kolana. Klęczała tak dłuższą chwilę, opierając jedną dłoń o szorstki chodnik. Nie wiedziała, co się dzieje. Słyszała tylko ten cholerny pisk w uszach i czuła, że brakuje jej powietrza. Nie potrafiła stwierdzić, ile minęło czasu, zanim pojawiły się posiłki. Odpłynęła.

Już wtedy, przez mgliste przebliski świadomości, zdała sobie sprawę, że popełniła okropny błąd, mogący zaważyć na jej karierze, a nawet na całym życiu. A potem... Potem wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Nie zdążyła się nawet zastanowić. Właściwie nie miała zbyt wiele do powiedzenia. Ojciec Sary podjął za nią trudną decyzję i postawił ją przed faktem dokonanym. To były początki jej pracy w policji, a Ryszard Wilczek, ówczesny komendant, robił wszystko, żeby zatuszować potknięcie córki. Gdyby prawda wyszła na jaw, Sara z pewnością nie uniknęłaby srogiej kary. W najgorszym scenariuszu groziło jej nawet więzienie, w najlepszym – odebrano by jej możliwość pracy w charakterze stróża prawa. Komendant wykorzystał swoje doświadczenia. Załatwił, co trzeba, a potem już nigdy o

tym nie rozmawiali. Sprawa ucichła. Tyle że poza Sarą i jej ojcem wiedział o niej ktoś jeszcze.

Krzysztof.

Była prawie pewna, że nadawcą listu jest właśnie on. Litera „K” wieńcząca wiadomość potwierdzała te przypuszczenia. Poza tym tylko Krzysiek nazywał ją Sarenką, co było głupim zdrobnieniem, które miało brzmieć pieszczotliwie, ale z perspektywy czasu zdawało się drwiną z ich krótkiej i burzliwej relacji.

Wstała gwałtownie, aż zakręciło jej się w głowie. Wyciągnęła z szafki wino i nalała sobie pełen kieliszek, który opróżniła dwoma haustami. Potem wróciła na kanapę i postanowiła znaleźć jakiś ukryty sens w słowach zawartych w liście.

Ktoś, bo nie miała stuprocentowej pewności, że był to Krzysztof, posłużył się szantażem, ale nie napisał, czego tak naprawdę od niej oczekuje. Miała stawić się w jakimś ośrodku wypoczynkowym w miejscowości, której nazwa nic jej nie mówiła. Tylko po co? I jeśli faktycznie nadawcą był Krzysiek, czego mógł od niej chcieć? Od lat się nie kontaktowali, a dla Sary tamten etap życia został bezpowrotnie zamknięty i umieszczony gdzieś na dnie niewygodnych wspomnień. Nie mieli już żadnych wspólnych spraw, pieniądze też raczej nie wchodziły w grę. Krzysiek był honorowy i nie zniżyłby się do próby ich wyłudzenia, nie wspominając o tym, że Sara z policyjnej pensji nie była w stanie wiele odłożyć.

Zastanawiało ją, dlaczego po prostu nie zadzwonił, nie skontaktował się w jakiś normalny sposób. Chwilę później doszła do wniosku, że pewnie nie miał jej aktualnego numeru. Z kolei w mediach społecznościowych Sara nie istniała. Ale przecież wiedział, że mieszkała i pracowała w Ogrodzieńcu. Nawet gdyby zwolniła się z

policji albo przeniosła do innego miasta, mógł spróbować jakoś ją namierzyć, podzwonić, popytać. Tymczasem wysłał zwykły list opatrzony jedynie pieczętką „priorytet”, co wcale nie dawało gwarancji, że korespondencja dotrze do adresatki w trybie pilnym i nie zaginie w drodze jak spora część listów słanych za pośrednictwem Poczty Polskiej.

Nagle doznała olśnienia. Może Krzysztof celowo nie dzwonił na policję, bo miał problemy z prawem, ukrywał się, albo jego telefon był na podsłuchu. Ktoś mógł grozić jemu lub komuś z jego bliskich. Musiał mieć nóż na gardle, skoro posunął się do tak niezrozumiałego kroku. Sara wyszukiwała wszelkie możliwe motywy, które skłoniłyby nadawcę do wysłania dziwnej korespondencji, nawet te nieprawdopodobne, wyszukane, jakie zwykle pojawiają się w serialach kryminalnych.

Potem zaczęła ją zastanawiać inna kwestia. Gdzie w ogóle jest to Karczewo? Rzuciła list na kanapę, po czym sięgnęła po laptop umieszczony na dolnej półce stolika kawowego.

Roztrzęsiona wklepała w wyszukiwarkę nazwę miejscowości oraz ośrodka wypoczynkowego wspomnianego w krótkiej wiadomości. Na ekranie pojawiły się zdjęcia kompleksu Kormoran, który – jak przeczytała w poniższej notatce – był własnością Uniwersytetu Rzeszowskiego.

To by się zgadzało. Niedługo po tym, jak ich drogi się rozeszły, Krzysztof wyprowadził się na Podkarpacie i zaczął pracę na uniwerku. Jego pasją od zawsze była biologia, a także wszystko, co związane z ekologią. Miał w planach doktoryzację i, znając poziom jego determinacji, Sara podejrzewała, że mógł osiągnąć ambitny cel.

Pewnie zagrzał na rzeszowskiej uczelni ciepłą posadkę i osiadł tam na dobre.

A potem musiał wpieprzyć się w jakieś gówno.

Policjantka weszła w internetową galerię zdjęć ośrodka, która prezentowała drewniane domki rozsiane nieregularnie wzdłuż brzegu jeziora o nazwie Głębokie, małą plażę, a zaraz obok niej pomost w kształcie podkowy i przycumowane do niego rowery wodne oraz łódki. Na dalszym planie tafłę wody przecinało jeszcze kilka mniejszych pomostów, które odchodziły od poszczególnych domków.

W nowym oknie otworzyła stronę z mapą satelitarną, żeby sprawdzić odległość między Ogrodzieńcem a Karczewem. Program wyliczył lekko ponad dwieście kilometrów, około dwie i pół godziny drogi, czyli nie jakoś szczególnie daleko.

Sara postanowiła jednak nie skopiować błędu nadawcy listu i przed podjęciem jakichkolwiek kroków zacząć od próby kontaktu. W telefonie odszukała stary numer Krzysztofa, chociaż wcale nie była pewna, że go tam jeszcze znajdzie. Wahala się przed naciśnięciem zielonej słuchawki. Zastanawiała się, czy w ogóle rozpoznałaby jego głos. Usłyszała tylko jeden króciutki sygnał, a potem nastąpiła cisza, co prawdopodobnie znaczyło, że numer jest już nieaktywny. Poczła rozczarowanie, ale też ulgę. Bała się powrotu do przeszłości, rozdrapywania tak już pięknie zabliznionych ran. Poza tym nie bardzo wiedziała, jak zacząć rozmowę: oskarżeniem czy kulturalnym acz niedorzecznym zapytaniem.

Jedynym rozwiązaniem, jakie przychodziło jej w tym wypadku do głowy, był kontakt z uniwersytetem, choć tak naprawdę wątpiła, że dzień po Wszystkich Świętych ktoś mógł dyżurować w sekretariacie.

Idąc jednak za ciosem, wyszukała adres uczelni i wklepała numer centrali w komórkę. Po kilku irytujących sygnałach doczytała na stronie informację o możliwych godzinach kontaktu. Dochodziła siedemnasta, a dziekanat pracował do szesnastej trzydzieści. Mogłaby poczekać z tym do jutra, gdyby nie fakt, że w niedzielę to miejsce było zamknięte na cztery spusty.

Zatrzasnęła klapę laptopa. Jeszcze raz sięgnęła po list. Wstała z kanapy i zaczęła nerwowo przechadzać się po pokoju. Włochate ćmy w jej brzuchu powoli prostowały skrzydła. Przez chwilę miętoliła małą kartkę w dłoni, po czym zgmiotła ją ze złością i cisnęła do kosza stojącego przy biurku.

Wbiegła do łazienki. Z hukiem podniosła deskę sedesową, uklękła przed nią i wsunęła palec głęboko do gardła. Momentalnie ją zemdlilo, a żołądek zacisnął się w spazmatycznym skurczu. Jednak nic nie wydostało się na zewnątrz. Przypomniała sobie, że od śniadania nic nie jadła, więc nie było czego zwracać. Przez chwilę wpatrywała się w zagłębienie wypełnione wodą z mieszaniną obrzydzenia oraz ekscytacji, po czym głęboko wciągnęła i wypuściła powietrze. Przełknęła zebraną w ustach słoną ślinę. Podniosła się, trzasnęła deską i usiadła na brzegu wanny. Schowała twarz w rozpostartych dłoniach i zrobiła jeszcze kilka głębokich wdechów, powstrzymując się od płaczu. Nikt nie widział jej słabości, ale to nie był powód, żeby po raz drugi tego dnia się rozklejać. To zła droga, prowadząca prosto na dno urwiska, z którego bardzo ciężko się wydostać z powrotem na powierzchnię.

– Ogarnij się, Wilczek – warknęła i potarła wilgotne powieki.

Intensywny szum wody, która zaczęła się już wylewać przez górny odpływ, sprowadził ją na ziemię. Przez chwilę pochylała się

nad parującą wanną z przeczuciem, że jeśli nie podejmie żadnych kroków, uznając tę sprawę za głupi żart, może się stać coś strasznego. Coś, z czego już się nie wygrzebie. Wybiegła z łazienki i wyciągnęła zmiętą kartkę z kosza.

– Niech cię szlag, Krzysiek! – powiedziała przez zaciśnięte zęby, a potem chwyciła za komórkę i wybrała numer komendanta Kowalika.

3.

- Dobry wieczór - powiedziała niepewnie - z tej strony Sara. Przepraszam, że zakłócam wolny czas, ale mam pilną sprawę.

- Co się stało? - zapytał Kowalik wyraźnie zdziwiony późnym telefonem.

- Jakiś czas temu proponował mi pan urlop. Chciałabym z niego skorzystać.

- Urlop? Od kiedy? Nie mogliśmy tego załatwić w poniedziałek?

Sara zrobiła pauzę, żeby ułożyć sobie w głowie najlepszą wersję odpowiedzi.

- Chodzi o to, że muszę jutro wyjechać. Sprawy rodzinne.

- Jak to jutro? Na ile dni?

- Minimum tydzień. Mam jeszcze sporo urlopu, nie wykorzystam go do końca roku, a sam pan mówił, że powinnam w końcu odpocząć.

- No tak, mówiłem. - Przełożony wydawał się podirytowany, jakby telefon od Sary przerwał mu jakąś ważną czynność. - Ale nie, żeby tak nagle, do cholery! Cieśla jest na zwolnieniu. Będę musiał przeorganizować cały grafik, ściągnąć Nowaka...

- Szeffie - weszła mu w słowo - nie prosiłabym o to, gdyby sprawa nie była poważna. Wie pan, jak bardzo poświęcam się pracy, jestem dyspozycyjna, ale tym razem jest coś pilniejszego. Naprawdę muszę wyjechać.

W słuchawce zapadła cisza. Sara, zagryzając dolną wargę, wyczekiwała ostatecznej odpowiedzi, chociaż i tak już podjęła decyzję o wyjeździe, za zgodą szefa lub bez niej. Zawsze mogła odwiedzić swojego psychiatrę i poprosić o zwolnienie lekarskie.

– No dobra – skapitulował po dłuższym namyśle – jeśli to takie ważne, to nic nie poradzimy. A daleko się wybierasz?

– Nie... nie daleko. – Zawahała się z odpowiedzią, uznała jednak, że dyskrecja będzie najlepszym rozwiązaniem, przynajmniej póki się nie dowie, o co w tej całej sprawie chodzi. – Dzięki. Jutro rano podejść wypisać wniosek. Do widzenia.

– Wilczek? – Komendant zatrzymał ją przy telefonie. – Wszystko w porządku? – spytał, ale ona nie odpowiedziała. – Gdybyś czegoś potrzebowała, to dzwoń.

– Dobrze, dziękuję.

Rozłączyła się, jednak nie odłożyła telefonu. Musiała coś jeszcze sprawdzić. Ponownie otworzyła laptop i wróciła na stronę ośrodka. Przepisała widniejący tam numer na klawiaturze komórki.

– Halo? – powiedziała, gdy po kilku sygnałach usłyszała niewyraźny męski głos. – Czy to ośrodek Kormoran?

– A w jakiej sprawie? – rozmówca odezwał się po dłuższej pauzie.

– Chciałabym wynająć domek.

– Teraz?

– A coś stoi na przeszkodzie?

– A nie – burknął. – Dziwię się tylko. Jest już pani drugą osobą, która chce wynająć domek w listopadzie. Zwykle ośrodek jest w tym czasie wymarły aż do wiosny. Bo i czego tam teraz szukać?

– Może ciszy i spokoju? – spytała Sara retorycznie, jednak cisza w słuchawce trwała zbyt długo. Policjantka nie była pewna, czy nie

urwało połączenia, więc odezwała się znowu: – Halo? Jest pan tam?

– A jakiś konkretny ten domek, czy jest to pani obojętne? – dopytywał facet. – Na ile nocy?

– Myślałam o Modrzewiu – powiedziała niepewnie, przeczytawszy wskazówkę z listu, który trzymała przed oczami. Nazwa domku wydawała jej się dziwna, Sara nawet nie była pewna, czy taki faktycznie istnieje. Przez moment przyszło jej do głowy, że jest w ukrytej kamerze. – Na razie na dwa noclegi, ale skoro ośrodek jest pusty, to chyba nie będzie problemu, żeby przedłużyć pobyt?

– Normalnie by nie było – odpowiedział mężczyzna. – Tyle że jeśli chodzi o Modrzew, to ma pani pecha, bo chyba jest już zarezerwowany. Ale na terenie ośrodka mamy dwadzieścia dwa domki, mogę polecić inny, i to taki w lepszym stanie, bliżej jeziora.

– Na pewno jest zajęty? Może pan to sprawdzić?

– Chwilę – westchnął zniecierpliwiony – wezmę zeszyt zameldowań.

Sara słyszała, jak mężczyzna odkłada telefon, potem szura krzesłem i oddala się po skrzypiącej podłodze. Dobiegł do niej też kobiecy głos. Mężczyzna miał pretensje, że nie może znaleźć zeszytu, a kobieta tłumaczyła, że leży tam, gdzie powinien. Chwilę później rozmówca był już z powrotem.

– Halo? – odezwał się, sprawdzając, czy Sara wciąż jest po drugiej stronie.

– Tak?

– Dobrze pamiętałem, na Modrzew mamy rezerwację dla pani Sary Wilczek. – Beztrosko wyartykułował jej nazwisko, jakby nigdy nie słyszał o podstawowych zasadach poufności danych osobowych.

– Mam tu napisane, że domek zwolniony z opłaty. Ta pani pewnie z

naszej uczelni, bo oni poza sezonem mogą korzystać z ośrodka zupełnie za darmo. Na razie się nie pojawiła, może coś jej wypadło. Dla mnie to nie ma znaczenia, ale pani wie, jak jest: domek uszykowany, czeka na gości a nie będzie dostępny przynajmniej przez kolejne dwa tygodnie. Nic nie poradzę.

Policjantka poczuła, jak przyspiesza jej tętno.

A więc to prawda. Nadawca listu zrobił dla niej rezerwację. Przynajmniej wiedziała, że nie jedzie w ciemno i będzie miała gdzie przenocować.

– Wie pan co? To ja się jeszcze zastanowię.

– Jak pani szanowna sobie życzy – odpowiedział mężczyzna z wymuszoną uprzejmością. Najwyraźniej wcale nie miał zamiaru przekonywać jej do przyjazdu.

– Do usłyszenia. I dziękuję.

Nie doczekała się równie miłego pożegnania. Odłożyła telefon i oparła plecy o tył kanapy, kładąc obie dłonie na czubku głowy. Powoli wypuściła powietrze. Niepokój wciąż ścisnął jej wnętrzności, lecz była gotowa się przekonać, o co w tym wszystkim chodzi. Nie wiedziała, co zastanie na miejscu. Czy będzie na nią czekał Krzysiek, a może ktoś inny? I jakie będą jego oczekiwania? Jedno było pewne – musiała zrobić wszystko, by zachować dawną tajemnicę. Tylko to się teraz liczyło.

Przez chwilę się zastanawiała, czy nie zagłuszyć emocji resztą wina, ale ostatecznie wstawiła je z powrotem do szafki. Nazajutrz rano miała wyjechać w ponad dwugodzinną trasę, więc chciała być w dobrej formie. Z wieczornych planów aktualna pozostała jedynie ciepła kąpiel. Weszła do wanny i powoli zanurzyła głowę pod wodą.

4.

Dojeżdżając do okolic Karczewa, czuła już lekkie zmęczenie. Lubiła prowadzić i zwykle robiła to bezwiednie, jednak tym razem musiała bardziej się skupić. Od dwóch godzin pewnie, niemal kurczowo trzymała kierownicę i czujnie śledziła drogę, która momentami zmieniała się w niebezpieczną ślizgawkę, zwłaszcza poza terenem zabudowanym. Nocny przymrozek jeszcze do końca nie odpuścił, chociaż zegarek na desce rozdzielczej wskazywał już dziewiątą trzydzieści. Przegniłe liście i fragmenty gałęzi stanowiły dodatkowe zagrożenie. Najwyraźniej wichura, która przeszła nad Studzieńcem, nie oszczędziła również tych rejonów.

Las wydawał się uśpiony, smutny, pokaleczony wiatrem. Połamane gałęzie pokryte rdzawymi igłami smętnie zwisały z wysokich sosen bez nadziei na lepszą przyszłość. „Byle do wiosny” – pomyślała Sara. Wtedy wszystko się odnowi i znów będzie pięknie. Strupy odpadną, wyrosną nowe pędy i przyroda zapomni o listopadowej wichurze. Szkoda, że to nie działało u ludzi.

Odkąd wjechała na drogę z obu stron szczelnie otuloną drzewami, nie minęła ani jednego samochodu, nikt też nie jechał za nią. Przywitał ją za to duży żółty znak z ostrzeżeniem o czarnym punkcie, który wskazywał odcinek o zwiększonej częstotliwości wypadków. Droga znacznie się zwężyła i zaczęła wywijać w liczne zakręty, niektóre bardzo ostre, o czym z kolei ostrzegały znaki z

czerwonymi strzałkami skierowanymi w prawo lub w lewo. Prawa noga Sary praktycznie nie schodziła z hamulca.

Kiedy uświadomiła sobie, że znajduje się na zupełnym odludziu, poczuła na karku zimny dreszcz. Gdyby coś jej się stało, nikt by się nawet nie zainteresował, nie zauważył jej zniknięcia. No może z wyjątkiem szefa, gdyby po urlopie nie pojawiła się na komisariacie. Ale nawet nie wspomniała, dokąd się wybiera, czym znacznie utrudniła ewentualną interwencję kolegów z policji w razie nieszczęśliwego zdarzenia. Dobrze, że przynajmniej pomyślała, żeby zabrać ze sobą broń, która w tym momencie spoczywała w schowku naprzeciw pustego fotela pasażera.

Rozgoniła czarne myśli, bo nie chciała przyciągnąć nimi czegoś złego. Nawigacja odpalona w telefonie wskazywała, że do Karczewa zostały niecałe dwa kilometry, a to już dosłownie rzut beretem. Na mapce wypełniającej ekran smartfonu można było zauważyć całą masę niebieskich plamek o przeróżnych kształtach. Sara domyśliła się, że to jakieś stawy ukryte między drzewami po obu stronach drogi, z czego jeden, znajdujący się trochę bardziej na zachód, znacznie wyróżniał się wielkością. Była niemal pewna, że patrzy na graficzne odzwierciedlenie Jeziora Głębokiego, czyli na cel swojej podróży.

Poczuła ucisk w żołądku. Dojedzie tam i co dalej? Czy Krzysiek będzie już na nią czekał? I w ogóle skąd będzie wiedział, kiedy Sara się pojawi? Mógł umówić się z ludźmi z ośrodka, że dadzą mu znać, gdy oczekiwany gość zamelduje się w Modrzewiu. Zakładając, że nadal pracował na uniwersytecie, do którego należał kurort, powinien mieć łatwy dostęp do takich informacji.

Sara drgnęła, gdy nagle odezwał się kobiecy głos, uprzedzający o zakręcie w lewo. Sto metrów później policjantka wjechała w leśną drogę, wyłożoną betonowymi płytami. Nieprzyjemny turkot opon wypełnił wnętrze jej wysłużonego nissana. Zawieszenie auta cierpiało, ale przynajmniej mogła mieć pewność, że nie ugrzęźnie w błocie.

Kiedy las zaczął się przerzedzać, ukazał się wjazd do ośrodka, a za nim, gdzieś w oddali, majaczyła szara tafla jeziora. Bramę pozostawiono otwartą na oścież, więc Sara śmiało wjechała na teren obiektu. Zatrzymała się na niewielkim, pustym parkingu przy budynku opatrzonym tabliczką z napisem: „Ośrodek wypoczynkowy Kormoran. Recepcja”.

Zaciągnęła hamulec ręczny i wysiadła z samochodu wprost w nieprzyjemną mżawkę, która momentalnie oblepiła jej twarz niczym niewidzialny jesienny całun. Drewniane schodki prowadzące do recepcji pokrywała warstwa wilgotnych liści i rozgniecionych szyszek, jakby od miesiący nikt tam nie sprzątał. Trzeba było uważać, żeby się nie poślizgnąć. Sara ostrożnie podeszła do drzwi i zapukała. Powtórzyła tę czynność jeszcze dwa razy, ale nikt nie wyszedł jej na spotkanie. Drzwi były zamknięte. Z rogu budynku mrugała do niej tylko mała kamerka i policjantka przez moment miała wrażenie, że ktoś siedzący w środku celowo jej nie otwiera, tylko obserwuje z ukrycia.

Poczuła się jak frajerka, która dała się wystawić do wiatru. Sterczała sama jak palec na jakimś cholernym odludziu, nie znając celu swojego przybycia i nie wiedząc, co powinna zrobić. Irracjonalność całej tej sytuacji uderzyła w nią nagle i gdyby nie sącząca się z nieba mżawka, pomyślałaby, że oblał ją zimny pot. A

może to były początki choroby? Dzień wcześniej na cmentarzu porządnie ją przewiało.

„Co ja tu robię” – pomyślała, ale nie dała się ponieść emocjom. Skoro już przyjechała, musiała zrobić wszystko, żeby się dowiedzieć, jaki jest prawdziwy powód tej wizyty. Obok drzwi dostrzegła coś w rodzaju tablicy ogłoszeń. Za szybą znajdowały się ogólne informacje o ośrodku, regulamin, a także telefon kontaktowy.

Skoczyła do auta po komórkę, po czym wróciła na taras, schowała się pod niewielkim zadaszeniem i wybrała numer wywieszony na tablicy. Po kilku sygnałach odezwał się zniechęcony głos.

– Taa?

– Dzień dobry, Sara Wilczek. Z kim mam przyjemność?

– Ireneusz Woźniak. O co chodzi? – Mężczyzna po drugiej stronie mówił zachrypniętym głosem i niezbyt wyraźnie. Była prawie pewna, że to ten sam człowiek, z którym rozmawiała wczoraj wieczorem.

– Mam rezerwację domku Modrzew.

– Chwileczkę... A, pani Wilczek. – Facet jakby lekko się ożywił. – Domek jest gotowy, można przyjeżdżać.

– Ale ja już jestem na miejscu. Stoję pod recepcją.

– Jak to: na miejscu? – Facet nie ukrywał zdziwienia. – Ale mnie tam nie ma.

– Zauważyłam. Dlatego dzwonię – odpowiedziała, siląc się na spokojny ton, choć była już mocno zmęczona i poirytowana.

– Jakby pani wcześniej dała znać, że dzisiaj przyjeżdża, to bym czekał w recepcji. A tak to jaki sens tam siedzieć, kiedy żywej duszy w ośrodku nie ma? Jest listopad.

- Racja, mogłam zadzwonić. Tyle że nie zostałam poinformowana o kwestiach organizacyjnych mojego pobytu. - Sara nie spodziewała się czerwonego dywanu, ale rozmówca mógłby być nieco bardziej przyjemny. Nie zdziwiłaby się, gdyby facet kazał jej poszukać klucza pod wycieraczką i dać mu święty spokój. Jednak nie dawała za wygraną. - To jak będzie? Przyjedzie pan?

- Ano przyjadę, pewnie, jak mus, to mus. Mieszkam niedaleko, po drugiej stronie jeziora. Tylko akurat... samochód mam niesprawny. - Zaklął pod nosem i zawiesił się na chwilę. Sara cierpliwie czekała. - Na szczęście mam jeszcze rower, lasem to z dziesięć minut zejdzie. Pani czeka, już wychodzę.

- Dziękuję. Czekam - potwierdziła.

Facet był wkurzający, mimo to Sara poczuła coś w rodzaju wyrzutów sumienia, wyciągając go z domu w niedzielę, i to w taką pogodę, zwłaszcza że musiał jechać rowerem przez mokry las.

„Cóż, taka praca. Każdy niesie swój krzyż” - skonstatowała chwilę później, jakby chciała zdjąć z siebie odpowiedzialność za trud męczyzny, a potem do głowy zaczęły jej przychodzić różne sytuacje związane z czynnościami policji, te niewygodne, stresujące, a często nawet straszne.

Ostrożnie zeszła ze śliskich schodków, po czym schroniła się przed slotą w swojej micrze.

5.

Ireneusz Woźniak jechał niepewnie, krzywym slalomem. Sara obserwowała go w bocznym lusterku swojego samochodu. Wyszła z auta dopiero, gdy się zatrzymał i zsiadł z roweru. Mżawka nie ustawała, a ona nie chciała niepotrzebnie moknąć. Czuła, że coś ją bierze na dobre.

– Witam – rzucił Woźniak i niechłujnym gestem uchylił lśniący milionem mikroskopijnych kropelek filcowy kaszkiet. Mężczyzna na oko po sześćdziesiątce miał pooraną zmarszczkami, pożółkłą twarz. Ton jego zachrypniętego głosu nie był już tak nieprzyjemny, jak podczas rozmowy telefonicznej, choć nadal sprawiał wrażenie lekko zniechęconego. Sara po raz kolejny się przekonała, jak nieprzyjemni potrafią być ludzie, kiedy nie muszą patrzeć drugiej osobie w oczy. Przy konfrontacji twarzą w twarz pewność siebie i arogancja zwykle zostają schowane do kieszeni. W każdym razie, nawet po tej drobnej przemianie, wciąż było w mężczyźnie coś, co nie wzbudzało sympatii. Może to, że unikał kontaktu wzrokowego? – Pojazd można zostawić na razie tu, na parkingu. A potem, jak będzie pani chciała, to sobie przestawi bliżej domku, chociaż tam niewiele miejsca jest na parkowanie i grząski teren. Jak mocniej popada, zakopać się można.

– Dobrze, zostawię auto. Tylko wezmę bagaż. – Sara zgodziła się bez wahania. Chciała mieć formalności jak najszybciej za sobą.

Marzyła, żeby schronić się pod dachem Modrzewia, otulić kocem i wypić ciepłą herbatę.

– Proszę. – Zbliżył się, prowadząc rower. Podał jej klucz. – Chodźmy, pokażę pani, gdzie to jest.

Sierżant Wilczek wyciągnęła z bagażnika dużą walizkę na kółkach i ruszyła za Woźniakiem, od którego wyczuwała delikatną woń alkoholu i przepoconego ubrania. Facet szedł okrakiem, lekko kołysząc się na boki, jakby kości jego miednicy dawno nie miały styczności z rowerowym siodełkiem.

– Jak podróż? Chyba niezbyt przyjemnie się jechało, co? Po tej wichurze drogi jeszcze nie do końca uprzątnięte. Pani z Rzeszowa? – zagadnął Woźniak, uważnie patrząc pod nogi.

– Nie, z Ogrodzieńca.

– Pierwsze słyszę. Gdzie to leży?

– W połowie drogi między Krakowem a Częstochową. Brama wjazdowa do ośrodka zawsze jest otwarta? – Zmieniła temat, żeby uniknąć dalszych pytań krążących wokół jej osoby.

– Na noc tylko zamykam.

– Nie boicie się kradzieży albo wandalii?

– Pani szanowna, tutaj spokojna okolica jest. Nie pamiętam, żeby coś podobnego się wydarzyło. A poza sezonem to już w ogóle. Do tego kamerę mamy przy bramie. Jakby ktoś wtargnął i coś ukradł, to by się nagrało. A jak złodziej sprytny, to i tak wlezie przez płot, od lasu się zaczai. Musiałbym nic nie robić, tylko stróżować w dzień i noc. Zresztą tu nie ma czego kraść.

– Twierdzi pan, że domki są tak marnie wyposażone?

– A tam, od razu marnie. Odremontowane były niedawno z jakichś unijnych funduszy. Nawet kominki pomontowali, nie wiem,

po jaką cholere, bo przecieź tu ludzie głównie latem przyjeźdźają. Niektóre domki są wykupione na własność, przeważnie te przy brzegu, z pomostami. Nie mam do nich kluczy, ale w środku pewnie niczym szczególnym się nie różnią od pozostałych. Nikt nie robi luksusów na takim odludziu. Ot, miejscówka na kilka wakacyjnych dni. Dziko jest, spokojnie, wypocząć można z dala od miasta.

Sara przytaknęła, choć Woźniak nie mógł tego zauważyć, bo ciągle wyprzedzał ją o pół kroku. Kiedy dotarli w okolicę plaży, zatrzymał się nagle i zaczął nasłuchiwać. Bez słowa uniósł do góry rękę, jakby tym gestem chciał przekazać, że zaraz wróci. Odgiął stopą nóżkę roweru i oparł na niej jednośląd. Wszedł na główny pomost, a potem wychylił się nieznacznie w kierunku przycumowanych do niego łodzi. Wyglądał, jakby czegoś między nimi wypatrywał.

Sara niechętnie przeszła przez pasmo brudnego piasku poprzetykanego gdzieniegdzie kępkami traw, żeby znaleźć się bliżej pomostu. Podeszwy jej butów grzęzły w zawilgoconym podłożu.

– Co pan robi? – spytała.

Mężczyzna jeszcze przez chwilę stał w tej samej nasłuchującej pozie, ale potem machnął ręką i wrócił do Sary.

– Fałszywy alarm. Usłyszałem stukanie. Czasem tu podpływają łabędzie albo kaczki. Potrafi takie ptaszysko utknąć między łódką a pomostem. Łatwo się o linę zaplątać – wyjaśnił. – I trzepocze się to potem bezradnie, ratować trzeba. Kiedyś jedną uwolniłem. Podziobała mnie cholera, ale ja zwierzęciu nigdy pomocy nie odmówię.

– Te łodzie są własnością ośrodka?

– Eee. – Pokręcił głową. – Tylko ta jedna, taka zaniedbana, widzi pani? Chyba o niej zapomnieli albo spisali ją na straty. Lato czy zima, tłucze się o pomost. Zgłaszałem, żeby ją wreszcie zabrali, ale nikt się tym nie interesuje.

Rzeczywiście, łódka znajdująca się najbliżej brzegu wyglądała na starą i zniszczoną. Przykrywała ją płachta z nieprzemakalnego materiału, na którym gruba warstwa butwiejących liści, mchu i naniesionej wiatrem ziemi zaczęła już tworzyć swój własny ekosystem.

– A reszta łodzi? Do kogo należą? – spytała policjantka.

– Do wędkarzy. Chłopaki płacą jakieś grosze za to, że mogą cumować na terenie ośrodka, i korzystają z tego aż do późnej jesieni – powiedział mężczyzna, po czym chwycił za kierownicę roweru i ruszył przed siebie.

– Ktoś łowi ryby w taki ziąb? – Sara wzdrygnęła się na myśl, że miałyby teraz wypłynąć na środek jeziora i przez kilka godzin siedzieć bez ruchu oblepiona zimną mżawką.

– O, pani, to są zapaleńcy. – Machnął ręką i zaśmiał się rześczo. – Jakby im baby pozwalały, to by spali w tych łodziach. Ja też lubię sobie kija pomoczyć, ale to tak raczej w celach towarzyskich. Jakiegoś drinka wypić, porozmawiać. Ale nie oceniam, każdy ma swojego bzika.

– Pan sam się opiekuje tym miejscem? – spytała Sara, gdy zbliżali się do pierwszego z domków o nazwie Jodła. Nie mieściło się jej w głowie, że tak duży teren mógł ogarniać jeden człowiek, nawet kiedy w ośrodku nie było gości. Letniaków było sporo, poza tym umiejscowiono je na dość rozległym obszarze. Niektóre znajdowały się nad samą wodą, inne osadzono znacznie głębiej, między rzadko

rosnącymi drzewami. Sara nie umiała rozgryźć, czym kierował się architekt, gdy planował strukturę ośrodka. Nie widziała w tym grama logiki. Domki zdawały się rozsiane losowo, a jedyne, co stanowiło ich wspólny mianownik, to nazwy pochodzące od gatunków drzew.

– Teraz sam, ale latem mam pomocników. Dorabiam sobie do renty. Bo ja leśnik jestem z dziada pradziada i pracowałbym aż do emerytury, ale to ciężka robota. A zdrowie już nie to, więc musiałem zrezygnować. – Sara przytaknęła, udając zainteresowanie. – Tylko, wie pani, ciągnie człowieka do lasu, do natury. Wysiedzieć w chałupie nie mogłem, to wziąłem tę fuchę i tak tu doglądam, kręcę się po okolicy. O, teraz, na ten przykład, wiało niemiłosiernie i sporo gałęzi pospadało. Niektóre dachy się pouszkadzały. Co mogę, to uprzatnę, resztę usterek muszę zgłosić do administracji i tyle. – W jego głosie czuć było irytację, może zmęczenie. Chyba nie do końca lubił swoje obowiązki, a jednocześnie wydawał się wdzięczny losowi za możliwość wykonywania jakiegokolwiek pracy. – Uniwersytet dużo nie płaci, ale zawsze to dodatkowy grosz. A pani to pewnie też z uczelni?

– Nie, niezupełnie – odpowiedziała wymijająco, po czym spojrzała na domek, przed którym się zatrzymali. Gdyby wiedziała, że znajduje się tak daleko od recepcji, podjechałaby jednak autem. Nad drzwiami przybito tabliczkę z graficznym symbolem drzewa i napisem „Modrzew”.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Woźniak i podał Sarze klucze. – Trzeba było brać bliżej wody. Tu tak ponuro, ciemno, drzewa dookoła.

- Wie pan, to nie do końca był mój wybór. - Wyjaśniła enigmatycznie, a mężczyzna przytaknął, choć w jego oczach nie dostrzegła zrozumienia. - Ale za to mam zewnętrzne rolety - powiedziała z udawanym entuzjazmem, patrząc na brązowe poprzeczne paski zakrywające okno.

- No tak. Po remoncie zamontowali, żeby lepiej zabezpieczyć domki. Tylko... - Woźniak zmieszał się nagle, patrząc na trzymane przez Sarę klucze - tu powinien być taki mały pilocik do nich. Zawsze jest przy kluczach, ale musiał mi się odzepić. - Zaczął przeszukiwać wszystkie kieszenie, a potem rozglądać się po ziemi pod własnymi nogami, lecz w końcu rozłożył ręce w geście bezsilności.

- To jak je teraz podniosę? - spytała Sara.

- Spokojnie. Ten pilot to tylko taki bajer. Zaraz przy wejściu na ścianie ma pani to całe ustrojstwo sterujące. To nic skomplikowanego. Dziecko by sobie poradziło. A drewno do kominka ma pani tam, pod daszkiem. - Wskazał miejsce trzęsącą się dłonią. - Ten większy klucz to od bramy, jakby chciała pani gdzieś jechać po dwudziestej, bo wtedy już będzie zamknięta.

- Dobrze, dziękuję.

- Jakby coś się działo albo czegoś było trzeba, to dzwonić do mnie. Najbliższy sklep jest w centrum Karczewa. Zjeść też można całkiem dobrze, zwłaszcza U Maryli, tak się bistro nazywa - dodał wyjaśniająco.

- A do tego centrum daleko? - spytała Sara.

- Ze cztery kilometry będą. Tylko uważać trzeba. To jest mało uczęszczana droga, ale wypadków na niej co niemiara. Wie pani, sporo ostrych zakrętów, wąsko i pobocza nie ma. Ludzie z

miasteczka przeważnie na ekspresową jadą, jak coś w Rzeszowie trzeba załatwić. A tą to tylko jak na Liny się ktoś wybiera albo do pracy, do oczyszczalni. Jak droga nie jest ruchliwa, to ludziska myślą, że są panami świata i się rozpędzają jak wariaty.

– Jest tu oczyszczalnia ścieków? – zaciekawiała się Sara.

– Całkiem niedaleko, w sąsiedniej wsi. To jeden z największych zakładów w okolicy. Dużo miejsc pracy, ale to śmierdząca robota, ja bym nie mógł. Do świeżego powietrza przywykłem. – Zaśmiał się świszcząco, a gdy dostrzegł, że rozmówczyni ma poważną minę, jego twarz znów przybrała wyraz kamiennej maski. – To ja już będę uciekał. Udanego wypoczynku.

– Chwileczkę. – Sara zatrzymała go jeszcze na moment. – Pan tu przyjmuje wszystkie rezerwacje?

– A gdzie tam. Mnie tylko informują z uczelni, że domek trza przygotować dla gości. Rzadko kiedy klient dzwoni bezpośrednio do mnie. Tym się zwykle zajmuje recepcja. Ale poza sezonem jest zamknięta na cztery spusty i wtedy ja odbieram telefony. Dotyczą raczej spraw porządkowych, rezerwacje o tej porze roku to rzadkość, co najwyżej znajomi wędkarze dzwonią, że chcą nocleg na weekend. Chociaż – zamyślił się i podrapał po policzku – wczoraj jakaś kobieta dzwoniła i pytała o domek, nawet ten sam, co dla pani był zarezerwowany, więc musiałem jej odmówić.

Sara udała zdziwienie, a potem postanowiła spytać o coś jeszcze.

– A pamięta pan, kto dzwonił z moją rezerwacją? To był mężczyzna? Przedstawił się?

Woźniak skupił się z trudem, drapiąc się po głowie przez mokrą czapkę.

- Na pewno ktoś z uczelni, ale... Wie pani, tak na mur-beton to nie pamiętam. Mam z tym kłopoty.

- Z czym?

- Z pamięcią. - Odkasznął w rękaw, chcąc zatuszować niepełną prawdę, a Sara skojarzyła amnezję Woźniaka z zapachem alkoholu, który wciąż od niego czuła.

- Nieważne, tak tylko zapytałam - zamknęła temat, a Woźniak tylko wzruszył ramionami. Potem wyprowadził rower na ubitą ścieżkę i wsiadł na niego nieporadnie.

- Udanego pobytu - rzucił, po czym ruszył, ledwo utrzymując równowagę.

- Dziękuję panu i do widzenia.

Sara weszła po schodkach na werandę, potem z ulgą przekręciła klucz i przekroczyła próg Modrzewia.

W środku panoszył się lekki zaduch. Najwyraźniej w zakres przygotowań lokum dla gości nie wchodziło wietrzenie pomieszczeń. Na ścianie przy wejściu, zgodnie z tym, co mówił Woźniak, tkwił panel sterowania roletami. Wcisnęła i przytrzymała przycisk ze strzałkami wskazującymi sufit, a już po chwili plastikowe zabezpieczenie powędrowało w górę, wpuszczając do środka dzienne światło. Otworzyła okno, ale już po chwili je zamknęła, żeby nie wpuścić zbyt wiele zimna i wilgoci, których miała serdecznie dość.

Postawiła walizkę przy ścianie i postanowiła się rozejrzeć. Nikt nie wyszedł jej na powitanie, więc zakładała, że jest w domku sama. Na wszelki wypadek podeszła do drzwi drugiego pokoju i niepewnie je popchnęła. Znalazła tam tylko dwa pojedyncze łóżka przylegające do przeciwległych ścian z nocną szafką ustawioną pomiędzy nimi.

Zajrzała jeszcze do łazienki. Włączyła światło i przeleciała wzrokiem po wyposażeniu. Nie było tak źle, jak z początku myślała. Woźniak nie kłamał, mówiąc, że domek niedawno był remontowany. Nie wyczuwała zapachu pleśni ani niesprawnej kanalizacji.

Wróciła do dużego pokoju i stanęła obok kanapy zwróconej frontem do kominka. Rozejrzała się. Dopiero teraz dostrzegła leżącą na stole kartkę. Serce zatrzepotało w jej piersi tak mocno, że poczuła je prawie pod samym gardłem. Podeszła do stołu i przeczytała nabazgraną znajomym pismem wiadomość: *Czekaj na dalsze instrukcje.*

- Ja pierdołę - powiedziała cicho. Ktoś sobie z nią ostro pogrywał i coraz bardziej skłaniała się ku myśli, że to wcale nie był Krzysiek. Ta idiotyczna gra w kotka i myszkę zupełnie do niego nie pasowała. Nie był święty, to fakt. Przekonała się o tym jeszcze w trakcie trwania ich związku, kiedy większość wspólnych chwil wypełniały kłótnie. Jednak zawsze mówił wprost, czego oczekuje i co myśli. Nie był typem manipulatora, oszusta czy emocjonalnej pijawki. Kiedy uznał, że ich związek nie ma szans na przetrwanie, po prostu się spakował i odszedł, co, owszem, było bolesne, ale też uczciwe.

Sara usiadła na kanapie i pozwoliła myślom swobodnie przelewać się przez głowę. Nie lubiła sytuacji, w których nie miała żadnej kontroli nad tym, co się zaraz wydarzy. Wiedziała, że beczynne czekanie doprowadzi ją do szaleństwa, jednak na ten moment nie pozostawało nic innego, jak mieć nadzieję, że ten, kto ją tu ściągnął, wkrótce się do niej odezwie. Pomyślała, że może przejdzie się po okolicy, rozejrzy. Tyle że pogoda nie zachęcała do wynurzania nosa z ogrzewanego domku, a ona nie miała sił, żeby

zmusić się do aktywności. Objawy przeziębienia coraz bardziej się nasilały.

Włączyła telewizor, który odbierał tylko podstawowe kanały. Żałowała, że nie zabrała ze sobą rozpoczętej książki. Pozostawał internet w komórce i skrolowanie śmiesznych filmików, które wbrew swemu przeznaczeniu powodowały dołujące myśli.

Próbowała znaleźć coś o Krzyśku, lecz nieliczne informacje sprowadzały się do oficjalnych wzmianek na temat jego osiągnięć jako naukowca oraz działacza społecznego na rzecz gminy Karczewo. Zastanawiała ją, dlaczego skupił swoją aktywność właśnie na tym terenie. Czy oprócz tego, że ośrodek Kormoran należał do jego Alma Mater, Wierzbicki był w jakiś sposób związany z tym miejscem?

Nie wiadomo, kiedy za oknem zrobiło się ciemno. Zmęczona poszukiwaniami Sara, wyłączyła przeglądarkę i odłożyła telefon na stół obok kanapy. Postanowiła, że przeczeka ten dzień, a jeśli nic się nie wydarzy, jutro z samego rana wybierze się do Karczewa po jakieś zakupy, a potem spróbuje namierzyć Krzyśka, dzwoniąc na uczelnię.

Nie miała siły, żeby się rozpakowywać. Łamało ją w kościach, więc wrzuciła zmiętą gazetę i kilka drew do paleniska, połała je stojącą na podłodze rozpałką i potarła zapałkę o draskę. Ogień powoli prześlizgiwał się po suchym papierze, a po chwili buchnął z mocą, obejmując kolejno wszystkie szczapy.

W pewnym momencie gdzieś w oddali odezwał się silnik samochodu. Dźwięk stawał się coraz głośniejszy, aż nagle całkiem ustał. Trzaśnięcie drzwiami spowodowało, że zamarła i nastawiła uszu, licząc na to, że wkrótce usłyszy kroki na werandzie, jednak nic takiego się nie wydarzyło. Podeszła do okna, z którego ledwo

widziała pnie rzadko rosnących drzew i niewyraźny zarys domku po przeciwnej stronie alejki. Wszystko ukryte było w gęstym mroku. Jedynie krótkie mignięcia światła, najpewniej z latarki przybysza, na moment przecinały ciemność. Kilka minut później znów usłyszała silnik i auto odjechało. Pomyślała, że to musiał być Woźniak, który przyjechał zamknąć bramę wjazdową ośrodka, a przy okazji przewencyjnie przeszedł się po pomoście.

Położyła się na kanapie i szczelnie owinęła kocem. Głowę oparła o przyniesioną z małej sypialni poduszkę, pod którą, na wszelki wypadek, wcisnęła broń. Myślała o Krzyśku i tajemnicy, która mogła zrujnować jej życie. Bardzo chciała mieć to już za sobą. Porozmawiać z nim i dać mu to, czego od niej oczekiwał, a potem wrócić do domu i żyć jak dawniej, we względnym spokoju. Jednak w tym momencie nie mogła nic zrobić. Pozostawało jej bierne czekanie.

Jeszcze przez chwilę patrzyła na języki płomieni wgryzające się w drewniane polana. Z każdą sekundą jej powieki robiły się cięższe, a gdy je zamknęła, poczuła senność, wobec której nie potrafiła stawić oporu. Odplynęła.

6.

Poranek przywitał ją bladą smugą światła sączącą się przez firankę. Zeszłego wieczoru była tak zmęczona, że niespodziewanie zasnęła przed kominkiem, nie zaciągając wcześniej rolet. Przeszedł ją nagły dreszcz i złość na samą siebie za brak ostrożności. Przecież ten, kto ją tu ściągnął, mógł w każdej chwili się pojawić, stanąć przy oknie i ją obserwować, a nawet wybić szybę i wejść do środka. Nawet broń, którą trzymała w pobliżu, mogłaby w takiej sytuacji okazać się niewystarczająca.

Nie miała sił, by wstać z kanapy. Bolały ją mięśnie, a ból głowy przy każdym ruchu zniechęcał do aktywnego rozpoczęcia dnia. Jakby tego było mało, wciąż leżący na stole list, który wczoraj wielokrotnie czytała tak, że znała już jego treść na pamięć, boleśnie przypominał o wiszącym nad nią zagrożeniu. Znalazła się w zupełnie obcym miejscu przez ten jeden głupi skrawek papieru. Jak do tego doszło? W głowie wciąż miała jedynie pustkę. I nie tylko w głowie. Pustka dosłownie ją otaczała, wypełniała nieznośną ciszą domek, cały ośrodek o dźwięcznej nazwie Kormoran i hektary pobliskiego lasu.

Przeciągnęła się, po czym wychynęła spod kołdry, lądując stopami w zimnych klapkach. Jak zwykle zignorowała pierwszy głód. Wiedziała, że w końcu minie. Wypiła tylko kawę instant, połknęła aspirynę i czekała.

Na co? Tego do końca nie wiedziała.

Po porannej toalecie głód się nasilił, lecz gdy sprawdziła palcem sprężystość przywiezionego z domu chleba, postanowiła, że wytrzyma jeszcze do dziesiątej i zje coś w Karczewie. A przede wszystkim napije się dobrej kawy z ekspresu w jakiejś małej miejscowej kawiarence. Miała dość beczynnego czekania na tym odludziu.

Ubrała się w czerwoną puchówkę, związała włosy w kucyk i już po chwili zamykała domek na klucz. Na zewnątrz było rześko, może nawet mroźno. Nie miała w zwyczaju zakładać czapki, jednak w tym momencie marzyła o kawałku materiału, który odizolowałby jej uszy od kłującego zimna. Wydychane przez Sarę powietrze tworzyło małe obłoki mgły.

Poprzedniego dnia zostawiła samochód przy bramie wjazdowej, więc, chcąc nie chcąc, musiała się do niego przespacerować. Pomyślała, że dobrze jej to zrobi i, zamiast iść najkrótszą ścieżką ciągnącą się między drzewami, ruszyła skarżą w dół, w stronę jeziora.

Przystanąła niedaleko pomostu, żeby nacieszyć oko widokami. Gęsta mgła unosząca się nad wodą ukryła drugi brzeg w mlecznej nicości, gdzieś w oddali majaczyła jedynie niewielka wysepka i dało się dostrzec wierzchołki rosnących na niej wysokich drzew.

Sara stała u stóp jeziora, patrząc w przestrzeń przed sobą jak urzeczona. Było tak spokojnie, tak pięknie. Głucha cisza zdawała się ją pochłaniać. Nie skrzeczały ptaki, nie szumiały gałęzie. Nawet łodzie, które jeszcze wczoraj obijały się o przymocowane do drewnianej konstrukcji opony, teraz pozostawały zupełnie nieruchome. Krajobraz był cudowny, ale jednocześnie przerażał surowością. Sara pomyślała, że w swojej czerwonej kurtce zupełnie

od niego odstaje. Znajdując się pośrodku całej tej szarości, zgniłej zieleni i bladego błękitu jeziora, była intruzem, ciałem obcym, które swoją obecnością zaburzało poranny rytuał budzącej się do życia natury.

Mimo to stała w bezruchu, próbując zjednoczyć się ze wszystkim, co ją otaczało. Było jej dobrze. Ból głowy minął, a ona pierwszy raz od dłuższego czasu nie czuła żalu, tak jakby spokój tego miejsca wniknął też do jej duszy. Zaczęła się zastanawiać, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby żyła Eliza albo gdyby przynajmniej o wiele wcześniej znaleziono jej ciało. Czy Sara wpadłaby wtedy w zaburzenia odżywiania, które wiele lat później stały się jedną z przyczyn rozpadu jej związku z Krzyśkiem? I czy popełniłaby ten sam głupi błąd, przez który jest teraz szantażowana?

Nie umiała znaleźć odpowiedzi. Wzięła głęboki wdech, a jej płuca wypełniły się ostrym, krystalicznie czystym powietrzem, które zatrzymała na kilka sekund, zanim zrobiła długi wydech.

Nagle usłyszała trzask, którego źródło trudno było zlokalizować. Wystraszona, że ktoś ją obserwuje, spojrzała na lewo, w stronę najbliższego letniaka. Nikogo tam nie było. Pomyślała, że to spadająca szyszka, która musiała odbić się od dachu. Odwróciła się czym prędzej i ruszyła w kierunku głównej bramy.

Widząc już z daleka seledynowego nissana, uspokoiła się nieco. Auto posłusznie czekało, żeby zawieźć ją w bardziej cywilizowane miejsce. Otrzepała trapery z przyklejonej do nich mokrej ściółki, wsiadła i odpaliła silnik. Przejechała kilkadziesiąt metrów po betonowych płytach, potem toczyła się kawałek po nierównej leśnej ścieżce, aż w końcu wyjechała na asfaltową drogę prowadzącą do Karczewa.

Rzadka mgła wciąż wisiała nad ziemią, otulając pnie drzew po obu stronach szosy niczym rozciągnięta wata cukrowa. Kiedy droga zaczęła wić się jak serpentyna, Sara zwolniła do czterdziestki i toczyła się w żółtym tempie, mając nadzieję, że miasteczko jest już blisko.

Jednak tuż przed kolejnym ostrym zakrętem dostrzegła migające niebieskie światła i leżący na asfalcie znak, jaki policja zwyczajowo ustawiała po wypadku, żeby ostrzec innych kierowców o utrudnieniach w związku ze zdarzeniem. Tuż za znakiem prężył się policjant, który swoją postawą dawał sygnał, że Sara powinna się zatrzymać.

Sierżant Wilczek podjechała do niego ostrożnie, opuściła szybę i lekko wychyliwszy głowę, zwróciła się do funkcjonariusza:

– Dzień dobry. Droga zamknięta? – spytała, mimo że знаła odpowiedź.

– Jak widać. Pani jedzie do Karczewa?

– Tak.

– To proszę zawrócić i kierować się na drogę ekspresową. Do miasta można obecnie wjechać tylko od strony Chociewic.

Sara podziękowała i posłusznie zawróciła, ale nie odjechała daleko. Zatrzymała samochód tuż za zakrętem obok wysłużonej i brudnej terenówki, której kierowca wykorzystał niewielkie pobocze, żeby zaparkować. Potem wysiadła i wróciła do policjanta strzegącego zamkniętej drogi.

– A co tu się stało? – dopytywała.

– To znowu pani? Nie mogę udzielać informacji postronnym osobom. Pani z gazety czy jak?

- Jestem policjantką. - Z kieszeni kurtki wyciągnęła legitymację.
- Sierżant Sara Wilczek. Pomyślałam, że mogłabym jakoś pomóc.

Gliniarz spojrzał na dokument, a potem na Sarę.

- Chyba starsza sierżant?

- Słucham? A tak. Niedawny awans, ciężko się przyzwyczaić.

- Aspirant Szwarc-Dołęga. - Gliniarz spuścił z tonu. - Mamy śmiertelny wypadek. Wszystkie służby są na miejscu, więc...

Zawiesił głos i wymownie spojrzał na koleżankę po fachu, dając jej do zrozumienia, że nic tu po niej.

- Ile ofiar? - Sara kontynuowała indagację.

- Tylko kierowca, jechał sam. A pani w Karczewie służbowo?

- Nie, rekreacyjnie. Macie tu piękne jeziora - palnęła, czując, że aspirant nie do końca uwierzył w powód jej wizyty. - Pewnie przekroczył prędkość? - Znow podjęła temat wypadku, zaglądając przez radiowóz ustawiony w poprzek drogi. Jedyne, co zobaczyła, to całą flotę służbowych samochodów. Ludzie uwijali się wokół rozbitego pojazdu, prawie całkowicie go zasłaniając tak, że biały lakier auta tylko co jakiś czas migał jej przed oczami.

- Przekroczył, a jakże. I to sporo, inaczej by nie dachował. Audi A6. Wie pani, taka fura daje możliwości. Ale łatwo przeszarżować, zwłaszcza na tym odcinku i w takich warunkach. Co chwilę mamy tu jakiś wypadek.

- Śliska nawierzchnia i diabelskie zakręty? - Przypomniała sobie słowa Woźniaka.

- Oby tylko. Takie auto ma pełno systemów bezpieczeństwa, absy, bazy i inne gówna. Ale jak na drogę wyskoczy takie bydlę, to Święty Boże nie pomoże.

Mówiąc to, wskazał ręką na leżące na szosie kilkanaście metrów od roztrzaskanego audi zwierzę, przy którym znajdowało się dwóch mężczyzn. Jeden miał ręce założone na krzyż i z niedowierzaniem kręcił głową, a drugi pochylał się nad bestią, z uwagą przykładając dłoń w niebieskiej rękawiczce do jej karku. Mężczyźni zacięcie dyskutowali, a może nawet się kłócili.

– Czy to dzik? – Sara chciała się upewnić, choć korpulentna budowa ciała zwierzęcia dawała niemal jednoznaczną odpowiedź.

– Ta – rzucił policjant i splunął na asfalt. – Wielka sztuka, samiec alfa, psia jego mać. Tylko, tak na moje oko, coś tu jest nie tak.

– Dlaczego? – Sara przeniosła zaciekawione spojrzenie na rozmówcę.

– Bo ja wiem? – Szwarz-Dołęga zawahał się, jakby nagle zwątpił w swoje przypuszczenia. – Wydaje mi się, że jakby auto pierdolnęło w dzika, to by raczej nie dachowało, tylko zatrzymało się na nim.

Sara spróbowała sobie wyobrazić tę sytuację. Chwilę później zwróciła się do mundurowego:

– Chyba że kierowca wcześniej zauważył przeszkodę, zaczął hamować, wpadł w poślizg i uderzył w zwierzę bokiem, a potem nad nim przeleciał.

Młodszy rangą kolega przez chwilę gapił się na nią, odtwarzając w głowie obraz podsunięty przez panią sierżant. Ale chyba nie do końca był przekonany do takiej wersji wydarzeń. A może zwyczajnie głupio mu było przyznać, że kobieta może mieć rację.

– Może i tak, nigdy nie byłem dobry z fizyki. – Wzruszył ramionami, jakby poczuł się urażony, że sam na to nie wpadł. Odwrócił twarz w stronę rozbitego auta, dając do zrozumienia, że zakończył rozmowę.

Sara znów miała to niewytłumaczalne przecucie, że nie powinna opuszczać centrum wydarzeń. Nie wiedziała dlaczego, po prostu czuła wibracje, które przyciągały ją do tego wypadku jak magnes. Tak jak wtedy, gdy zaginęła Majka Leśniewicz, a intuicja podpowiedziała policjantce, w którym miejscu jej szukać. Jednocześnie aspirant Szwarz-Dołęga wydawał się nieugięty, więc pomyślała, że nie pozostanie jej nic innego, jak się wycofać i grzecznie udać do Karczewa inną drogą.

Sytuacja diametralnie się zmieniła, kiedy jakby znikąd nadjechała nagle srebrna honda, zatrzymując się z piskiem opon tuż przed samym znakiem zakazu. Aspirant zerwał się z miejsca i podbiegł do pojazdu, dmuchając w gwizdek oraz namiętnie gestykując. Następnie wdał się z kierowcą hondy w zacieklą dyskusję, bo ten najwyraźniej miał w poważaniu tragiczne zdarzenie, chcąc jak najszybciej dostać się do miasteczka.

Sara wykorzystała moment nieuwagi, żeby przemknąć za radiowozem i ruszyć skrajem lasu w kierunku rozbitego auta. Szła powoli, żeby nie rzucać się w oczy, choć miała wrażenie, że nawet gdyby wyskoczyła na środek jezdni i zatańczyła kankana, nikt nie zwróciłby na nią uwagi. Każdy uczestnik interwencji miał swoje zadanie do wykonania i był nim całkowicie pochłonięty.

Niebieskie światło koguta kładło się pulsującym rytmem na przydrożne sosny, a kilka metrów dalej Sara ujrzała białego sedana, który leżał kołami do góry, oparty bokiem o drzewo. Otaczała go grupa strażaków, a parę metrów dalej czekała już karetka i sanitariusze z noszami.

Z ciekawością obserwowała pracę mężczyzn, którzy właśnie rozcinali pogiętą blachę. Przez wszystkie lata służby naoglądała się

wielu rzeczy, ale nigdy nie była świadkiem śmiertelnego wypadku drogowego. Kiedy ratownikom wreszcie udało się odgiąć drzwi, Sarze mignął przed oczami obraz ofiary. Mężczyzna wyglądał nierealnie, jak manekin, którego ktoś na siłę poskładał i wcisnął do podręcznej walizki. Biorąc pod uwagę ułożenie ciała, podejrzewała, że kierowca w czasie jazdy nie korzystał z pasów bezpieczeństwa. Jasną koszulę denata plamiły wykwity żywej czerwieni, która jeszcze tego ranka krążyła w jego żyłach.

Sierżant Wilczek tylko tyle zdążyła zanotować w pamięci, zanim poczuła nagłą wiotkość kolan, a kiedy jej żołądek znalazł się na wysokości przetyku, szybko odwróciła wzrok. Nie spodziewała się po sobie takiej reakcji. Była odporna na widok krwi, zwłok, na okropne zapachy, które dla innych były nie do zniesienia. Kiedyś uczestniczyła w interwencji, gdzie wyciągała z meliny zaniechanego i zagłodzonego psa. Fetor rozmazanych po podłodze gnijących już resztek jedzenia i odchodów nie był w stanie jej powstrzymać, żeby jak najprędzej wydostać zwierzę z piekła. Adrenalina i wściekłość na wyrodnym opiekunów robiła swoje. Innym razem wiozła na pogotowie nastolatka, który po nieudanej próbie kradzieży, skacząc przez płot, rozszarpał sobie udo. Z jego nogi zwisał płat mięsa, z tętnicy sikała krew, ale ona wiedziała, że musi szybko działać, bo od tego zależało życie chłopaka. Zrobiła opatrunek uciskowy i, nie czekając na karetkę, dostarczyła wrzeszczącego z bólu młodego złodzieja na ostry dyżur.

Ale to, co zobaczyła teraz, całkowicie ją przerosło.

Odwróciła się i spojrzała na korony drzew po przeciwnej stronie ulicy, licząc na to, że zieleń nielicznych igieł uspokoi jej układ nerwowy. Podparła się pod boki i wzięła głęboki wdech. Gdy

poczuła, że jej narządy wewnętrzne wracają na swoje miejsce, opuściła głowę i zatrzymała wzrok na dwóch mężczyznach stojących nad martwym dzikiem, którzy wciąż ze sobą dyskutowali. Jeden z nich, łysy brodacz o łagodnym spojrzeniu, zdawał się oazą spokoju i opanowania, za to drugi przestępował z nogi na nogę, wymachując dłonią uzbrojoną w papierosa. Sara podeszła jeszcze kawałek, żeby usłyszeć, o czym mówią.

Brodacz, który wcześniej pochylał się nad zwierzęciem, teraz się wyprostował i zdecydowanym ruchem ściągnął lateksowe rękawiczki.

- Wojtek, co ty odpierdalasz? - spytał drugi, odpalając kolejnego papierosa. - Pobrałeś próbki, zabieram bydlaka do utylizacji i po sprawie. Po co komplikujesz?

- Już mówiłem - odrzekł tamten stanowczym tonem. - Zawieziesz dzika do mnie, a po badaniu będziesz mógł go zabrać. Dam ci znać.

- A kto mi zapłaci za dodatkowy przejazd, do cholery? Czeka mnie teraz cała jebana papierologia, żeby dostać kasę od gminy za podwójną usługę.

- Przykro mi, stary, to już nie moja sprawa. Mam pozwolenie na sekcję od Pałuckiego. Gadaj z nim.

Sara przystanąła w pewnej odległości, żeby nie przeszkadzać w rozmowie. Zerknęła na potężną masę porośniętą gęstą brązową szczecią. Zwierzę wyglądało na mocno pogruchotane, brakowało mu też kawałka tylnej kończyny. Zgadywała, że znajduje się ona w którymś z pojemników nazwanych przez jednego z mężczyzn „próbkami”.

Podburzony facet rzucił fajkę na asfalt i odszedł bez pożegnania, za to z finalnym przekleństwem na ustach. Starsza sierżant podeszła do brodacza, który najwyraźniej zakończył już czynności zabezpieczające i powoli zaczął się zbierać.

– Stracił kończynę podczas zderzenia? – zagadnęła znienacka, wywołując u mężczyzny chwilową konsternację.

– Nie. Pobierałem wycinki do badania. Normalna procedura w przypadku dzików. Pani z policji? – odparł i zdawkowo rzucił na nią okiem, zamykając torbę z narzędziami. Wyraźnie się spieszył.

– Tak. Ale nie służbowo, po prostu przejeżdżałam. – Zaczęła się zastanawiać, czy fakt, że jest policjantką, wyczytał z jej twarzy albo postawy, czy też była to konsekwencja sytuacji, w jakiej oboje się znaleźli. – Pan jest weterynarzem?

Nie odpowiedział. Wyprostował się tylko i spojrzał na nią z irytacją.

– Biedny zwierzak – ciągnęła Sara niezrażona zachowaniem mężczyzny.

– Niestety, to się zdarza dość często. Chociaż akurat ten osobnik zginął prawdopodobnie podczas innego wypadku.

– Jak to? – zdziwiła się Sara.

– Na moje oko nie żyje co najmniej od dwóch, trzech tygodni. Ciężko dokładnie powiedzieć, bo przymrozki prawdopodobnie opóźniły proces rozkładu. Przepraszam, spieszę się.

– Oczywiście. Nie chciałam pana zatrzymywać, na pewno ma pan dużo pracy.

Mężczyzna przystanął w bezruchu, przenosząc całą swoją uwagę na Sarę, i po raz pierwszy spojrzał jej prosto w oczy. Miał coś magnetycznego w tym spojrzeniu, aż poczuła pewien rodzaj smutku,

a może tęsknoty za czymś, czego nigdy nie było jej dane doświadczyć.

– Jest pani zielona.

– Słucham? – spytała zdezorientowana.

– Dobrze się pani czuje?

– A tak, nic mi nie jest, dziękuję.

Oblicze brodacza złagodniało, a nawet zaczęło wykazywać przebłysk sympatii. Jednak po chwili mężczyzna się odwrócił i odszedł, zostawiając zmieszaną policjantkę w towarzystwie martwego dzika. Zatrzymał się kilka metrów dalej, przy facecie w czarnej zamszowej kurtce, który z rękoma w kieszeniach i kwaśną miną obserwował, jak jeden z sanitariuszy zaciąga błyskawiczny zamek biegnący wzdłuż zwłok. Sara zdążyła spojrzeć na twarz denata, zanim ta zatoneła w ciemnościach worka.

Nagłe ukłucie w mostku odebrało jej dech. W pierwszej chwili pomyślała, że to, co widzi, jest tylko wytworem jej skołowanego umysłu. Musiała to sprawdzić. Na miękkich nogach, nie zważając na okrzyki policjantów, ruszyła w kierunku noszy, które już powoli toczyły się w stronę otwartych drzwi ambulansu. Minęła faceta w zamszowej kurtce i stojącego obok weterynarza.

– Stop. Zaczekajcie! – krzyknęła, a zdziwieni sanitariusze przystanęli jak na komendę.

– Halo! – krzyknął mężczyzna stojący obok brodacza. – A pani dokąd? Proszę się zatrzymać!

– Ja... chyba znam ofiarę – powiedziała słabo, nie odrywając wzroku od wypukłości ukrytego w worku ciała. – Proszę pozwolić mi go zobaczyć.

- Pani uczestniczyła w tym wypadku? Jest pani ranna? - spytał facet w zamszu, a Sara dopiero po chwili poczuła, że trzyma ją za rękaw.

- Jestem policjantką. - Jej uwaga na chwilę oderwała się od ofiary. Sięgnęła do kieszeni kurtki i drżącą dłonią pomachała mężczyźnie przed nosem policyjną legitymacją.

- Wspaniale. A ja jestem prokuratorem i sprawuję nadzór nad czynnościami w związku ze zdarzeniem drogowym. Zbigniew Pałucki. - Wypowiadał słowa głośno i wyraźnie. - Proszę się uspokoić i odpowiedzieć na moje pytanie. Czy uczestniczyła pani w tym wypadku?

- Nie - powiedziała już nieco spokojniej, choć wciąż drżał jej głos. - Wie pan, kto to jest? - Wskazała skinieniem na przykryte folią ciało.

Prokurator zaprzeczył ruchem głowy.

- Domyślamy się, ale to jeszcze niepotwierdzone. Nie znaleźliśmy żadnych dokumentów potwierdzających tożsamość.

- Więc pozwólcie mi go zidentyfikować.

Sara zawiesiła wyczekujący wzrok na mężczyźnie, a ten po chwili namysłu dał znak sanitariuszowi i z powrotem schował dłonie w kieszeniach.

Podeszła do noszy. Człowiek w kombinezonie rozpiął zamek worka. Wystarczyło jej jedno spojrzenie, choć poturbowana twarz jawiła się jedynie jako nieudany woskowy odlew oblicza człowieka, który kiedyś był jej bardzo bliski.

- I jak? Zna go pani? - spytał prokurator, który nagle znalazł się tuż za jej plecami.

- To Krzysztof Wierzbicki. Mój były mąż - wyartykułowała jednym tchem, a słowa zdawały się nie wychodzić z jej ust, lecz dobiegać gdzieś z zewnątrz. Brzmiały obco i niedorzecznie, zwłaszcza w odniesieniu do zaistniałych okoliczności: dziwnego szantażu powiązanego z tajemnicą sprzed lat oraz jej obecności na tym odludziu.

Nie słyszała już, co mówi Pałucki. W głowie Sary wybrzmiewała tylko jedna myśl: „Co teraz?”.

7.

Po powrocie do Kormorana od razu weszła do łóżka. Nie miała siły nawet się umyć. Przeleżała resztę dnia, wpatrując się w boazerię obcego pokoju, a przed oczami miała tylko jeden makabryczny obraz – pobocze drogi, roztrzaskane auto i martwe ciało Krzysztofa.

Myśli tłukły się po jej głowie, ale ćmy już nie drapały ścianek żołądka. Sara wpadła w tryb zadaniowy. Uczucia odstawiła na drugi plan, teraz liczyło się tylko rozwiązanie zagadki. Zastanawiała się, czy Krzysiek przeczuwał, że jego życie jest zagrożone i czy tego feralnego ranka jechał się z nią spotkać. Z treści wiadomości wynikało, że miał nóż na gardle, jakby śmierć pochylała się już nad nim i chuchała chłodem prosto w kark. Po dacie stempla Sara wywnioskowała, że list szedł do niej około tygodnia. W pewnym momencie zaczęła zrzucać odpowiedzialność na pocztę, a potem na Barana, u którego koperta przeleżała kolejne dwa albo trzy dni. Może gdyby dostała wiadomość wcześniej i przyjechała do Karczewa jeszcze przed Świętem Zmarłych, sprawy potoczyłyby się całkiem inaczej.

Ostatecznie stwierdziła, że takie myślenie do niczego nie prowadzi. Ludzie zawsze szukają alternatywnych dróg w równoległych wymiarach, tymczasem życie toczy się liniowo i możemy decydować wyłącznie o tym, co jest tu i teraz. Jedyne, co mogła zrobić, to zostać w Karczewie i odnaleźć rodzinę Krzysztofa,

bo zakładała, że jakąś miał. Jego rodziców pamiętała jak przez mgłę, bardziej matkę niż ojca. Miała z nią nie najlepsze relacje.

Późnym wieczorem Sarze w końcu udało się zasnąć, ale wielokrotnie się budziła. Była rozpalona i momentami nie mogła skojarzyć, gdzie się znajduje. Podobnie jak pierwszego dnia położyła się w pokoju dziennym, bo wąska sypialnia przyprawiała ją o klaustrofobiczne lęki. Po każdym przebudzeniu przekręcała się na niezbyt wygodnej kanapie na drugi bok, po czym bardzo szybko powracała do stanu sennej półświadomości. Stale wracały też te same dręczące obrazy z wypadku Krzysztofa. Nie potrafiła od nich uciec. Roztrzaskany samochód, truchło dzika, a przede wszystkim zmasakrowane ciało człowieka, który kiedyś, przez bardzo krótką chwilę, był dla niej całym światem.

Nagle leśny krajobraz zniknął, a sen przeniósł ją w zupełnie inne miejsce.

Biegła chodnikiem, który zdawał się zapadać pod każdym kolejnym krokiem. Mężczyzna, którego goniła, zniknął co chwilę za jakimś budynkiem. Ona jednak nie odpuszczała. Wciąż deptała mu po piętach. Była szybsza i sprytniejsza od swoich kolegów. Tak bardzo chciała go dogonić, udowodnić, że jest właściwą osobą na właściwym miejscu. Bo nie sprawdziła się jako siostra, córka ani żona. Jej życie prywatne sypało się jak tynk ze starego budynku, ale praca... W pracy musiała dawać z siebie sto procent.

Nie mogła pozwolić, by uciekł. Uniosła broń, chciała go tylko ostrzec. Ale on upadł. Przewrócił się i wił z bólu po rozgrzanym chodniku. A potem przestał się ruszać. Ona też się przewróciła. Nie miała sił. Doczołgała się do niego i przyłożyła rękę do jego szyi. Nie wyczuła pulsu.

Nagle mężczyzna się ocknął, chwycił jej dłoń i pociągnął Sarę do siebie. Był blady jak prześcieradło, a z jego pociętych policzków sączyła się krew. To był Krzysztof. Trzymał Sarę w silnym uścisku i patrzył jej prosto w oczy. Czowała smród rozkładającego się ciała.

– To przez ciebie. To ty mnie zabiłaś. Nie wywiniesz się, Sarenko!

Sara krzyknęła i usiadła na kanapie zlane potem. Opuściła nogi na drewnianą podłogę, po czym schowała głowę we własnych dłoniach. Gdy nieco ochłonęła, wstała i podeszła do aneksu kuchennego. Pootwierała kilka szafek. W końcu w jednej z nich znalazła naczynia. Wyjęła szklanke, opłukała ją i nalała do niej wody prosto z kranu, a potem połknęła aspirynę. Zbliżyła się do okna. To był ten moment poranka, kiedy słońce nieśmiało wygląda zza horyzontu, jednak Sara jeszcze nie mogła tego dostrzec. Przed jej domkiem wciąż panował mrok. Przez nieszczelne okiennice poczuła ostry chłód jesieni, lecz nie wróciła pod kołdrę. Zamyśliła się.

Odnalezienie Krzysztofa okazało się o wiele łatwiejsze, niż z początku zakładała, choć zaskakująco tragiczne. Sama nie wiedziała, które z uczuć w niej teraz przeważało – smutek, przerażenie czy ulga? Do Krzyśka od lat nie czuła nic. Z początku miała do niego wielki żal, że postanowił uciec od problemów w najprostszy możliwy sposób. Był jej pierwszą prawdziwą miłością. Kiedy się poznali, przyciągnął jej uwagę podobieństwem do Toma Cruise'a. Tak naprawdę chodziło głównie o oczy, ale to pierwsze skojarzenie pozostało w jej głowie już na zawsze. Poza wyglądem urzekł ją też pewnością siebie, przebojowością i tym, jak łatwo zjednywał sobie ludzi. Roztaczał wokół siebie aurę sukcesu. Po rozwodzie bardzo za nim tęskniła i czuła się porzucona, jednak po jakimś czasie wyleczyła się z tej miłości. Pozostała obojętna, aż w końcu całkiem

przestała o nim myśleć. Pogodziła się z rozstaniem. Dopiero gdy dostała ten cholerny list, wszystko na nowo w niej odżyło.

Co zmusiło Krzysztofa, by rozdrapywać stare rany i posunąć się do takiego kroku?

Sięgnęła pamięcią daleko wstecz, kiedy między młodymi małżonkami zaczęło się psuć. Momentem przełomowym był dzień, kiedy Sara znalazła w telefonie męża jego zdjęcie z koleżanką ze studiów. Zanim zdołał jej wyjaśnić, że to dawna znajoma z podstawówki, na którą wpadł przypadkiem, a dwuznaczna poza jest jedynie niewinnym przyjacielskim uściskiem, Sara zdążyła sobie wkręcić, że Krzysiek ją zdradza. Psychika dwudziestoparolatki nie poradziła sobie z takim ciosem. Nie wiedząc kiedy, młoda policjantka wisiała nad klozetem z palcem wepchniętym głęboko w gardło. Niby wyjaśnili sobie tę jedną sytuację, ale potem już się potoczyło jak lawina. Zaczęły się wyrzuty, podejrzenia, kłótnie, które zawsze kończyły się w ten sam sposób. Krzysiek nie rozumiał problemów żony z zaburzeniami odżywiania. Przecież niczego jej nie brakowało, ani miłości, ani pieniędzy, miała wymarzoną pracę, a mimo to choroba umysłu po cichu psuła ją oraz ich małżeństwo od środka. Patrzył na żonę z rosnącym obrzydzeniem. Odsuwał się od niej, nie chciał jej całować, przestał patrzeć jej w oczy, a seks uprawiali coraz rzadziej i zawsze w pozycjach nie wymagających kontaktu twarzą w twarz. Mechanicznie, szybko i bez fajerwerków.

Przez brak zrozumienia ze strony męża problem z bulimią się pogłębiał, ale Sara nauczyła się go ukrywać. Objadała się w nocy albo kiedy Krzysiek wyjeżdżał na kilka dni. Bardzo dbała o higienę jamy ustnej i używała mocno kryjącego podkładu, żeby zakryć cienie pod oczami. Jednak to nie wystarczało. Jej mąż wiedział, co się

dzieje, a napięcie w ich małżeństwie rosło z każdym bulimicznym napadem. Sara była tym wszystkim wyczerpana. Potajemnie leczyła się psychiatrycznie. Próbując jakoś funkcjonować, sklejała kolejne dni wypełnione chaosem w pracy i napięciem w domu. W końcu jeden błąd podczas służby sprawił, że jej kariera zawisła na włosku. Dla jej męża stało się to idealnym pretekstem do ostatecznego kroku, jakim był rozwód.

Tuż przed rozstaniem ojciec Sary wykradł z policyjnych akt, a potem wręczył Wierzbickiemu dokument świadczący o winie córki. Ryszard Wilczek miał problem, żeby zniszczyć dowód. Zafalszowanie faktów już i tak wystarczająco mocno obciążało jego sumienie. Stan psychiczny Sary nie pozwalał jej na podjęcie żadnych działań, dlatego stary policjant liczył na to, że zięć wszystkim się zajmie. Może myślał, że gdy rozłoży ten ciężar na dwie osoby, zagłuszy nieco własne wyrzuty sumienia.

Sara doskonale pamiętała wieczór, kiedy ojciec zapukał do ich mieszkania, przez drzwi podał Krzyškowi kopertę, a potem poklepał go po ramieniu i odszedł z podniesioną głową i rękoma w kieszeniach, jakby chciał powiedzieć: „Zrobiłem, co mogłem, reszta należy do was”. Sara siedziała wtedy na kanapie i nie mogła się ruszyć ani wydobyć z siebie słowa. Wiedziała, że to, co się dzieje, nie jest dobre, ale ojciec całkowicie odsunął ją od tej decyzji, a ona w pełni zdała się na jego działanie. Zarejestrowała tylko moment, gdy mąż chował kopertę do drewnianego pudełka, w którym przechowywał świadectwa, dyplomy i umowy o pracę, a potem zamknął wiszącą na nim małą kłódkę.

– Zrobię to jutro, dzisiaj pęka mi łeb. Chodźmy spać – powiedział, a ona mu uwierzyła.

Potem wielokrotnie chciała spytać męża, czy pozbył się koperty, czy ją spalił, a może podarł i wyrzucił do śmieci, jednak bała się podjąć temat. Nie umiała głośno przyznać się do winy. Czuła upokorzenie i strach. Krzysiek i ojciec też nie wracali do sprawy. Między trojgiem wtajemniczonych zapadła niepisana zmowa milczenia, jakby niewspominanie o tym, co się stało, mogło sprawić, że sprawa rozplynie się w powietrzu. I prawie tak się stało. Sara została uniewinniona, a każdy kolejny dzień zdawał się nieco lżejszy. Do czasu, kiedy Krzysztof wręczył jej pozew rozwodowy.

Patrząc na trzymany w dłoniach list, zreflektowała się, że Krzysiek nie tylko ją zostawił, kiedy najbardziej potrzebowała jego wsparcia, ale też nie zakończył tamtej sprawy zgodnie z intencją teścia. Wszystko wskazywało na to, że oboje zbyt łatwo mu uwierzyli. Przez cały ten czas musiał posiadać obciążający Sarę dowód.

Fakty mówiły same za siebie, jednoznacznie wskazując na to, że szantażystą jest były mąż, jednak policjantka nie mogła dać się ponieść emocjom. Musiała brać pod uwagę różne scenariusze, które właśnie rozważała, tkwiąc przy nieszczelnym oknie starego letniaka.

Nagle na jej skórze pojawiła się gęsia skórka, a ciałem wstrząsnął potężny dreszcz. Dygocząc, wróciła pod kołdrę, a w myślach zaczęła układać plan działania. Bo przecież konieczny był plan. Skoro już tu przyjechała i skoro to wszystko się wydarzyło, musiał być w tym jakiś sens, a ona nie mogła tak po prostu się zwinać i wyjechać, nie poznawszy go. Chciałaby wierzyć, że wraz z nagłą śmiercią Krzysztofa problem zniknął, ale przecież ktoś jeszcze mógł być w tę sprawę wtajemniczony. Jeśli miała powrócić do dawnego życia, zasypiać i budzić się w spokoju każdego dnia, musiała mieć pewność, że nikt więcej nie będzie jej szantażował.

Postanowiła jak najszybciej udać się do centrum, żeby dowiedzieć się czegoś na komisariacie. Prokurator Pałucki zaoferował jej pomoc, chociaż tak naprawdę wynikało to z czystej kurtuazji i nie sądziła, by mogła z jego strony spodziewać się jakichś konkretów. A nawet nie chciała. Wolała pozostać anonimowa i utrzymać prawdziwy powód przybycia do Karczewa w tajemnicy.

Aspiryna zaczęła działać. Rozlewała się przyjemnym ciepłem po ciele, a dreszcze powoli zanikały, więc sierżant Wilczek odrzuciła wypchaną silikonem kołdrę i zaczęła się ubierać. Przed wyjściem chwyciła jeszcze ryżowego wafła, żeby czymś wypełnić żołądek. Nie chciała zaśląbnąć z głodu. Potem zamknęła drzwi i wsiadła do auta, które tym razem zaparkowała blisko domku.

8.

Miejsce wypadku było już przejezdne, chociaż na poboczu pracowało jeszcze kilka osób ze służb porządkowych, zbierając fragmenty rozbitego samochodu. Sara przejechała obok, czując na plecach nieprzyjemny dreszcz. Na nowo musiała zmierzyć się z grozą wczorajszego poranka i chyba dopiero teraz tak naprawdę uświadomiła sobie, do czego doszło. Niezależnie od tego, jakie relacje łączyły ją kiedyś z mężem i jak bardzo próbował namieszać w jej życiu, była zdruzgotana. Krzysztof odszedł na zawsze. Żadna jej osobista krzywda, nawet ta najdotkliwsza, nie mogła się z tym równać.

Przed wjazdem do miasteczka zatrzymała się na stacji benzynowej, żeby uzupełnić bak paliwa, a potem wtoczyła się przepisową pięćdziesiątką między pierwsze kamienice Karczewa. W miasteczku nie było jako takiego rynku, a jego centrum stanowił niewielki plac z okalającym go rondem. Na samym środku stał obskurny pomnik, który latem mógł pełnić funkcję fontanny. Pod względem wielkości miejscowość trochę przypominała jej rodzinny Ogrodzieniec, lecz budynki i ulice wydawały się starsze i bardziej zaniedbane. Pomyślała, że gdyby nie oczywisty atut w postaci Jeziora Głębokiego, Karczewo plasowałaby się na jednym z ostatnich miejsc w rankingu miejscowości turystycznych.

Gdy wjechała w jedną z bocznych uliczek, nawigacja oznajmiła, że Sara osiągnęła cel podróży. Wysiadła z auta i weszła do

komisariatu. Był zdecydowanie mniejszy niż ten, w którym pracowała, i o wiele bardziej ponury. Pomalowane na butelkową zieleń ściany sprawiały przytłaczające wrażenie.

Podeszła do kontuaru, za którym siedział zapatrzony w chińską gierkę mundurowy. W skupieniu przeciągał po ekranie smartfona kolorowe klocki, łącząc je w pary. Nie zauważył kobiety, więc gdy ta oparła się łokciami o blat, zawstydzony odłożył telefon i spojrzał na nią oślim wzrokiem.

- Dzień dobry - przywitała się. - Starsza sierżant Sara Wilczek z komisariatu w Ogrodzieńcu. - Przedstawiła się pełną rangą, żeby nie tracić czasu i energii na wyjaśnienia.

- Dzień dobry. - Mężczyzna nerwowo poruszył się na krześle. - W czym mogę pomóc?

- Wczoraj na wyjeździe z Karczewa miał miejsce wypadek drogowy ze skutkiem śmiertelnym. - Wzięła głębszy wdech, a policjant przytaknął na znak, że wie, o którym zdarzeniu mowa. - Zginął w nim mój były mąż, Krzysztof Wierzbicki - dokończyła na wydechu.

- O... - Policjant najwyraźniej nie spodziewał się takiej informacji i nie bardzo wiedział, jak zareagować. - Wyrazy współczucia.

- Dziękuję. - Sara na moment spuściła wzrok, ale za chwilę znów podjęła wątek. - Wie pan, chodzi o to, że nie kontaktowałam się z nim od bardzo dawna. Nie wiem, gdzie mieszkał, ani co z jego rodziną. Chciałabym złożyć kondolencje i uczestniczyć w pogrzebie. Może mi pan pomóc?

Policjant się nie odezwał. Wpatrywał się w Sarę, jakby była jednym z klocków mahjonga, który ewidentnie nie pasował mu do

kompozycji.

- Ale... nie rozumiem, jak mógłbym pomóc.

- Potrzebuję adres denata – powiedziała najprościej, jak się dało.

Policjant westchnął i oparł się łokciem o fotel.

- Bardzo współczuję całej tej sytuacji, ale ma pani jakiś dowód na to, że jest byłą żoną poszkodowanego? Bo ja tak nie mogę każdemu, co... za przeproszeniem, wejdzie z ulicy, podawać danych wrażliwych. Pani starsza sierżant powinna to wiedzieć. – Uśmiechnął się nieszczercze.

- Oczywiście, rozumiem. Tylko że ja tu jestem na urlopie. Nie miałam pojęcia, że Krzysztof... że nasze drogi znów się splotą i to w tak tragicznych okolicznościach. – Sara nie wiedziała, jak wybrnąć z sytuacji ani jak przekonać służbistę, by lekko nagiął przepisy. – Nie brałam ze sobą aktu małżeństwa sprzed dwudziestu lat. Podejrzewam, że mój były mąż pracował na Uniwersytecie Rzeszowskim i to jest cała moja obecna wiedza na jego temat. Nie wystarczy panu moja legitymacja?

- Mamy procedury, nic nie poradzę. – Facet wydawał się nieugięty. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym samym momencie Sara usłyszała głośne „dzień dobry” za swoimi plecami.

Spojrzała na drzwi wejściowe.

- To pani – powiedział młody mężczyzna, który właśnie wkroczył do komisariatu. Poznała go od razu. To był ten glina pilnujący blokady drogowej, którego sprytnie ominęła. Miał takie dziwne dwuczłonowe nazwisko. – Aspirant Szwarz-Dołęga – przedstawił się ponownie i wyciągnął do Sary dłoń. – Bardzo mi przykro. Słyszałem, że ofiarą wczorajszego wypadku był pani krewny.

- Niezupełnie. To mój były mąż. Dawne dzieje.

Policjant pokiwał głową, ale zrezygnował z dalszych kondolencji. Widocznie zrozumiał, że ofiara nie była Sarze aż tak bliska.

– Ładnie mnie pani wczoraj urządziła – wypalił, elastycznie zmieniając ton na podszyty pretensją.

– Słucham?

– Dostałem ostre zębki od pana prokuratora, że nie zauważyłem, jak pani wdziera się na miejsce wypadku.

– Przepraszam, nie chciałam narobić panu kłopotów. Ale sam pan rozumie, kierowało mną jakieś przeczucie i niestety intuicja mnie nie zawiodła.

– E tam, od razu kłopotów. Jakby czasem prokurator na kogoś nie nakrzyczał, to by nie był prokuratorem. Skończyło się na słownym pouczeniu.

– No właśnie, jeśli mowa o prokuratorze, właśnie zamierzałam do niego dzwonić. Obiecał, że pomoże mi w dotarciu do rodziny zmarłego. Mam tu gdzieś wizytówkę – Sara zaczęła ostentacyjnie grzebać po kieszeniach – chociaż wolałabym go nie niepokoić. Dlatego przyjechałam najpierw na komisariat. Tyle że pana kolega odmawia mi pomocy. – Sara spojrzała z wyrzutem na mężczyznę siedzącego za kontuarem, po czym przybrała minę zbitego psa.

– Chwileczkę – zaprotestował tamten. – To czemu pani nie mówi od razu, że ma pozwolenie od prokuratora? Zupełnie inaczej byśmy rozmawiali.

– No właśnie – poparł kolegę Szwarc-Dołęga i wyczekująco zawiesił wzrok na kobiecie.

– Wiecie, jak jest, panowie. Gdyby ktoś do mnie przyszedł do komisariatu i zaczął mi wymachiwać wizytówką prokuratora przed oczami, to bym go posłała do wszystkich diabłów. A ja wyznaję

zasadę, żeby nie robić tego, co mnie u innych wkurwia. – Mrugnęła okiem i uśmiechnęła się półgębkiem. Koledzy po fachu zaśmiali się i poczuli, że ściana lodu powoli zaczyna się topić.

– Co racja, to racja. No dobrze, pani sierżant, w takim razie proszę poczekać, zobaczę, co da się zrobić z tym adresem. Ale uprzedzam, że czeka panią niełatwa przeprawa.

– To znaczy? – spytała zaintrygowana.

– Reakcja bliskich na wieść o śmierci pana Wierzbickiego była dość... gwałtowna. Wiem, co mówię, bo sam przy tym byłem, niestety.

– A co dokładnie ma pan na myśli? – drażyła Sara, choć widziała, że policjant nie był zbyt chętny do precyzyjnych wyjaśnień.

– Jak przyjechaliśmy do domu państwa Wierzbickich, to otworzyła nam matka denata. Najpierw nie chciała uwierzyć w straszną wiadomość, a potem zawyla tak jakoś dziwnie, jakby nie swoim głosem. Nigdy nie zapomnę tego jęku. Jakby jakiś demon chciał się wyrwać z jej wnętrzości. Była jeszcze młodsza kobieta, która stała głębiej w mieszkaniu, prawdopodobnie żona zmarłego. Kiedy dotarło do niej, co się stało, zemdląca. A że była w zaawansowanej ciąży, od razu wezwaliśmy pogotowie.

– Ojej. – Sara czuła, że jej reakcja na słowa policjanta nie była stosowna, jednak w tym momencie nie umiała znaleźć bardziej adekwatnych słów. Informacja o tym, że Krzysztof miał żonę i spodziewał się dziecka, wybiła ją z rytmu rozmowy. Nie powinno jej dziwić, że były mąż ułożył sobie życie z kimś innym, jednak w jej wyobrażeniach Krzysztof jawił się jako wieczny singiel, który po wczesnej życiowej porażce nie chciałby ponownie wchodzić w stały, a już na pewno prawnie uregulowany związek. Nagle zdała sobie

sprawę, że to było tylko jej naiwne wyobrażenie podyktowane strachem, że wina tej małżeńskiej porażki leżała wyłącznie po jej stronie. – Jest pan pewien, że to była jego żona? – spytała po chwili. – Może siostra albo kuzynka?

– Tego to ja już nie wiem. Nie moja broszka. Zrobiłem swoje i odjechałem. Jakby się człowiek tak wczuwał i wszystko analizował, to by już dawno zwariował.

– Jasne, dziękuję za informację.

– To ja pójdę sprawdzić ten adres. Osiedle Leśny Zakątek, ale numeru nie pamiętam. Proszę zaczekać, zaraz wracam.

– W porządku. Nigdzie się stąd nie ruszam – rzuciła do odchodzącego policjanta, po czym zwróciła się do tego siedzącego za kontuarem: – Słyszałam, że w bistro U Maryli można dobrze zjeść. To gdzieś w centrum?

– U nas wszystko jest w centrum – skwitował. – To mała miejscina.

– Pytam, bo nie wiem, czy warto przestawiać auto. Może przesłabym się kawałek.

– Nie ma sensu jechać, blisko jest. Musi pani wrócić do głównego placu, tego z fontanną, potem przejść dwa razy pasami, aż dotrze pani do sklepu z elektroniką, takiego na rogu. Trzeba go minąć i dalej cały czas iść prosto. Bistro to taki długi wąski budynek przy parkingu dla tirów. Wygląda jak barak, ale jedzonko dają najlepsze w okolicy.

– Dzięki – odpowiedziała, a potem cierpliwie wyczekiwała powrotu Szwarca-Dołęgi, podpierając plecami zieloną ścianę komisariatu.

9.

Starsza sierżant schowała kartkę z adresem Wierzbickich w kieszeni kurtki i na wszelki wypadek zasunęła zamek. Szwarz-Dołęga próbował jej jeszcze tłumaczyć, jak dojechać do osiedla domków jednorodzinnych, ale ona słuchała tylko jednym uchem. Była już tak głodna, że nic do niej nie docierało. Podziękowała za pomoc i wyszła.

Kierując się wskazówkami aspiranta, ruszyła przez główny plac, minęła wspomniany przez niego sklep z częściami elektronicznymi, aż wreszcie, kiedy rząd kamienic nagle się urwał, znalazła się na dużym parkingu, na którym zatrzymało się kilka osobówek i dwie ciężarówki.

Bistro U Maryli faktycznie nie zapowiadało swoim wyglądem wysokiego poziomu, chociaż Sarze bardzo spodobał się szyld – kreskówkowa postać uśmiechniętej, prząsnej kobiety umieszczona na tle biało-pomarańczowej kraty.

Kiedy weszła do środka, zadźwięczał dzwonek umieszczony przy drzwiach. Rozejrzała się po niewielkiej sali. Pierwsze spojrzenie Sary padło na długą błyszczącą ladę, przy której stały hokery obleczone czarnym skajem. Stoliki z dwuosobowymi kanapami w tym samym kolorze, znajdujące się pod oknami, tworzyły coś na kształt przedziałów w długim wagonie. Kilka z nich było zajętych przez mało eleganckich mężczyzn, konsumujących właśnie

śniadanie. Wyglądali na zawodowych kierowców. Brzęk sztućców i pomruki rozmów przyjemnie wypełniały wąską przestrzeń.

Bistro było hybrydą typowej knajpy, jaką można zobaczyć w prawie każdym amerykańskim filmie, i polskiego baru mlecznego. Sara pomyślała, że taki styl nawet fajnie wpisuje się w krajobraz tej małej miejscowości. Wnętrze wyzwalalo nutkę marzenia o czymś dalekim, czego żaden z mieszkańców Karczewa nigdy nie będzie miał możliwości zobaczyć, a jednocześnie pachniało swoim pierogiem, który kojarzył się z bezpieczeństwem i rodzinnym domem.

Podeszła do wolnego stolika i usiadła, kładąc kurtkę obok siebie, przy oknie. Nie lubiła korzystać ze wspólnych wieszaków, a przy tej klasie restauracji nie musiała się zbytnio przejmować konwenansami. Potem przejrzała wetknięte w plastikowy stojak menu. Nie było długie, więc szybko wybrała. Przez przeziębienie apetyt niezbyt jej dopisywał, ale miała ogromną ochotę wypełnić żołądek czymś ciepłym. Już za chwilę u jej boku pojawiła się kelnerka. Kobieta w średnim wieku miała na sobie spódnicę za kolano i bluzkę w kolorze wanilii, a całe ubranie przysłaniał schludny fartuszek z falbanką, gdzieś oprószony mąką. W drżących dłoniach dzierżyła notes i długopis.

– Dzień dobry, co podać? – spytała bez energii.

– Poproszę jajecznicę ze szczypiorkiem, tylko bez pieczywa, i kawę po turecku.

– Mamy tylko z ekspresu, ale za to z dolewką. Płaci pani raz, pije do woli – wyrecytowała machinalnie, zapatrzona w przestrzeń między własnymi dłońmi a niedoczyszczonym stolikiem. Sprawiała wrażenie nieobecnej.

- Dobrze, może być z ekspresu.

- Czy to będzie wszystko?

- Na razie tak, dziękuję. Chociaż poważnie zastanawiam się nad szarlotką. - Sara zerknęła na ladę, na której pyszniło się złociste ciasto przykryte szklanym kloszem.

- Szarlotka to moja specjalność. Warto spróbować. - Kobieta uśmiechnęła się niemrawo, ale jej twarz szybko wróciła do poprzedniego wyrazu. Odwróciła się i zniknęła na zapleczu.

Zastąpił ją otyły mężczyzna, który chwilę później pojawił się za barem. Rozliczył jednego z gości i wziął się za polerowanie kufla do piwa.

- Przepraszam - zwróciła się do niego Sara. - Czy w oczekiwaniu na jajecznicę mogłabym już dostać kawę?

Mężczyzna spojrział na nią spłoszony, postawił kufel na ladzie i ruszył po dzbanek z gorącym napojem.

- Tak, tak, oczywiście. Przepraszam - powiedział, gdy zbliżył się do stolika Sary - żona dzisiaj chodzi jak bez głowy. Bardziej się przejmuję obcymi ludźmi niż własnym interesem. Za miękkie serce ma. Taka już jest. Zaraz pójde zapytać, co z pani zamówieniem. Ruch dzisiaj mamy spory, jak co dzień o tej porze. - Odchrząknął i przeleciał ścierką po powierzchni stolika, jakby chciał zatuszować niemiłe pierwsze wrażenie.

- W porządku, nic się nie stało. Zaczekam, ile trzeba.

Facet uklonił się nieporadnie, po czym, lekko bujając się na boki, przeszedł przez uchylne drzwiczki rodem z westernu i zniknął na zapleczu lokalu. Sara usłyszała tylko, jak z naciskiem wymawia imię Maryli, a potem ściszone głosy obojga zaczęły się przeplatać w nerwowym dialogu.

Po kilku minutach kobieta wyłoniła się z jajecznicą, którą postawiła pod nosem Sary. Jedzenie wyglądało i pachniało obłudnie, a talerz przyozdabiało kilka pomidorków koktajlowych, ogórek i świeżo ścięty szczypiorek. Zanim Sara wzięła pierwszy kęs, skorzystała z tamtejszego przywileju i poprosiła o dolewkę kawy. Pani Maryla kiwnęła głową i zaraz przyniosła dzbanek. Nalewając brązowy płyn do filiżanki, nagle się zachwiała, a stróżka kawy, zamiast trafić do filiżanki, wylała się na drewniany stolik i spłynęła prosto na nogi policjantki.

– O Boże, przepraszam! – wyjęczała Maryla. – Bardzo panią przepraszam. Straszna ze mnie niezdara.

Obie złapały za stojące na stole serwetki i zaczęły wycierać plamy, które na szczęście nie narobiły dużej szkody.

– Nic się nie stało. Każdemu może się zdarzyć.

Właścicielka baru znieruchomiała nagle, a potem klapnęła na siedzeniu naprzeciw gościa.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje. Przez ten wypadek nie mogę się na niczym skupić – wyznała niespodziewanie. – Taka tragedia...

Sara zaczęła jeść, udając, że słowo „wypadek” nie robi na niej wrażenia. Podejrzewała, że zapatrzona w okno kobieta za chwilę sama rozwinie myśl.

– Całe Karczewo od wczoraj nie mówi o niczym innym. A pani chyba przyjezdna?

Sara potwierdziła skinieniem głowy. Smak śniadania odszedł na drugi plan. Po prostu przeżuwała i bezwiednie połykała, czekając na dalszy ciąg relacji.

– Zginał dobry człowiek. – Głos kobiety złamał się i przeszedł w stłumiony szept.

- A tam, od razu dobry - odezwał się mąż Maryli zza kontuaru. - Zrobił co dobrego dla ciebie? I nie „całe Karczewo” o tym trąbi, tylko tobie podobne pleciuchy.

Z oczu kobiety zeszła mgła zamyślenia i niemal natychmiast zastąpiły ją ogniki gniewu. Spojrzała na mężczyznę ze zgrozą.

- Jak możesz źle mówić o zmarłym? Pan Krzysztof dużo zrobił dla całej społeczności, dla środowiska. Uprzejmy i obrotny człowiek. A jaki prywatnie był, to jego sprawa i tobie nic do tego!

- A co niby takiego zrobił? - Gospodarz nie dawał za wygraną.

- O, patrzcie go! Teraz nagle o wszystkim zapomniał. Pieniądze załatwiał z unii na naszą oczyszczalnię, a to przecież tyle miejsc pracy. - Kobieta przeniosła wzrok na Sarę i zmieniła ton na wyjaśniający. - Zamknąć chcieli, to walczył, referendum zorganizował, a potem wziął i razem z naszym uniwersytetem zakład zmodernizował i do dziś wszystko działa jak w zegarku, a ludzie nie muszą na nowo pracy szukać kilometry od domu.

- I myślisz, że on to tak wszystko z dobrego serca, co? Nic dla siebie nie przytulił przy okazji? Tylko ciekawe, skąd te wypasione samochody i garnitury za tysiące! Z uczelnianej pensji? O chałupie nawet nie wspomnę. Samo ogrodzenie warte jest więcej, niż ta knajpa.

Sara skończyła jeść, ale grzebała jeszcze widelcem w resztkach pozostałych na talerzu warzyw, żeby nie przerywać ciekawej wymiany zdań.

- Pani go nie słucha. - Maryla ucięła wywód męża, jakby nagle zabrakło jej argumentów w słownej potyczce. - Sam nigdy nic nie miał, to zwyczajnie zazdrości. A ja zawsze będę powtarzać, że pan Wierzbicki dobry człowiek był i szkoda go. Mężczyzna w sile wieku.

A co najstraszniejsze, spodziewali się z żoną dziecka. Biedna pani Wierzbicka. Co za tragedia. – Kobieta wstała i dyskretnie otarła łzę. – Ja... przepraszam za tę kawę.

– Naprawdę nic się nie stało. To rzeczywiście wielka tragedia. Słyszałam, że jest sporo wypadków na tym odcinku?

– Sporo, sporo. – Wtrącił się mąż Maryli. – Przekłęta droga, dobrze, że w końcu postawili tam znak z czarnym punktem. Żeby tylko ludzie bardziej brali sobie to ostrzeżenie do serca, to by mniej pogrzebów było.

– A pani znała tego Wierzbickiego osobiście? – Sara zagadnęła Marylę, która zaczekała, aż mąż wyjdzie na zaplecze, żeby móc w spokoju rozwinąć temat.

– A kto go tu, w Karczewie, nie znał? On i w radzie miejskiej był, i dla przyrody dużo zrobił. Największy rozgłos to mu taki projekt przyniósł, co go razem z Lasami Państwowymi zapoczątkował i pieniądze na niego zdobył.

– Jaki projekt?

– Nawadniania lasów. To się nazywa retencja, czy jakoś tak. Ja się na tym nie znam, ale to podobno bardzo ważne jest, zwłaszcza teraz, kiedy susza coraz bardziej doskwiera.

– Rozumiem.

– Pan Wierzbicki zatrudniał mojego brata, więc ja zawsze na bieżąco byłam. – Uśmiechnęła się smutno, ale z wyższością jak ktoś wtajemniczony. – Tyle że brat jest lekko upośledzony i sam nigdy do końca nie rozumiał, o czym opowiadał. Sama musiałam zasięgać języka, a to nietrudne, jak się pracuje wśród ludzi.

– Pani brat pracował u Wierzbickich?

- Tak, jako pomoc domowa. Ach, ten mój braciszek, niby do pracy niezdolny, ale silny za dwóch i ma smykałkę do mechanicznych robót. Ogród utrzymywał, przy domu różne prace wykonywał, ot taka złota rączka. Wcześniej długo pracy nie mógł znaleźć, a pan Krzysztof dał mu szansę i Igor nawet sporo tam zarabiał. A teraz to nie wiadomo, co z nim będzie.

- Ha, wiedziałem - dobiegł głos z kuchni, a po chwili okrągła twarz właściciela lokalu wyłoniła się zza drzwi. - Tu cię najbardziej boli. Bo brata znów trzeba będzie na utrzymanie wziąć.

- A weź już zamilcz, bo swoją złośliwością gości płoszysz!

- Chyba prędzej ty swoim długim jęzorem. O, zobacz - rozejrzał się po długiej sali - już puciekali.

Faktycznie, wymiana zdań na temat Krzysztofa tak pochłonęła również Sarę, że nie zauważyła, kiedy bar zdążył opustoszeć. Przy samym wejściu siedział tylko jakiś mężczyzna w kapturze.

Maryla ciężko westchnęła, wstała i, patrząc spod byka na drugą połówkę, podeszła do nowo przybyłego gościa.

- Dzień dobry panu, to co zawsze?

- Tak, ale poproszę na wynos.

Niski głos wydał się Sarze znajomy. Kiedy właścicielka baru zniknęła w kuchni, mężczyzna zdjął kaptur, a z wnętrza kurtki wyciągnął coś, co przypominało kieszonkowy notes lub kalendarz. Otworzył go i zaczął kartkować, skupiając na tej czynności całą swoją uwagę. Sara już wiedziała, kto przyszedł na śniadanie. Sięgająca obojczyka broda oraz idealna łysina na głowie stanowiły wystarczające znaki rozpoznawcze. Uniosła filiżankę z kawą i podeszła do jego stolika.

- Dzień dobry. Nie wiem, czy pan mnie kojarzy, ale rozmawialiśmy wczoraj przy drodze na Liny.

Mężczyzna uniósł wzrok i przez chwilę przyglądał się Sarze.

- Tak, pamiętam - odpowiedział krótko i od razu wrócił do przeglądania kalendarza, jakby nie był zainteresowany dalszą rozmową.

- Sara Wilczek. - Policjantka podała mu dłoń. Uścisnął ją zdecydowanie, ale z wyczuciem.

- Wojtek.

- Wojtek...? A jak dalej?

- A musi być tak oficjalnie? - Osowski odpowiedział po chwili.

- Pracuję w policji, oficjalny ton mam wpisany w zawód.

- Ale dzisiaj nie jesteś na służbie, prawda?

Zaprzeczyła ruchem głowy, usiadła po drugiej stronie stolika i siorbnęła kawy, nie spuszczać wzroku z rozmówcy, który wciąż skupiał się na swoich notatkach. Szybko przeszedł na „ty” i zrobił to niemal niezauważalnie. Był bezpośredni, trochę zbyt pewny siebie, ale nie nazwałaby tego arogancją. Niektórzy ludzie po prostu mieli taki sposób bycia i nawet jej się to podobało.

- Nie chcę przeszkadzać, ale... - zaczęła niepewnie. - Pomyślałam, że skoro na ciebie wpadłam, to o coś zapytam.

- Nie krępuj się. - Osowski zamknął wreszcie swój notes i wykazał odrobinę więcej zainteresowania.

- Czy pobieranie fragmentu ciała zwierzęcia po wypadku to normalna procedura?

- W przypadku dzików tak. Badamy tkanki na obecność ASF.

- A co to takiego?

- Afrykański Pomór Świń.

- No tak. - Zezłościła się na własną ignorancję, bo przecież o tej chorobie było swego czasu bardzo głośno. - Ale nie zawsze po wypadku zabieracie zwierzę na sekcję, prawda?

- Kawa zbożowa i kanapka z żółtym serem - oznajmiła głośno Maryla, położywszy zamówienie Wojtka na barze.

Weterynarz podszedł do lady, zapłacił i podziękował, po czym usiadł z powrotem naprzeciw Sary.

- Ktoś tu podsłuchiwał moją rozmowę z przewoźnikiem - powiedział z przekąsem.

- Musiałabym się mocno starać, żeby jej nie usłyszeć - zripostowała zgodnie z prawdą. Osowski uśmiechnął się samymi oczami, a Sara odpowiedziała tym samym.

- No tak, racja. Jak już wcześniej mówiłem, dzik był martwy od kilku tygodni. Zauważyłem to od razu po wstępnych oględzinach i zgłosiłem prokuratorowi, a on natychmiast nakazał jego przebadanie. Pytanie, skąd truchło znalazło się na poboczu drogi, skoro w ciągu trzech miesięcy nie było żadnych wypadków z udziałem zwierząt na tym odcinku...

- Rzeczywiście, zagadkowa sprawa. - Sara zadumała się na moment, a potem odezwała, wyrażając na głos swoje myśli: - Ale skoro ten dzik w żaden sposób nie wiąże się z wczorajszym wypadkiem, dlaczego prokurator nalegał na sekcję? Tak mu leży na sercu dobro zwierząt?

Weterynarz pokręcił głową, a na jego ustach pojawił się ironiczny uśmiezek.

- Pałucki ma dzika w głębokim poważaniu. Jego interesują wyłącznie sprawy ludzi, nieważne: żywych czy martwych. I

oczywiście własna dupa.

Sara spuściła wzrok na brzeg swojej filiżanki. Słowa Wojtka przypomniały jej o spotkaniu z Baranem na cmentarzu w Studzieńcu, o liście, który jej wręczył, i prawdziwym powodzie przyjazdu do tej przeklętej miejsciny.

Krzysiek był martwy, ale ona wciąż żyła i miała na barkach ciężar, który nie dawał jej spokoju. Obawiała się, że jeśli dojdzie do jakiegoś głębszego dochodzenia w sprawie wypadku, wyjdą na jaw niewygodne okoliczności mogące mieć powiązanie z jej przeszłością.

Znów poczuła nieprzyjemny dreszcz na plecach. Dreszcz niepewności, a może nawet strachu. Liczyła na to, że wyprzedzi policję i dowie się na własną rękę, o co w tym wszystkim chodzi. Jednocześnie gdzieś głęboko czuła, że potrzebuje pomocy, by uporać się z problemem. Nie mogąc zbyt wiele zdradzić kolegom po fachu, czuła się w tym obcym, nieprzyjaznym miejscu jak zwierzę w potrzasku.

– Przepraszam, czasem powinienem się ugryźć w język. – Osowski uniósł wieczko papierowego kubka i, marszcząc brwi, zmoczył usta gorącą zbożówką, która przyozdobiła końcówki jego wąsów jasną pianką. Sara odniosła wrażenie, że tak naprawdę mężczyzna wcale nie żałuje swoich słów, a przeprosiny wynikają wyłącznie z ogłady. Dobrze i to, nie każdy by się w porę zreflektował.

– Nie ma sprawy.

– Czy teraz ja mogę o coś spytać? – zagadnął Osowski.

– Oczywiście.

– Dlaczego tu jesteś?

– Przyjechałam na krótko, mam coś do załatwienia w Rzeszowie.

– I akurat trafiłaś na moment, kiedy twój... kiedy zginął Wierzbicki? – Weterynarz spojrział na nią oczami w kolorze orzecha. Jego wzrok ponownie ją zahipnotyzował, jak wtedy, gdy rozmawiali na drodze po raz pierwszy. Może dlatego, że nie umiała odczytać z twarzy mężczyzny żadnych emocji, a jednocześnie czuła przepływ pewnego rodzaju energii, czegoś na kształt porozumienia.

– Skąd wiesz o mnie i Wierzbickim?

– Słyszałem jak rozmawiałaś z Pałuckim. To był twój eks, prawda?

– Ktoś tu podsłuchiwał...

– Masz mnie – odpowiedział, wskazując na Sarę palcem.

Na twarzy policjantki pojawił się niechciany uśmiezek. Lubiła takie małe słowne zwycięstwa, zwłaszcza gdy rozmawiała z pewnymi siebie mężczyznami. Westchnęła, objęła filiżankę obiema dłońmi i udała zamyślenie.

– Dawne dzieje. – Czekala na kolejne pytanie, ale Wojtek się nie odezwał. W milczeniu i niemal niezauważalnie pocierał spód brody kciukiem. Patrzyła na niego z ciekawością, bo nie umiała go rozgryźć. Zastanawiała się, jak dużo może mu powiedzieć. Jego mowa ciała nie zdradzała zbyt wiele. Jednocześnie Sara miała jakieś wewnętrzne przekonanie, że nie musi się przy nim spinać ani udawać kogoś, kim nie jest. Jednak to mogło być tylko fałszywe odczucie. Tacy ludzie bywali bardzo niebezpieczni. – Ty też znałeś Krzyśka? Mam wrażenie, że robił tu za miejscową gwiazdę.

– Nie osobiście. Parę razy widziałem go gdzieś na mieście. I chyba raz wyciągałem kleszcza jego psu.

– Nadal nie rozumiem, po co Pałuckiemu ta sekcja. – Sara wróciła do tematu, żeby nie mówić o byłym mężu.

- Ja też nie. Ale jako autochton znający tutejszą społeczność na wylot mam pewną teorię.

- Będę wdzięczna, jeśli się nią podzielisz. Chyba że to jakaś wielka tajemnica?

- Raczej tajemnica poliszynela. - Osowski zerknął na zegarek, a potem nachylił się nad stolikiem, żeby zbliżyć twarz do Sary i zachować maksymalną dyskrecję. - Wierzbicki był znany w Karczewie jako wszechstronny działacz. Jego śmierć nie przejdzie bez echa. Z kolei pan prokurator to syn burmistrza, który w ostatnich latach zasłynął z opieszałości, jeśli chodzi o naszą drogę na Liny. To czarny punkt, albo droga śmierci, jak niektórzy ją nazywają. Ludzie niejednokrotnie zgłaszali burmistrzowi propozycje, żeby poszerzyć ulicę, utworzyć pobocze, a nawet zamontować sygnalizację świetlną. Mógł coś z tym zrobić, jednak on miał swoje priorytety. Tłumaczył, że musi walczyć ze skutkami pandemii, a pieniądze nie spadają z nieba. A teraz, kiedy wydarzyła się kolejna tragedia, i to tuż przed wyborami, młodszy Pałucki będzie chciał za wszelką cenę zdjąć winę z barków ojca i zrzucić ją na cokolwiek innego. Tym bardziej, że Wierzbicki był lubiany i szanowany przez większość mieszkańców.

- Wysokie stanowiska łączą ludzi? - Sara zaczynała rozumieć.

- Łączą ich układy. Nie zdziwię się, jeśli Pałucki spróbuje wykorzystać śmierć dzika do wyjaśnienia przyczyny wypadku Wierzbickiego. Będzie się chwytał brzytwy, żeby tylko zgasić w zarodku burzę, jaka może się rozpętać. Zdarzenia drogowe z udziałem zwierząt występują wszędzie, nawet w potencjalnie bezpiecznych miejscach. To zdjęłoby bezpośrednią winę z

burmistrza, a dodatkowo dało argument do dalszych odstrzałów tych zwierząt.

– Odstrzałów?

– Dziki wchodzą w szkodę rolnikom, ale to nie jedyny konflikt między ludźmi a przyrodą. Pojawiła się ta świńska choroba i ludzie zwyczajnie się boją utraty swojego inwentarza, czasem całego życiowego dorobku i źródła utrzymania. Organ gminny z burmistrzem na czele odpowiada za regulację populacji. Na pewno jest w tym trochę racji, ale moim zdaniem masowe odstrzały wcale nie są dobre. A co ciekawsze, tego samego zdania był Wierzbicki.

– Miał przez to konflikt z burmistrzem?

– Na pewno. Co więcej, swoim działaniem zaczął przysłaniać jego dotychczasowe osiągnięcia i od niedawna krążyły plotki, że pozycja radnego już mu nie wystarcza. Podobno na wiosnę chciał kandydować jako jedyny przeciwnik Pałuckiego, który siedzi na tym stołku, od kiedy pamiętam. Ze względu na proekologiczne poglądy Wierzbicki miał niewielkie szanse na głosy rolników, ale reszta ludności doceniała go za działania na rzecz środowiska i za zmodernizowanie naszej oczyszczalni.

– Zaczekaj. Twierdzisz, że prokurator będzie chciał zafałszować fakty i wciśnie ludziom, że dzik zginął pod kołami Krzyśka? Przecież to jakiś absurd.

– Mówiłem, że to tylko moja teoria. Ale nie zdziwię się, jeśli na dniach dostanę od pana prokuratora „propozycję nie do odrzucenia”.

– I co wtedy zrobisz? – spytała Sara naiwnie.

– Odrzucę ją. Brzydzę się palantami, którzy wykorzystują swoją pozycję do tego, żeby sterować ludźmi. Niech sobie szukają innego losia do swoich gier.

Sarze zjeżyły się włosy na głowie. Pamięć podsunęła jej twarz ojca, który nie cofnął się przed oszustwem, żeby ratować swoją jedyną córkę.

- Dziękuję za szczerość - powiedziała.

- To moja główna wada. Zawsze do usług.

Zegarek Osowskiego nagle zapiszczał podwójnym sygnałem i weterynarz poderwał się z miejsca. - Sorry, zasiedziałem się. Muszę lecieć.

- Zaczekaj. Dasz znać, co ustaliłeś z tym dzikiem? - Wygrzebała z portfela wizytówkę i podała mu.

Zatrzymał się na moment i zmarszczył brwi, jakby rozważał, po co policjantce te informacje.

- Sprawa nie jest tajna, przynajmniej na tę chwilę - powiedział w końcu - więc nie widzę przeszkód.

- W takim razie jesteśmy w kontakcie. Do zobaczenia. I dzięki za rozmowę - dodała Sara, kiedy Wojtek chwycił już za klamkę.

- Drobiazg - rzucił przez drzwi i wyszedł.

- Pan weterynarz to zawsze jak oparzony. Wpada, zjada w biegu śniadanie i leci do swoich obowiązków - zagaiła Maryla, przechodząc z pustym talerzem po jajecznicy. - Taki przystojny mężczyzna, aż dziw, że ciągle sam. To jak będzie z tą szarlotką? Skusi się pani? Na koszt firmy, w ramach zadośćuczynienia za ten wypadek z kawą. - Kobieta się zarumieniła.

- Dziękuję, nic już w siebie nie wcisnę. Ale pewnie jeszcze tu zajrzę, bo śniadanie było rewelacyjne.

Zapłaciła, ubrała kurtkę i opuściła lokal.

Idąc w kierunku auta, postanowiła, że da sobie i rodzinie Krzysztofa czas do jutra, a potem pojedzie złożyć kondolencje i

dowiedzieć się, czy wiadomo już, kiedy odbędzie się pogrzeb. Próbowała choć na chwilę oderwać myśli od śmierci byłego męża, ale to było niemożliwe. Informacje tłukły się po jej głowie jak kule lotto w bębnie losującym. List, wypadek, dzik, weterynarz.

Wojtek Osowski. Dziwny facet. Ciężko było określić jego intencje. Wydawał się zdystansowany, ale momentami czuła, że patrzy na nią oceniającym wzrokiem. Nagła wizyta Sary w miejscowości byłego akurat w dniu, gdy zginął tragiczną śmiercią, mogła mu się wydać podejrzana. Przeszło jej przez myśl, że Wojtek wie coś na temat tajemniczego listu, może nawet zna jej sekret z przeszłości. Czasem przyglądał się jej tak, jakby wiedział. Chwilę później stwierdziła, że zaczyna popadać w paranoję, i pozostała przy tym, że po prostu musi na niego uważać.

I wcale nie był przystojny. Może dla Maryli, ale nie dla Sary. Za wysoki, trochę za szczupły i musiałby bardziej zadbać o brodę. Tylko dlaczego w ogóle to analizowała?

Gdy przechodziła przez pasy, poczuła wibracje telefonu wsuniętego w kieszeń kurtki. Wyciągnęła go i przeczytała wiadomość: „To mój numer – Wojtek Osowski”.

Uśmiechnęła się mimo woli i bez zwłoki dodała nowy kontakt, zapisując go przekornie samym nazwiskiem.

10.

Kolejny dzień przywitał Karczewo nieco bardziej przyjemną pogodą. Stojąca przed metalowym ogrodzeniem domu Wierzbickich Sara chłonęła pojedyncze promienie słońca, ciesząc się każdą sekundą ciepła, bo znów łapały ją dreszcze. No i... było coś jeszcze, coś gorszego niż przeziębienie. Już za moment czekało ją nieprzyjemne spotkanie. Miała odbyć rozmowę przepełnioną żalobą, jedną z tych, które potrafią zmrozić człowieka do kości.

Posiadłość była spora, ale nie napompowana nadmiernym przepychem. Dwupiętrowy budynek z podwójnym garażem, skromnym, zadbanym ogrodem i nowoczesnym ogrodzeniem. Całe osiedle prezentowało się tak, jakby zrobiono je od linijki – jednorodzinne domy były niemal identyczne, za to znacznie wyróżniały się od zabudowań w pozostałej części miasteczka. Zdawało się jej, że miejsce to stanowi wyizolowaną przestrzeń w Karczewie, stworzoną wyłącznie dla tych, którym powiodło się w życiu.

Krzysztof bardzo pasował do tego obrazu. Zawsze był ambitny, pełen wzniosłych aspiracji i bezkompromisowy. Na pierwszym miejscu stawiał rozwój osobisty i wielkie cele. Nauka nigdy nie sprawiała mu trudności, a zaangażowanie w sprawy związane z ekologią dostarczało dodatkowej energii do działania. Czerpał przyjemność z tego, że był potrzebny światu, ale Sara przez cały czas odnosiła wrażenie, że nie wynika to z dobroci serca, tylko z chęci

wzniesienia na wyżyny własnego ego. W jednym z czasopism wyczytała kiedyś, że mógł to być przejaw narcyzmu wielkościowego i właśnie w tej kategorii zwykła o nim myśleć.

Jednocześnie Krzysiek był realistą. Wiedział, że praca na uczelni, to żadne pieniądze, ale nie ma to znaczenia, kiedy umie się wykorzystać znajomości i wchodzić w odpowiednie układy. Sara podejrzewała, że ten jego doktorat był tylko sposobem na uzyskanie społecznego uznania, czymś w rodzaju przykrywki, a prawdziwą kasę wyciągał z jakiegoś własnego biznesu. No i jeszcze wkręcił się do lokalnej polityki. Cały on.

Po kilku minutach Sara odważyła się wreszcie wcisnąć guzik domofonu umieszczony przy furtce. Nikt nie odpowiadał, więc przeszła się chodnikiem wzdłuż ogrodzenia, wypatrując kogokolwiek w ogrodzie. Nie było łatwo, bo tuż za płotem rosły dość gęsto posadzone wysokie tuje. Jednak w końcu znalazła większą szczelinę między roślinami i spojrzała w stronę garażu, skąd dobiegał tępy odgłos rozłupywanego drewna.

Postawny mężczyzna wciskał drwa pod zadaszenie, co jakiś czas wbijając siekiere w większy kawałek, gdy ten nie chciał się zmieścić w misternej układance. Sara przypomniała sobie rozmowę z właścicielką baru i domyśliła się, że właśnie obserwuje jej brata, Igora.

– Halo! Proszę pana! – krzyknęła.

Facet usłyszał za pierwszym razem. Wyprostował się i spojrzał w jej kierunku. Po chwili otarł z czoła pot, rzucił siekiere i powoli ruszył do płotu. Jego ruchy były ciężkie, trochę nieporadne. Z kolei mimika zdradzała, że mężczyzna się waha, jak zwierzę, które nie jest pewne, czy może obdarzyć nowo napotkanego człowieka zaufaniem.

Miał na sobie sprane ogrodniczki, które z każdym krokiem opinały się na muskularnych udach. Był nawet całkiem przystojny, chociaż wyraz jego twarzy nie zachęcał do nawiązania bliższej znajomości.

Zatrzymał się przy samym ogrodzeniu.

– Kto tam? – spytał.

– Nazywam się Sara Wilczek. – Przedstawiła się tylko z nazwiska, bo nie chciała go zniechęcić do rozmowy, wyjawiając, że jest z policji. Poza tym nie czuła takiej potrzeby, była tu jako prywatna osoba.

– O co chodzi?

– Czy zastałam panią Wierzbicką?

– Którą?

– Barbarę – odpowiedziała szybko Sara, choć pytanie lekko zbiło ją z tropu.

– Pani Barbara śpi, nie można jej teraz przeszkadzać. – Jego słowa nie były spontaniczne, brzmiały jak wyuczone. Dodatkowo przekręcał lub niedokładnie wypowiadał niektóre głoski.

– Oczywiście, rozumiem, tyle że ja przyjechałam z daleka. Muszę się z nią zobaczyć, jestem z rodziny.

Chłopak stał przez chwilę nieruchomo, a w jego głowie musiały właśnie zachodzić trudne procesy myślowe, co przejawiało się tępym spojrzeniem i lekko rozchyłonymi wargami.

– Pani na pogrzeb przyjechała?

– Tak, na pogrzeb. Wpuści mnie pan?

Igor nie wyglądał na zadowolonego. Kobieta postawiła go w trudnej sytuacji. Musiał podjąć decyzję, w czym z pewnością nigdy nie był dobry. Wyraźnie chciał jej pomóc, ale lojalność wobec

gospodarzy nie dawała mu spokoju. W końcu machnął ręką i ruszył ku furtce.

– Ładnym paniom nie odmawiam – powiedział, kiedy Sara go mijiała. Zarejestrowała lubieżne spojrzenie, którym zdecydowanie za długo oblepiał jej sylwetkę. Było w tym coś odrażającego, jakaś pierwotna dzikość, która obnażała czysto seksualne pobudki.

Sara się wzdrygnęła, ale nie dała po sobie poznać zniesmaczenia. Podziękowała i ruszyła przed siebie. W tej samej chwili zza domu wyłonił się duży biszkoptowy pies, który zaczął pokracznie człapać w jej kierunku. Nie wyglądał groźnie. Był raczej wiekowy, a mimo to wciąż ochoczo machał ogonem, wyraźnie ciesząc się na widok gościa. Dopadł do Sary i oparł jedną z łap o jej udo. Szczeknął dwa razy, po czym zaczął ją okręcać, ocierając się i popiskując z radości.

– Angus, zostaw! Siad! – krzyknął Igor, a pies posłusznie posadził zad na trawie.

– Czy to labrador? – spytała Sara. Nie znała się zbyt dobrze na rasach psów, potrafiła rozpoznać jedynie owczarki niemieckie, z którymi miała styczność podczas służby.

– Golden retriever. – Igor wypowiedział nazwę rasy zadziwiająco poprawnie. Schylił się i zaczął tarmosić zwierzaka, pozwalając lizać się po twarzy. Najwyraźniej się lubili.

– Co tu się dzieje? – Sara usłyszała nagle zachrypnięty kobiecy głos. Spojrzała w stronę ganku. Stojąca w drzwiach starsza pani zmrużyła oczy, próbując rozpoznać niezapowiedzianego gościa. Policjantka wspięła się po kilku schodkach i stanęła naprzeciw byłej teściowej. Zabrakło jej słów, bo ledwo ją poznała. Barbara nie tylko się postarzała, co było normalną kolejną rzeczą, ale jej twarz stała się opuchnięta i ziemista. Powieki ciążyły jej niczym dwa wielkie

pęcherze wypełnione wodą, co prawdopodobnie było skutkiem wielogodzinnego płaczu. Była ledwie przytomna. – Kim pani jest?

– To ja, Sara. – Chciała powiedzieć „dzień dobry”, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Wydało jej się to bardzo nie na miejscu w obecnej sytuacji. Dla tej kobiety ani ten, ani żaden inny dzień nie będzie dobry. Ta kobieta właśnie straciła dziecko.

– Sara? – Barbara szukała w pamięci osoby, do której mogłaby przypisać to imię. Aż w końcu znalazła. – Co ty tu robisz?

– Wiem o wypadku Krzysztofa. Przyjechałam złożyć kondolencje. Bardzo mi przykro.

Wierzbicka spojrzała na posadzkę pod swoimi nogami i chwyciła się za klatkę piersiową. Wyglądała, jakby miała za chwilę się przewrócić albo zwymiotować.

– Wszystko w porządku? Może wejdziemy do środka? Usiądzie pani...

– Nie, nie. – Stanowczo odepchnęła ręce byłej synowej. – Odejdź, od dawna nie należysz do rodziny. Czego od nas chcesz?

Sara przełknęła te słowa. Wiedziała, czego można się spodziewać po matce Krzyśka, zwłaszcza teraz, po tym, co się stało. Kątem oka dostrzegła, jak Igor prowadzi psa przez podwórko na drugą stronę domu, gdzie zwierzak pewnie miał budę lub kojec.

– Chcę tylko... chciałabym... Wiem, że to trudne i jestem dla pani kimś obcym, ale byłam jego żoną. Chcę przyjść na pogrzeb. – Cedziła słowa, zdając sobie sprawę, jak bardzo muszą ranić kobietę stojącą naprzeciw niej.

– Nic już nie można zrobić. Nic. Krzysia już z nami nie ma. Moje dziecko... – Rozplakała się i oparła o ścianę.

– Proszę pozwolić sobie pomóc. Usiądziemy, napijemy się herbaty. Porozmawiamy – przekonywała Sara, ale kobieta tylko kręciła głową.

– To nie czas na rozmowy. Nie jestem na to gotowa.

– A co z żoną Krzyśka? Jak ona się czuje? Wiem, że spodziewali się dziecka.

Kobieta pociągnęła kilka razy nosem, wzięła głęboki wdech i opanowała płacz. Zdawała się na chwilę wyrwać z objęć rozpacz, jakby rozsądek nakazał jej przywołać się do porządku.

– Aldona jest w szpitalu. Nie wiadomo, co będzie z moim wnukiem. Wpadła w taką rozpacz, że jakieś komplikacje się porobiły, a to jeszcze za wcześnie na cesarkę. Chcą ją przetrzymać do rozwiązania. I dobrze, pod opieką będzie. Ja i tak jej pociechy w domu nie dam, ani ona mnie. Sama nie mogę się pozbierać. Tylko byśmy się wzajemnie pograżały w smutku. – Spojrzała na Sarę, tym razem łagodniejszym wzrokiem. – Skąd wiedziałaś, że Krzysiu...

– Dowiedziałam się przypadkiem. Przejeżdżałam przez Karczewo i na drodze zobaczyłam przewrócone auto.

– Jak to? Byłaś tam, na miejscu? – Sara dostrzegła przerażenie w oczach byłej teściowej. W odpowiedzi tylko kiwnęła głową. Chociaż odganiała wdzierające się w jej umysł wspomnienia z tamtego poranka, te wróciły nagłym przeblyskiem. Zmasakrowane ciało Krzyśka, jego twarz, która przypominała nieudaną woskową kopię żyjącego kiedyś człowieka.

– Nadal pracuję w policji. – Zmieniła temat. – Dzięki temu udało mi się zdobyć informację o waszym adresie.

– W policji. No tak. – Kobieta się zamyśliła, wlepiając wzrok w zielen własnego żywopłotu.

- Pani Barbaro, muszę o coś spytać. Czy Krzysiek miał jakieś kłopoty?

- A kto ich nie ma? - Na twarzy kobiety pojawił się grymas gorzkiego uśmiechu połączonego z wyrazem rezygnacji. - Kto ich nie ma...? - powtórzyła. - A jak człowiek za dużo ma problemów na głowie, to potem nie myśli o własnym bezpieczeństwie, o rodzinie, tylko jedzie jak szalony, na złamanie karku.

Znowu się rozplakała. Sara nie miała serca wypytywać jej o szczegóły z życia zmarłego syna. Na pewno nie w tym momencie. Pomyślała, że najbliższą okazją ku temu będzie pogrzeb, a raczej stypa, jeśli zostanie na nią zaproszona. Jeśli nie, będzie musiała sama się wprosić.

- Muszę się położyć. - Barbara, nie czekając na odpowiedź, cofnęła się do mieszkania, a gdy w drzwiach został jedynie wąski prześwit, Sara przytrzymała je i spytała rzutem na taśmę:

- Chwileczkę. Powie mi pani, kiedy pogrzeb?

- Jeszcze nie wiadomo. Prokurator powiedział, że będą robić sekcję... - Nie dokończyła. Słowo „zwłoki” w odniesieniu do syna nie chciało przejść przez jej usta.

- Chciałabym przyjść - powiedziała Sara stanowczo, a Barbara spojrzała na byłą synową spod byka. - Nasze drogi dawno temu się rozeszły, ale to był jednak mój mąż. Proszę nie kazać mi wyszukiwać informacji o pogrzebie w nekrologu.

- Nie będzie żadnego nekrologu. Nie mam do tego głowy - odpowiedziała kobieta i cofnęła się w głąb mieszkania.

Drzwi trzasnęły, a Sara została za nimi sama i bezradna. Rozumiała rozpacz matki, ale czuła też narastającą niechęć, która miała swój początek już na wstępie jej krótko trwającego związku z

Krzysztofem. Barbara nigdy nie pochwałała ich małżeństwa. Powtarzała, że Krzysiek jest za młody i powinien się najpierw wyszaleć, potem wykształcić, a nie pchać w zakładanie rodziny.

Sara otworzyła portfel, ale zorientowała się, że nie ma już wizytówek. Cofnęła się do samochodu, przezornie zastawiając furtkę sporym kamieniem, żeby się nie zatrzasnęła. Ze schowka nissana wyjęła notes i wyrwała jedną kartkę. Napisała na niej swój numer oraz prośbę o kontakt w sprawie pogrzebu, po czym wróciła na teren posesji byłej teściowej i wsunęła wiadomość pod drzwi.

Idąc z powrotem w kierunku samochodu, pomyślała, że jeśli chce uczestniczyć w ceremonii, powinna kupić coś odpowiedniego na taką okoliczność. Nie wypadało pokazać się w czerwonej, puchowej kurtce.

Z ulgą odpaliła silnik. Chciała jak najszybciej opuścić to smutne miejsce i znaleźć się w miasteczku, wśród ludzi. Choć na chwilę oderwać się od pochłaniającej ją przez ostatnie dni aury śmierci.

Odjeżdżając, zauważyła sylwetkę mężczyzny czającego się między wysokimi tujami. Igor stał nieruchomo, w rękach trzymając sekator. W bocznym lusterku Sara widziała, że nie spuszczał wzroku z seledynowego nissana, dopóki ten nie znalazł się poza polem jego widzenia.

Część druga

1.

Znajomi ostrzegali mnie, że pierwszy rok na biochemie jest w cholerę ciężki. Potem jakoś leci, ale początek to dramat. Nie bałam się tego. Chemia fascynowała mnie od zawsze i żalosne utyskiwania niewierzących we mnie rodziców, którzy sami niczego w życiu nie osiągnęli, nie powstrzymały mnie przed podjęciem studiów na tym kierunku.

Od kiedy pamiętam, starzy wymagali, żebym była perfekcyjna pod każdym względem, a nawet nieznaczne potknięcia kwitowali kazaniami i przytykami. Piątki w dzienniku ich nie zadowalały, czerwone paski na świadectwach też. Kiedy byłam najlepsza w klasie, chwyтали poprzeczkę i podnosili ją wyżej, tak że ledwo potrafiłam do niej doskoczyć. Miałam brać udział w konkursach międzyszkolnych, rejonowych, erasmusach i innych mało znaczących potyczkach. Próbowałam spełnić te oczekiwania, mając nadzieję, że w końcu usłyszę jakąś pochwałę. Ciągłe powtarzali, że uczę się dla siebie, nie dla nich. A ja odnosiłam zupełnie odwrotne wrażenie.

Kiedyś, gdy wracałam ze szkoły, zaczepiła mnie cyganka. Dałam jej jakieś drobne, a ona w zamian powiedziała mi, że w przyszłości będę dokonywać wielkich rzeczy, a świat odpłaci mi równie wielkim bogactwem. Oczywiście nie wierzyłam, że to prawdziwa przepowiednia, nie jestem głupia. Ale te słowa dały mi do myślenia. Miło było usłyszeć chociaż raz coś pozytywnego na swój temat,

choćby z ust nawiedzanej rromskiej kobiety, która pewnie plotła tę samą formułę każdej napotkanej osobie.

Sam proces uczenia się nie jest dla mnie trudny, gorzej z uzyskaniem materiałów źródłowych. Dzisiaj po raz kolejny się przekonałam, że zaopatrzenie uczelnianej biblioteki to istna paranoja. Sto pięćdziesiąt osób na roku musi walczyć o kilka egzemplarzy starych, rozpadających się książek.

Wchodzę do punktu ksero mieszczącego się na końcu długiego budynku, żeby skopiować całe dwa tomy, które udało mi się po znajomości wynieść z czytelni. Michał to bibliotekarz z powołania, a regulamin ma wyryty w odczytanej twarzy, jednak mój urok i podświadomy przekaz dający nadzieję na randkę za każdym razem wygrywają z jego nudnymi zasadami. Nie czuję się winna. Tak naprawdę nie mam wyjścia, muszę uciekać się do swoich kobiecych sztuczek. Przecież nie będę czytać i robić notatek na miejscu, kto by się w ten sposób potrafił skupić? Może jakiś przeciętniak, którego najwyższą ambicją jest wkucie wzorów na pamięć. Jeśli chce się w przyszłości odkrywać nowe sposoby na ratowanie świata, potrzeba przestrzeni i spokoju, żeby w pełni zgłębić najważniejsze tematy.

Na szczęście nie ma kolejki i tylko jedno urządzenie kopiujące jest zajęte. Drugie ksero czeka na moje książki. Podchodzę do niego i w tym samym momencie słyszę, jak dziewczyna obsługująca kasę krzyczy:

- Awaria! Musi pani poczekać.
- Jak to awaria? - pytam.
- Informacja jest przecież na urządzeniu. - Wystawia długi palec wskazujący zakończony jeszcze dłuższym tipsem w kolorze

neonowej zieleni. – Działa tylko to pod oknem. Jak się pani spieszy, to drugi punkt jest w budynku kolegium przyrodniczego.

– Zaczekam, właśnie dlatego, że się spieszę – odpowiadam plastikowej dziewczynie. Nie będę się wałęsać po całym kampusie w poszukiwaniu kserokopiarki, dopowiadam już w myślach. Nie zamierzam wdawać się w dyskusję z laską, dla której szczytem możliwości jest praca w obskurnym punkcie ksero i zarobienie kasy na doklejane rzęsy.

Rzucam jej pobłażliwe spojrzenie, po czym siadam na krzeselku pod ścianą, zakładając nogę na nogę. Matka zawsze powtarzała, że od tego dostaje się żylaków, ale nie umiem inaczej. To jedyna pozycja, w której czuję się pewnie i kobieco. Mam wrażenie, że wszechobecny smród rozgrzanego tuszu zniekształca zapach moich perfum. Jest mi z tym bardzo niekomfortowo. Facet w kamelowej marynarce, który korzysta z działającej kopiarki, zbytnio się nie spieszy, jakby był na świecie sam, a ja z minuty na minutę przesiąkam tym fetorem od stóp do głów. Niecierpliwie zerkam na zegarek, a potem z nudów przenoszę wzrok na jego pośladki opięte klasycznymi džinsami. Są całkiem spoko. Laska zza lady chyba też tak uważa, bo wlepia maślane gały w to samo miejsce, nie będąc w stanie skupić się na swojej robocie. Jeszcze trochę i oślini czyjaś pracę magisterską. Nie mogę na to patrzeć, więc otwieram książkę do chemii i przeglądam spis treści, a tipsiara zwraca się do mężczyzny:

– A pan doktor to na długo wyjeżdża?

– Tym razem aż na trzy tygodnie. Po konferencji w Atlancie chcę jeszcze skoczyć do stolicy, wyjątkowo trochę pozwiedzać.

- Będzie pan w Waszyngtonie? Łał, zawsze chciałam zobaczyć Statuę Wolności...

Jezu, niech ta idiotka się lepiej zamknie, bo skisnę. Z zaciekawieniem przenoszę wzrok na pana doktora, czekając na jego reakcję. Nie wyprowadza dziewczyny z błędu. Inteligentnie pomija jej ignorancję. Pewnie zdaje sobie sprawę, że byłaby to strata czasu i energii. W pełni go rozumiem. Jego głos jest miękki i ciepły, intrygujący. Z każdym wypowiedzianym słowem narasta we mnie chęć ujrzenia jego twarzy.

- Nie samą nauką żyje człowiek - sentencjonalnie odpowiada dziewczynie. - Czasem trzeba coś zrobić dla czystej przyjemności. - Zamyka temat, po czym zbiera wszystkie skopiowane kartki i podchodzi do lady, żeby zapłacić.

Wstaję z krzesła i zbliżam się do niego. Jakiś wewnętrzny głos podpowiada mi, że on nie może tak po prostu wyjść. Chcę, żeby najpierw na mnie spojrzał. Kiedy się odwraca, udaję potknięcie i wpadam na mężczyznę, wytrącając mu z rąk jeszcze ciepłe kartki, które lądują na lekko zabrudzonym gumoleum. Pan doktor patrzy na mnie zdziwiony, może nawet lekko poirytowany, ale zachowuje spokój i klasę.

Nie kojarzę go, chyba nie wyklada na moim wydziale. Wielka szkoda, bo jest po prostu idealny. Ma spojrzenie Toma Cruise'a. Jego oczy są wąskie, a ich zewnętrzne kąciaki lekko opadają w dół. Do kompletu dochodzi wyraźnie zarysowana szczeka. Tom Cruise, wypisz wymaluj, tylko ładniejszy. Dwie wyraźne bruzdy biegnące od nosa w stronę ust, a także seksowne zmarszczki na czole, pogłębiające się, kiedy unosi brwi, mogą świadczyć o tym, że ma za sobą czterdzieste urodziny. Mimo to wygląda lepiej niż niejeden

trzydziestolatek. Twarz ma ogoloną na gładko, tak jak lubię, i pachnie nienachalnie, ledwo wyczuwalnie, cedrowo.

– Przepraszam – mówię nieszczerze i rzucam się do zbierania kartek z podłogi.

– Nie szkodzi. W takiej ciasnocie nietrudno o zderzenie.

Kucamy naprzeciw siebie, a nasze kolana prawie się stykają. Wykładowca spogląda na mnie i zatrzymuje wzrok o jedną sekundę za długo. Przyjmuję to za dobrą monetę. Jestem zwolenniczką teorii, że podobne lgnie do siebie. Czuję, że jesteśmy podobni na wielu płaszczyznach. Zerkam na jego zadbane dłonie w wiadomym celu. Nie dostrzegam obrączki. To jeszcze o niczym nie świadczy, jednak na koncie doktora ląduje dodatkowy plusik.

Podnoszę z podłogi ostatnią kartkę, która okazuje się stroną tytułową jakiegoś naukowego opracowania. Pewnie na tę zbliżającą się konferencję w Stanach. Pospiesznie ogarniam wzrokiem tytuł i nazwisko autora: *Sztuczne nawadnianie lasów w dobie globalnych zmian klimatycznych* dr hab. Krzysztof Wierzbicki. Pan doktor taki młody, a już zdążył się habilitować. No, no, imponujące. I musi być dziany: podróże, konferencje, drogie ciuchy. Życie jak marzenie. Facet jak marzenie.

Studia zaczynają coraz bardziej mi się podobać.

Od dzisiaj mam nowy cel. I co najmniej trzy tygodnie na zastawienie pułapki. Przypominają mi się słowa matki, która powtarzała, że skoro nie wybrałam medycyny, powinnam nie pchać się na byle jakie studia, tylko szukać bogatego męża. Chcę zobaczyć jej minę, kiedy się dowie, że jedno nie wyklucza drugiego.

2.

Wnętrze budynku kolegium przyrodniczego jest niemal puste, co oznacza, że wykład już się zaczął. Po szachownicy płytek szura jedynie jakiś zakręcony chłopak z planem w dłoni, najwyraźniej szukając swojej sali. Dziwne, bo jest początek drugiego semestru. Nawet jeśli to pierwszoroczniak, powinien już wiedzieć, co i gdzie się znajduje. Możliwe, że przeniósł się z innego kierunku i, tak jak ja, jest tu po raz pierwszy.

Zdecydowanym krokiem podchodzę do auli. Mam nadzieję, że jeszcze trwa zamieszanie związane z zajmowaniem miejsc siedzących. Nie chcę się nadmiernie afiszować, a co gorsze – być zapamiętana jako spóźnialska. Choć z drugiej strony... Nieważne z jakiego powodu, liczy się, żeby zapaść w pamięć.

Naciskam klamkę i pcham ciężkie drzwi. Pierwsze, co widzę, to kilka rzędów drewnianych ław wygiętych w łuk, pnących się ku górze na kształt starożytnego amfiteatru. Wyłożone boazerią ściany zlewają się z nimi w kompozycję dominujących brązów. Pomieszczenie jest duże, mimo to ma w sobie coś kameralnego, może przez to drewniane wykończenie albo niewielką ilość dziennego światła, wpadającego przez wysoko umieszczone okienka. Prawie wszystkie miejsca są zajęte, lecz dostrzegam jedno wolne u szczytu sali.

Nagle słyszę znajomy męski głos, który próbuje przebić się przez panujący na sali szum, i dopiero wtedy spoglądam w stronę katedry.

Wierzbicki, tak jak podczas naszego pierwszego spotkania, ma na sobie niebieskie dżinsy, ale tym razem postawił na białą koszulę i marynarkę w delikatną kratkę. Krótko wita się ze studentami i zaczyna wykład. Rzuciwszy jakiś żart o pogodzie, płynnie przechodzi do tematu zmian klimatycznych.

Domykam drzwi najciszej, jak potrafię, i ponownie zerkam w stronę wykładowcy, który próbuje okiełznać stos własnych notatek. Unosi głowę i patrzy w moją stronę. Nasze spojrzenia się spotykają. Znów przez ułamek sekundy przesywa mnie to rozkoszne uczucie ekscytacji. Nic nie mówię, nie przeproszam za spóźnienie, zadzieram głowę i udaję się w kierunku wolnego miejsca.

Na przemian podnoszę prawą i lewą nogę, pokonując kolejne stopnie auli. Mam na sobie obcisłe cygaretki, które doskonale eksponują każdy łuk mojego ciała, od kostek aż po pośladki. Zdaję sobie sprawę z doskonałości swoich kształtów, wiem też, jak działają na mężczyzn. Wierzbicki zacina się w pół słowa, jakby coś nagle zmąciło mu jasność myślenia. Jestem prawie pewna, że powodem tego rozproszenia są moje kołyszące się biodra. I o to chodziło. Nie spieszę się. Gdy wreszcie siadam, ciąg wypowiedzianych przez wykładowcę słów powraca do normalnego rytmu.

– Zmiany klimatyczne to nieodzowny element otaczającego nas świata. Moglibyśmy odnieść się do tego tematu globalnie, ja jednak uważam, że na ludzką świadomość najbardziej oddziałuje to, co jest jej najbliższe. Skupię się zatem na naszym kraju i na ekosystemie, który stanowi około jednej trzeciej jego powierzchni, czyli na lesie. Jak już wcześniej mówiłem, nie tylko jestem związany z tą tematyką na poziomie naukowym, ale też czynnie działam, ratując to, co jeszcze da się uratować.

Wielkie czyny, wielkie słowa. Trochę się pan doktor przechwala i mam ochotę utrzyć mu nosa jakimś niewybrednym komentarzem, ale jeszcze przyjdzie na to czas. Czekając, aż skończy piąć peany na temat własnej wspaniałości i przejdzie do konkretów, zauważam promień słońca przeciskający się przez niewielki lufcik pod sufitem auli. Światło pada idealnie na profil Wierzbickiego, muskając kawałek jego czoła, policzka i schodząc w kierunku szyi. Mężczyzna delikatnie mruży oczy, ale nie ucieka od światła. Widocznie musi czuć przyjemne ciepło, a ja żałuję, że to za sprawą słońca, a nie mojego oddechu. Przez moment jestem bardzo blisko niego, tak blisko, że czuję spokojny puls na rozgrzanej słońcem szyi. Zatracam się w tej fantazji.

– Niszczycielskie zmiany wiążą się ze wzrostem zarówno temperatury, jak i częstotliwości anomalii pogodowych takich jak huragany, okresy suszy, pożary. Czy ktoś z państwa może jednym zdaniem określić, na czym polega efekt cieplarniany, lub też inaczej – szklarniowy?

Nie ma chętnych. Na sali zapada głucha cisza. Nagle widzę jedną niepewnie uniesioną rękę. Wierzbicki udziela głosu dziewczynie o bujnych lokach ze środkowego rzędu.

– Atmosfera otaczająca kulę ziemską działa jak wielka szklarnia. Zatrzymuje ciepło emitowane z zewnątrz, ocieplając klimat – odpowiada.

– Dokładnie. Dziękuję pani. Tyle że rolę szkła pełnią tak zwane gazy szklarniowe. Dzięki ich dużej zawartości w atmosferze energia cieplna jest zatrzymywana i magazynowana. Jest to zjawisko naturalne, bez którego temperatura na naszej planecie byłaby na

tyle niska, że nie byłoby możliwe życie. Jednakże w ostatnich dziesięcioleciach...

Mówi o prostych rzeczach, ale i tak trudno mi się skupić na wykładzie. Miejsce, które zajęłam, jest idealne. Mogę stąd swobodnie obserwować ruch warg Wierzbickiego i mimikę jego niebanalnej twarzy. Najbardziej lubię te momenty, kiedy żartuje, a potem nagle poważnieje, dotykając ważnych wątków. Jakby swoboda i beztroska ciągle w nim walczyła z powagą i dojrzałością.

– Leśnicy, z którymi od dawna współpracuję, wykorzystują bardzo wiele narzędzi geoinformacyjnych. Jednym z nich jest numeryczny model terenu.

Wierzbicki sięga po pilota i włącza prezentację. Na ekranie pojawia się mapa, na której teren podzielony jest na fragmenty w różnych kolorach. Wykładowca mówi o suszy, budowaniu sztucznych zbiorników, które mają zatrzymać jak najwięcej wody w lesie. Do pewnego momentu wszystko jest zrozumiałe, ale potem zaczyna rzucać statystykami i robi się nudno. Następnie przechodzi do omawiania populacji owadów, ptaków i ssaków leśnych. Od czasu do czasu udaje, że coś notuje.

– Odstrzały dzików, które w ostatnich latach przybrały wręcz znamiona eksterminacji gatunku, głównie za sprawą ASF, ale też zwiększona populacja wilków powodują, że tych pożytecznych ssaków z rodziny świniowatych jest w lasach jak na lekarstwo. Moim zdaniem to barbarzyństwo, i to nie jest punkt widzenia miłośnika zwierząt, chociaż za takiego się uważam, ale głównie ekologa, który w małej liczebności tego istotnego gatunku dostrzega kolejny ruch w stronę zapaści leśnego ekosystemu. Dlaczego? Bo tak znieawidzone przez rolników dziki mają dla niego zbawienny wpływ. Spulchniają

glebę, zjadają szkodniki drzew, które zimują w ściółce, i, najogólniej mówiąc, są niezbędne dla utrzymania równowagi. Barłogi, takie jak ten, w których przychodzą na świat młode, są niestety coraz rzadszym widokiem.

Wierzbicki przełącza prezentację na kolejny slajd. Na ekranie wyświetla się urocza rodzinka złożona z pasiastych warchlaków przyssanych do wielkiej lochy leżącej w legowisku wysłanym patykami i trzcina.

– W zbiorowej świadomości utarło się, że dzik jest dziki, czyli zły. A to nieprawda. Jest jednym z najbardziej inteligentnych, rozmownych i rodzinnych zwierząt. Owszem, locha wyczuwająca zagrożenie potrafi zaatakować, ale jest to zawsze próba wystraszenia potencjalnego napastnika, a nie czysta agresja z jej strony. Choć gdyby faktycznie zaszła taka potrzeba, pewnie nie cofnęłaby się przed niczym i poświęciła własne życie, żeby chronić młode. Jeśli są wśród nas matki, na pewno najlepiej zrozumieją, o czym mówię, prawda? – Uśmiecha się ledwo dostrzegalnie i rozgląda po sali. W odpowiedzi otrzymuje pomruk uznania nielicznych młodych kobiet, które zapewne wpisują się w target ostatniego pytania. Korzystając z chwilowego zamieszania, sięga po butelkę wody, odkręca ją i przykłada do ust. Patrząc w jakiś nieokreślony punkt na sklepieniu auli, zasysa płyn, który spływając powoli w dół przełyku, gasi jego pragnienie. Podczas gdy inni studenci rozluźniają się na chwilę, ja obserwuję grdykę pana doktora, która porusza się w górę i w dół. Nakręcam się i buduję w sobie coraz silniejsze pożądanie. Robię to celowo. Chociaż wiem, że mogę się zawieść, daję sobie duży odsetek szans na to, że jeszcze w tym semestrze pan doktor będzie mój. Statystyki nie kłamią, prawda, panie doktorze?

Wykład powoli zmierza ku końcowi, bo Wierzbicki podsumowuje i wyluszcza najistotniejsze zagadnienia, które pojawią się na kolokwium. Odchylam rękaw i patrzę na zegarek, nie wierząc, że minęło już dziewięćdziesiąt minut. Wielka szkoda. Wszystko ma swój koniec, chociaż, tak naprawdę, dla nas to dopiero początek.

Studenci zrywają się z miejsc i wylewają przez wielkie drzwi na zewnątrz auli. Ja się ociągam. Udaję, że spadł mi długopis. Schylam się, ukradkiem obserwując ostatnią wychodzącą osobę. Gdy zostaję z Wierzbickim sama, obserwuję go przez kilka cennych sekund. Pan doktor zbiera swoje materiały i zamyka laptop. Nagle nieruchomieje, patrzy na własną dłoń, zamyśla się. Wydaje się zupełnie kimś innym – nieodgadnionym, skrywającym jakąś tajemnicę. Niespodziewany sygnał wiadomości tekstowej wybija go z chwilowego zawieszenia. Patrzy na swoją komórkę, a ja wiem, że już czas, by się ujawnić.

Obciążam lekko bluzkę, żeby uwydatnić dekolt, i ostrożnie pokonuję schodki, zmierzając w dół auli. Chcę go zaczepić, ale nie bardzo wiem, co powiedzieć. Z trudem przyznaję, że jego osoba lekko mnie onieśmiela. A może to nie on jest przyczyną, tylko moja obawa, żeby nie wyjść na idiotkę, rzuciwszy jakiś mało wyszukany tekst? Mam tylko jedną szansę, by zrobić dobre pierwsze wrażenie. Jednak ostatecznie się nie decyduję, żeby podejść. Kieruję kroki do wyjścia, mając nadzieję, że on odezwie się pierwszy.

– Przepraszam! – słyszę, gdy chwytam za klamkę. Czuję potężny wystrzał dopaminy. – Pani chyba nie jest z pierwszego roku?

– Z pierwszego – udaję zaskoczenie – ale z innego kierunku. Jestem na biotechnologii.

Wierzbicki lekko unosi brwi.

- Czemu w takim razie zawdzięczam pani obecność na moim wykładzie?

Podchodzę do podwyższenia, na którym stoi wykładowca. W jego oczach dostrzegam prawdziwe zainteresowanie.

- Miałam okienko, a tak naprawdę... - robię nieśmiałą pauzę - interesuję się ochroną środowiska. Długo ze sobą walczyłam, który kierunek wybrać, jednak wygrała chemia. - Kłamię z satysfakcją, zakładając włosy za ucho. Mam nadzieję, że zapach perfum, którymi przed wykładem obficie skropiłam nadgarstek, dotarł do odpowiednich rejonów mózgu mojego rozmówcy. - Słyszałam też o osiągnięciach pana doktora, więc postanowiłam wzbogacić się o nową wiedzę. Przepraszam, chyba powinnam wcześniej spytać, czy mogę uczestniczyć w wykładzie... - Robię wielkie oczy, udając niedoinformowaną.

- Nie ma problemu! - Śmieje się, ukazując równe białe zęby, a jego oczy na moment zamieniają się w rozkoszne szparki. - To dla mnie wyróżnienie, kiedy ktoś przychodzi na mój wykład, mimo że nie musi.

Uśmiecham się w odpowiedzi i podaję mu dłoń. Wiem, że to niestosowne, bo tutaj jestem studentką, a on doktorem. Moja kobiecość schodzi na drugi plan. Jednak tylko formalnie. Przecież nikt nas nie widzi, a ja uwielbiam naginać zasady pod siebie i zamierzam mu to okazać. Teraz chcę być przede wszystkim kobietą.

- Do widzenia, panie doktorze. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś skorzystam z pana wiedzy i doświadczenia - mówię w taki sposób, żeby dwa ostatnie słowa zabrzmiały nieco dwuznacznie. Mam nadzieję, że to wyłapie, przynajmniej podprogowo. Pierwsza rozluźniam uścisk i wyslizguję rękę, próbując zatrzymać w pamięci

dotyk, ciepło, chropowatość męskiej dłoni. Lekko wiruje mi w głowie.

Wierzbicki wydaje się zdziwiony moją bezpośredniością.

– W takim razie zapraszam. Będę zaszczycony – odpowiada.

– Do zobaczenia.

Odwracam się i wychodzę sprężystym krokiem, jakbym wcale nie miała miękkich nóg. Z żalem zamykam za sobą drzwi i biorę głęboki oddech. Nie wiem, kiedy znów się spotkamy, ale jestem z siebie dumna. Zadanie wykonane w stu procentach.

3.

Teoria jest fascynująca, jednak zajęcia praktyczne to coś naprawdę wyjątkowego. W drugim semestrze mam już podstawową wiedzę, którą mogę wykorzystać w praktyce. Uwielbiam łączyć składniki, doprowadzać do ich reakcji i czekać na rezultaty. Czuję się wtedy jak bogini, która kontroluje niewidzialną dla oka i niezrozumiałą dla przeciętnego człowieka materię.

Z drugiej strony żyję nie tylko nauką i przez to ciężko mi się skupić. Nie widziałam Wierzbickiego od ostatniego wykładu. Minęło już sześć tygodni. Albo znowu gdzieś wyjechał, albo jest chory. Oby nie. Ciągle o nim myślę i nie zamierzam rezygnować. Poszłabym na jego zajęcia, lecz obawiam się, że nie stawiałoby mnie to w dobrym świetle. Wyszłabym na nadgorliwą małodatę. Kolejne spotkanie musi być czystym przypadkiem, przynajmniej w jego odczuciu.

Narzucam na siebie biały fartuch i wchodzę do laboratorium chemii organicznej razem z innymi studentami. Zajmuję miejsce przy stole z utensyliami, po czym wciągam gumowe rękawiczki, a na twarz zakładam maseczkę. Dziś będę się uczyć ekstrakcji i destylacji na przykładzie jednego z leków wykorzystywanych w anestezjologii.

Dokładnie słucham wskazówek asystenta i wykonuję je krok po kroku. Jestem bardzo podniecona, muszę kontrolować emocje, żeby czegoś nie spieprzyć. Moje ruchy są pewne i zdecydowane, a skupienie sięga zenitu. Co chwilę zerkam na tablet, który podpowiada kolejne kroki. Najmniejszy błąd będzie skutkował

porażką. Nie mogę na to pozwolić. Na małej wadze odmierzam składniki, które następnie wsypuję lub wlewam do wspólnego szklanego naczynia. Obserwuję. W pewnym momencie substancja zaczyna lekko syczeć, pienić się, buzować. Potem się uspokaja.

Pozostaje już tylko proces filtracji. Sięgam po stojak z łapą, zakładam bibułę filtracyjną w kształcie lejka, a pod nią ustawiam zlewkę o pojemności dwustu mililitrów. W mniejszej zlewce przechowuję powstałą wcześniej substancję. Wylewam ją powoli na bibułę, delikatnie mieszając szklaną bagietką. Lekko brązowa ciecz spływa strużką do naczynia, zmieniając się w krystaliczny produkt końcowy. W ten sposób własnoręcznie tworzę bazę Diazepamu.

Jako pierwsza z całej grupy podnoszę rękę na znak zakończenia czynności i z niecierpliwością czekam na asystenta, choć mam pewność co do pozytywnej oceny. Jestem właściwą osobą na właściwym miejscu. Dałam z siebie wszystko i zasłużyłam na nagrodę. Postanawiam, że po zajęciach pojedę do galerii i kupię sobie nową sukienkę.

Jednak na sprawdzenie wyników mojej pracy muszę jeszcze chwilę poczekać, bo zmierzającego do mnie asystenta zatrzymują otwierane drzwi, w których ukazuje się doktor Wierzbicki.

Moje serce uruchamia się nagle jak po zażyciu amfetaminy. Tak długo czekałam na nasze kolejne spotkanie i wreszcie do niego doszło. Żałuję tylko, że okoliczności nie sprzyjają nawiązaniu bezpośredniej interakcji. Białe fartuch i maska na twarzy bardzo to ograniczają, chociaż jednocześnie dają anonimowość, dzięki której mogę swobodnie obserwować Krzysztofa.

– Gdzie znajdę profesora Hoffmana? – pyta mój ulubiony wykładowca, wciskając głowę w uchylone drzwi. Na pewno wie, że

do laboratorium nie można wchodzić bez odpowiedniego ubioru. Wygląda i zachowuje się tak samo, jak go zapamiętałam: tryskający optymizmem, kontaktowy, charyzmatyczny. Musi być lubiany wśród studentów, a w szczególności wśród studentek.

– Jest na zapleczu, czeka na doktora Ziębę – odpowiada asystent.

Wierzbicki rzuca szybkie podziękowanie i zamyka za sobą drzwi. Przez przeszklenie widzę, jak przechodzi wąskim korytarzykiem. Mam wyjątkowe szczęście, bo moje stanowisko znajduje się tuż obok zaplecza, do którego zmierza, a drzwi do niego są uchylone. Słyszę, jak wita się z profesorem, i już po pierwszym zdaniu jestem w stanie stwierdzić, że łączą ich dość zażyłe stosunki.

– W końcu cię znalazłem. Dodzwonić się do ciebie nie można – zaczyna doktor z wyrzutem.

– Pewnie komórka mi padła. Nigdy nie pamiętam, żeby w porę naładować.

Wysilam całą uwagę, żeby usłyszeć każde słowo z rozmowy mężczyzn. Ignoruję nawet asystenta, który właśnie podchodzi w celu zabrania mojej zlewki do sprawdzenia. Coś do mnie mówi, a ja szybko przytakuję, żeby jak najszybciej sobie poszedł.

– Co ty tu w ogóle robisz? – pyta Wierzbicki nieco łagodniejszym tonem.

– Mam sprawę do Zięby.

– Wisi ci kasę czy co? Nie widzę innego powodu, żebyś z własnej woli zawitał na obcym wydziale.

– Nie tym razem. Sprawy służbowe, ściśle tajne. I cholernie nudne, lepiej nie pytaj.

– Pomyślałem, że może wybierzemy się w ten weekend do Kormorana, co ty na to? – Wierzbicki rzuca propozycję, a mi

przyspiesza serce. – Trochę byśmy powędkowali, popatrzyli na ptaki. Podobno dudek już wrócił, jest szansa strzelić kilka fotek. National Geographic nieustannie na nas liczy.

– Niemożliwe! – Mężczyzna najpierw się oburza, a potem śmieje pobłaźliwie. – Przecież dudek przylatuje w kwietniu.

– A dasz sobie rękę uciąć?

– No ba! Chyba zapomniałeś, z kim rozmawiasz.

– Z dziekanem Wydziału Przyrodniczego Uniwersytetu Rzeszowskiego.

– Dupa tam z dziekanem. Z ornitologiem hobbystą.

– Który niejednego ptaka już w życiu widział, co?

– Nie przedrzeźniaj mojej Marysi, dobrze? Ona, co prawda, nigdy nie rozumiała zamiłowania męża, ale jej wyjątkowo pozwalam na takie niewybredne docinki. I tylko jej, jasne?

– Dobra już, dobra. Ale skąd to zdziwienie? Przez większość życia badasz wpływ zmian klimatycznych na przyrodę, a teraz nagle wypierasz takie zjawisko, jak powrót ciepłolubnego ptaka o miesiąc wcześniej, niż miało to miejsce przez ostatnie lata. Brałeś może pod uwagę globalne ocieplenie? – pyta Wierzbicki z przekąsem. Oczami wyobraźni widzę, jak unosi się kącik jego ust, a oczy marszczą w szelmowskim uśmiešku.

Profesor milczy, trawiając słowa kolegi. Po chwili odzywa się zrezygnowanym głosem, jakby wszystko, czego do tej pory w swoim życiu dokonał, okazało się niewarte zachodu:

– Eh, bo nauka nauką, ale człowiek chyba podświadomie wypiera ten nowy porządek świata. Na starość to jakoś bardziej się myśli sercem i wspomnieniami, wiesz, jak to było dawniej. Kierowanie się logiką i wiedzą przez tyle lat potrafi zmęczyć.

- Coś w tym jest. - Doktor na moment zawiesza głos. - Ale teoretyzowanie nie rozwieje twoich wątpliwości, w tym przypadku mogą pomóc wyłącznie badania empiryczne. Zatem najbliższy weekend? Muszę odreagować ten wyjazd do Stanów.

- Odreagować? Czy ja o czymś nie wiem? Byłeś zadowolony. Mówiłeś, że wszystko poszło zgodnie z założeniami.

- Bo jestem zadowolony. To była jedna z najciekawszych i najbardziej prestiżowych konferencji, w jakich brałem udział. Wystąpienie poszło mi gładko, no i perspektywa wyjazdu tam na stałe robi się coraz bardziej realna. Ale wiesz, to ciągle napięcie, stres... Nawet tydzień w Waszyngtonie mnie nie zrelaksował. Chyba jestem przebodźcowany.

- Nie ma to jak jeziorko, rybki i las dookoła, co?

- Nie inaczej. Ale tylko w najlepszym towarzystwie. No i, przy okazji, chciałbym jeszcze obgadać z tobą parę spraw, tak na spokojnie. To jak będzie?

- Zobaczę, co uda mi się ugrać z Marysią. Ostatnio narzeka, że poświęcam jej mało czasu. Wiesz, jak jest. Najpewniej będę mógł się wyrwać na jedną noc, z piątku na sobotę, bo w niedzielę jest festyn z okazji odpustu, przyjeżdża sam biskup, rozumiesz, i moja małżonka uznała, że nie może nas tam zabraknąć. Ona toleruje moje ptaki, a ja jej zabobony. I tak już musi pozostać.

- No tak. W takim razie daj znać do końca tygodnia, żebym wiedział, ile zanęty kupić.

- Nie ma sprawy, Krzysiu. Rozliczymy się na miejscu. I nie zapomnij o browarku.

- A ty o aparacie. I naładuj komórkę.

Przez szybę widzę zmierzającego w stronę kantorka doktora Ziębę. Potem słyszę, jak panowie witają się na zapleczu, a Zięba przeprasza za spóźnienie. Wierzbicki wychodzi.

Krzysiu. Krzysztof. Kris.

Odmieniam w myślach imię pana doktora, wyobrażając sobie, jak będę się do niego zwracać w niedalekiej przyszłości. Wizualizacja jest bardzo ważna, pozwala osiągnąć założone cele, o czym już nieraz się przekonałam.

Tym razem mój cel jest o wiele bardziej złożony, powiedziałabym nawet, że stanowi spore wyzwanie. Wierzbicki nie ma być kolejną jednorazową zdobyczą, nie chcę go tak traktować. Jest dla mnie szansą na coś o wiele więcej. Muszę tylko złapać go na haczyk i uzależnić od siebie. Niby nic nowego, robiłam to już wielokrotnie. Wierzbicki to jednak duży kaliber, co mnie jeszcze bardziej nakręca. Facet o takim statusie społecznym, majątkowym, ze swoją wiedzą i inteligencją nie da się tak łatwo ujarzmić. A może właśnie się mylę? Może wystarczy znaleźć jakąś wyrwę w jego życiu i spróbować ją wypełnić?

Pan doktor ma całkowitą rację. Dość teorii, czas wziąć się za działanie. Tylko badanie empiryczne może rozwiązać moje wątpliwości.

Obserwuję go przez chwilę, zanim zniknie za drzwiami do głównego holu i przeżywam bolesne déjà vu objawiające się krótkim spotkaniem, a raczej jego namiastką, a potem zniknięciem Wierzbickiego z pola widzenia na długo, dopóki kolejny przypadek znów nie skrzyżuje naszych dróg.

Po chwili jednak dochodzę do wniosku, że tym razem może być inaczej. Wykładowcy spotykają się w najbliższy piątek nad jeziorem,

i to w miejscu, które dobrze znam. Niewykorzystanie tego faktu byłoby niewybaczalnym grzechem. Los w końcu się do mnie uśmiechnął, więc muszę to wykorzystać.

4.

Od dwóch godzin siedzę na werandzie jednego z domków letniskowych i czekam. Wynajęłam Cisa, tego zapyziałego z balustradą pomalowaną na zgniłą zielenią, bo znajduje się na samym końcu, w lekkim oddaleniu od pozostałych, a jego taras jest częściowo ukryty w zaroślach.

Nie chcę, by ktoś mnie zdemaskował. Z tego względu ubrałam się na sportowo, trochę niechlujnie, a włosy związałam gumką i upchnęłam pod bejsbolówką. Z samego rana na końcu tarasu ustawiłam wędkę. Oparłam ją o podpórkę i nawet nie wrzuciłam haczyka do wody. To tylko rekwizyt dla odwrócenia uwagi od powodu, dla którego naprawdę tu jestem.

Po terenie kręcą się dzisiaj różni ludzie. To pewnie pracownicy ośrodka, którzy powoli przygotowują go do sezonu. Sprawdzają instalacje w poszczególnych domkach, czyszczą kominki, a niektóre łódki i rowery wodne wymagające konserwacji – transportują do punktu serwisowego. Na szczęście omijają wynajęte już kwatery, co jest raczej logiczne. Nie można przecież niepokoić ludzi w czasie wypoczynku. Są to jednak pojedyncze domki, takie jak miejscówka Wierzbickiego i moja, znajdująca się na obrzeżach ośrodka.

Letnisko niemrawo budzi się do życia, ale jeśli chodzi o gości, o tej porze wciąż nawiedzają je wyłącznie całoroczni stali bywalcy, czyli zapaleni wędkarze. Większość z nich nawet nie wynajmuje domku. Po prostu przyjeżdżają wieczorem, przesiadują całą noc na

pomoście, a nad ranem wracają do cywilizacji. Nieliczni rozbijają namioty. Pierwsi „prawdziwi” turyści pojawią się dopiero na Wielkanoc, czyli za jakiś miesiąc.

Dawno temu spędzałam tu niemal każde wakacje i potwornie się nudziłam, bo ile razy można kąpać się w jeziorze albo bawić w podchody? Znam tutejsze ścieżki tak dobrze, że mogłabym przebiec się między domkami z zamkniętymi oczami, jak to robiłam nocą za dzieciaka, chociaż dzisiaj wszystko wydaje się jakieś mniejsze i beznadziejnie stare.

No i jest jeszcze jedna różnica – teraz zdecydowanie nie ma nudy, a to za sprawą mężczyzny, dla którego tu jestem. Gdy myślę o tym, co może się wydarzyć, z podniecenia ściska mnie w żołądku.

Letniak Wierzbickiego znajduje się przy samym brzegu jeziora. Nosi nazwę Wierzba. Kto by się spodziewał? Gdy zobaczyłam tabliczkę nad jego drzwiami, pomyślałam, że nawet fajnie to wymyślił, ale potem stwierdziłam, że jednak zbyt to oczywiste, wręcz pretensjonalne.

Dom jest ładnie utrzymany, ma drewniany taras i krótki pomost, na którym przez dwa ostatnie dni doktor wraz z profesorem wędkowali i grillowali, osuszając przy tym kolejne puszki z piwem. Nie rozstawali się też ze swoimi lornetkami. Zwłaszcza profesor co jakiś czas unosił sprzęt optyczny do oczu i, nie przerywając rozmowy, wpatrywał się w małą wyspę na środku jeziora. Najbardziej jednak zaciekawiła mnie stojąca przy domku metalowa wiata, coś w rodzaju garażu. Wierzbicki nie wjechał do niej autem. Zostawił je z tyłu, za domkiem. Jestem ciekawa, co takiego tam przechowuje. Możliwe, że rowery albo jakieś narzędzia.

Od wczoraj obserwuję Wierzbę z ukrycia i żałuję, że sama nie zaopatrzyłam się w lornetkę. Za pierwszym razem, kiedy Krzysztof pojawił się w ośrodku, nie poznałam go. Ubrany w szare spodnie dresowe i T-shirt zupełnie nie przypominał stylowego wykładowcy, chociaż bez spiny i tych wszystkich uczelnianych konwenansów, z jakimi musiał się na co dzień mierzyć, wyglądał jeszcze bardziej pociągająco. Zabrał ze sobą psa, który wiernie czuwał przy panu przez cały wieczór.

Towarzysz Krzysztofa, profesor Hoffman, miał dziś rano się zwinąć. Pewnie już pojechał. Zamierzałam wstać o świcie, żeby niczego nie przegapić, ale się nie udało. Zwyczajnie zasnęłam. Mam tylko nadzieję, że Wierzbicki nie wrócił do domu razem z profesorem, bo coś długo się nie pojawia na swoim tarasie.

Jest chłodno, więc owijam się szczelniej kocem i poprawiam na krześle. Biorę kolejny łyk kawy, wpatrując się w drzwi Wierzby, które wreszcie z wolna się otwierają.

Krzysztof ubrany jest w te same, co wczoraj, spodnie dresowe, bluzę i niebieski bezrękawnik. Zamyka drzwi i ziewa, nie zasłaniając ust. Musi czuć się bardzo swobodnie. Idzie przed siebie, po czym zatrzymuje się na końcu krótkiego pomostu, tuż nad samą wodą. Chowa dłonie w kieszeniach, a potem zastyga w bezruchu i patrzy gdzieś w dal. Widzę jego profil, ale dzieli nas zbyt duża odległość, żeby zgadnąć, czy wzrok mężczyzny skupia się na wodzie, czy może na drzewach po drugiej stronie jeziora.

Pan doktor zachowuje się zupełnie inaczej niż wczoraj podczas pogawędek z profesorem. Podobnie jak wtedy, gdy zostaliśmy sami w sali wykładowej. Wyczuwam identyczną energię, jakieś dręczące go ponure myśli. Wydaje się nieobecny, może nawet... smutny? Coś

trawi go od środka, jakby odezwał się w nim dawno niesłyszany ból, który daje o sobie znać wyłącznie wtedy, gdy w pobliżu nikogo nie ma.

Dobrze znam to uczucie, dlatego sylwetka człowieka, na którego właśnie patrzę, napawa mnie czymś więcej niż zauroczenie czy pożądanie. Tym też, owszem, ale nie tylko. Nie jestem pieprzoną nimfomanką. Mam wyższe uczucia i potrafię być jak lekarstwo, ale tylko dla kogoś bardzo mi bliskiego.

W tej chwili już wiem, że Krzysztof jest mi bliski, choć nie mam pojęcia, o czym myśli ani jakie ma problemy. Całą sobą pragnę do niego podejść, wziąć go w ramiona i powiedzieć, żeby się nie przejmował. Cokolwiek się w nim zepsuło, chcę to naprawić. Muszę jednak poczekać na stosowną okazję.

W pewnym momencie czuję, jak coś smyra moją dłoń zwisającą z oparcia krzesła. Mokry, ciepły dotyk każe mi oderwać wzrok od obserwowanego obiektu. Spoglądam w dół i widzę psa Wierzbickiego, który nieporadnie kręci tyłkiem, macha ogonem i łąsi się, oczekując czułości. Wygląda na staruszkę i chyba ma coś z biodrami, bo każdy krok sprawia mu wyraźną trudność. Szyję zwierzaka oplata ładna skórzana obroża z wypalonym imieniem – Angus.

Zastanawiam się, jak się tu znalazł. Pewnie jego pan nie domknął drzwi i pies niepostrzeżenie wymknął się z domku. Głaszczę go, jednocześnie przenosząc wzrok z powrotem na pomost Krzysztofa. Ale jego tam już nie ma. Teraz stoi na werandzie i ustawia coś w ręcznym zegarku. Potem ściąga bezrękawnik, rzuca go na pierwszy lepszy mebel i zaczyna biec w kierunku lasu.

W pierwszym odruchu myślę, że poranny jogging to idealna okazja, żeby przypadkiem wpaść na pana doktora gdzieś w dziczy, zwrócić na siebie uwagę udawaną kontuzją i nawiązać kontakt. Chcę się zerwać i pobiec za nim, ale po chwili uświadamiam sobie, że jestem totalnie nieprzygotowana. Nie mam odpowiednich butów ani stroju do biegania, a co gorsza nie nałożyłam jeszcze makijażu. Moje włosy też są w katastrofalnym stanie. Nie mogę się tak pokazać.

Patrzę na psa, który wciąż się łąsi, nie zauważając, że jego pan zniknął między drzewami. W tym momencie w głowie rodzi mi się szatański pomysł.

Wstaję z krzesła i zachęcam sierściucha, żeby wszedł za mną do domku, wołając go po imieniu. Gdy już jestem w środku, ten przystaje w progu i zerka na mnie podejrzliwie, a potem odwraca łeb w kierunku, z którego przyszedł, jakby nagle sobie przypomniał, że jest tu bez pozwolenia. Zanim czmychnie z powrotem na zewnątrz, szybko otwieram lodówkę i wyciągam z niej plaster szynki. Macham nim, żeby woń dotarła aż do drzwi. Potem kucam i wyciągam dłoń przed siebie. Wołam psa, a on niepewnie zaczyna zmierzać w moją stronę. Wreszcie chwyta przysmak i połyka go na jednego chapsa. Patrzy na mnie błyszczącymi oczami, prosząc o dokładkę, więc wyciągam całe opakowanie pokrojonej wędliny i kładę na podłodze. W czasie gdy pies zajmuje się pałaszowaniem, podchodzę do drzwi i ostrożnie je zamykam.

Pies jest zdany na moją łaskę. Teraz pozostaje czekać na powrót właściciela. Liczę na to, że Wierzbicki nie ma w planach maratonu i wkrótce wróci nad jezioro, a zaraz potem zacznie szukać włochatego przyjaciela. Mam też nadzieję, że psina wytrzyma przez ten czas bez nadmiernego ujadania. W międzyczasie robię szybki makijaż i

rozpuszczam włosy. Na koniec aplikuję ulubione perfumy – dobrze, żeby trochę wywietrzały, przechodząc w fazę serca, gdy stanę twarzą w twarz z NIM. Teraz jestem gotowa na spotkanie.

Nie mija więcej niż pół godziny, kiedy słyszę nawoływanie.

– Angus! Angus, gdzie jesteś?

Chętnie podpatrzyłabym go w akcji. Musi wyglądać uroczo, gdy jest zdenerwowany i przejęty. Niestety mój domek jest tak usytuowany, że przez okna nie widzę domku Wierzbickiego. Musiałabym wyjść na taras, ale wtedy pies wybiegnie za mną. Czekam jeszcze jakiś czas, a potem wyciągam pasek ze swojego satynowego szlafroka i przywiązuję go do obroży psa, tworząc w ten sposób prowizoryczną smycz. Angus chyba wie, co się święci, bo jego ogon chodzi na boki jak szalony.

Wychodzę ze zwierzakiem na zewnątrz, żeby oddać go właścicielowi. Idąc alejką usłaną szyszkami, wciąż słyszę, jak Krzysztof woła Angusa. W jego głosie wybrzmiewa frustracja i złość, zastanawiam się tylko, czy złości się na psa za to, że uciekł, czy bardziej na siebie samego za to, że go nie dopilnował. Trochę mi go szkoda, ale wiem, że im większa w nim narośnie obawa o pupila, tym bardziej będzie mi wdzięczny za jego odzyskanie.

Wierzbicki zauważa nas już z daleka i zrywa się, żeby odebrać swoją zgubę. Jest zdziwiony moim widokiem i całą tą sytuacją. Kiedy stoimy naprzeciw siebie na wyciągnięcie ręki, w ostrym świetle dnia zauważam wszystkie jego zmarszczki mimiczne oraz delikatną siwiznę na kilkudniowym zarostcie. Różnica wieku między nami staje się teraz wyraźniejsza, co uznaję za swój największy atut.

– Angus, bestio, gdzie ty łazisz? – Wierzbicki w pierwszej kolejności zwraca się do psa, jakby był zmieszany moją obecnością

w miejscu, w którym liczył na prywatność.

– Nie zapuścił się zbyt daleko, chociaż w jego wieku, to i tak niezła eskapada. Mam domek w północnej części ośrodka, tam, na samym końcu. – Wyjaśniam. Czuję się lekko urażona, że pan doktor wcale na mnie nie patrzy, ale postanawiam dać mu jeszcze chwilę, żeby nacieszył się odzyskaną zgubą. – Przyszedł do mnie na taras, więc wzięłam go do siebie, nakarmiłam, a potem usłyszałam, że ktoś go woła. No i jesteśmy. – Uśmiecham się promiennie, po czym podaję pasek od szlafroka Wierzbickiemu.

– Przepraszam. Musiał się wymknąć przez uchylone drzwi. Staruszek łązi własnymi drogami, a do tego ma już przytępione zmysły. Pewnie każdy domek dla niego pachnie i wygląda tak samo. Dziękuję... – dodaje zakłopotany.

– Nie ma sprawy. Dotrzymał mi towarzystwa. Dobrze się bawiliśmy, prawda, piesiu?

Schylam się, żeby pogłaskać Angusa, ale kątem oka widzę, że Krzysztof odwraca się w stronę Wierzby i zerka na zegarek. To oznaka zniecierpliwienia. Może umówił się z kimś i chce dzisiaj wyjechać. Oby nie. Najgorsze jest to, że on mnie chyba nie kojarzy. Nie pamięta naszego przypadkowego spotkania w punkcie ksero ani krótkiej rozmowy po wykładzie. A może tylko udaje?

– Przepraszam, za chwilę mam telekonferencję na Skypie. – Odwraca się i ciągnie Angusa za sobą. – Jeszcze raz dziękuję.

Odchodzi, a ja zostaję sama na środku zapyziałej alejki zapyziałego ośrodka Kormoran. W mojej głowie buzuje rozczarowanie. Szumi i pieni się boleśnie jak rana polana utlenioną wodą. Po chwili przeradza się we wściekłość. Schylam się, chwytam szyszkę i ciskam nią z całej siły o najbliższą sosnę.

5.

Stoję przy łazienkowym oknie i od godziny wpatruję się w jeden punkt. W miejsce, gdzie kilka godzin wcześniej rozmawiałam z Wierzbickim. Bezradność i brak pomysłów sprawiają, że nie mogę się ruszyć. Nie wiem, dlaczego tak tutaj tkwię. Chyba liczę na to, że Wierzbicki znowu pojawi się w zasięgu mojego wzroku. Po raz kolejny analizuję naszą ostatnią rozmowę, wyrzucając sobie, że nie poprowadziłam jej odpowiednio. Powinnam go bardziej zachęcić, może skłamać, albo poprosić o pomoc w ramach rewanżu. Jestem zła, tak cholernie na siebie zła, że mam ochotę krzyczeć.

Nie wiem nawet, kiedy zrobiło się ciemno, ale rezygnuję z włączenia światła. W mroku lepiej się myśli. Mam na sobie tylko satynowy szlafrok. Jest mi chłodno, ale ignoruję to uczucie, bo nie ono jest teraz ważne.

Próbuję wymyślić powód, dla którego mogłabym odwiedzić pana doktora w jego domku i nie wyjść przy tym na napaloną idiotkę. Wiem, że Krzysztof został w ośrodku na kolejną noc, bo przechadzając się późnym popołudniem, widziałam jego auto. Głupio mi było tak po prostu zapukać, zwłaszcza po tym, jak mnie zbył, kiedy odnalazł psa. Może faktycznie się spieszył, ale mógł chociaż zaprosić mnie na poranną kawę, albo zaproponować inny rodzaj podziękowania.

Słońce już całkiem zaszło, a ja nadal stoję jak betonowa statuetka. Zagryzam dolną wargę, czekając na olśnienie. Drzewa za

oknem zlewają się w jednolitą masę z otaczającą je przestrzenią. Gapię się w jeden czarny punkt i wciąż nie mogę odejść. Frustracja coraz mocniej ściska moje gardło, a do oczu napływają łzy bezradności. Tak bardzo chcę go mieć. Nie ruszę się z miejsca, póki czegoś nie wymyślę.

Nagle coś przyciąga moją uwagę. Dostrzegam nieregularne migotanie wśród sosen. Snop światła na zmianę rozświetla alejkę biegnącą między domkami i pojedyncze pnie drzew. Ktoś idzie w moją stronę. Chwytam za okienną ramę i zbliżam twarz do szyby, żeby widzieć wyraźniej. Zastanawiam się, kto i w jakim celu może łązić po ośrodku o tak późnej porze. Może to jakiś wędkarz, albo psychopata, szukający krwawej rozrywki. Uświadamiam sobie, że nie zamknęłam drzwi na klucz i czuję, jak gwałtowny przyływ strachu uruchamia szybsze bicie serca. Kiedy obserwowany obiekt pojawia się w jedynym oświetlonym przez księżyc miejscu, z mroku wyłania się sylwetka mężczyzny.

To Wierzbicki.

Moje serce wcale się nie uspokaja, tylko teraz już nie wali ze strachu, lecz z ekscytacji. Chociaż nie widzę twarzy, poznaję go po tym, jak się porusza. Światło jego latarki przeskakuje z domku na domek, widocznie Wierzbicki czegoś szuka. Albo kogoś. Tym razem nie chodzi o psa, bo nie słyszę, żeby go wołał. Kroczy w ciemnościach sam, powoli, jakby niepewnie.

Jest już całkiem niedaleko, kiedy wpadam na spontaniczny pomysł. Szalony, odważny i zahaczający o desperację, chociaż wolę myśleć, że to pewność siebie. Podciągam żaluzję do góry, odsłaniając całe okno, a potem idę zapalić światło w łazience. Wchodzę do małego pomieszczenia i zsuwam z ramion szlafrok, stając pośrodku

zupełnie naga. Padające z góry światło dokładnie uwypukla każdy aspekt mojego ciała. Przez chwilę udaję, że przeglądam się w lustrze, a potem otwieram szklane drzwi prysznic i wchodzę do przezroczystej kabiny.

Czuję na sobie wzrok Krzysztofa. Właśnie mu się oddaję, bez względu na to, czy on tego chce, czy nie. Naciskam pompkę w butelce z szamponem i nanoszę go na włosy. Prowadzę dłonie kolistymi ruchami, a kiedy piany robi się dużo, kieruję głowę pod słuchawkę prysznic i pozwalam białym bąbelkom spływać niżej. Rozmasowuję je po szyi i dekolcie, zjeżdżam w dół, zahaczając o sterczące z podniecenia sutki, docieram do brzucha i pośladków. Wiem, że Krzysztof mnie obserwuje, i wyobrażam sobie, że to nie moje, tylko jego dłonie ślizgają się po mokrym ciele. Robi mi się bardzo gorąco i najchętniej zostałabym tam jeszcze długo, ale kabinę zaczyna oblepiać mlecznobiała para. Zgaduję, że z zewnątrz widać już tylko niewyraźny zarys mojej sylwetki. Szybko otwieram przesuwne drzwi i wychodzę, żeby nie przerywać przedstawienia. Owiewa mnie nagły chłód, a sutki robią się twarde i bardzo wrażliwe. Sięgam po ręcznik, wycieram się. Dygoczę z zimna i podniecenia, wciąż analizując, czy to wystarczająca zachęta, żeby Krzysztof chciał wejść ze mną w bliższą relację.

Po chwili słyszę pukanie. W pierwszym odruchu patrzę w łazienkowe okno, ale nie stamtąd dobiega dźwięk. Moje serce zaczyna pompować krew tak szybko, że robi mi się słabo. Narzucam szlafrok i wchodzę do dużego pokoju. Delikatnie uchylam drzwi wejściowe, za którymi widzę twarz Krzysztofa. Wygląda, jakby dostał obuchem w głowę. Patrzy na mnie mglistym wzrokiem i nie może

wydusić słowa, co oznacza, że brał czynny udział przynajmniej w części mojego przedstawienia.

– Przepraszam, że przeszkadzam o tej porze – odzywa się wreszcie – ale mam coś, co należy do pani. Chciałem go zwrócić wcześniej, niestety telekonferencja mi się przedłużyła, a potem... zapomniałem.

Wyciąga przed siebie dłoń dzierżącą satynowy pasek. Tymczasem ja przytrzymuję poły szlafroka na wysokości piersi, żeby nie rozeszły się na boki. Jeszcze nie teraz, wszystko w swoim czasie.

– Proszę wejść – mówię zachęcająco. – Jest zimno, a ja mam mokre włosy.

Uchylam szerzej drzwi, wpuszczając go do środka. Kiedy mnie mijają, czuję ogromną elektryzującą energię, która pojawia się między nami, a potem spływa wzdłuż mojego kręgosłupa i zagnieżdża się przyjemnym mrowieniem między nogami. Krzysztof robi kilka niepewnych kroków, po czym zatrzymuje się przy kanapie. W pokoju jest ciemno. Jedyne światło dobiega z kominka, który już powoli dogasa. Odbija się pulsującym blaskiem od naszych sylwetek, tworząc na ścianach teatrzyk światłocieni.

Wierzbicki odwraca się do mnie i znowu wyciąga dłoń z paskiem, opuszczając wzrok z moich oczu na przestrzeń między piersiami, którą niby to nieświadomie uwydatniłam.

– Nie byłem pewien, czy panią znajdę.

Na chwilę zapada niezręczna cisza. Niezręczna dla niego, ja buduję w ten sposób napięcie.

– Trzeba było zaczekać do rana. To tylko pasek od szlafroka. Tak bardzo go nie potrzebuję – mówię coraz ciszej, coraz bardziej zalotnie, a potem puszczam uchwyt, który dzierży poły szlafroka,

pozwalając satynie na utworzenie niewielkiej szczeliny biegnącej wzdłuż mojego ciała, od szyi aż po stopy. Wyłączam myślenie, pozwalam instynktowi działać. Robię dwa kroki naprzód, chwytam końcówkę paska, który wciąż jest w dłoni Krzysztofa i zaczynam przyciągać go do siebie. Patrzę prosto w jego wąskie oczy. Nie mrugam. Hipnotyzuję go wzrokiem. A on wcale nie protestuje, posłusznie poddaje się transowi.

– Nie pamiętasz mnie? – mówię mu prosto w usta, kiedy dzielą nas już tylko centymetry.

– Pamiętam – odzywa się dopiero po chwili. – Dlatego nie powinienem...

– Co masz na myśli? – droczę się, ledwie muskając jego suche wargi.

– Jesteś studentką, ja wykładowcą – mówi, a ja chłonę jego oddech.

– Czy to jest niezgodne z prawem? Oboje jesteśmy dorośli.

Przylegam do niego, delikatnie się ocierając. Krzysztof śmieje się nerwowo, chcąc ukryć swoje zmieszanie i podniecenie, które wyczuwam już nie tylko na jego rozpalonej skórze.

– To jest niezgodne z...

Nie pozwalam mu dokończyć. Zamykam usta Krzysztofa swoimi, a potem wdzieram się coraz głębiej, szukając jego języka. Przez chwilę jest bierny, jednak szybko ulega. Rzuca się na mnie z mocą mężczyzny, który dawno nie zaznał rozkoszy kobiecego ciała. Lśniący materiał skrywający moje wdzięki opada na podłogę po raz kolejny tego wieczora. Mam nadzieję, że tym razem pozostanie tam na dłużej.

6.

Muszę przyznać, że domek Krisa wygląda o wiele lepiej niż ten, w którym po raz pierwszy się zatrzymałam. Znajdują się tu podobne sprzęty, mające spełniać te same funkcje, a jednak ich wysoka jakość od razu rzuca się w oczy. Błat kuchennego aneksu lśni imitacją ciemnego marmuru. Stoi na nim miseczka z twardymi karmelkami o smaku kawy i pistacjami w łupinkach. Poza tym w kuchni wieje pustką. Właściciel Wierzby jest minimalistą. Wie, co dobre, i tylko na tym się skupia. Nie rozdrabnia się i nie idzie na kompromisy, przez co podoba mi się coraz bardziej. Szafy i komoda wyglądają, jakby były robione na zamówienie, a duża kanapa ustawiona naprzeciw kominka rozkłada się w wygodne, szerokie łóżko, którego nie opuszczamy od wczorajszego popołudnia.

Wierzbicki leży na plecach, ma zamknięte oczy, ręce grzecznie schowane pod puchową kołdrą, a jego klatka piersiowa unosi się i opada miarowo. Przekręcam się na brzuch i podpieram na łokciach, unosząc głowę w taki sposób, żebym mogła go po cichu obserwować. Doskonale widzę każdy skrawek jego twarzy, każdą zmarszczkę i włoszek w zaroście. Zauważyłam, że Kris zwykle dba o to, żeby jego twarz była idealnie gładka, jednak gdy spędzamy razem dwa lub trzy dni nad jeziorem, odpuszcza sobie codzienny rytuał golenia. To znak, że czuje się przy mnie dobrze i nie próbuje niczego udawać, a co najlepsze – zaczyna kojarzyć nasze wspólne chwile nie tylko z doznaniem cielesnym, ale też ze swobodą, stanem, który

rzadko się pojawia w jego napiętym i stresującym życiu. I muszę przyznać, że nawet mnie kręci ten jego kłujący język.

Nie musiałam zbyt wiele robić, żeby go w sobie rozkochać. Na szczęście się okazało, że doktor Wierzbicki obecnie nie jest w związku, więc nie muszę o niego z nikim rywalizować. I bardzo dobrze. Przeszło mi przez myśl, że to mogłoby być nawet ekscytujące, ale z drugiej strony, to nie ja mam walczyć o niego, tylko odwrotnie. Kris nie chce też mówić o swoich dotychczasowych, nawet tych przelotnych, kontaktach z kobietami. Gdy zaczynam dopytywać o jego czasy studenckie, pierwsze miłości i inne takie, szybko zmienia temat, jakby miał coś do ukrycia, albo nie chciał wracać pamięcią do nieprzyjemnych przeżyć. Myślę, że kogoś miał, pewnie się rozczarował i dlatego wybrał ścieżkę singla. Mam wrażenie, że całkowicie poświęcił się pracy naukowej.

Do Wierzby przyjeżdżamy w każdy weekend. Krzysiek jest wspaniały, chociaż w łóżku mógłby dawać z siebie więcej. Na razie przysmykam na to oko, bo samo obcowanie z jego zadbanym męskim ciałem daje mi wystarczająco dużo satysfakcji. Czuję pewien dystans z jego strony, jakby nie chciał do końca się otworzyć na nasz związek. Zawarliśmy umowę, że nie będę już przychodzić na jego wykłady, żeby go nie rozpraszać, więc na uczelni widzimy się bardzo rzadko, a jeśli już, to tylko przypadkiem, udając, że się nie znamy. Jest to dość trudne, ale też niesamowicie podniecające.

Opieram ciężar ciała na jednej ręce, a drugą unoszę, żeby dotknąć szorstkiego policzka mojego mężczyzny. Mam ochotę na powtórkę porannego seksu, chociaż to byłby już trzeci raz, a jeszcze nie minęła doba, od kiedy zamknęliśmy za sobą drzwi letniaka. Kris nie reaguje na mój dotyk, musiał twardo zasnąć. Nic dziwnego po

tak intensywnej nocy. Dam mu jeszcze chwilę, chociaż zaczynam się już nudzić tym beczynnym leżeniem. Nie lubię zbyt długiej bierności.

Odrzucam kołdrę i zwlekam się z łóżka. Sięgam po koronkowe majtki leżące na krześle obok i wciągam je na wypadek, gdyby Kris się przebudził. Zakładam też bawełniany top odsłaniający mój płaski brzuch, na który tak ciężko zapracowałam, a na ramiona narzucam męską bluzę. Nie chcę, żeby kochanek oglądał moją nagość poza łóżkiem. Byłby to pierwszy krok do rutyny, która prędzej czy później wkrada się w każde znudzone sobą małżeństwo. Przynajmniej tak to sobie wyobrażam. Płomień należy rozpalać powoli, delikatnymi podmuchami, a potem podsycać i utrzymywać jak najdłużej. Czasem nawet lepiej rozstać się na jakiś czas, żeby wrócić z tęsknotą i podwójnie silną namiętnością. Niewiele kobiet to potrafi. Na szczęście należę do jednego procenta ludzi świadomych, jak wpływać na pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć, żeby utrzymać się na szczycie.

Podchodzę do aneksu kuchennego, nalewam wodę z dzbanka filtrującego do pękatej szklanki i opróżniam ją na raz. Nie ma to jak czyste H₂O. Nawodnienie jest najważniejsze dla utrzymania zdrowego, młodego wyglądu. Na kawę jeszcze dzisiaj przyjdzie czas. Odstawiane na blat szkło wydaje głośny dźwięk, ale Kris nie reaguje, śpi jak zabity. Wzdycham ciężko i postanawiam zwiedzić drugi pokój, który dotąd zawsze ignorowałam, ponieważ Krzysiek urządził w nim małą graciarnię. Jakoś szczególnie mnie tam nie ciągnęło.

Pokój jest mniejszy od salonu, ale również przestronny. Oprócz łóżka, na którym pewnie gościnnie sypiał profesor, widzę szafę z przesuwными drzwiami i starą komodę, za którą tkwią niedbale

oparte o ścianę w pełni uzbrojone wędki z poplątanymi żyłkami. Firanka w oknie wygląda tak, jakby od wielu lat nie zaznała prania, a w górnym narożniku pokoju, tuż przy suficie, pręży się pokaźna pajęczyna. Wzdrygam się na myśl o jej właścicielu, nie znoszę pajaków. Widać, że domek należy do samotnego mężczyzny, który praktyczność wnętrza stawia ponad jego estetykę.

Otwieram szafę. Poza parą kaloszy i jakimś starym płaszczem w kolorze bakłażana nic w niej nie ma. Resztę ubrań Kris trzyma w dużym pokoju. Bardziej ciekawi mnie zawartość zabytkowej komody. Przejeżdżam palcem po jej powierzchni i z niesmakiem odkrywam grubą warstwę kurzu. Nachylam się nad meblem, po czym otwieram drzwiczki. W bocznych skrzydłach znajduję poskładane w kostkę ręczniki i zapasową pościel. Nic ciekawego. Otwieram kolejno wszystkie szuflady, zaczynając od tej umieszczonej najwyżej. Są w nich jakieś faktury, karta wędkarska, mało znaczące bibeloty. Rozglądam się w poszukiwaniu czegoś, co przykuje moją uwagę, może jakichś książek, czasopism... Tak naprawdę nie wiem, jakie Kris ma zainteresowania poza swoją pracą, czego słucha, przy czym odpoczywa. Spotykamy się już siódmy raz, nie mówiąc o całej masie pikantnych, a czasem romantycznych wiadomości wymienianych w okresie, gdy musimy pozostać rozdzielni, a on ciągle jest dla mnie zagadką. Do tej pory mi to nie przeszkadzało, ale chyba zaczęła się we mnie odzywać zwykła ludzka ciekawość.

Gdy otwieram ostatnią szufladę, tę na samym dole, moim oczom ukazuje się jedwabny wielobarwny materiał. Jego drobny wzór kojarzy mi się z hinduskim strojem. Wygląda jak chusta albo sukienka, z pewnością nie stanowi części męskiej garderoby.

Zaintrygowana, chcę rozwinąć tkaninę, ale tuż pod nią wyczuwam coś twardego. Ostrożnie próbuję wymacać, co to może być, a potem chwytam za kanciasty przedmiot, unoszę razem z otulającym go materiałem i zanoszę na łóżko. Pod hinduskim wzorem znajduję sporych rozmiarów drewniane pudełko zamknięte na małą kłódkę. Szarpnię ją, mając nadzieję, że to tylko imitacja, coś w rodzaju ozdoby, jednak mechanizm okazuje się jak najbardziej prawdziwy. Narasta we mnie ciekawość i niesamowita irytacja. To pudło z pewnością nie jest puste, zbyt dużo waży. Potrząsam nim, ale zawartość nie wydaje żadnych odgłosów.

– Co robisz? – mówi Krzysiek, który nie wiadomo, kiedy pojawia się w drzwiach małego pokoju. Ma na sobie tylko szare dresowe spodnie, bo bluza od kompletu spoczywa na moich ramionach.

– Nudzę się, kiedy tak długo śpisz. Powiedziałeś, że mam nie wychodzić na zewnątrz, a ja nie wiem, co ze sobą zrobić. Czy ten areszt domowy naprawdę jest konieczny?

– Już o tym rozmawialiśmy i myślałem, że zrozumiałaś.

– Może chociaż przeplniemy się motorówką, co? Na środku jeziora nikt nas nie zobaczy.

– Skąd wiesz, że mam motorówkę?

– Byłam ciekawa, co trzymasz w swoim tajnym garażu. Nie chciałeś mi powiedzieć, więc wczoraj sama do niego zajrzałam.

– Niegrzeczna dziewczynka. – Grozi mi palcem.

– To jak będzie? Pośmigamy trochę przed wyjazdem?

– Skarbie, jest początek sezonu, w ośrodku pojawia się coraz więcej ludzi. Nie chcę się afiszować, ktoś mógłby mnie tu rozpoznać.

– Wstydzisz się mnie?

– Naprawdę myślałem, że nie będę musiał tego znowu tłumaczyć.

– Nie musisz, sama powtórzę materiał z ostatnich zajęć: jestem studentką, a ty wykładowcą. I co z tego? Mam dziewiętnaście lat. Mogę kupować alkohol, wybierać rząd w tym kraju i bzykać się, z kim mi się żywnie podoba. Poza tym nawet nie mam zajęć na twoim wydziale.

– Już ci tłumaczyłem, że nie chodzi tylko o uczelnię. Jestem tu radnym, a polityka, to stąpanie po cienkim lodzie. Mieszkańcy Karczewa i okolic mnie wybrali, bo kojarzą moją osobę z działaniem na rzecz ich małej miejscowości. A jeśli się wyda, że mam romans z tak młodą dziewczyną, zaczną gadać, siać ferment. Wiesz, jak to działa. Poza tym jest duża szansa na wyjazd do Stanów, na który pracowałem latami, między innymi właśnie budując tę reputację. Na moim życiorysie nie może być żadnej rysy. Jeśli teraz spierdołę jakimś głupim posunięciem, będę mógł zapomnieć o przeprowadzce za ocean. A przecież mówiłaś, że chcesz jechać ze mną, prawda?

– Więc chodzi tylko o mój wiek? – Udaję nierozgarniętą. Od początku naszej znajomości jestem w jego oczach naiwną, napaloną dziewczyną, której można wcisnąć każdy kit. I na razie tak pozostanie. Tylko idiotka odkryłaby wszystkie karty od razu. A ja chcę mieć kontrolę.

– I o to, że poznaliśmy się w szkole.

– Czyli jednak chodzi o durną uczelnię.

Kris wzdycha i przewaraca oczami.

– Chodzi o wszystko naraz. Umawialiśmy się na trzymanie tego w sekrecie, przynajmniej do czasu, gdy pewne sprawy wskoczą na właściwy tor. A ty stwierdziłaś, że takie ukrywanie się jest nawet ekscytujące. Nie pamiętasz?

– Pamiętam. – Wykrzywiam usta niczym nadąsane dziecko i milknę na chwilę, budując dramatyzm. W oczach Krisa widzę wyczekiwanie i niepewność, jakby obawiał się, że chcę to wszystko zakończyć właśnie teraz. Gra pewnego siebie człowieka sukcesu, ale w głębi jest małym, niedocenionym chłopcem, który potrzebuje akceptacji i podziwu. – Ale być nad jeziorem i nie móc się poopalać, to prawdziwa zbrodnia.

– Poopalasz się w swoim czasie, na Florydzie. Jeszcze zatęsknisz za cieniem. Daj już spokój i odłóż to, proszę.

Kris nie patrzy teraz na mnie, tylko na pudełko, które wciąż leży na moich kolanach. Jest spięty, jakbym trzymała niezabezpieczony ładunek wybuchowy.

– Odłożę, jeśli powiesz, co jest w środku – mówię zaczepnie.

– Nic ważnego – odpowiada, a ja wiem, że kłamie. Nie przechowuje się nieważnych rzeczy w pudełku zamkniętym na kłódkę. – Jakies stare zdjęcia, pamiątki ze szkolnych czasów, takie sentymentalne gówna, które się trzyma, nie wiem po co.

– Ciężko je wyrzucić, bo to furтка do przeszłości, do tego, jacy byliśmy i już nigdy nie będziemy. – Uśmiecham się w zamyśleniu, udając, że doskonale go rozumiem.

– Czasem lepiej zapomnieć – stwierdza i znów poważnieje, jakby na moment przeniósł się myślami do własnej przeszłości.

– A ja bym chciała zobaczyć młodego pana Wierzbickiego. No, pokaż chociaż jedno zdjęcie. – Nie daję za wygraną, potrząsając pudełkiem.

– Nie ma na co patrzeć, ja przecież ciągle jestem młody.

Kris podchodzi do łóżka i zabiera mi tajemniczy przedmiot. Niedbale owija go hinduską chustą i odkłada tam, skąd go wyjęłam.

Potem zamyka nogą szufladę, podnosi mnie bez słowa za rękę, stawia pod ścianą i mocno całuje. Zdecydowanie chce odwrócić moją uwagę od tego znaleziska i w końcu mu się udaje.

Rozłożysta męska dłoń wdziera się pod moją koszulkę, niecierpliwie wyszukując krągłości. Kris mruczy jak kocur, kiedy orientuje się, że nie założyłam stanika. Po moich żyłach rozlewa się fala noradrenaliny, a wszystkie wrażliwe strefy zaczynają mi pulsować w rytmie naszych oddechów. Wciąż nie mogąc oderwać od siebie warg, przetaczamy się do dużego pokoju. Po drodze strącamy lampkę z nocnej szafki.

Nie tak szybko, proszę go w myślach i celowo zwalням ruchy. Chociaż raz zrobmy to powoli. Ale on nie odczytuje mojego przekazu. Mijamy rozgrzebane łóżko i zatrzymujemy się przy kuchennym aneksie.

Zrywa ze mnie majtki, brutalnie odsuwa z blatu brudne szklanki i sadza mnie na zimnej imitacji marmuru. Potem zsuwa ze swoich pośladków spodnie i przylega do mnie, rekompensując wcześniejsze niedogodności ciepłem własnego rozpalonego ciała.

Wypełnia mnie sobą. Przez chwilę czuję ostry ból, ale nie przerywam zbliżenia. Obejmuję Krisa nogami i zaciskam zęby, bo wiem, że nieprzyjemne uczucie zaraz minie. W rewanżu wbijam paznokcie w plecy kochanka. Niech też trochę pocierpi, chociaż nie wiem, czy w tym dzikim uniesieniu w ogóle coś poczuje.

Nie znoszę uległości, ale muszę chwilowo udawać. Przynajmniej do czasu, gdy zdobędę pewność, że pętla, którą zarzuciłam na szyję Krisa, oplata go wystarczająco mocno, by nie mógł się z niej wydostać. Jeszcze trochę i to on będzie spełniał moje fantazje. Będzie o mnie błagał, jak heroinista o biały proszek, a ja wtedy

zniknę i pojawię się dopiero, gdy uznam to za stosowne. Każda minuta bez mnie będzie dla niego koszmarem. Przekona się, jak smakuje prawdziwa miłość.

Kris porusza się coraz szybciej i mocniej. Kończy w momencie, gdy ja dopiero zaczynam odczuwać przyjemność.

7.

Nie dam rady jechać na uczelnię, chociaż dzisiaj mam ważne kolokwium. Od dwóch dni męczą mnie straszne mdłości. Wiszę nad kibelem, ale nic nie chce się ze mnie wydostać. Nienawidzę rzygać, jednak teraz dałabym wszystko, żeby móc puścić porządnego pawia, byle tylko poczuć ulgę.

Zerkam na leżący na pralce przedmiot, który ma rozstrzygnąć o moim dalszym życiu. Podłużny prostokąt z okienkiem, w które boję się zajrzeć, chociaż powinnam, bo minęło już pięć minut, odkąd wypełniłam je kroplą moczu.

Wiem, że przed tym nie ucieknę. Siadam na brzegu wanny i chwytam za test. W tym samym momencie rozlega się pukanie do drzwi łazienki.

– Długo jeszcze? Siedzisz tam od rana!

– Zaraz wychodzę! – krzyczę wściekle, bo stary nie wie, jak ważną chwilę właśnie zaburza swoim wtargnięciem.

Patrzę w dół i widzę dwie kreski.

Ta druga nie jest tak wyraźna, jak pierwsza. Ale jest. Mrugam oczami, a potem wyteżam wzrok, jakby miało to spowodować jakąś zmianę.

Myślę o tym, żeby powtórzyć test, bo może coś zrobiłam źle, ale po chwili dochodzi do mnie, że to tylko pobożne życzenia. Klasyczne wyparcie. Druga kreska informująca o obecności gonadotropiny kosmówkowej, wytwarzanej najpierw przez sam zarodek, a potem

przez łożysko, nie miałyby prawa się pojawić, gdyby nie doszło do zapłodnienia. Chemia nie kłamie.

Jestem w ciąży.

Część trzecia

1.

Sara nie mogła już znieść biernego czekania. Mijał drugi dzień od rozmowy z Barbarą Wierzbicką, a wiadomość o dacie pogrzebu wciąż do niej nie dotarła. Nawet specjalnie wybrała się do Karczewa po lokalną gazetę, żeby przejrzeć nekrologi, jednak nie znalazła między nimi nazwiska byłego męża. Na policji nie chciała się pokazywać, to byłoby zbyt ryzykowne. Od dwóch dni siedziała jak na szpilkach i nie wiedziała, co robić.

Zanim wróciła do ośrodka, kupiła sobie trochę prowiantu, żeby nie umrzeć z głodu na tym odludziu. W drodze powrotnej skusił ją szyld jednego ze stawów hodowlanych głoszący, że tu sprzedaje się najlepszego świeżego pstrąga. Zatrzymała się więc i zjadła smażoną rybę z frytkami na miejscu.

Po powrocie do ośrodka wrzuciła zakupy do lodówki, skorzystała z toalety, po czym stwierdziła, że wybierze się na spacer, żeby jakoś wypełnić czas. Na wszelki wypadek wyjęła z szuflady glocka, umieściła go w kaburze pod kurtką i udała się do lasu.

Doszła do głównej alejki Kormorana z dwóch stron otoczonej sosnami. Przechodziła obok kolejnych domków w uśpieniu czekających na swoich lokatorów, czytając nazwy, które była w stanie dostrzec: Świerk, Kasztanowiec, Platan, Buk. Na samym końcu ośrodka znajdował się Cis, letniak z zieloną balustradą ukryty w zaroślach i wyraźnie zaniedbany. Pewnie przez marną lokalizację

nie cieszył się wśród turystów zbyt dużym powodzeniem. Minęła go i opuściła ośrodek, wchodząc do lasu przez starą metalową furtkę.

Było późne popołudnie, słońce wisiało nisko, a temperatura powietrza wyraźnie spadała. Sara przyspieszyła kroku, żeby się nieco rozgrzać. Pod względem fizycznym czuła się już całkiem dobrze. Przeziębienie ustąpiło, chociaż pozostawiło po sobie lekki kaszel i osłabienie. Wiedziała, że musi to rozchodzić, aby pobudzić układ odpornościowy do działania, a co by nie mówić, okoliczności, w jakich się znajdowała, bardzo sprzyjały spacerom. Szła więc przed siebie w bliżej nieokreślonym kierunku i, choć już trochę bolały ją nogi, nie spieszyła się z powrotem do dusznego domku. Oddychała świeżym, leśnym powietrzem, wypuszczając z ust chmurki pary i co chwilę zerkając na mieniące się po prawej Jezioro Głębokie, które ukazywało swoje granatowe oblicze w prześwitach między drzewami. Sara pomyślała, że woda będzie jej punktem orientacyjnym. Wolałaby nie zabłądzić w obcym lesie, który z każdej strony wyglądał podobnie. Nie było tu wapiennych skałek, jak na Jurze, które dawałyby jakieś odniesienie względem położenia. Podkarpacka knieja wydawała się gęstsza i bardziej monotonna, przez co z pewnością łatwiej było stracić orientację.

Przystanąła na niewielkim wzniesieniu i spojrzała na jezioro. Skonstatowała, że zaszła naprawdę daleko, bo ośrodek Kormoran znajdował się teraz po przeciwnej stronie wody. Pomyślała, że skoro nogi tak ją poniosły, nie warto już wracać tą samą drogą i postanowiła obejść zbiornik dookoła. Zdawało jej się, że nie jest aż taki rozległy, a ona miała przecież dużo czasu. Poza tym podczas spaceru myśli szybciej składały się w logiczne ciągi i miała nadzieję, że w końcu sama ze sobą ustali, jakie podjąć kroki.

Wciąż się głowiła, czy czekać na pogrzeb Krzyśka, czy po prostu zwinąć się po cichu i wrócić do domu, licząc na to, że sprawa związana z listem od niego nigdy nie ujrzy światła dziennego. Coraz częściej skłaniała się ku tej drugiej opcji, która była zdecydowanie bardziej kusząca, prostsza, niewymagająca kolejnych trudów, chociażby takich, jak rozmowa z byłą teściową. Dociekanie prawdy, która mogła całkiem odmienić jej życie, stawało się ciężarem nie do zniesienia. Najchętniej wróciłyby do swojego prostego, samotnego życia i o wszystkim zapomniała. Nadal jednak się wahała, bo wiedziała, że nierozwiązane sprawy zawsze powracają i potrafią skutecznie zatruć życie w najmniej oczekiwanym momencie. Tak jak ta, dotycząca niefortunnego wystrzału podczas policyjnego pościgu. Dotąd była pewna, że to zamknięty rozdział, przynajmniej jeśli chodzi o kwestie prawne. A jednak Krzysiek postanowił go na nowo otworzyć i w jakimś celu wykorzystać. Nawet, gdyby Sara spaliła list od niego i wróciła do domu, już nigdy nie zaznałaby spokoju, nie dowiedziawszy się, co kierowało jej byłym mężem.

Przeszła jeszcze jakiś kilometr, aż las zaczął się przerzedzać, a w oddali zamajaczył kanciasty kształt niepasujący do naturalnego krajobrazu. Ciekawość nakazała jej podejść bliżej i wkrótce się okazało, że zza drzew wyłania się kontur drewnianego domu. Był dosyć spory, piętrowy, z poddaszem wykończonym w podhalańskim stylu. Zastanawiała się, kto mógł mieszkać na takim odludziu. Jej ręka odruchowo powędrowała w miejsce, gdzie pod kurtką tkwił pistolet. Był na swoim miejscu, co dodało Sarze pewności siebie.

Kiedy zbliżyła się do zabudowania, usłyszała charakterystyczny odgłos samochodowego rozrusznika. Po kilku próbach silnik

wreszcie odpalił, zaczął pracować z typowym dla diesla klekotem, rzeźił przez dłuższą chwilę, a potem zgasł.

Dyskretnie podeszła do otwartej na oścież bramy wjazdowej i zajrzała na podwórko. Zobaczyła żółtego pickupa z uniesioną maską, nad którym pochylał się starszy mężczyzna, mamrocząc coś niezrozumiale. Potem kopnął w przedni błotnik i splunął siarczyście.

To był ten sam facet, który oprowadzał ją po ośrodku – Ireneusz Woźniak. W tym momencie Sara doznała olśnienia. Przypomniała sobie, jak podczas ich pierwszego spotkania mówił, że mieszka po drugiej stronie jeziora i że kiedyś był leśnikiem, a chatka w samym środku lasu, na którą właśnie patrzyła, wyglądała jak klasyczna leśniczówka. Wszystko się zgadzało.

Sara pomyślała, że skoro już tu jest, podejdzie i się przywita, choć mężczyzna za pierwszym razem nie zrobił na niej najlepszego wrażenia.

– Dzień dobry, nie chce odpalić? – zagadnęła.

Woźniak przez chwilę błędził wzrokiem, jakby nie był pewien, czy faktycznie ktoś do niego mówi, czy może mu się zdawało. Kiedy wreszcie namierzył Sarę, nic nie powiedział, uniósł tylko rękę i zachwiał się niepewnie. Gdyby nie stojący obok pickup, o którego w ostatniej chwili się oparł, pewnie leżałby już na ziemi.

Dopiero teraz policjantka się zorientowała, że mężczyzna jest mocno wstawiony.

– A co pani tu robi? – wyseplenił, autentycznie zdziwiony. Nie była pewna, ale chyba skojarzył, z kim rozmawia.

– Spaceruję – odrzekła zgodnie z prawdą. – Może w czymś pomóc?

– Eee – zarzęził gardłowo i machnął ręką. – Olej cieknie. I gaśnie skurwysyn, nie wiem czemu.

– Pan i tak chyba nie zamierzał prowadzić w tym stanie? – spytała bezpardonowo.

Spojrzał na nią spod byka. Nie był już tak wycofany, jak w dzień, gdy oprowadzał ją po ośrodku. Najwyraźniej odpowiednie stężenie alkoholu we krwi dodawało mu buty.

– A pani co do tego? – naindyczył się i spojrzał na Sarę z pogardą.

– Może pan stracić prawo jazdy i do końca życia będzie pan zmuszony korzystać wyłącznie z roweru. – Sara nie spuszczała wzroku z rozmówcy, który przez chwilę wyglądał, jakby naradzał się sam ze sobą. W końcu rzucił okiem na jednośląd oparty o ścianę drewnutni i się skrzywił. Pewnie przypomniawszy sobie ból krocza po ostatniej eskapadzie przez las. – Słyszał pan o poniedziałkowym wypadku? – Kontynuowała policjantka. – Na drodze, w miejscu oznaczonym czarnym punktem, zginął człowiek.

– A tak, ta przeklęta droga na Liny. Mietek coś opowiadał.

– Mietek?

– Znajomy, wędkarz. Chciałem go dzisiaj wyciągnąć na nockę, żeby kija pomoczyć, ale się wyłgał, bo jutro pogrzeb ma. Z tego wypadku właśnie.

– To jakiś krewny ofiary? – spytała zaintrygowana, wyczuwając okazję, żeby wyciągnąć jakiegokolwiek informacje odnośnie do pochówku.

Woźniak spojrzał na Sarę i zamrugał.

– A jaki tam krewny? Mietek jest grabarzem – oznajmił bełkotliwie, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. – Pochówek dopiero jutro w południe, ale ten stary cap się uparł, że po

zakrapianej nocce to nie wypada grzebać. Zaczął wymyślać, że będzie od niego czuć, że jeszcze trumnę upuści, a on swoją pracę szanuje. To pies go jebał.

Woźniak machnął ręką i odwrócił się z powrotem do auta.

Sara nie wiedziała, czy może ufać słowom nietrzeźwego mężczyzny. Mógł przecież pomylić daty, albo mówił o jakimś innym wypadku i innej ofierze. Chociaż nie sądziła, by w tak krótkim przedziale czasowym w tej samej okolicy miało miejsce podobne zdarzenie ze skutkiem śmiertelnym. Wszystko wskazywało na to, że pogrzeb Krzysztofa odbędzie się następnego dnia o godzinie dwunastej.

Stwierdziła, że dalsza konwersacja z Woźniakiem nie ma sensu, zwłaszcza że ten skupił całą swoją uwagę na uszkodzonym samochodzie, a ją zaczął traktować jak powietrze. Zaczęło się ściemniać i Sarze przeszło przez myśl, że powinna się sprężyć, jeśli chce wrócić do ośrodka przed zmierzchem. Opuściła podwórko Woźniaka, ale zanim ruszyła w drogę powrotną, przeleciała wzrokiem po budynku leśniczówki. Przez moment zdawało się jej, że w oknie poddasza dostrzegła jakąś postać. Nie była pewna, co widzi, bo refleksy ostatnich promieni słońca odbijające się od szyby zniekształcały obraz, a kiedy policjantka cofnęła się o krok i zmrużyła oczy, za oknem falowała jedynie pożółkła firanka. Możliwe, że materiał poruszył się za sprawą wiatru wdzierającego się przez uchylony lufcik. Przypomniała sobie, że podczas pierwszej rozmowy z Woźniakiem w telefonie słyszała kobiecy głos, dobiegający gdzieś z głębi domu. Choć mężczyzna wyglądał na samotnika, prawdopodobnie ktoś z nim mieszkał lub tylko go odwiedzał. Może opiekunka albo ktoś z rodziny.

Było jednak coś dziwnego w tym domu, czego Sara nie potrafiła racjonalnie wyjaśnić. Pewnego rodzaju zła aura, która wisiała w powietrzu i nie pozwalała jej odejść w spokoju. W ułamku sekundy przypomniał jej się niejaki Fritzl, a potem wszystkie głośne sprawy dotyczące przetrzymywania ludzi i długoletniej przemocy na własnych krewnych. Policjantce przemknęła myśl, że stary Woźniak więzi kogoś na strychu.

Przeniosła wzrok na mamroczącego do siebie gospodarza, żeby przyjrzeć mu się z ukrycia. Stał teraz wyprostowany, jedną ręką opierając się o maskę auta, i tęskno patrzył na las. Wyglądał podobnie jak wtedy, gdy ruszył w kierunku pomostu, by pomóc ptactwu wyplątać się z pułapki. W jego oczach dostrzegła wówczas autentyczną troskę. Pomyślała, że człowiek, który tak kocha przyrodę, nie może być z gruntu zły.

Za to ona była przewrażliwiona. Uśmiechnęła się do siebie, dotarła do końca prowizorycznej drogi dojazdowej, która odchodziła w kierunku przeciwnym do celu jej wędrówki, po czym wtopiła się w leśny krajobraz.

Szła żwawym krokiem, pogrążona w myślach i skupiona na własnym oddechu. W pewnym momencie ścieżka się urwała, a przed Sarą wyrosły wysokie krzewy z nieprzyjaźnie wyglądającymi kolcami. Nie miała pojęcia, co to za roślina, ale wolała nie wchodzić z nią w bezpośredni kontakt. Rozejrzała się, jak najlepiej ominąć przeszkodę. Ruszyła w stronę niewielkiego prześwitu, ale kiedy wdarła się pomiędzy krzaki, one oplotły ją niczym macki głodnego potwora. Chude gałązki drapały Sarę po twarzy, a gdy próbowała się cofnąć i wyswobodzić, jeden z kolców zahaczył o jej kurtkę,

rozdzierając czerwony materiał. Dwucentymetrowa dziura odsłoniła puchowe wypełnienie.

Sara mocno się wkurzyła. Kupiła tę kurtę w sklepie z odzieżą turystyczną zaledwie kilka miesięcy wcześniej i wydała na nią niemałą sumę pieniędzy, zakładając, że dobrej jakości ubranie posłuży jej przez kilka lat. Wyglądało też na to, że przegra leśną potyczkę, bo gęsto rosnące krzewy tworzyły mały zagajnik rozchodzący się we wszystkie strony świata, a przedzieranie się przez niego nie miało większego sensu. Pomyślała, że będzie musiała zawrócić w kierunku leśniczówki, a to oznaczałoby dłuższy dystans do pokonania. Po chwili namysłu wybrała jednak opcję, której wcześniej nie brała pod uwagę – zejście po skarpie w kierunku linii brzegowej jeziora.

Stawiała wysokie kroki i omijała leżące w poprzek gałęzie, ciesząc się jak dziecko, że przechytrzyła wredne zarośla. Ale im bliżej była wody, tym bardziej teren stawał się grząski, a nawet podmokły. Jej buty chlupały, zanurzając się do połowy w mulastym błocie. Wylądowała na jakimś pieprzonym bagnie.

– Ja pierdołę! Z deszczu pod jebaną rynną. – Dała upust złości, wiedząc, że nikt jej nie usłyszy, a zaraz potem dopadł ją niepohamowany śmiech. Chichot bezradności, który łapie człowieka w momencie, gdy sytuacja jest tak wkurzająca i jednocześnie absurdalna, że nie pozostaje nic innego, jak tylko śmiać się do utraty tchu. Dawno temu, kiedy miała jeszcze siostrę, obie nazywały to klasyczną głupawką. Przez chwilę poczuła się tak beztrosko, jak wtedy, jakby nic na niej nie ciążyło, a gdy wreszcie wykaraskała się z powrotem na suchy ląd, z oczu popłynęły jej łzy. Przypomniła

sobie, że jest zupełnie sama i nie ma nawet komu się poskarżyć na idiotyczne bagno, ani z kim się głupio pośmiać.

Z niemałym wysiłkiem wróciła na górę skarpy, gdzie podstępna woda z jeziora już nie docierała. Otarła mokre policzki i odetchnęła. Ścieżka poprowadziła ją głębiej w las. Nie zważała na to, dokąd idzie, starała się jedynie wybierać drogę, na której czuła pod nogami stabilny grunt.

Nie zanotowała momentu, kiedy znalazła się w ciemnej gęstwinie. Bezskutecznie próbowała znaleźć wydeptaną wcześniej drogę. Brnęła w głąb chaszczki, koncentrując się na omijaniu patyków zwisających z drzew i próbujących wedrzeć się w jej oczy. W pewnym momencie zauważyła, że niezależnie, w którą stronę się obróci, otacza ją ten sam krajobraz. Nie widziała już leśniczówki ani jeziora, a ciemność listopadowego wieczoru niespodziewanie spadła na las, napawając ją przerażeniem.

Nie chciała ulegać panice. Była policjantką, musiała zachować spokój i działać racjonalnie. Uznała, że przecież w końcu gdzieś dojdzie. W ostateczności zadzwoni pod numer alarmowy, chociaż bardzo nie chciała tego robić. To by była straszna kompromitacja. Funkcjonariuszka policji, starsza sierżant, zgubiła się w lesie niczym małe dziecko.

Pomyślała, że jakoś sobie poradzi, kiedy nagle coś przebiegło kilka metrów od niej. Serce Sary załomotało, a źrenice maksymalnie się rozszerzyły, jednak we wszechobecnym mroku i tak niczego nie dostrzegła. Usłyszała tylko głośny tupot zwierzęcych nóg, a potem znów zapadła cisza. To mógł być jelen, a może dzik. Nie była w stanie ocenić. Doskonale wiedziała, że żadne zwierzę nie powinno zaatakować, jeśli nie zostanie sprowokowane. Rozum mówił swoje, a

serce nie pragnęło niczego innego, jak tylko znaleźć się w bezpiecznym miejscu.

Drżącą ręką sięgnęła po komórkę. Zawahała się przez chwilę, a potem wybrała numer jedynej osoby w Karczewie, na którą miała namiary.

– Halo? – usłyszała po drugiej stronie, a niski ton męskiego głosu sprawił, że od razu poczuła się pewniej.

– Z tej strony Sara Wilczek. Przepraszam, że przeszkadzam, ale potrzebuję twojej pomocy.

– Co się stało?

– Głupia sprawa, zgubiłam się w lesie.

– Serio? – spytał Osowski z lekkim rozbawieniem.

– Bardzo chciałabym powiedzieć, że to tylko moje marne poczucie humoru. Zadzwoiłam do ciebie, bo nikogo tu nie znam, a nie chciałam angażować policji. Masz jakiś pomysł?

– A możesz mniej więcej określić, gdzie się znajdujesz?

– Wyruszyłam z ośrodka Kormoran i szłam wzdłuż jeziora. Chciałam obejść je dookoła. Widziałam domki ośrodka z drugiego brzegu, a potem natknęłam się na leśniczówkę Woźniaka. To taki facet, który opiekuje się letniskiem. Nieważne. Zrobiło się ciemno i straciłam orientację. Mam wrażenie, że cały czas kręcę się w kółko – mówiła szybko. – Znasz tę okolicę?

– Średnio. Nie mam w zwyczaju szwendać się po lasach, zwłaszcza późną jesienią i po zmierzchu. – Weterynarz nie krył ironii. – Ale wiem, gdzie jest Kormoran. Ile czasu upłynęło, odkąd minęłaś tę leśniczówkę?

Sara spojrzała na wyświetlacz telefonu.

– Jakies pół godziny – odrzekła lekko drżącym głosem.

– Nie denerwuj się. I nie ruszaj przez chwilę. Zaraz wsiądę w samochód, zatrzymam się na drodze mniej więcej na twojej wysokości, a kiedy już będę na miejscu, zatrąbię. Kieruj się na mój klakson.

– Okej – odpowiedziała pewnie, chociaż wcale się tak nie czuła. Miała jednak nadzieję, że Osowski stanie na wysokości zadania i wyratuje ją z tej równie niebezpiecznej, co idiotycznej sytuacji.

– Ile masz baterii w telefonie?

– Czterdzieści procent.

– Czyli sytuacja nie jest tragiczna. Jesteśmy w kontakcie – rzucił i się rozłączył.

Wyjęła broń z kabury, oparła się o najbliższe drzewo i cierpliwie czekała na sygnał.

2.

Puściła gościa przodem, a sama zatrzymała się na werandzie, żeby zostawić tam ubłocone buty. Potem weszła za Wojtkiem do Modrzewia i zapaliła światło. W tym samym momencie uświadomiła sobie, jaki zostawiła bajzel przed wyjściem na pechowy spacer. Wszędzie leżały fragmenty jej garderoby, nie wyłączając bielizny, a w zlewie zalegało kilka brudnych kubków i talerzy. Zerwała się, żeby wszystko uprzątnąć.

– Przepraszam za ten bałagan – bąkała pod nosem, zbierając kolejne ubrania, które potem rzuciła na łóżko w pokoju obok. Korzystając z chwili odosobnienia, zmieniła przemoczone skarpety i wskoczyła w luźniejsze spodnie.

Na szczęście Osowski nie wyglądał na pedanta, choć już podczas pierwszego spotkania w knajpie U Maryli zwróciła uwagę na taki szczegół jego wyglądu, jak czyste i zadbane paznokcie. Za to wymięta, pokryta sierścią flanelowa koszula, którą właśnie miał na sobie, dawała jej przyzwolenie, żeby się nieco odprężyć i wyluzować z porządkowaniem przestrzeni.

Tak naprawdę Sarze było głupio nie przez bałagan, ale dlatego, że musiała fatygować obcego, jak by nie patrzeć, faceta, żeby pomógł jej wydostać się z lasu.

Osowski szybko ją odnalazł. A raczej ona znalazła jego, kierując się dźwiękiem klaksonu, a potem światłem latarki, kiedy wyszedł jej naprzeciw. Potem okazało się, że pan weterynarz miał właśnie do

niej dzwonić z informacją dotyczącą pogrzebu Krzysztofa, ale nie zdążył, bo to ona zadzwoniła do niego z prośbą o pomoc.

Według pani Maryli pochówek miał się odbyć jutro o godzinie dwunastej, a więc informacja przekazana przez Woźniaka okazała się prawdziwa. Sara nie mogła sobie darować, że nie pomyślała wcześniej, by spytać zawsze dobrze poinformowaną właścicielkę restauracji o to wydarzenie. Szczególnie że kobieta była szczerze poruszona śmiercią Krzysztofa, więc z pewnością sama wybierała się na ceremonię pogrzebową. Osowski zdradził Sarze, że nekrolog zamieścił rektor uczelni, na której wykładał Wierzbicki, a nie rodzina, co wywołało u Maryli zdumienie przechodzące w niesmak.

Sara była wdzięczna Osowskiemu za te wieści oraz oczywiście za ratunek, chociaż kiedy odwoził ją do ośrodka, czuła się bardzo niezręcznie. Po przekazaniu wskazówek, gdzie znajduje się cmentarz w Karczewie, weterynarz przez resztę drogi milczał, zbywając jej zaczepki krótkimi chrząknięciami. Miała wrażenie, że facet należy do tej garstki osób, dla których słowa są jak monety i opłaca się je oszczędzać. Szanowała to, jednak w sytuacji takiej jak ta, cisza potęgowała tylko jej zawstydzenie.

– Rozpaliłem w kominku. Strasznie tu zimno – powiedział Wojtek, gdy policjantka wróciła do dużego pokoju.

– O, super, dziękuję. To co? Czarna z cukrem i cytryną?

– Jasne – odpowiedział i rozsiadł się na kanapie.

– Miałam nadzieję, że nie odmówisz, bo szczerze, tylko to mogę zaproponować. Chyba że masz ochotę na coś mocniejszego? – Sięgnęła po stojącą obok lodówki butelkę wina i z oddali zaprezentowała etykietę. – Miejscowa Biedronka nie ma zbyt bogatej

oferty. Hiszpańskie, czerwone, półwytrawne. Górna półka to nie jest, ale uważam, że w tych warunkach nie ma co wybrzydzać.

– Nie, dzięki, nie przepadam za alkoholem. Poza tym muszę jakoś wrócić do domu. Ale nie krępuj się.

Sara wahała się przez chwilę, bo faktycznie czuła, że bardzo potrzebuje rozluźnienia i rozgrzania. Porządnie zmarzła, błędząc między drzewami, a palce u stóp zamieniły się jej w lodowe sople.

– Głupio mi tak samej.

– Daj spokój. Przywykłem do roli jedyne go trzeźwego w towarzystwie i w ogóle mi to nie przeszkadza.

– Skoro tak, to sobie naleję. – Postawiła butelkę na blacie, po czym fachowo wkręciła trybuszon w korek. Napełniła kieliszek czerwienią i opróżniła go zachłannie. Cierpki smak najpierw podrażnił jej kubki smakowe, a potem popłynął palącym ciepłem w dół przełyku. Odstawiła szkło na blacie i zabrała się za szykowanie kanapek. Wojtek zaproponował jej pomoc, ale honorowo odmówiła.

– Pozwól mi się chociaż w ten sposób odwdzięczyć za pomoc. Mam nadzieję, że nie pokrzyżowałam ci wieczornych planów?

– Szczerze mówiąc, to tak. Obiecałem mojej kocicy, że spędzimy razem czas przed telewizorem, ale po powrocie z pracy zdążyłem tylko podać jej obiad i wybiegłem z domu. Pewnie złapie focha i będę się musiał słono tłumaczyć, kiedy wrócę.

– Ojej, to teraz jest mi jeszcze bardziej głupio – powiedziała Sara, nie do końca pewna, czy Osowski mówi o zwierzaku, czy o kobiecie.

– Maine coony tak już mają. Są bardzo przyjacielskie, ale też łatwo je urazić. Spokojnie, wiem, czym ją przekupić, żeby znowu mnie polubiła – poważnie odparł Wojtek, a Sara mimowolnie się uśmiechnęła, ciesząc się, że jednak chodzi o kota.

- Nigdy nie miałam zwierzaka, nie znam się na nich.
- Dużo tracisz. Ja zdecydowanie bardziej cenię sobie towarzystwo zwierząt niż ludzi. Bez urazy.
- Chyba wiem, o czym mówisz. Może faktycznie powinnam pomyśleć o jakimś futrzastym przyjacielu.

Kiedy woda w czajniku zawrzała, Sara zalała torebkę herbaty, dorzuciła plaster cytryny i postawiła szklanę przed Osowskim. Potem wróciła po gotowe już kanapki, przeszła między stolikiem a długimi nogami swojego gościa i usiadła obok niego na kanapie. Oboje rzucili się na jedzenie, które smakowało lepiej niż kiedykolwiek.

Od kiedy Sara wpadła w szpony bulimii, wolała spożywać posiłki w samotności, bo kojarzyły jej się z czymś wstydlwym, z jej brudną tajemnicą. Miała irracjonalne uczucie, że każdy, kto na nią patrzy, wie o tym problemie. Ale po leśnej eskapadzie była już tak głodna, że towarzystwo Osowskiego wcale jej nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Czowała się zadziwiająco swobodnie, a obserwowanie, jak mężczyzna z apetytem pochłania kolejne kromki, sprawiało jej dużo radości.

Po dwóch kieliszkach wina rozmowa zaczęła się kleić nieco swobodniej. Sara wypytywała Wojtkę o jego pracę, bo nie znała osobiście żadnego weterynarza i była szczerze zaintrygowana jego codziennymi obowiązkami. Osowski opowiedział jej o kilku pacjentach i perypetiach, jakie przechodził z ich właścicielami, ale też o trudach pracy w terenie. Potem Sara rzuciła kilka ogólników na temat swojej drogi zawodowej, w tym jak trafiła do policji. Kiedy temat się wyczerpał, ponarzekali trochę na pandemię i jej wpływ na ich życie. Sara nie przyznała się do tego głośno, ale w tym czasie jej

samotność znacznie się pogłębiła. Gdyby nie komisariat i kontakty z ludźmi na służbie, chyba nie przetrwałaby tego dziwnego okresu.

Kiedy o tym myślała, przepełniło ją nagłe uczucie tęsknoty za domem.

– Udało ci się już załatwić sprawy w Rzeszowie? – spytał Osowski, wytrącając ją z chwilowego zamyślenia.

– Sprawy? – Sara się zmieszała i przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć. Przypomniała sobie, że faktycznie mówiła coś na ten temat, kiedy widzieli się u Maryli – Aaa, nie. Jeszcze tam nawet nie dotarłam. Musiałam nagle zmienić plany. Ten wypadek całkowicie mnie rozwalił.

Kątem oka widziała, jak Osowski przetwarza jej słowa, ocierając usta i brodę po ostatnim kęsie. Odczekał jeszcze chwilę, a potem oparł się wygodnie o tył kanapy.

– A tak naprawdę, dlaczego tu przyjechałaś? – zapytał, a jego orzechowe tęczówki się zaiskrzyły. Patrzył na Sarę przenikliwie, oczekując wyłącznie szczerzej odpowiedzi.

Kompletnie zaskoczył ją tym pytaniem. Sprawiał wrażenie człowieka, który czyta w myślach i którego nie da się tak łatwo zbyć drobnymi kłamstewkami. Przez chwilę rozważała, czy powiedzieć mu prawdę. Cała ta sprawa z szantażem wydawała jej się tak niedorzeczna, że mogła podejrzewać dosłownie każdy scenariusz i wszystkich ludzi o złe intencje, a na pewno tych, którzy mieli z jej byłym mężem cokolwiek wspólnego. Osowski osobiście nie znał Wierzbickiego, przynajmniej tak twierdził. Nie wykluczało go to jednak z grona podejrzanych.

Sara poczuła, że znów popada w paranoję. Silna potrzeba podzielenia się z kimś swoimi obawami, a po części szumiący już w

głowie alkohol spowodowały, że w tym momencie było jej już wszystko jedno. Przez całe dotychczasowe życie wykazywała się ostrożnością i do czego ją to doprowadziło?

– Zostałam zmuszona do przyjazdu tutaj szantażem, prawdopodobnie przez mojego byłego męża. – Wstała i sięgnęła do jednej z przegródek w swojej torbie podróżnej. Wyciągnęła z niej kopertę, podała Wojtkowi, po czym wychyliła kolejny kieliszek i ponownie napełniła go winem.

– Co to jest?

– Przeczytaj – odpowiedziała, a potem w spokoju się przyglądała, jak siedzący obok mężczyzna wyjmuje list i w kilka sekund zapoznaje się z jego treścią. Potem obraca kopertę w dłoni, szukając danych nadawcy.

– Jest niepodpisany. Skąd wiesz, że to od Wierzbickiego?

– Poznaję charakter pisma. I to durne zdrobnienie. Tylko on o nim wiedział.

– Mógł komuś powiedzieć.

– Daj spokój, ostatni raz używał go dwadzieścia lat temu. Od tego czasu się nie widzieliśmy, nawet ja zapomniałam, że tak się do mnie zwracał. W kopercie było jeszcze to. – Tym razem wyciągnęła do Osowskiego dłoń z wycinkiem gazety.

– Co to?

– Fragment artykułu dotyczącego starej sprawy, która może być gwoździem do trumny mojej kariery zawodowej, jeśli wyjdzie na światło dzienne. Oprócz Wierzbickiego o wszystkim wiedział tylko mój nieżyjący od lat ojciec.

Osowski nie skomentował jej słów. Jak zwykle był cholernie powściągliwy. Czekał, aż sama rozwinie temat, ale Sara nie

wiedziała, w jaki sposób opisać tę niecodzienną sytuację, żeby zabrzmieć wiarygodnie, więc tylko dołała sobie wina i westchnęła głęboko.

– Mam rozumieć, że pani policjantka ma coś na sumieniu? – odezwał się z powściągliwością, w której wyczuła lekką ironię.

– A znasz kogoś, kto ma je zupełnie czyste?

Uśmiechnął się do swoich myśli, a jego twarz przez ułamek sekundy wydała się jaśniejsza.

– Może cię zaskoczę, ale tak.

– Nie wierzę – odparowała buntowniczo. – Nikt nie jest idealny. Czasem robimy rzeczy, o które nigdy byśmy sami siebie nie posądzi. Wszystko zależy od sytuacji.

– Zgoda. Co nie zmienia faktu, że znam taką osobę – odpowiedział Wojtek tak stanowczo, że Sarę zatkało. Patrzył prosto w jej oczy bez emocji, jakby wcześniejsze wyznanie o szantażu i przyznanie się do błędu w ogóle nie zrobiło na nim wrażenia. Ona z kolei się zastanawiała, o kim mógł mówić. To musiała być bardzo ważna osoba, skoro tak twardo obstawał za nieskazitelnością jej sumienia. Taka ufność w drugiego człowieka nie zdarzała się często. Wojtek coraz bardziej ją intrygował i pomyślała, że ciekawie byłoby spędzić resztę życia na odkrywaniu sekretów tego mężczyzny. Potem doznała nagłego wrażenia, że on czyta w jej myślach i poczuła żar na swoich policzkach. – W takim razie, co to była za sytuacja, przez którą pani policjantka stała się ofiarą szantażu?

– Nie lubię do tego wracać.

– Sama zaczęłaś temat, ale jeśli nie chcesz, to nie mów.

Sara bała się spojrzeć Osowskiemu w oczy. Obracała w dłoni brudny od wina, pusty już kieliszek, bijąc się z myślami. Chciała

powiedzieć, tak bardzo chciała...

– Musiałabym długo opowiadać. To skomplikowane.

– Mam czas. Złamałaś prawo, żeby kogoś uratować? Tylko taki scenariusz przychodzi mi do głowy w twoim przypadku.

– Nie. – Zawahała się. – Zaczęło się od problemów ze zdrowiem. Miałam w życiu gorszy czas i właśnie wtedy pierwszy raz poczułam się zdradzona i pozostawiona sama z trudnościami. Złamałam prawo, bo nie poradziłam sobie z emocjami. – Uśmiechnęła się słabo, po czym przełożyła kieliszek do drugiej ręki. Podwinęła nogę i usiadła bokiem, a wolny łokieć oparła o tył kanapy. Skoro już zaczęła, a on chciał słuchać, musiała to z siebie wyrzucić. Wojtek w milczeniu siorbał herbatę, a ona rozwijała myśl, ważąc każde słowo: – Wyobraź sobie, że zmagasz się z czymś bardzo trudnym, liczysz na wsparcie ze strony najbliższej ci osoby i nagle znajdujesz się w sytuacji, która przekreśla wszystkie twoje starania, wymazuje obietnice, które usłyszałeś: że „będzie dobrze”, że „jakoś sobie poradzimy”. W takim momencie zdrowy rozsądek schodzi na drugi plan. Włączają się systemy obronne, które każą ci uciekać jak najdalej od obrazów, osób, od własnych emocji, zmieniających twoje ciało w poligon wojskowy. Rzeczywistość się zakrzywia, świat staje się chaosem, chce ci się rzygać, a nogi robią się miękkie jak z waty. Zapominasz wtedy, kim naprawdę jesteś i w co wierzysz. Masz w dupie prawo, moralność, grawitację, dosłownie wszystko. Wpadasz w czarną otchłań i toniesz. Liczy się tylko walka o to, żeby wypłynąć na powierzchnię i wziąć oddech. – Przerwała nagle, bo zabrakło jej tchu. Wojtek słuchał w milczeniu. – Przeżyłeś kiedyś coś podobnego? – Owszem – odpowiedział po krótkim namyśle.

- W takim razie wiesz, że człowiek staje się wtedy nieprzewidywalny nawet sam dla siebie.

Osowski ledwie zauważalnie skinął głową, ale nie spojrzał na Sarę. Patrzył na ogień w skwierczącym kominku, a w jego oczach odbijały się migoczące płomienie. Zauważyła kawałek pomidora na jego twarzy. Przyczepił się do włosków rosnących tuż pod ustami. Uniosła dłoń i wysunęła palec wskazujący, lecz w ostatniej chwili powstrzymała odruch, żeby strącić zabrudzenie. Zamiast tego wymownie wskazała na swoje usta, a Osowski od razu się domyślił, o co chodzi, i sam je usunął.

- Czyli Wierzbicki doprowadził cię do podbramkowej sytuacji, zrobiłaś przez to coś nieodpowiedzialnego, a on po latach postanowił to jeszcze bezczelnie wykorzystać jako narzędzie szantażu – mówił spokojnie i powoli. Sara przytaknęła. Nie wyrzekała się własnej winy, nie chciała jej zrzucić na Krzyśka, przynajmniej nie całkowicie, i nawet pogodziła się z tym, że kiedyś będzie musiała ponieść konsekwencje swojego uczynku. Jednak w całej tej sprawie chodziło nie tylko o nią, ale też o dobre imię jej zmarłego taty. I chyba właśnie to najsilniej pchało starszą sierżant do zdemaskowania szantażysty. Jednak tę myśl zostawiła na razie dla siebie. – To nieciekawie. A czego on od ciebie właściwie chciał?

- Właśnie problem polega na tym, że nie zdążyłam się dowiedzieć. W liście napisał tylko, że mam pojawić się w Kormoranie, a o reszcie pewnie chciał mi powiedzieć osobiście. Nie tkwiłabym tu sama jak palec tylko po to, żeby czekać na pogrzeb faceta, który dopuścił się tak podłej zagrywki. Po prostu boję się to tak zostawić i wyjechać, nie dowiedziawszy się, o co mu chodziło.

– Ale on przecież nie żyje, więc już się raczej nie dowiesz. I jakkolwiek to zabrzmi, masz gościa z głowy.

– A jeśli ktoś jeszcze był w to zaangażowany? Jeśli ktoś wie?

– Nie pomyślałem o tym.

– A ja owszem. – Westchnęła. – Może zaczynam już wariować, ale jeśli Krzysiek posunął się do takiego zagrania, to sprawa musiała być bardzo poważna i na pewno dotyczyła też osób trzecich.

– Co w takim razie zamierzasz?

– Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to udać się na pogrzeb, a potem wkręcić na stypę, chociaż moja była teściowa za mną nie przepada. Mam jednak cichą nadzieję, że w takim dniu nie będzie robiła scen i nie wygoni mnie spod własnego dachu.

– Widzę, że masz konkretny plan? – Wojtek patrzył teraz na wieszak wyeksponowany na drzwiach od szafy, na którym wisiał zestaw ubrań w postaci czarnego płaszcza i spodni tego samego koloru. Z zakupionych przez Sarę rzeczy wciąż zwisały nieodcięte metki.

– Nie miałam wyjścia, obyczaj wymaga. Poza tym wolę w żaden sposób nie rzucić się w oczy.

– Rozumiem. Wtopisz się w tłum i co potem?

Sara wzruszyła ramionami. Sama do końca nie wiedziała, jak sprawy się potoczą i co chce osiągnąć.

– Popytam o Krzyśka, może poznam kogoś z grona jego znajomych, kto będzie coś wiedział. Na jego matkę za bardzo nie liczę, mocno przeżyła śmierć syna, co jest jak najbardziej zrozumiałe. Widziałam się z nią przez chwilę, była w totalnej rozsypce. Nie chcę jej męczyć, ale może sama coś zdradzi. W końcu

mieszkali razem, musiała przynajmniej się domyślać, że syn ma jakieś kłopoty.

– Mieszkali razem?

– Tak, Wierzbiccy mają duży dom. Z tego, co zdążyłam się dowiedzieć, Krzysiek z obecną żoną przygarnął owdowiałą matkę do siebie.

– A, czyli miał żonę? Przez chwilę myślałem, że to ten typ faceta, który nawet po czterdziestce nie może się odczepić od maminej spódnicy.

– No nie, określiłabym go raczej jako playboya z wysokimi ambicjami.

– To może tę jego żonę podpytaj, ona najprędzej będzie coś wiedziała o sprawach życiowego partnera.

– Raczej nie spotkam jej na pogrzebie, jest w szpitalu. Ma jakieś komplikacje ciążowe. Poza tym często jest tak, że obce osoby wiedzą o człowieku więcej, niż najbliższa rodzina. Zwłaszcza w takich małych miasteczkach.

– Czyżbyś miała na myśli panią Marylę?

– Na przykład ją. – Sara spojrzała na rozmówcę zaskoczona. Znów miała wrażenie, że Osowski czyta w jej myślach.

– To dobra kucharka, ale żadna informacja przed nią nie umknie. Jakby człowiek jej pozwolił, zagadałaby go na śmierć. Dlatego zwykle biorę na wynos i szybko uciekam.

Policjantka pierwszy raz zobaczyła uśmiech na twarzy Wojtka. Od razu go odwzajemniła, chociaż nie myślała już o tym, co przed chwilą powiedział. Jej uwagę przykuły zmarszczki, które pojawiły się wokół oczu rozmówcy, dodając im łagodności.

Zmieszała się, gdy na nią spojrzeł, a temat rozmowy nagle się urwał.

Była już lekko wstawiona, ale naląła sobie kolejny kieliszek. Pierwszy raz od długiego czasu czuła się dobrze. Może dlatego, że wyrzuciła z siebie tak bardzo ciężącą jej tajemnicę, a może ze względu na urok osobisty swojego towarzysza. Najpewniej z obu tych powodów.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, a potem Sara zauważyła, że wino się skończyło.

– Ja cię nie mogę, wypiliśmy całą butelkę.

– I prawie nic przy tym nie zjadłaś.

– Jak to nie? Dwie kanapki, to według ciebie nic?

– Powiedziałem: prawie. – Wojtek chwycił talerz i podsunął Sarze pod nos. – Proszę, weź tę ostatnią, bo padniesz z głodu, a ja będę cię miał na sumieniu, kiedy jutro przeczytam artykuł o policjantce, która zmarła w małym domku nad jeziorem. Jeszcze znajdą moje DNA na kanapie i zostanę pociągnięty do odpowiedzialności.

– Zjem później, obiecuję.

– Okej, w takim razie, muszę ci zaufać. – Wojtek odstawił talerz, a potem klepnął dłońmi o własne uda i wstał. – Będę się zbierał.

– Już? – spytała Sara i zaraz pożałowała, że nie ugryzła się w język. Zabrzmiało to tak, jakby nie chciała zostać sama. I była to całkowita prawda.

– Nie chcę przeszkadzać. Miałaś dzisiaj sporo wrażeń, powinnaś odpocząć.

Chciała powiedzieć, że wcale nie, że dobrze jej się rozmawia, ale tym razem się powstrzymała.

– Wybierasz się na pogrzeb? – spytała.

- Raczej nie. Chyba że... chcesz, żebym ci towarzyszył? - odpowiedział, zakładając kurtkę.

Sarze nagle przyspieszył puls. Tak, chciałyby w tym dniu mieć obok siebie kogoś wspierającego, kto stanąłby obok i po prostu był. Na pewno czułaby się wtedy pewniej.

- Nie, ogarnę to sama - odpowiedziała pewnym głosem, a Wojtek kiwnął głową na znak przyjęcia odmowy.

- Dziękuję za kolację - powiedział, kiedy był już przy drzwiach.

- A ja za uratowanie życia - odrzekła z nadmierną emfazą.

- Bez przesady. Poradziłybyś sobie.

Osowski wszedł na pierwszy stopień werandy, lecz nagle odwrócił się do Sary i zastygł na chwilę, jakby naprędce próbował dobrać odpowiednie słowa. - Może dałabyś się zaprosić na kolację, powiedzmy jutro, kiedy już załatwisz swoje sprawy?

- Dzięki - odpowiedziała zaskoczona - ale nie wiem, co mnie jeszcze czeka. Jutrzejszy dzień to jedna wielka niewiadoma. Bądźmy w kontakcie, okej?

- Okej. - Osowski uciął temat bez walki, a potem po prostu się pożegnał. - Dobranoc.

- Dobranoc.

Chwilę później alejka między domkami zajaśniała żółtym światłem reflektorów i Wojtek odjechał. Wraz z zamknięciem drzwi Sara poczuła ogromną pustkę. Żałowała, że nie ma jeszcze jednej butelki wina.

Opuściła rolety w obu pokojach, potem wzięła szybki prysznic, wskoczyła w piżamę i przyniosła poduszkę z mniejszego pokoju. Ułożyła się na kanapie przed kominkiem, w miejscu, gdzie jeszcze chwilę temu siedział mężczyzna o niskim głosie i orzechowych

oczach. Ten sam, któremu za grosz nie ufała, podobnie jak każdemu nowo poznanemu człowiekowi. Ledwie go znała, ale przez to, że odważyła się powierzyć mu swój sekret, w ciągu jednego dnia stał się dla niej nieprawdopodobnie bliski.

A jej brakowało bliskości, dotyku, jakiegoś dopełnienia. Wypierała to ze świadomości, jednak w stanie alkoholowego upojenia wyłaziły z niej najskrytsze pragnienia, które na co dzień próbowała sama przed sobą ukrywać.

Nie szalej, Wilczek. Wcale tego nie chcesz, skarciła się w myślach.

Położyła ciepłą dłoń na policzku i pogłaskała się z czułością. Pomyślała, że to mogłaby być jego dłoń, gdyby tylko się nie upierała, że samotność jest dla niej najlepszym rozwiązaniem.

3.

Tej nocy znów miała koszmar. Prowadziła w nim auto. Było ciemno, a ona bardzo się spieszyła, choć nie wiedziała dokąd. Drzewa rosnące po bokach drogi zdawały się sięgać rozłożystymi gałęziami karoserii, a ich sylwetki kładły się cieniem na ledwie oświetlonym asfalcie. Wciskała gaz do dechy, lecz auto, zamiast przyspieszać, zwalniało. Silnik rzeził, jakby brakowało mu paliwa, krztusił się niemilosierdzie, aż wreszcie samochód stanął pośrodku mroku.

Paraliżujące uczucie strachu spadło na nią jak ołów, mimo to zmusiła się, by wysiąść i obejść pojazd dookoła. Pochyliła się nad rurą wydechową, skąd unosił się biały dym. Poczowała jego duszący zapach i już chciała się wyprostować, kiedy czyjaś dłoń chwyciła ją za kark i przytrzymała. Nie miała siły, by się wyrwać, a tajemnicza postać zmusiła ją do klęknienia tuż przy rurze i umieściła jej twarz w trującym obłoku. Sara zaczęła się dusić.

Nagle otworzyła oczy. Zdawało jej się, że sen odszedł, lecz wciąż nie pozbyła się nieprzyjemnego uczucia. Duszący smród nie zniknął wraz z przebudzeniem, nadal wdzierał się w jej nozdrza, drapał w gardło i powodował ostry ból w okolicach zatok.

Pierwszym słowem, jakie pojawiło się w jej świadomości, był „pożar”. Pali się, trzeba gasić ogień. Przez szparki powiek rozejrzała się po pokoju, lecz nie dostrzegła płomieni. Pomieszczenie zalewała całkowita ciemność, tylko z miejsca, w którym znajdował się kominek, wydobywały się kłęby siwego dymu.

Stanęła na równe nogi, po czym ruszyła do drzwi, potykając się po drodze o krzesło. Chwyciła wiszącą na jego oparciu koszulę i przycisnęła ją do ust, by w ten sposób utworzyć prowizoryczną barierę dla gryzącego dymu. Kaszel i łzawienie nasilały się z każdą sekundą. Dopadła do ściany, lecz włącznik światła nie zadziałał. Na szafce obok wyjścia wymacała klucz. Odrzuciła koszulę na podłogę i na chwilę wstrzymała oddech. Obiema rękoma zaczęła manewrować przy dziurce w drzwiach. Kiedy udało jej się trafić w otwór, poczuła chwilową ulgę, jednak klucz nie chciał się przekręcić. Chyba nie wszedł do końca. Coś go blokowało. Z początku próbowała delikatnie, z wyczuciem, ale to nie przynosiło rezultatu, więc przeszła do rozwiązania siłowego. Gdy i to nie pomogło, rzuciła się do okna. To była jedyna droga ucieczki z zadymionego pomieszczenia.

Nagle przypomniała sobie, że po wyjściu Osowskiego opuściła zewnętrzne rolety. Namierzyła przymocowany do ściany panel sterujący. Wcisnęła i przytrzymała guzik znajdujący się najwyżej, jednak mechanizm ani drgnął. Nie widziała diody, która dotąd świeciła na zielono, co oznaczało, że domek został odcięty od prądu. A tym samym ona została uwięziona.

Otworzyła skrzydło okna, jednak plastikowa roleta była na tyle szczelna, że nie pozwalała na swobodną cyrkulację powietrza. Bezskutecznie próbowała ją wypchnąć. Mdłości i zawroty głowy stawały się coraz silniejsze. Sara czuła, że jeśli natychmiast nie opuści zadymionego wnętrza, straci przytomność. Słaniała się już na nogach, całkowicie tracąc panowanie nad sytuacją.

Wreszcie zdecydowała, że spróbuje wyważyć drzwi. Zlokalizowała klamkę, po czym cofnęła się o krok. Uniosła prawą

nogę i z całym impetem kopnęła w drewnianą materię, która jedynie delikatnie drgnęła. Zignorowała ból, jaki rozszedł się od kolana aż po biodro. Musiała dać z siebie wszystko, żeby ratować życie, nawet jeśli oznaczałoby to złamanie kości. Powtórzyła manewr. Za czwartym razem przeszkoda uległa. Ościeżnica trzasnęła, a drzwi z hukiem odbiły się o zewnętrzną ścianę budynku. Sara wypadła na taras.

Zaciągnęła się mroźnym powietrzem. Kaszłała jeszcze jakiś czas, próbując pozbyć się resztek dymu z organizmu. Potem usiadła na ławce i zachłannie wypełniała płuca czystym powietrzem. Ubrana jedynie w piżamę, dygotała z zimna. A może i ze strachu. Miała sporo szczęścia. Gdyby nie obudziła się w porę, mogłaby już nie żyć.

Zebrała się w sobie, przyłożyła dłoń do ust i nosa, po czym weszła z powrotem do środka. Powietrze oczyściło się już na tyle, że mogła jako tako oddychać. Wyjęła z szafki dwulitrowy dzbanek, napełniła go kranówką, uchyliła drzwiczki kominka i chlusnęła wodą na dymiące drwa. Pomyślała, że najskuteczniej pozbędzie się tego smrodu, wytworzywszy przeciąg. Musiała pootwierać okna w obu pokojach i podnieść rolety. Jednak żeby to zrobić, potrzebowała prądu.

Wyszła na zewnątrz i obeszła domek w poszukiwaniu skrzynki z zasilaniem. Znalazła ją na jednej z bocznych ścian budynku. Za metalowymi drzwiczkami znajdowało się kilka przełączników. Nie знаła się na elektryce, ale zauważyła, że środkowa wajcha jako jedyna była opuszczona. Kiedy ją uniosła, światło żółtej lampy rozlało się po tarasie.

W tym samym momencie kątem oka dostrzegła, jak między drzewami przemyka jakiś cień. Pomyślała, że to zwierzę, lecz kiedy obiekt przez ułamek sekundy znalazł się w zasięgu bladego światła

solarnej lampy umieszczonej na ogrodzeniu, rozpoznała w nim ludzką sylwetkę.

Zerwała się z miejsca i, jednym susem przeskakując kilka schodków na werandzie, wpadła do domku. Wyciągnęła z szuflady pistolet, chwyciła kurtkę, po czym wybiegła w czarną noc, mając nadzieję, że zdemaskuje czającą się w ciemnościach osobę. Jednak jedyny ruch, jaki mogła zauważyć, przemierzając pokrętne alejki uśpionego ośrodka, to obłoki pary wydostające się z jej własnych ust. Czuła jednak, że uciekinier jest gdzieś w pobliżu. Nie myliła się, bo nagle przygarbiona postać mignęła między dwoma letniakami i znikła w ciemnościach, kierując się w stronę jeziora. W tym momencie policjantka była już pewna, że zezadzenie i odcięcie prądu nie mogły być kwestią przypadku. Ktoś próbował zrobić jej krzywdę.

Biegła najszybciej jak mogła, uważając, by nie skrócić kostki na nierównym terenie. Minęła kilka domków, aż wreszcie zasapana dotarła w okolicę plaży. Przez chwilę stała w miejscu, opierając dłonie o uda i łapiąc oddech. Potem dostrzegła ruch na głównym pomoście, niedaleko łodzi. Ruszyła przed siebie.

Wbiegła na drewnianą konstrukcję, pilnując, by nie zbliżyć się zbyt blisko do jej bocznej krawędzi. Szła powoli, ostrożnie stawiając każdy krok. Palec wskazujący prawej dłoni nieustannie spoczywał na spuście glocka.

– Jest tu ktoś? – zawołała. – Policja! Pokaż się.

Nikt nie odpowiedział. Ciszę przerywał jedynie delikatny, nieregularny stukot łodzi objających się o opony i o siebie nawzajem.

Sarę ogarnęła nagła słabość. Nie czuła się na siłach, żeby iść dalej. Wciąż miała zawroty głowy i spóźnioną reakcję. Ledwie stała na nogach. Bała się, że w razie konfrontacji z kimś, kto chciał ją zranić, nie poradziłaby sobie.

Postała jeszcze kilka chwil, po czym stwierdziła, że na pomoście chyba nikogo nie ma. Najwyraźniej zawodziły ją zmysły. Możliwe, że zaczadzenie powodowało omamy. Odwróciła się, żeby wrócić do ośrodka, ale w tym samym momencie usłyszała tupot butów odbijających się od desek.

Zamarła w bezruchu, żeby oszacować, czy kroki zbliżają się do niej, czy też oddalają. Dudnienie było coraz słabsze, co oznaczało, że tajemniczy osobnik postanowił obieć pomost dookoła. Sara ruszyła za nim.

Prawie nic nie widziała, a w jej głowie wciąż kręciła się karuzela. Musiała bardzo uważać, żeby nie wpaść do jeziora. Gdy dotarła do pierwszego zakrętu, poczuła, jak opada z sił. Miała ostrą zadyszkę, a jej skronie rozsadał ostry ból. Wiedziała, że nie ma szans, żeby wygrać ten wyścig, nie w takim stanie. Postanowiła zmienić kierunek. Wrócić krótszą drogą i przydybać uciekiniera na plaży. Kiedy jednak znalazła się z powrotem na piasku, jej stopy zaczęły się zapadać, a mięśnie łydek niemiłosiernie piec. Była niedotleniona, słaba. Opadła na kolana, a pośladki oparła o pięty. Widziała, jak osobnik się oddala i znika między domkami.

Poddała się. Doczłapała do głównej alejki ośrodka, a potem chwiejnym krokiem wróciła do Modrzewia.

Ciągle czuła wewnątrz swąd dymu, choć powietrze w dużym pokoju już w miarę się wyklarowało. Uniosła wszystkie rolety i pootwierała okna. Drżącą dłonią sięgnęła po telefon, żeby

sprawdzić, która jest godzina. Dochodziła trzecia. Uznała, że nie ma sensu nikogo alarmować w środku nocy, tym bardziej że policja nie wchodziła w grę. Musiała przeczekać do rana.

Przez chwilę się wahała, czy nie zadzwonić do Wojtka. Wpatrywała się w jego nazwisko na wyświetlaczu komórki, ale tak naprawdę nie wiedziała, jak mógłby jej w tej sytuacji pomóc. I czy ona chce tej pomocy po raz drugi w ciągu jednej doby. W końcu zrezygnowała z połączenia.

Zamieniła piżamę na spodnie i sweter, żeby wzmocnić w sobie poczucie gotowości, choć nie sądziła, by osoba, która chciała się jej pozbyć, ponownie zaatakowała tej nocy. Wypiła dwie herbaty i połknęła aspirynę. Potem pozamykała okna, ale rolety pozostawiła podniesione. Na klamce wejściowych drzwi zawiązała końcówkę szalika, a drugą przymocowała do stojącej obok komody. To prowizoryczne zamknięcie nie dawało poczucia bezpieczeństwa, jednak było lepsze niż nic. Człowiek poradziłby sobie z nim w jednej sekundzie, ale lis czy kuna już nie. Dodatkowo do klamki przyczepiła luźno zwisające klucze, które miały zasygnalizować dźwiękiem, gdyby ktoś próbował wtargnąć do środka.

Gdy ból głowy nieco zelżał, weszła pod kołdrę. Mimo niskiej temperatury na zewnątrz i nieszczelnych drzwi uchylła jeszcze okno, tak na wszelki wypadek. Otuliła się szczelnie kołdrą, naciągnęła koc, włożyła pistolet pod poduszkę i zasnęła.

4.

Ocknęła się o dziewiątej siedemnaście. Jeśli kiedykolwiek narzekała na kaca, to dziś nie starczyłoby jej przekleństw, by opisać, jak potwornie czuła się po tym, co przeszła zeszłej nocy. Butelka wina w połączeniu z lekkim zaczadzeniem stanowiły mieszankę wybuchową, sprawiając, że Sara przez kolejną godzinę dochodziła do siebie, nawadniając organizm mnóstwem wody z cytryną.

Potem zadzwoniła do Woźniaka, żeby poinformować go o nocnym zdarzeniu, a także poprosić o wynajęcie innego domku na kolejną noc. Początkowo myślała, żeby wyjechać jeszcze tego dnia, zaraz po pogrzebie, ale nie dałaby rady wyruszyć w trasę w stanie, w jakim się znajdowała. Czuła, że potrzebuje jeszcze przynajmniej doby na regenerację.

Pan Ireneusz nie był zachwycony wieściami, tym bardziej że Sara nie szczędziła mu słów nacechowanych złością. Winę za wyważenie drzwi zrzuciła oczywiście na zaniedbania pracowników ośrodka, ponieważ w żaden sposób nie poczuwała się do zwrotu kosztów za tę szkodę. Gdyby nie zacinający się stary zamek, a przede wszystkim dymiący kominek, nie doszłoby do niej. Jakby nie patrzeć, Sara musiała w ten sposób ratować swoje życie.

Dlatego przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie pogrozić Woźniakowi zgłoszeniem na policję za nieumyślne narażenie na utratę zdrowia i życia, gdyby zareagował brakiem chęci dogadania się. On jednak zdawał się po prostu zniechęcony tym, że musi

wykonać parę telefonów, zamówić fachowca i wytłumaczyć sytuację w administracji. Nie robił problemów z wynajęciem domku zastępczego na kolejną dobę. Sarze ulżyło, bo wciąż chciała pozostać anonimowa i w żaden sposób nie mieszać w swoje sprawy policji, przynajmniej do czasu, kiedy sama dowie się czegoś więcej. Miała szczerą nadzieję, że tego dnia dokona się jakiś przełom.

Woźniak pojawił się w Modrzewiu po godzinie od zgłoszenia. Tym razem Sary nie zaskoczył zapach alkoholu ciągnący się za nim niczym ogon bardzo kiepskich perfum. Byłaby wręcz zdziwiona, gdyby go nie poczuła. Mężczyzna podparł się pod boki i obejrzał kawałek wyrwanej framugi. Z gładkiej dotąd deski sterczały ostre drzazgi, powyginane pod różnymi kątami. Skrzywił się tylko, splunął, a potem wspólnie z Sarą przeszli na tyły letniaka.

– A mówiłem, żeby brać inny domek, to się pani uparła. Już latem się skarżyli turyści, że zamki się zacinają, że wentylacja słaba...

– A ja mówiłam panu, że nie do mnie należał wybór – odpowiedziała z naciskiem. – Nie oczekiwałam luksusów, ale też nie sądziłam, że stan tego domku może zagrażać mojemu życiu. To nie są żarty, panie Woźniak.

– Dobra już, dobra, pani się nie denerwuje. Ja też się nie spodziewałem takiej awarii. Muszę obejrzeć komin – stwierdził, po czym zaczął wdrapywać się po drabinie opartej o ścianę budynku.

– Ta drabina... – powiedziała Sara, choć nie była pewna, czy stary ją usłyszy.

– Co z nią? – wysapał, będąc w połowie drogi na dach.

– Zawsze tu była?

- Czy zawsze, to nie wiem - odpowiedział z lekką dozą uszczypliwości. - Ja jej tu nie przynosiłem. Jest ich kilka na ośrodku, żeby w razie potrzeby wejść i oczyścić dach albo załatać dziurę.

Sara dałaby sobie rękę uciąć, że nie widziała żadnej drabiny po przyjeździe do ośrodka. Ale po chwili nie była już tego taka pewna. Może zwyczajnie nie zwróciła uwagi na tak mało istotny w tamtym momencie element krajobrazu.

Po krótkich oględzinach Woźniak stwierdził, że coś musiało zatkać wylot komina i dlatego doszło do wytworzenia się dymu. Prawdopodobnie były to jakieś gałęzie, szyszki i inne spady drzewne. Sara była pewna, że w ciągu jednej doby komin nie mógł się tak po prostu zatkać, ale nie miała siły ani ochoty na słowne przepychanki.

Nie chciała też wspominać o wyłączonym prądzie i nocnej pogoni. Woźniak i tak w żaden sposób nie pomógłby jej w identyfikacji uciekiniera, a ona sama zaczynała wątpić, czy to zdarzenie w ogóle miało miejsce, czy może przyśniło się jej, gdy podtruta tlenkiem węgla zapadła w pewien rodzaj snu na jawie. Od dnia, gdy wjechała w zalesione tereny należące do gminy Karczewo, rzeczywistość zdawała się przyjmować nierealne kształty. Zaczęło się od śmierci byłego męża, który wydawał jej się tak odległy, że niemal zdążyła zapomnieć o jego istnieniu, a potem nagle identyfikowała jego zmasakrowane ciało na drodze pełnej zakrętów. Potem zgubiła się w lesie i spędziła miły wieczór z facetem, który przy pierwszym spotkaniu nie zrobił na niej dobrego wrażenia. Gdyby miała być w pełni wobec siebie szczerą, to ciągle do końca mu nie ufała. Całe to mroczne jezioro, a także wrażenie, że jest przez kogoś obserwowana, że ktoś tylko czeka na odpowiedni moment, żeby ujawnić jej

tajemnicę lub zrobić jej krzywdę sprawiały, że policjantka zaczęła tracić pewność siebie i poczucie rzeczywistości.

Woźniak pokracznie zszedł z drabiny.

– Wie pani – odezwał się nieco łagodniejszym tonem, jakby dotarło do niego, co tak naprawdę się stało, a jednocześnie chciał zapudrować fakt, że w nocy prawie doszło do tragedii – kominki są nowe, w zeszłym roku montowane. Ale najwyraźniej ten jakiś nedorobiony. Fuszerka wykonawcy, ot co.

Wilczek chciała powiedzieć, że najlepiej zrzucić winę na osoby trzecie, ale dała spokój. Nie miała ochoty dłużej kopać się z koniem. Podziękowała za interwencję, umówiła się na późne popołudnie po odbiór innego letniaka i pożegnała się oziębło.

Kiedy opiekun ośrodka odjechał, ubrała się w przygotowany wcześniej komplet czarnych ubrań. Dopiero po chwili się zorientowała, jak bardzo przesiąkły dymem. Nie miała jednak alternatywy, było za późno na ponowne zakupy, nie wspominając o tym, że kwota na jej koncie bankowym w ostatnim czasie drastycznie stopniała.

Założyła dzinsy, skromny golf, a na głowę wcisnęła czarną czapkę. Przez chwilę się zastanawiała, czy nie założyć okularów przeciwsłonecznych, lecz ostatecznie stwierdziła, że w listopadzie nie spełniłyby swojej maskującej funkcji, a nawet bardziej przyciągałyby uwagę. Spakowała resztę swoich rzeczy do torby podróżnej, po czym wrzuciła ją do bagażnika nissana. Odpaliła auto i wyjechała z ośrodka, kierując się na cmentarz.

5.

Lokalizacja nekropolii wcale nie była oczywista. W większości wsi i małych miejscowości miejsca spoczynku zmarłych można było szukać w okolicach kościoła. W przypadku Karczewa był to dość rozległy teren na wylocie z miasta w kierunku Rzeszowa. Trzeba było skręcić w odpowiednim miejscu i wjechać w jedną z szutrowych dróg równolegle przecinających pobliskie łąki. Na szczęście wcześniejsze wskazówki Wojtka oszczędziły Sarze sporo czasu.

Cmentarz był naprawdę duży jak na tak małą miejscowość. Poszczególne sektory oddzielono od siebie rzędami iglaków i małych brzózek, a mniej więcej pośrodku terenu stała kaplica, do której policjantka postanowiła nie wchodzić podczas ceremonii z dwóch powodów. Po pierwsze nie wiedziała, jak Barbara Wierzbicka zareaguje na jej obecność. Pomimo wszelkich animozji, jakie dawniej miały miejsce między teściową a synową, Sara chciała uszanować uczucia kobiety po stracie syna i w żaden sposób nie utrudniać czegoś, co i tak było dla niej niewyobrażalnie bolesne. Po drugie nie znosiła tego momentu, gdy żałobnicy zamknięci w jednym pomieszczeniu ze zmarłym próbują nie stracić zmysłów podczas ostatniego, wyłącznie jednostronnego kontaktu z nim. Chciała też sobie oszczędzić ponownego oglądania zwłok byłego męża, choć z pewnością pracownicy domu pogrzebowego zrobili wszystko, co w ich mocy, żeby ukryć makabryczne skutki wypadku

na jego ciele. Istniała też ewentualność, że trumnę zamknięto, lub też ciało Krzysztofa poddano kremacji, ale tego nie mogła przewidzieć. W każdym razie postanowiła poczekać na zewnątrz w jakimś neutralnym miejscu do momentu, aż trumna zostanie wyniesiona i wraz z ciągnącym się za nią konduktem przetransportowana do miejsca wiecznego spoczynku.

Przystanęła w pewnym oddaleniu i czekała. Po chwili u drzwi kaplicy pojawił się człowiek trzymający ogromny krzyż, za nim wyszedł kapłan, a następnie ukazało się sześciu mężczyzn niosących trumnę. Zaraz potem z wnętrza zaczęli wylewać się ludzie. Czarna wstęga żałobników ciągnęła się bez końca, co wcale nie powinno być zaskoczeniem. Krzysztof mógł nie być przez wszystkich lubiany, lecz na pewno nie można było odmówić mu popularności. Odszedł przecież naukowiec, społecznik, działacz na rzecz środowiska i do tego radny. Ze swojej strony do tej listy określeń Sara dodałaby jeszcze szantażystę, jednak od zawsze wpajany jej przez rodziców szacunek do zmarłych stłumił tę myśl chwilę po tym, jak się pojawiła. Gdzieś w głębi czuła jednak żal, że nie było jej dane porozmawiać z Krzyśkiem i dowiedzieć się, co go skłoniło, by wysłać do niej tę krótką, niejasną wiadomość. Wpatrując się w lśniące dębowe deski spoczywające na barkach pracowników zakładu pogrzebowego, zadawała zmarłemu pełne żalu pytania, na które nigdy miała nie usłyszeć odpowiedzi, a na pewno nie z jego ust.

W co ty się wpakowałeś, Krzysiek?, powtarzała w myślach.

Kiedy orszak skręcił w jedną z cmentarnych alejek, Sara ruszyła za nim. Szła na samym końcu, aż do kwatery przeznaczonej dla Krzyśka. Zatrzymała się w pewnym oddaleniu, gdy reszta ludzi

okrzyła trumnę ustawioną na deskach w miejscu, gdzie za kilka minut na zawsze miała ją pochłonać ciemność.

Ksiądz zaczął recytować słowa modlitwy, a Sara skupiła uwagę na przybyłych ludziach. Przedstawiciele rodziny stojący tuż przy grobie nie stanowili licznej grupy. Matkę zmarłego, zgarbioną, sprawiającą wrażenie nieobecnej, podtrzymywał pod rękę starszy elegancki mężczyzna. U drugiego boku żałobnika tkwiła wczepiona w mankiet jego płaszcza niska kobieta, prawdopodobnie jego żona. Sara przypuszczała, że to teściowie Krzysztofa. Obok stały jeszcze dwie kobiety około pięćdziesiątki i para nastolatków, pewnie z dalszej rodziny. Z pozostałych osób Sara rozpoznała jedynie panią Marylę. Mąż restauratorki się nie pojawił, za to krok za nią stał młody postawny mężczyzna, ten sam, który rąbał drwa na podwórku Wierzbickich, gdy policjantka przyszła złożyć Barbarze kondolencje. Igor wlepił wzrok we własne buty i wydawał się mało zainteresowany obecnymi wydarzeniami.

Aldony, zgodnie z zapowiedzią teściowej, nie było na uroczystości. Sara pomyślała, że młoda wdowa musi czuć się okropnie, nie mogąc pożegnać własnego męża, ojca ich nienarodzonego dziecka. Sara szczerze jej współczuła, mimo że nie miała okazji poznać kobiety, która zastąpiła jej miejsce u boku Krzysztofa.

W pewnym momencie policjantka znów odniosła to dziwne wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Spojrzała na wysokie tuje rosnące tuż za rzędem nagrobków i zobaczyła za nimi przygarbioną postać. Zrobiła kilka kroków w tym kierunku i nagle zauważyła, że tajemnicza osoba zaczyna się przemieszczać. Jej długi czarny płaszcz migał między kolejnymi drzewkami. Sara nie chciała zakłócać

pogrzebu, więc nie zerwała się do biegu, a jedynie przyspieszyła kroku. Gdy doszła do dróżki biegnącej wzdłuż cmentarza i wychyliła głowę zza roślin, obserwatora już nie było. Wśród drzewek bawiła się w chowanego grupka dzieci.

Sara wróciła na miejsce i czekała na zakończenie pogrzebu, jeszcze przez jakiś czas nerwowo zerkając to na tuje, to na zgromadzonych wokół trumny ludzi. Wszyscy, poza jedną osobą, pogrążeni byli w skupieniu i modlitwie. Jedynie brat pani Maryli nie uczestniczył czynnie w ceremonii. Wyglądał na nieobecnego i, podobnie jak Sara, nerwowo zerkał na cmentarną alejkę za drzewami. Kiedy policjantka złowiła jego wzrok, speszył się i wrócił uwagą do własnych butów.

Pochówek powoli dobiegał końca. Ksiądz wyśpiewał ostatni psalm. Kiedy trumna została opuszczona, Sara ustawiła się na końcu kolejki, by złożyć rodzinie kondolencje. Do tego momentu zachowywała względny spokój. Wmawiała sobie, że jest tu z konkretnego powodu, że będzie się skupiać wyłącznie na obserwacji i wyciąganiu wniosków. Jednak podchodząc do byłej teściowej, nagle straciła rezon. Nawet na pogrzebie matki i ojca, a potem siostry nie rozkleiła się tak, jak teraz. Układ nerwowy policjantki, często wystawiany na silne bodźce, w końcu postanowił skapitulować i ulec pod naporem emocji. Nabrała powietrza i wycedziła kilka słów, które zwyczajowo wypowiada się w takiej sytuacji, a które wcale nie przynoszą ukojenia, czasem wręcz potęgują ból po stracie bliskiej osoby.

Chciałaby powiedzieć o wiele więcej. Choćby to, jak bardzo cierpiała, gdy Krzysztof zostawił ją w kryzysie, i jakim się okazał gnojkiem po latach. Że wcale nie był taki idealny, jak się wydawało

jego matce. To jednak nie była pora ani miejsce na takie słowa. Pomyślała, że może kiedyś do tego wróci, gdy czas podleczy rany. A może po prostu przełknie to w ciszy, wybaczy i postara się żyć normalnie. Tak chyba byłoby najlepiej dla wszystkich.

Spodziewała się, że reakcja Barbary na jej obecność będzie raczej oschła, jeśli nie wroga. Myliła się. Kobieta spojrzała na Sarę łagodnym, pełnym cierpienia wzrokiem w taki sposób, jakby właśnie wróciła z dalekiej podróży w głąb własnego umysłu, i wycharczała nieswoim głosem:

– Dziękuję. Stypa odbędzie się w domu. Przyjdź.

Sara nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Może Barbara mniej lub bardziej świadomie uznała, że skoro żona Krzyśka nie może uczestniczyć w jego pożegnaniu, była żona w pewnym sensie ją zastąpi, a raczej wypełni pustą przestrzeń swoją obecnością. Jak dodatkowe krzesło, które się wstawia, żeby nie było za dużej przerwy przy stole.

W każdym razie zaproszenie było jej bardzo na rękę. W odpowiedzi tylko przytaknęła i szybko się oddaliła, żeby móc w odosobnieniu otrzeć mokre policzki.

Podskoczyła, kiedy nagle za plecami poczuła czyjąś obecność i usłyszała męski głos szepczący wprost do jej ucha:

– Cześć.

– Wojtek? Ale mnie wystraszyłeś. Mówiłeś, że cię nie będzie – odpowiedziała z naciskiem, ale równie cicho.

– Zmieniłem zdanie. Chciałem zobaczyć, jak się trzymasz i czy przypadkiem się nie zgubiłaś na tym wielkim cmentarzu.

– Bardzo śmieszne. Wczoraj to był wyjątek. Zwykle świetnie radzę sobie w terenie. I w ogóle sobie radzę. Chociaż... – Zrobiła

pauzę, a Osowski spojrzał na nią z uwagą. – Odkąd tu przyjechałam, kłopoty depczą mi po piętach. To miejsce jest jakieś przeklęte.

– Co masz na myśli? – spytał.

– Moje wczorajsze przygody nie zakończyły się na błędzeniu po lesie. Praktycznie nie spałam tej nocy.

– A myślałem, że te podkrążone oczy, to przez wino – zadrwił. – Co się stało?

– Nie uwierzysz, ale prawie się zaczadziłam w tym cholernym domku. Kominek zaczął dymić jak opętany. Coś jest nie tak z wentylacją. Do tego zaciął się zamek w drzwiach i wysiadł prąd, przez co nie mogłam podnieść rolet. – Tak jak w przypadku Woźniaka, Osowskiemu również zdecydowała się nie mówić o nocnej pogoni za kimś, kto teraz, w świetle dnia, wydawał jej się już tylko wytworem wybujałej wyobraźni.

– Serio? W takim razie jak się wydostałaś?

– Wyważyłam drzwi.

Osowski uniósł brwi, a Sara w jego oczach dostrzegła niedowierzanie połączone z podziwem.

– Powiedzieć, że masz pecha, to jakby nic nie powiedzieć – zażartował, chociaż był wyraźnie zaniepokojony. – Dlaczego nie zadzwoniłaś? Byłaś na pogotowiu?

– Nie. – Spojrzała na niego z pobłażaniem.

– Powinien obejrzeć cię lekarz – powiedział stanowczo, a Sara tylko pokiwała głową, dając mu do zrozumienia, że nic jej nie jest. – Zgłosiłaś to gdzieś? Mogłaś się zaczadzić. Należą ci się przynajmniej jakieś wyjaśnienia.

– Skontaktowałam się z tym Woźniakiem, który opiekuje się letniakami. Nie chcę robić rabanu wokół siebie. Najchętniej

wyniosłabym się z tego upiornego ośrodka i wróciła do domu jeszcze dzisiaj, ale nie czuję się na siłach. Muszę zostać przynajmniej do jutra, żeby się trochę zregenerować. Poprosiłam Woźniaka o inny domek na jedną noc. Na szczęście nie robił problemu.

– Możesz przenocować u mnie – wypalił Osowski bez ogródek.

– Jak to? – Sara poczuła zakłopotanie. – Zapraszasz obcą kobietę do swojego mieszkania?

– Już nie taką obcą. Poza tym nie miałem na myśli mieszkania, tylko pokoik przy gabinecie. Mam tam kanapę, bo czasem pracuję po dwanaście godzin i muszę uciąć sobie drzemkę. Jest też skromna łazienka. Jeśli nie przeszkadza ci specyficzny zwierzęcy zapach, to zapraszam.

– Wszystko byłoby lepsze od tego wyludnionego miejsca nad jeziorem. – Sara zaczęła poważnie rozważać propozycję. – Ale... nie chciałabym robić ci kolejnego kłopotu.

– To żaden kłopot. Spakuj się i przyjeżdżaj. Gabinet jest niedaleko baru pani Maryli. Przed wyjazdem będziesz miała blisko, żeby zjeść ciepłe śniadanie.

Wypowiadając ostatnie zdanie, Osowski zabrzmiał, jakby właśnie zdał sobie sprawę, że już jutro Sara opuści Karczewo i pewnie nigdy więcej się w nim nie pojawi. Zdawało jej się, że wyczuła smutek w jego głosie. Czyżby wczorajszego wieczoru w nim też zrodziły się jakieś uczucia względem niej? A nawet jeśli, co z tego? Obiecała sobie, że już nigdy nie wplącze się w żadną relację. Nie zniosłaby kolejnego zawodu.

Tak czy inaczej propozycja Wojtka odnośnie nocowania była w tej sytuacji jak wybawienie i nic nie stało na przeszkodzie, żeby z niej skorzystać. Tym bardziej że grunt wydawał się neutralny i Sara nie

musiała się doszukiwać żadnych podtekstów ze strony nowo poznanego mężczyzny. Poza tym miejscówka Osowskiego znajdowała się w centrum miasta, wśród ludzi, a po tym, co przeszła, fakt ten dawał jej dodatkowe poczucie bezpieczeństwa.

– Jestem już spakowana. Wszystko mam w bagażniku – odpowiedziała, zgadzając się tym samym na przyjęcie pomocy.

– To zrobmy tak. Ja muszę teraz jechać do jednego gospodarstwa, ale myślę, że obrócę w godzinę. Może idź w tym czasie na jakiś obiad, dzwoniemy się i pojedziemy do mnie razem.

– Chyba jednak przyjadę sama. Po pogrzebie idę na stypę. Zostałam zaproszona.

– O, tego się nie spodziewałem. – Wojtek zrobił duże oczy.

– Ja też. Ale nie zamierzam tam przesiadywać nie wiadomo jak długo. Spróbuję się czegoś dowiedzieć i spadam.

– W takim razie daj znać, jak już wyjdiesz. Będę czekał pod telefonem.

– Dobrze.

– Powodzenia – powiedział Wojtek i odszedł niemal natychmiast.

Nie zdążyła mu podziękować, nie tylko za ofertę noclegu, lecz również za to, że w ogóle się pojawił.

6.

Na polbruku pod willą Wierzbickich ciężko było dopatrzeć się prześwitu. Auta zaproszonych na poczęstunek gości stały już zaparkowane po obu stronach wąskiej jezdni oddzielającej od siebie prawie identyczne budynki. Wilczek zostawiła swoją micrę ulicę dalej. Znalazła większą szczelinę w sznurze samochodów i przecisnęła się przez nią, a potem przeszła przez otwartą na oścież furtkę.

Zapukała do drzwi, bo głośny dzwonek w tak smutnym dniu wydawał się jej nazbyt agresywny. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że w środku musi panować gwar i nikt nie usłyszy stłumionego dźwięku, jaki wydawały jej zziębnięte palce odbijające się od lśniącego mahoniem drewna. Zdziwiła się, kiedy już po chwili otworzył jej Igor. Nie odezwał się, tylko spuścił wzrok, odwrócił się, zostawiając uchylone drzwi, i poprowadził Sarę do otwartego salonu Wierzbickich. Już z przedpokoju dało się słyszeć stonowane rozmowy okraszone brzękiem sztućców i filiżanek odstawianych z powrotem na spodka.

Przyjęcie nie miało tradycyjnej formy. Zorganizowano je na zasadzie szwedzkiego stołu, a żałobnicy przysiadali na fotelach, sofach lub kręcili się po dwupiętrowym budynku. Było to dość zrozumiałe. Dom nie należał do najmniejszych, lecz zważając na liczbę zaproszonych, ciężko byłoby ulokować wszystkich razem przy jednym stole.

Wszechobecny pomruk rozproszył się nagle za sprawą rozbitej o podłogę porcelany dokładnie w momencie, gdy Sara pojawiła się u progu salonu. Dzięki temu zbiegowi okoliczności starsza sierżant Wilczek została niezauważona, bo cała uwaga gości skupiła się na roztrzęsionej Barbarze stojącej nad potłuczonym talerzykiem. Kobieta przez chwilę wpatrywała się w kawałki porcelany, jakby były smutną metaforą przemijania i nieodwracalności pewnych zdarzeń. W dniu takim jak ten wszystko niosło za sobą podobne skojarzenia.

Sara jednym spojrzeniem ogarnęła pomieszczenie. Na konsolacji zebrało się sporo ludzi, o wiele więcej, niżby się spodziewała, mimo to nikt z obecnych nie przejął się wypadkiem kobiety, która godzinę wcześniej pochowała jedyne dziecko, a teraz stała jak słup soli wpatrzona w jodełkę parkietu. Kiedy do seniorki dotarło, co właściwie się stało i że to tylko zwykły talerzyk, klękała na jedno kolano i zaczęła podnosić kawałki ceramiki.

Sara zerwała się, by jej pomóc, lecz nagle poczuła, że ktoś trąca ją ramieniem. Zza jej pleców wyłonił się Igor, który jako jedyny z zebranych postanowił uprzątnąć powstały bałagan. Ukląkł przed gospodynią, przejął odłamki z pomarszczonej dłoni i zaczął ostrożnie zbierać resztę.

Wierzbicka powoli wstała i, trzymając się za palec, podeszła do Sary.

– Stukło się – oznajmiła martwym głosem, a potem minęła była synową i wyszła z salonu.

Sara zauważyła czerwoną kroplę sączącą się z kciuka Barbary, choć ta próbowała ukryć ranę. Policjantka postanowiła wykorzystać sytuację, żeby móc w spokoju porozmawiać z kobietą. Ruszyła za nią.

Już po chwili obie znajdowały się w przestronnej kuchni, gdzie niemal wszystkie blaty oraz stojąca na środku wyspa obłożone były wszelkiego rodzaju potrawami, od mięs po ciasta. Na kilku nienaruszonych jeszcze opakowaniach Sara zauważyła logo baru pani Maryli. Wierzbicka musiała zamówić u niej catering. Bardzo wystawny i wyglądający tak apetycznie, że policjantkę skreśliło w żołądku.

– Skaleczyła się pani – powiedziała, zatrzymując się tuż za pochylonymi plecami seniorki. Krew spływała po jej wskazującym palcu, po czym rozbijała się o dno kuchennego zlewu. Sarze się zdawało, że skulona w sobie kobieta płacze, jednak jej oczy pozostawały suche.

– Muszę zakleić – wyszeptała.

– Pomogę – zaproponowała Sara, gdy Barbara trzęsącymi się dłońmi próbowała poradzić sobie z odklejeniem części zabezpieczającej plastra. Potem ostrożnie położyła opatrunek na zraniony palec byłej teściowej i docisnęła do pomarszczonej wiekiem skóry delikatnie, lecz na tyle mocno, by skutecznie zatamować krwawienie.

Barbara nie podziękowała. Sara się domyśliła, że z powodu zaciśniętego gardła.

– Napijesz się ze mną kawy? – spytała niespodziewanie, po czym włączyła ekspres i, nie czekając na odpowiedź, umieściła pod dyszą dwie filiżanki.

– Chętnie, niewiele spałam tej nocy – odpowiedziała Sara, uświadamiając sobie, że naprawdę słabo się czuje. Kompletnie nie miała mocy w mięśniach, a przed oczami latały jej ciemne paski, które zwykle były objawem skrajnego zmęczenia po nocnym

dyżurze. Kawa była w tym momencie jak zbawienie, choć tylko doraźne. Tak naprawdę pomóc jej mógł tylko spokojny i głęboki sen.

Wierzbicka postawiła parujące filiżanki na wyspie, a Sara chwyciła z blatu dwa talerze i widelce. Kiedy obie usiadły na wysokich krzesłach z podpórkami na stopy, policjantka zaczęła przysuwać bliżej pojemniki z przekąskami.

- Kiedy ostatnio coś pani jadła?

- Nie pamiętam, chyba przed... przed tym, jak... - Zaniósła się niemym szlochem, ale szybko nabrała powietrza i przywołała się do porządku. - Wiem, że powinnam coś zjeść, ale nie mogę przy tych wszystkich ludziach. Ich obecność strasznie mnie drażni. Chciałabym, żeby już poszli.

- Rozumiem. - Sara popadła w chwilową zadumę. - Czułam się podobnie dwa razy w życiu. Najpierw po pogrzebie taty, a potem mamy. Też wolałam być wtedy sama.

Sara nałożyła sobie trochę sałatki oraz śliwkę zawiniętą w bekon i zaczęła przeżuwać. Nie chciała, by Barbara czuła się niezręcznie, jedząc w samotności. Sama też była już bardzo głodna. Chwilę później starsza kobieta poszła w jej ślady. Brała na talerz przypadkowe rzeczy bez zastanowienia. Gryzła pobieżnie i przetykała w milczeniu świadoma tego, że musi dostarczyć organizmowi wartości odżywczych mimo braku apetytu. Potem wypiła duszkiem całą kawę i oparła się plecami o krzesło. Jej ręce zwisały bezwładnie wzdłuż ciała.

- Ty pochowałeś rodziców, a ja własne dziecko - mówiła już spokojniej, ale wciąż zdawała się nie wierzyć w prawdziwość własnych słów, jakby były relacją snu albo obejrzanego niedawno filmu. - A jeszcze w tym roku mówiłam Krzysiowi, jaki ma mi

wyprawić pogrzeb, w co mnie ubrać do trumny. Bo choruję na serce i nigdy nie wiadomo, kiedy nadejdzie mój czas. Złościł się na mnie, mówił, że nie chce słuchać o żadnym umieraniu. A teraz ja muszę oplakiwać jego. Tak nie powinno być.

W głowie Sary pojawił się obraz zaginionej siostry i zrozpaczonych rodziców, niewiedzących, co się dzieje z ich córką, i odchodzących z tego świata ze świadomością, że nie zdołali jej pomóc. Patrząc na to zdarzenie z tej perspektywy, Barbara była w lepszej sytuacji. Nie musiała latami wyczekiwać na tragiczną wiadomość. Jeśli rodzice Sary umierali w męczarniach niewiedzy, Barbara dostała szybki cios w tył głowy. Ale policjantka zdawała sobie sprawę, że to dla niej żadne pocieszenie. Wierzbicka straciła syna i już nigdy nic nie zasklepi wyrwy, która na skutek tego wydarzenia powstała w jej sercu. Nie było żadnych okoliczności łagodzących. I nie mógł pomóc nawet upływający czas. Sara wiedziała, że będzie on tylko nakładał kolejne warstwy plastrów na wciąż jątrzącą się ranę.

– Co z żoną Krzysztofa? – spytała, żeby przekierować myśli Barbary na sprawy doczesne.

Kobieta nie odpowiedziała od razu. Zajrzała do pustej filiżanki.

– Było groźnie. Zemdląła, a kiedy ją zbadali ci z pogotowia, stwierdzili, że nie słyszą bicia serca dziecka. W szpitalu rozważali, czy nie przyspieszyć porodu, ale jak mojemu wnusiowi wrócił puls, to postanowili zaczekać, bo jeszcze trochę na niego za wcześnie. Każdy dzień w łonie matki jest ważny. Zostawili Aldonę pod kroplówkami. I bardzo dobrze. To dziecko jest teraz najważniejsze. Bo to tak, jakby Krzysiu rodził się na nowo.

Sara słuchała cierpliwie, choć czuła się niekomfortowo. Zdawało jej się, że zachowanie Barbary przekracza granice zwyczajnej żałoby i zaczyna zakrawać na szaleństwo. Jej wnuk to przecież odrębna jednostka, nie zastąpi Krzyśka, a jeśli kobieta zafiksuje się na tej myśli, dzieciak będzie dorastał w środowisku toksycznej miłości i rywalizacji o jego uczucia między matką a zaborczą babcią.

– Myśli pani, że po porodzie Aldona wróci tu z dzieckiem? – zapytała Sara, udając, że ignoruje poprzednie słowa Barbary.

– Czy tu wróci? – Seniorka powtórzyła pytanie, jakby nie zrozumiała jego treści.

– Do tego domu, do pani.

– A czemu miałyby nie wrócić?

– Nie wiem. Pomyślałam, że to miejsce jest pełne wspomnień i może jej być ciężko się odnaleźć w tej nowej rzeczywistości. – Spojrzała na reakcję Barbary, ale ta nawet nie drgnęła. – Poza tym wydaje mi się, że kobieta woli, kiedy przy pierwszym dziecku pomaga jej matka, a nie... – Urwała, reflektując się, że powiedziała coś, co mogło urazić Barbarę. To, że one się nie lubiły, nie znaczyło, że taka sama relacja musiała łączyć Barbarę i Aldonę.

– Teściowa? – dokończyła za nią Wierzbicka. – Bzdura. Zresztą ten dom jest otwarty dla dziadków mojego wnuka. Nie przepadamy za sobą, ale jeśli będą chcieli pomagać córce, to ich nie wypędzę. Tu jest jej miejsce. Jej i tego dziecka.

– Nie przepadacie za sobą? Dlaczego? – Sara czuła, że stąpa po kruchym lodzie.

Wierzbicka wzruszyła ramionami i odezwała się dopiero po chwili:

– Z Marią nie mam problemu, jakoś się dogadujemy. Za to mam powód, żeby nie lubić ojca Aldony. – Sara czekała na rozwinięcie myśli, nieprzerwanie wpatrując się w Wierzbicką. Czuła, że kobieta ma ochotę wypluć wszystkie swoje żale, i nie myliła się. – Henryk namawiał Krzysia na wyjazd do Stanów. Miał tam jechać jako naukowiec przy jakimś projekcie, dostać dom w Kalifornii i wysokie wynagrodzenie, a do Polski przylatywać tylko raz na kwartał. Pewnie Henryk upatrywał w tym przedsięwzięciu szansę na lepszą przyszłość dla córki, ale nie brał pod uwagę tego, że ona wcale nie chciała jechać. Miała tu pracę, którą kochała, i znaczące stanowisko, a tam byłaby zwykłą kura domową. Aldona jest zbyt ambitna na taki układ. Upierała się, że jeśli Krzys wyjedzie, to ona zostanie tu z dzieckiem i będą tak żyć na dwa domy, widując się kilka razy w roku. Ciągłe się z Krzysiem o to kłócili. A ja czułam, że przez ten wyjazd ich małżeństwo w końcu się rozpadnie.

– Jak oni się poznali? – Sara starała się załagodzić wzburzenie kobiety i jak najskuteczniej wykorzystać jej chwilową otwartość.

– Na uczelni. Byłabym przeciwna temu małżeństwu, gdyby nie fakt, że Aldona zaszła w ciążę. Nie godzi się wychowywać dziecka bez ślubu. A i Krzysiu już przekroczył czterdziestkę, więc najwyższa była pora na niego. Nie miał chłopak szczęścia do kobiet – powiedziała z przesadnym ubolewaniem, a Sara poczuła ucisk w szyi. – Najbardziej to mnie drażniła różnica wieku między nimi. Ale szybko się okazało, że wybranka Krzysia to całkiem mądra dziewczyna.

– W końcu trafił na ideał?

– Bez przesady, Aldona też ma swoje za uszami – powiedziała Wierzbicka stłumionym głosem, patrząc w jeden punkt na stole. –

Jest pracoholiczką. Z początku uznawałam to za zaletę, ale są w życiu rzeczy ważne i ważniejsze. Trzeba znać umiar. A ona nawet nie chciała wyjeżdżać z Krzysiem na weekendy. On lubił spędzać czas na łonie natury, w lesie, nad jeziorem, a ona tylko w domu siedziała albo do luksusowych hoteli chciała jeździć. Z klimatyzacją, pełną obsługą i codziennie zmienianą pościelą. – Zamilkła na chwilę, zamyśliła się nad czymś i ta myśl wyraźnie ją rozdrażniła. – Krzysiu załatwił jej posadę w oczyszczalni ścieków, ale jak zaczął się ostatni trymestr ciąży, nie poszła na zwolnienie. Nawet kiedy miała dyżury na piątą rano, w każdy poniedziałek jeździła i wypełniała swoje obowiązki. Mówiłam jej, że czas już odpocząć, przygotować się na przyjście dziecka, bo potem sobie nie pośpi przez kilka lat. Ale ona nie słuchała. Strasznie jest uparta. Dlatego na początku tak się z Krzysiem dobrze dogadywali. Oboje mieli w sobie upór i poczucie misji w życiu.

Sara przejęła smutne spojrzenie Barbary i, w połączeniu z jej ostatnimi słowami, odczytała w nim przytyk do własnej osoby. Starsza pani od zawsze uważała, że praca w policji to zajęcie dla mało rozwiniętych intelektualnie mężczyzn, nie dla młodej, ambitnej kobiety. I z pewnością nie łączyła służby w mundurze z żadną misją, co nieustannie dawała Sarze do zrozumienia, kiedy przez krótki czas była jej teściową.

– Aldona pracuje w tej oczyszczalni pod Karczewem?

– Tak, dlaczego pytasz?

– Nic takiego, po prostu ktoś mi wspominał o tym miejscu. Tam prowadzi ta droga, na której doszło do wypadku Krzysztofa, prawda?

Wierzbicką zamurowało. Sara wiedziała, że jej słowa znów wywołają u kobiety najgorsze emocje, ale jeśli chciała się czegoś

dowiedzieć, musiała wyjść z roli współczującej synowej i wejść w rolę śledczej. Starsza pani najpierw kiwnęła głową, a potem dodała:

– Tego dnia Aldona źle się czuła. O świcie wstałam po wodę, żeby połknąć tabletki, i słyszałam, jak rozmawiają z Krzysiem w łazience. Z wszystkich pracowników tylko ona miała klucze do laboratorium i uprawnienia do jakichś tam procedur, a jej zastępca się rozchorował, więc się upierała, że musi pojechać do pracy. Mówiła, że załatwi to szybko, żeby nie paraliżować całego zakładu, i wróci. Ale Krzysiu jej nie pozwolił. Wziął te klucze, kazał sobie wytłumaczyć, co ma zrobić, wsiadł w jej samochód i pojechał zamiast niej. Gdyby nie był taki troskliwy, żyłby teraz. – Na twarzy kobiety pojawił się grymas bólu. Przerwała i położyła policzek na ręce opartej o stół.

– Ale możliwe, że nie żyłaby Aldona. I pani wnuk – powiedziała Sara łagodnie, a twarz Barbary zaczęła się wygładzać. – Krzysztof ocalił żonę i dziecko.

– To niesprawiedliwe, nie tak miało być. Oni wszyscy powinni żyć.

Sara odczekała chwilę, a potem spytała:

– Czyli to białe audi należało do Aldony?

Starsza pani przytaknęła.

– Mój syn miał czarne volvo. Od zawsze był wierny tej marce. Powtarzał, że sylwetka tych samochodów to uosobienie męskości, czy jakoś tak.

– Dlaczego Krzysztof pojechał jej autem, a nie swoim?

Barbara przez chwilę zbierała myśli, próbując sobie przypomnieć szczegóły tamtego feralnego poranka.

– Mówił, że skoro jedzie w tamtym kierunku, to przy okazji coś załatwi u mechanika. A nie – odezwała się po chwili namysłu – chyba

chodziło o wymianę opon na zimowe, bo zapowiadali śniegi, a Aldona ciągle z tym zwlekała.

Sara pokiwała głową w geście zrozumienia.

– Musiał ją bardzo kochać.

Barbara nie odpowiedziała. Chwyliła widelec i zaczęła układać resztki na swoim talerzu w zwiędłą mozaikę. Potem przelotnie spojrzała na Sarę i powiedziała:

– Ciebie też kochał. Ale był jeszcze młody i głupi. Mogliście jeszcze poczekać. Skończyć studia i dopiero potem...

– Nie wracajmy do tego. Było, minęło. Każdy z nas ułożył życie po swojemu, a tamto, co było między nami, skończyło się w dniu, gdy Krzysiek postanowił mnie zostawić.

– W takim razie dlaczego tu przyjechałaś? – zapytała Barbara.

– Już pani mówiłam. Musiałam coś załatwić w Rzeszowie. To był czysty przypadek, że zjawiłam się tu akurat w takim momencie. Ale kilka dni wcześniej – zaczęła powoli, czując, że powinna podkoloryzować swoją wersję zdarzeń, żeby skłonić rozmówczynię do dalszych zwierzeń – zadzwoniłam do Krzyśka, żeby polecił mi jakiś niedrogi hotel.

– To wy ciągle mieliście ze sobą kontakt? – Początkowe zdziwienie Barbary już po chwili zaczęło przechodzić w oburzenie. Sara czytała to z wyrazu jej twarzy.

– Nie, nie rozmawialiśmy, odkąd wyjechał z Ogrodzieńca, ale namierzyłam go przez internet. Wykładał przecież na dużej uczelni, to nie było trudne – ponownie skłamała.

– No i co ci powiedział?

– Nie spodziewał się mojego telefonu. Podał mi nazwę jakiegoś hotelu, ale to nieistotne.

- A co jest istotne? - ponagliła Wierzbicka.

- Wydawało mi się, że jest przybity. Na początku się zdziwił, że słyszy mnie po drugiej stronie słuchawki, ale nie zakończył od razu rozmowy. Zachowywał się tak, jakby telefon ode mnie był dla niego szansą na rozwiązanie jakiejś trudnej sytuacji. Chciał się nawet spotkać w Rzeszowie, ale ja wykręciłam się brakiem czasu.

- Co ty mówisz? Nic z tego nie rozumiem.

- Mogę się mylić, ale zdaje mi się, że pani syn miał jakieś kłopoty.

Wierzbicka ściągnęła brwi i zaczęła intensywnie myśleć. Lekko rozwarła usta, a jej oczy poruszały się niespokojnie na boki. Poszukiwała w pamięci rozmów i sytuacji, które mogłyby potwierdzić słowa Sary, jednak najprawdopodobniej nic takiego nie przychodziło jej do głowy.

- To niemożliwe. Wiedziałabym, gdyby coś było nie tak. Zawsze o wszystkim mi mówił, nawet o swoich problemach w małżeństwie. Zresztą, jakie to ma teraz znaczenie? Mówisz, jakbyś prowadziła dochodzenie w sprawie morderstwa, a Krzyś zginął w wypadku samochodowym.

Kobiety spojrzały sobie głęboko w oczy i zamilkły, jakby w jednej chwili do obu dotarła ta sama myśl: czy przyczyną śmierci Krzyśka na pewno był wypadek?

- Tak, ma pani rację. To tylko moje głupie przyzwyczajenia z pracy. I chyba mam wyrzuty sumienia, że Krzysiek chciał się spotkać, pogadać, a ja go zbyłam. Tylko dlaczego był taki poddenerwowany? Spytałam panią o to, bo pomyślałam, że może miał jakichś wrogów, niespłacone długi. Obawiam się, że jeśli tak było, to teraz jego niedokończone sprawy mogą spaść na Aldonę. Chciałabym jej pomóc. Pomóc wam.

- Jakie długi? To niedorzeczne. Spójrz na ten dom, Krzysiu wszystko wybudował dzięki swojej ciężkiej pracy, uporowi i wytrwałości. Jeśli już, to ludzie mieli długi u niego. Poza tym był ogólnie szanowanym człowiekiem. Nikt mu źle nie życzył. O co ci, dziewczyno, chodzi?

- Spokojnie - rzuciła Sara, unosząc dłonie. - Proszę się nie denerwować. Pytam tylko z troski. Takie niezłatwione sprawy po śmierci przechodzą na rodzinę. Jeśli Krzysztof w coś się wplątał, może to się odbić na was. Chciałam tylko pomóc. Ale skoro mówi pani, że nie ma się czym martwić, ja to przyjmuję do wiadomości.

- I bardzo dobrze. Myślę, że na tym zakończymy rozmowę.

- Basiu? - Sara usłyszała łagodny kobiecy głos dobiegający od drzwi kuchni. - Twoja siostra z mężem chcą się pożegnać. Wyjdiesz do nich?

- Tak, już idę. Ale potem muszę się położyć. Przejmiesz rolę gospodyni, Marysiu, do czasu, aż wszyscy sobie pójdą?

- Oczywiście, Basiu. A co potem?

- Nie przejmuj się, za godzinę ma przyjechać pani Maryla. Razem z Igorem wszystko uprzątną i zamkną dom.

- Ja też już pójdę - powiedziała Sara i podniosła się z krzesła. - Jutro po południu wyjeżdżam, ale gdyby czegoś pani potrzebowała, proszę dzwonić.

Barbara nie spojrzała na nią ani się nie odezwała. Policjantka wiedziała, że niczego więcej z niej nie wyciągnie. Zabrała kurtkę i z ulgą opuściła willę przy ulicy Ruczajowej.

7.

Zaraz po wyjściu zadzwoniła do Woźniaka z informacją, że zamiana letniaków jest już nieaktualna. Potem opuściła osiedle domków jednorodzinnych i zajęła na parking przed barem Maryli. Wojtek był już w drodze powrotnej do Karczewa, ale musiała jeszcze chwilę na niego poczekać. Pozostając w ciepłym aucie, rozejrzała się po okolicy. Bardzo szybko dostrzegła budynek, na którego parterze widniał szyld przychodni dla zwierząt, gdzie miała spędzić swoją ostatnią noc na Podkarpaciu. Potem zamierzała wrócić do Ogrodzieńca i postarać się o wszystkim zapomnieć. Podkreśliła radio, oparła się o zagłówek i czekała.

W pewnym momencie drzwi baru U Maryli się otworzyły, a ze środka wyszła właścicielka. W rękach taszczyła dwie puste skrzynki, które umieściła w bagażniku samochodu dostawczego. Za nią wyłonił się otyły mężczyzna, dzierżący kolejne skrzynki. Przez chwilę rozmawiali, dynamicznie gestykułując, a może nawet się sprzeczali. Kucharka pokazała mężowi palcem drzwi, a on jak na komendę wrócił do baru. Ona sama została przy aucie i odpaliła papierosa.

Sara wyszła z auta i podeszła do kobiety.

- Dzień dobry. Restauracja dzisiaj nieczynna? - spytała.

- Dobry. A, to pani. - Maryla szybko rozpoznała Sarę, musiała mieć świetną pamięć do twarzy, co ściśle łączyło się z jej talentem do snucia przypuszczeń i rozprowadzania plotek. Sara zamierzała

wykorzystać te dary. – Niestety, kochanieńka, obsługujemy dzisiaj dużą stypę, właśnie jedziemy posprzątać.

– U państwa Wierzbickich?

– Skąd pani wie? – zdziwiła się Maryla, ale zaraz dodała: – A tak, rozmawialiśmy przecież o panu Krzysztofie. Panie, świeć nad jego dobrą duszą.

– Tak, okropna tragedia. – Sara przybrała ton swojej rozmówczyni, żeby zdobyć u niej więcej zaufania, chociaż znając kobietę, nie było to aż tak bardzo konieczne. Jednocześnie ciągle udawała, że jest dla Krzysztofa zupełnie obcą osobą. – A wie pani, że wczoraj załatwiałam coś w Rzeszowie na uczelni i niechcący usłyszałam w dziekanacie rozmowę o Wierzbickim? On tam pracował, prawda? – Sara nie traciła czasu. Szybko zapodała temat, a kucharka momentalnie się zaciekawiała. Jej oczy zwęziły się w szparki, zaciągnęła się papierosem i wyraźnie czekała na nowe sensacje.

– Tak, był wykładowcą. A co pani słyszała?

– Coś na temat jego małżeństwa, że ponoć im się nie układało. Ale wie pani, to pewnie zwykłe plotki.

– Oj tak, ludzie potrafią być zawistni. Jak ktoś się czegoś dorobi, coś osiągnie, to zaraz na nim psy wieszają. – Znowu się zaciągnęła, spuściła wzrok, a potem powiedziała przez zaciśnięte usta: – Ale co do ich małżeństwa, to jakieś ziarenko prawdy w tym jest. Jak w każdej plotce.

– Czyli jednak nie było tak różowo? – podjudzała Sara.

– Ja tam ludziom pod pierzynę nie zaglądam, ale mówią, że ten związek to trochę na siłę był, no bo gdzie taki dojrzały mężczyzna z taką sikszą? Lepszą partię mógł sobie znaleźć, a ona młodszego, tylko,

wie pani, tam wchodziły w grę jakieś układy z ojcem dziewczyny. A w łóżku i innych sprawach to im się od samego początku nie układało – powiedziała kobieta ściszone głosem, konspiracyjnie zbliżając twarz do Sary, choć oprócz nich na parkingu nikogo nie było. – Od brata wiem. On tam pracuje, to mi czasem opowiada różne rzeczy. Ta cała Aldona to niezła zołza. Nic się dla niej nie liczy, tylko wygląd, kariera i kasa. Od początku ciągnęła z męża aż miło. Ale Wierzbicki też musiał mieć z tego spore korzyści, skoro z nią był. I takie to było małżeństwo.

Z baru wytoczył się mąż Maryli, trzymający mopa i plastikowe wiadro.

– No, jesteście wreszcie – rzuciła kobieta, przydeptując peta.

– Nie mogłem go znaleźć. Prosiłem, żebyś odkładała rzeczy zawsze w to samo miejsce.

– Dobra już, pakuj go i jadę, bo do nocy się nie uwinę z tym sprzątnięciem. Igor już dwa razy dzwonił. – Zignorowała tłumaczenia małżonka, po czym zwróciła się do Sary: – Jutro zapraszamy na śniadanie.

– Dziękuję, na pewno przyjdę.

Maryla odjechała niemal z piskiem opon. W tym samym momencie na parking wtoczyło się auto Osowskiego. Sara poczuła, że mimowolnie przyspiesza jej tętno. Mężczyzna wysiadł, zamknął samochód pilotem i podszedł do niej.

– Wybacz strój, ale jadę prosto z obory. – Wytłumaczył swój wygląd, przez który musiał czuć się odrobinę niezręcznie. Faktycznie, z flanelowej koszuli gdzieniegdzie sterczały źdźbła słomy, a džinsy na wysokości kolan miały brudne przetarcia. I ewidentnie czuć było od niego krową. – Przeżyłaś tę stypę?

– Jak widać. – Rozłożyła ręce, pokazując, że jest w jednym kawałku.

– I co? Dowiedziałaś się czegoś?

– Niewiele. Pogadałam chwilę z matką Wierzbickiego, ale nie usłyszałam żadnych konkretów. Dlatego mój jutrzejszy wyjazd jest postanowiony i nieodwołalny. Możemy już iść, bo padam z nóg?

– Jasne, zapraszam do siebie.

Wyjęła z samochodu walizkę i ruszyli w kierunku kamienicy. Przeszli przez ruchliwą brukowaną jezdnię, po czym Osowski uchylił drzwi i zaprosił Sarę do swojej małej lecznicy. Od progu poczuła specyficzny zapach zwierzęcego futra, ale miejsce było bardzo przyjemne: jasne, ładnie urządzone, wyłożone glazurą w stonowanych kolorach i bez żadnych ozdób.

– Ładnie tu. Chociaż dołożyłabym jakieś obrazki na ścianach.

– To nie przychodnia pediatryczna. Ze zwierzakami jest odwrotnie jak z dziećmi. Im mniej rozpraszaczy dookoła, tym są spokojniejsze.

– Rozumiem. Ty tu jesteś specjalistą. – Sara uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Tu jest mój gabinet, a tam twój tymczasowy azyl. Zamyka się od środka – wyjaśnił, kiedy wkroczyli do małego pomieszczenia na końcu poczekalni. Wewnątrz zwierzęcy zapach był już mniej intensywny, choć nadal wyczuwalny. – Zmienię ci pościel i uciekam. Mam dzisiaj jeszcze kilku pacjentów.

Pod ścianą stała najprostsza rozkładana kanapa. Może nie był to szczyt wygód, ale przynajmniej Sara mogła się tu czuć bezpiecznie. Za nic nie wróciłaby na kolejną noc do Kormorana.

- Dzięki - powiedziała, kiedy Wojtek skończył walczyć z naciąganiem poszewki na kołdrę.

- Nie ma sprawy. Łazienka jest za tymi drzwiami, a gdybyś czegoś potrzebowała, będę w gabinecie.

- O której kończysz pracę? - spytała Sara.

- Zamykam około osiemnastej, ale nie martw się, zostawię ci klucze, gdybyś chciała wyjść do sklepu albo gdziekolwiek. Tylko zamknij dobrze, sporo tu drogiego sprzętu, nie chciałbym znów zaczynać wszystkiego od zera.

- Czym zasłużyłam na takie zaufanie?

- Ja nie ufam ludziom - powiedział z pełną powagą.

- Witaj w klubie - odpowiedziała. - Ale to znaczy, że sporo ryzykujesz, pomagając mi.

- Bo lubię ryzyko. - Tym razem po jego twarzy przemknął cień uśmiechu. - I ciebie - dodał po chwili, a potem zamknął za sobą drzwi.

8.

Sara leżała pod czystą, pachnącą kołdrą, wsłuchując się w rozmowy na korytarzu przeplatane poszczekiwaniami tudzież przeraźliwymi miauknięciami. Jej myśli krążyły między zdarzeniami ostatnich dni a Wojtkiem. Miała nadzieję, że wieczorem złapie go, zanim ten wyjdzie z pracy i namówi na pizzę lub kebaba. W końcu to on pierwszy zaproponował wspólną kolację, choć nie była pewna, czy wciąż o tym pamiętał. W Karczewie mogło nie być restauracji z prawdziwego zdarzenia, lecz z pewnością znalazłaby się jakaś pizzeria. Uświadomiła sobie, że ostatni raz była na randce wieki temu i, chociaż wcześniej nie myślała o spotkaniu z Osowskim w tych kategoriach, leżąc w jego łóżku, pozwoliła sobie puścić wodze fantazji. Przez myśl przewinęły jej się wszystkie dotychczasowe randki z facetami, na których zwykle nie była sobą. Zamawiała chude żarcie, piła tylko wodę lub herbatę i udawała, że dobrze się bawi. Zawsze na diecie, zawsze czujna, trzymająca pion, a mimo to kilka razy wdepnęła w bagno nieudanego związku, po którym ciężko było doprowadzić się do porządku.

Przez długi czas nie pozwalała sobie na niezdrowe jedzenie, jednak teraz, po tym wszystkim, co ją spotkało, czuła, że nadeszła pora, by trochę sobie odpuścić. Smaczny posiłek w dobrym towarzystwie mógł być miłą odmianą, a może nawet formą terapii. Naszła ją refleksja, że to nie jedzenie było jej wrogiem, lecz fakt, że zwykle spożywała je w samotności i próbowała nim wypełnić tę

część swojej duszy, która była zarezerwowana na miłość. Miłość, która nigdy nie nadeszła.

Wojtek wydawał się w porządku. Nie czuła przy nim skrępowania ani potrzeby odpierania prymitywnych samczych ataków. Podciągnęła kołdrę pod nos i wciągnęła świeżą woń przypominającą las deszczowy albo inną wiosenną nostalgię, którą wcześniej ukryto w butelce płynu do prania. Osowski niepotrzebnie zmieniał pościel. Wolałaby teraz czuć zapach jego skóry, nawet jeśli trącił zwierzęcą sierścią.

Drzemka, w którą zapadła, gdy tylko przekreśliła się na prawy bok i przyłożyła głowę do poduszki, przeciągnęła się aż do osiemnastej trzydzieści. Tym razem o niczym nie śniła, a kiedy wstała i na wpół przytomna uchyliła drzwi do poczekalni, korytarz spowijały ciemność i cisza.

Wojtek musiał już wyjść. Możliwe, że do niej pukał, ale pierwszy raz od kilku dni spała tak twardo, że niczego nie słyszała. Poczowała przejmujący smutek, że z planów na romantyczną kolację nic nie wyszło. Wróciła do łóżka. Chwyciła komórkę, wybrała numer Osowskiego i przez kilka minut trzymała kciuk w zawieszeniu. Ostatecznie nie odważyła się zadzwonić. Cofnęła się do głównego ekranu, ustawiła budzik na ósmą, żeby zdążyć się ogarnąć przed otwarciem lecznicy, i ponownie pogrążyła się we śnie.

Rano spakowała pizamę, a potem niecierpliwie czekała na gospodarza, żeby oddać mu klucze. Gdy przyjechał, jeszcze raz za wszystko podziękowała i wyszła, bo w poczekalni siedziała już dziewczynka z dwiema świnkami morskimi, przez co nie było sposobności, żeby dłużej porozmawiać.

W trakcie śniadania u Maryli wibracje telefonu wyrwały ją z chwilowego marazmu. Szybko wyciągnęła komórkę z kieszeni. Nigdy by się do tego nie przyznała, ale miała nadzieję, że dzwoni Osowski. Na wyświetlaczu ukazał się jednak nieznany numer. Odebrała.

– Sara Wilczek, słucham.

– Z tej strony Barbara Wierzbicka. Dzwonię, bo... bo nie wiem, co robić. – Głos kobiety był słaby i rozedrgany.

– Co się stało? – spytała Sara.

– Aldona wyszła ze szpitala i nie mam pojęcia, gdzie teraz jest.

– Jak to? Nie miała tam zostać do porodu?

– Miała, ale przed chwilą zadzwonił ordynator, że pani Wierzbicka wczoraj wieczorem opuściła placówkę bez wypisu, nikogo nie informując o swojej decyzji. Zapytał, czy ja, jako najbliższa rodzina, wiem coś na ten temat. Powiedziałam, że nic mi nie wiadomo, więc on stwierdził, że w takim razie musi zawiadomić policję.

– A jej rodzice? Nie kontaktowała się z nimi?

– Dzwoniłam do Marii. Podobno Aldona wspominała jej wczoraj, że chce pojechać do jakiejś przyjaciółki, a ona jej tego nie wybiła z głowy. To niedorzeczne! Co to za matka?

– Proszę się uspokoić. Skoro Aldona wyszła o własnych siłach, to znaczy, że naprawdę czuje się już lepiej. To dorosła osoba, może decydować o sobie.

– Nie interesuje mnie, jak ona się czuje. Wiem tylko, że naraża życie mojego wnuka, a ja muszę w takiej sytuacji interweniować! No i po co ten lekarz zawiadomił policję? Czy za samowolne opuszczenie szpitala grożą jakieś konsekwencje? Nie rozumiem tego zupełnie.

- Nic jej nie grozi, to normalna procedura w takich sytuacjach. Policja jest zawiadamiana po to, żeby ją chronić, a nie ścigać za wykroczenie. Każdy może wyjść ze szpitala, to nie więzienie, chociaż przyznaję, że zachowała się nieodpowiedzialnie, powinna zapytać specjalistę o opinię.

- Też tak uważam - wtrąciła Barbara.

- Lekarz zawiadomił policję, bo Aldona przeżyła załamanie nerwowe i dlatego mogła nie myśleć do końca racjonalnie. W końcu straciła męża, a lada moment ma urodzić dziecko. A mówiła coś o tej przyjaciółce, do której miała się udać? Ktoś ma na nią zamiary?

Cisza w słuchawce wskazywała na to, że odpowiedź nie jest wcale oczywista.

- Maria ponoć wie, o kogo chodzi, bo Aldona ma tylko jedną przyjaciółkę. Kiedyś młodzi często jeździli do Rzeszowa do takiej Renaty. Nocowali u niej. Ona jest chyba pielęgniarką. Nie znam jej adresu, ale mogę jeszcze raz zadzwonić do Marii.

- W takim razie proszę zadzwonić i poprosić o kontakt. Jeśli ten trop okaże się prawdziwy, to będzie znaczyło, że Aldona i jej dziecko są bezpieczni u tej kobiety. Pielęgniarka na pewno będzie wiedziała, jak zareagować, gdyby coś się działo. A synowa pewnie nie mogła już wytrzymać w szpitalu i potrzebowała wsparcia kogoś bliskiego. Tak jak wcześniej mówiłam, w domu wszystko przypominałoby jej Krzysztofa.

- To źle? Może najlepiej, żeby o nim jak najprędzej zapomniała i zabrała się za szukanie nowego męża? Na pogrzeb nie mogła przyjść, ale jeszcze tego samego dnia pojechała sobie do jakiejś obcej baby, zamiast zwrócić się o pomoc do rodziny.

- Nie mnie to oceniać.

– A może ktoś ją do tego namówił? – Głos Barbary przybrał ton wrogiej podejrzliwości.

– Czy pani coś sugeruje?

– Mówiłaś, że Aldona potrzebuje wsparcia, więc może ty jej podpowiedziałaś, co ma robić?

– Niech pani nie żartuje. Nie rozmawiałam z pani synową i nigdy bym jej nie namawiała do żadnych działań. To nie moja sprawa.

Kolejny wybuch szlochu w słuchawce świadczył o tym, jak bardzo chwiejne nastroje targają Wierzbicką.

– Przepraszam. Nie denerwuj się. Ja po prostu szukam jakiegoś punktu zaczepienia. Mam się z tym pogodzić i beczynnie czekać, aż matka mojego wnuka łaskawie wróci do domu?

– Myślę, że nie ma pani innego wyjścia.

Sierżant Wilczek czuła zniecierpliwienie tą rozmową. Nie wiedziała, czego starsza pani od niej oczekuje. Może tego, że była synowa zaangażuje się w szukanie dorosłej kobiety, która podjęła decyzję i postanowiła odizolować się od świata w trakcie przeżywanej żałoby. To nie był problem Sary. A nawet, gdyby chciała pomóc, nie bardzo miała do tego narzędzia. Owszem, była policjantką, lecz w trakcie urlopu i nie na swoim terenie. Tymczasem tutejsze służby zostały powiadomione o zdarzeniu i gdyby tylko zaistniały jakiegokolwiek przesłanki, z pewnością były gotowe podjąć odpowiednie działania. Sara nie mogła zrobić nic ponadto. Nie mogła i nie chciała.

– Dlaczego ona mi to robi? – Barbara uderzyła w wysokie tony. – Zawsze musi postawić na swoim, nawet teraz, gdy powinniśmy się trzymać razem i wspierać jak rodzina. Wiem, że nie jest jej łatwo, ale musi myśleć przede wszystkim o dziecku.

Jak rodzina, powtórzyła w myślach Sara. Zabrzmiało to tak, jakby Aldona w poczuciu Wierzbickiej nie należała do rodziny. Była tylko przez chwilę żoną jej pierworodnego syna, ukochanego jedynaka, nadal tolerowaną wyłącznie dlatego, że stanowiła inkubator dla wyczekiwanego wnuka. Barbara nie zmieniła się przez te lata. Jej postawa stanowiła niezbity dowód na to, że na starość z niektórych ludzi ze zdwojoną mocą wyłażą negatywne cechy. Tłumione przez całe życie skrupułami i fałszywą moralnością, wypełzają spod skóry i wiją się w pełnej krasie. Jakby nie miały już nic do stracenia.

– Pani Barbaro, naprawdę bardzo mi przykro. Aldona na pewno wkrótce się odezwie, jeśli nie do pani, to do swoich rodziców.

– Sara, pomóż mi, proszę. – Kobieta nagle zaczęła błagać. – Ja naprawdę się martwię i nie wiem, co robić. Coś mi tu bardzo nie pasuje. Mam złe przeczucia.

Kobieta nagle zamilkła, ale nie przerwała połączenia. Musiała odłożyć telefon, nie rozłączywszy się. Sarze się zdawało, że słyszała stłumiony jęk, a może to był płacz? Albo faktycznie była tak roztrzęsiona, że nie mogła wydusić ani jednego słowa więcej, albo straciła przytomność. Brała silne leki i chorowała na serce. Ta ostatnia myśl uczepiła się Sary jak rzep. Ponowna wizyta w domu Wierzbickich była ostatnim, czego teraz chciała, lecz nie potrafiła zostawić seniorki w takim stanie.

– Przepraszam – zwróciła się do Maryli krzątającej się za barem.
– Gdzie jest najbliższa porodówka?

– Słucham? – Kobieta albo nie dosłyszała, albo uznała, że to przejęzyczenie.

– Pytam o najbliższy oddział położniczy.

– A, to chyba w Rzeszowie.

Sara podziękowała za informację i weszła w wyszukiwarke internetową, wpisując frazę „szpital w Rzeszowie”. Przedstawiła się i poprosiła o połączenie z ordynatorem oddziału położniczego.

– Dzień dobry, dzwonię w sprawie ciężarnej, która wczoraj opuściła szpital bez wypisu. Może mi pan opowiedzieć o szczegółach tego zdarzenia?

– Chodzi o panią Wierzbicką? Powiem pani, że pierwszy raz mieliśmy do czynienia z taką sytuacją. Jej stan zdrowia się poprawił, jednak nie na tyle, żeby bez ryzyka przerwać monitorowanie ciąży. Wczoraj uznałem, że pacjentka sama podjęła taką decyzję, dlatego nie interweniowałem od razu. Ale na drugi dzień stwierdziłem, że lepiej będzie zawiadomić rodzinę i policję.

– Dlaczego pan z tym czekał?

– Nie miałem podstaw, by podejrzewać, że ktoś z zewnątrz brał w tym udział. Pytałem personel, czy pacjentka konsultowała się z kimś w sprawie wypisu. Z nikim nie rozmawiała, a moje pielęgniarki i salowe nie widziały nawet momentu, kiedy ciężarna opuszczała mury szpitala. Tylko jeden pielęgniarz z onkologii był akurat na papierosie i zaobserwował, jak z budynku wychodzi kobieta pchająca wózek z ciężarną, a potem pomaga jej wsiąść do auta i odjeżdżają razem.

– Jaki to był samochód?

– Nie wiem, proszę pani, ja nie prowadzę dochodzenia w tej sprawie. Zgłosiłem zdarzenie policji i zająłem się innymi pacjentkami.

– Która była wtedy godzina? – Sara zignorowała obcesowość lekarza i dopytywała dalej.

- Było po dziewiętnastej, o tej porze kończy się okienko odwiedzin.

- A ten pielęgniarz nie zauważył czegoś podejrzanego w zachowaniu Wierzbickiej?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Mówił tylko, że ciężarna wydawała się mu otepiała, ale to normalne.

- Dlaczego? Dostawała jakieś środki na uspokojenie?

- Niewielkie dawki, ze względu na dobro dziecka. Przywieziono ją w szoku, z nadciśnieniem ciążowym i musieliśmy opanować sytuację lekami. To takie mniejsze zło w tym przypadku. Przepraszam, ale mam skomplikowany poród. Chyba nie jestem w stanie bardziej pomóc.

- Rozumiem, proszę jeszcze tylko powiedzieć, w jakim stanie była pani Wierzbicka podczas ostatniego badania.

- Fizycznie ogólnie dobrym, nie było też bezpośredniego zagrożenia dla ciąży. Ale jej stan psychiczny był naprawdę zły. Dlatego zdecydowałem, żeby została pod naszą opieką do porodu, ale ona niestety postanowiła nie skorzystać z tego przywileju.

- Dziękuję panu. Do widzenia.

Rozłączyła się i skupiła myśli na tym, co właśnie usłyszała z ust ordynatora.

Pielęgniarz widział dwie kobiety wychodzące ze szpitala, więc wszystko wskazywało na to, że Aldona mówiła prawdę o wyjeździe do przyjaciółki. Pewnie do niej zadzwoniła i poprosiła o pomoc w opuszczeniu placówki. Musiało jej bardzo na tym zależeć, skoro zrobiła to po cichu i bez żadnej konsultacji. Zdawała sobie sprawę, że lekarze przekonywaliby ją, żeby została.

Sara zostawiła na talerzu niedokończony naleśnik i wyszła, nie pożegnawszy się z gospodarzami, którzy chwilowo przebywali na zapleczu baru. Było pochmurno i nieprzyjemnie. Wsiadła do micry, po czym ruszyła w kierunku osiedla domków jednorodzinnych.

9.

Furtka wciąż była uchylona, a na trawniku przed domem leżał pies. Sara nie była pewna, jak na nią zareaguje, lecz trzymała się myśli, że zwierzak ją rozpozna i nie zaatakuje. W końcu, kiedy była tu za pierwszym razem, cieszył się na jej widok i chciał się bawić.

Nie myliła się. Piesek podszedł do niej, merdając ogonem, trącił ją pyskiem, a gdy go pogłaskała, spokojnie wrócił na swoje miejsce.

Zapukała kilka razy, lecz przez dłuższą chwilę nikt nie odpowiadał.

– Pani Barbaro! Tu Sara, proszę otworzyć!

Sięgnęła po telefon i już miała wybierać numer alarmowy, kiedy drzwi domu Wierzbickich uchyliły się nieznacznie. Przez niewielką szparę zerknęła młoda kobieta.

– Dzień dobry – wydukała zbита z tropu Wilczek. – Czy z panią Barbarą wszystko w porządku?

– Kim pani jest? – spytała kobieta podejrzliwie.

– Nazywam się Sara Wilczek. Rozmawiałam z panią Wierzbicką przez telefon i zdawało mi się, że źle się poczuła. Dlatego przyjechałam. A pani jest kimś z rodziny?

– Aldona Wierzbicka – odpowiedziała kobieta dumnie i otworzyła szerzej drzwi, ukazując całą swoją postać. Była drobną osobą, na pewno przed trzydziestką, chociaż cienie pod oczami i ziemista cera mocno ją postarzały. Miała na sobie długą podomkę w babcinym stylu, spod której uwydatniał się idealnie zaokrąglony brzuch. Nie

był zbyt duży jak na dziewiąty miesiąc i znajdował się dość wysoko, pod samymi piersiami. Możliwe, że Sara odniosła tylko takie wrażenie, bo ciężarna się garbiła, jakby chciała ochronić swój najcenniejszy skarb przed wrogim światem. Poza tym Sara wiedziała, że niektóre kobiety noszą ciężę głębiej w ciele, podczas gdy inne są wydęte niczym balon. Wszystko było kwestią indywidualnej anatomii. – Z mamą jest już dobrze. Zrobiło jej się słabo, ale miała szczęście, że właśnie wróciłam do domu i podałam jej leki na serce. Teraz śpi.

– Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się tu pani. Kilka minut temu Barbara dzwoniła do mnie przerażona, że opuściła pani szpital i pojechała do znajomej, nic nikomu nie mówiąc.

– Tak, to prawda. Ale już wróciłam, a teściowa jak zwykle przesadza – powiedziała kobieta, nie kryjąc swojej antypatii. – Jesteś byłą żoną Krzyśka, prawda?

Sara przytaknęła. Nie spodziewała się, że zostanie rozpoznana.

– Bardzo mi przykro. Nawet sobie nie umiem wyobrazić, jak...

– Daj spokój. Jeszcze się nasłucham wyrazów współczucia. Życie toczy się dalej. Trzeba teraz ratować, co się da i udawać, że wszystko jakoś się ułoży. – Spuściła wzrok na swój brzuch i pogłaskała go z czułością.

– Skąd wiesz, kim jestem?

Aldona zawiesiła się na moment, jednak nieprzerwanie patrzyła na Sarę nieruchomym spojrzeniem. Widać było, jak wiele trudu sprawia jej rozmowa i utrzymanie ciała w pionie.

– Znałam przeszłość mojego męża, to żadna tajemnica, że nie jestem jego pierwszą kobietą. Poza tym Barbara wspominała o twoim przyjeździe.

Sara poczuła się niezręcznie. Gdyby cofnąć czas o jakieś dwadzieścia lat, teraz przeżywałaby podobne emocje jak dziewczyna stojąca przed nią: wariowałaby z rozpaczy. Tymczasem ona doświadczała czegoś w rodzaju ulgi, że nie ma już człowieka, który z niewiadomych powodów przypomniał sobie nagle o jej istnieniu, żeby zniszczyć jej życie. Dla obu kobiet Krzysiek był już przeszłością, ale dla każdej z nich w zupełnie inny sposób.

– Dlaczego tak nagle wyszłaś ze szpitala? – spytała.

– Bo inaczej by mnie nie wypuścili. A ja nie mogłam już tam wytrzymać – powiedziała Aldona i skrzywiła się, po czym złapała za dół brzucha. – Strasznie kopie. Przepraszam, ale muszę się położyć.

– Potrzebujesz czegoś? Nie powinnaś być teraz sama, w każdej chwili możesz zacząć rodzić.

– Spokojnie, znam numer alarmowy. Poza tym jest z nami Igor, to bardzo pomocny chłopak.

– A pani Barbara? Na pewno wszystko z nią w porządku?

– Tak, nie musisz się martwić. Złego diabeł nie weźmie. Była też twoją teściową, więc chyba wiesz, co mam na myśli? – Kobieta zawiesiła głos i uśmiechnęła się słabo.

– No dobrze. W takim razie... nie będę już przeszkadzać. Powodzenia.

Sara nie umiała znaleźć bardziej odpowiedniego słowa na pożegnanie z żoną byłego męża. Skoro ta nie chciała wyrazów współczucia, mogła jej jedynie życzyć, aby dalsza część jej życia okazała się lepsza. Cofnęła się o krok. Zanim Aldona zamknęła drzwi, policjantka złapała jej ostatnie spojrzenie. Było w nim coś bardzo niepokojącego.

Coś na kształt obłędu.

10.

Sara niepotrzebnie tak się angażowała. Barbara była panikarą, a do tego zaborczą i zrozpaczoną starszą panią, która nie dawała innym żyć po swojemu. Policjantka pomyślała, że musi w końcu odpuścić, bo kobietom Krzysztofa nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo.

Rozmowa z młodszą Wierzbicką ostatecznie przypieczętowała jej decyzję o wyjeździe, mimo że sprawa listu od Krzyśka wciąż pozostawała nierozwikłana. Niezależnie od potencjalnych skutków opuszczenia Karczewa Wilczek nie chciała dłużej zwlekać. Męczyło ją to miejsce, ludzie, którym nie mogła w pełni ufać i coś jeszcze, o czym bała się nawet myśleć: powoli narastająca nadzieja względem pewnego mężczyzny. Nadzieja na uczucie, które nie miało prawa się rozwinąć. Tak sobie przyrzekła trzy lata wcześniej i zamierzała dotrzymać danego sobie słowa, a z każdym kolejnym spotkaniem czuła, że wyjazd będzie coraz trudniejszy.

Dlatego nie zamierzała już wracać do centrum. Z Ruczajowej udała się prosto na drogę wyjazdową z Karczewa. Kiedy opuściła teren zabudowany i znalazła się na krętej leśnej drodze, rozsądnie zwolniła, chociaż najchętniej wcisnęłaby gaz do dechy. Skupiała wzrok na asfalcie, nie patrząc na migające po bokach pnie drzew, które tak bardzo przypominały ponure sylwetki z ostatniego snu, podczas którego niemal zaczadziła się na śmierć.

Włączyła radio, żeby przenieść się myślami do innego świata, w jakieś lepsze miejsce. Ustawiła swoją ulubioną stację z rockową

muzyką, lecz kiedy wybrzmiał energiczny kawałek, pojawiły się spokojne nuty jakiegoś smutnego damsko-męskiego duetu. Sara wcześniej nie słyszała tej piosenki. Położyła palec na guziku radia, żeby przełączyć stację, ale tekst z każdym wersem wdzierał się do jej świadomości tak mocno, że cofnęła rękę z powrotem na kierownicę.

Od połowy wszystko niby dobrze jest

Jeśli tak ma być

To bez reszty znów wydaje życie¹

Cała prawda, pomyślała. Los się z nią nie cackał od samego początku. Zaczęło się od zaginięcia Elizy, a potem systematycznie testował jej siłę, jakby była w pieprzonym reality show polegającym na przetrwaniu mimo przeciwności. Kiedy już myślała, że wszystko się jakoś ułoży, sypało się na nowo.

Przejechała obok miejsca, gdzie jeszcze kilka dni wcześniej stało roztrzaskane białe audi z martwym Krzysztofem za kierownicą.

– Niby wszystko jest dobrze – powtórzyła słowa piosenki. – Nie jest, kurwa, dobrze. Nigdy nie było.

Zacisnęła szczęki i już miała wcisnąć pedał gazu, żeby raz na zawsze wydostać się z tego koszmaru, lecz wtedy jakaś sylwetka mignęła jej między sosnami. Zdziwił ją ten widok, bo sprawa wypadku była zamknięta, a pozostałości po nim uprzątnięte. Mimo to ktoś wydawał się nadal badać to miejsce.

Kiedy zjechała na pobocze i zgasiła silnik, nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Wysiadła z auta.

– Wojtek? Co ty tu robisz? – krzyknęła do Osowskiego, który właśnie podniósł się z kucek i spojrzał na nią beznamiętnie, nie wychodząc z zamyślenia. – Nie jesteś w pracy?

– Musiałem coś sprawdzić – powiedział i odwrócił się tyłem do Sary, a przodem do najbliższego drzewa. Nie sądziła, że jeszcze go zobaczy. – Wszystko się zgadza.

– O czym ty mówisz?

– Nie chciałem ci wcześniej zawracać tym głowy, zwłaszcza że nie miałem jeszcze wyników.

– Jakich wyników? Mógłbyś mówić jaśniej? – Sara coraz bardziej się niecierpliwiła.

– Pamiętasz dzika, którego znaleźliśmy po wypadku Wierzbickiego?

– No jasne, że pamiętam. Co z nim? Pałucki złożył ci niemoralną propozycję?

– Nie zdążył. Wyprzedziłem go, wysyłając badanie posekcyjne oficjalnym faksem do jego koleżanki w prokuraturze okręgowej. Każdemu może zdarzyć się pomyłka, nie?

Sara przytaknęła z podziwem.

– Jeśli miałeś rację co do jego szemranych intencji, to pewnie się porządnie wkurwił. To było odważne zagranie.

– Nic nie może mi zrobić, bo nawet nie zdążył wyskoczyć z łapówką. Jestem ponad tą sprawą. Ale mniejsza z nim. Wracając do dzika, znalazłem na szczecinie małe fragmenty jakiegoś sztucznego tworzywa, które przekazałem do zbadania.

– No i?

– Okazało się, że te odpryski to lakier samochodowy. Już lekko skorodowany, dlatego podczas uderzenia łatwo odczepił się od

blachy i przylgnął do ciała zwierzęcia.

- Czyli ktoś jednak tego dzika potrafił.

- To, że nie zginął śmiercią naturalną, można było wywnioskować już po samych urazach. Miał z obu stron połamane żebra i zmiążdżone organy wewnętrzne, tak jakby znalazł się między dwoma obiektami w czasie zderzenia.

- Sugerujesz, że w wypadku brały udział dwa samochody?

- Raczej jeden, który najpierw uderzył w dzika, a potem przygwoździł go do drzewa. Zobacz tutaj. - Wskazał na sosnę. Mniej więcej na wysokości bioder mężczyzny braki w korze odsłaniały kawałek gładkiego pnia i nienaturalną poprzeczną bruzdę, a na niej pojedyncze kępki grubego włosa. - Widzisz? To szczecina. Tamtego dnia, kiedy Wierzbicki miał wypadek, nie zwróciłem na to uwagi. Było straszne zamieszanie, a ja skupiłem się na samym zwierzęciu.

Sara nie skomentowała przypuszczeń weterynarza. Kucnęła i zaczęła rozgrzebywać dłonią ściółkę oraz zmurszałe kawałki kory. Nagle poczuła pod palcami gładką i chłodną powierzchnię. Podniosła fragment szkła i w tym momencie coś jej się przypomniało.

- Co to? - spytał Osowski.

- Jakiego koloru był lakier tego pojazdu? - odpowiedziała pytaniem, wciąż wpatrując się w znaleziony odłamek lampy samochodowej.

- Żółty. Dlaczego pytasz?

- Mam pewne podejrzenia, kto mógł potrafić dzika.

- Podzielisz się tą wiedzą? - spytał po chwili Wojtek.

- To może być zwyczajny zbieg okoliczności. Pamiętasz Woźniaka, tego stróża z Kormorana?

- No tak, mówiłaś o nim.

- Niedługo przed tym, jak się zgubiłam w lesie, spotkałam go przed leśniczówką. Grzebał przy swoim aucie. To był żółty pickup, a jego przód wyglądał mi na lekko trzaśnięty, ale nie przyglądałam się dokładnie. Facet próbował doprowadzić go do stanu używalności. Żółty, to dość rzadki kolor lakieru. Warto to sprawdzić.

- Rozpoznałaś markę?

- Niezbyt się na tym znam, zwłaszcza na takich starych modelach. Ale kiedyś ojciec mojej koleżanki z podstawówki miał podobnego. To chyba była skoda.

- To faktycznie zabytek.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - spytała Sara. - Zakładam, że Pałuckiemu nie będzie zależało, żeby dojść do prawdy. Cała zakłamana teoria z przyczyną śmierci Wierzbickiego pójdzie się walić.

- Nie inaczej. Musiałbym zrobić naprawdę duży szum wokół tej sprawy, żeby Pałucki sumiennie się tym zajął. Nawet, jeśli przyjmie wyniki sekcji z pokorą, z pewnością naprędce znajdzie wytłumaczenie, żeby ją uciszyć. Skoro podczas zdarzenia nie ucierpiał człowiek, policja nie będzie szukać winnego, znając jedynie kolor auta. Za dużo zachodu, za mała szkodliwość czynu. Stara śpiewka.

- Skoro wiesz, że tak będzie, to po co tu przyjechałeś?

- Bo w przeciwieństwie do Pałuckiego uważam, że szkodliwość tego czynu nie jest mała. Gdyby zamiast dzika leżał tu człowiek, któremu nie udzielono pomocy, od razu wszczęliby śledztwo. Wiem, że są marne szanse na złapanie drania, ale nie mogłem tak tego

zostawić. Chciałem przynajmniej sprawdzić, co faktycznie się wydarzyło i czy moje przypuszczenia są słuszne.

Sierżant Wilczek słuchała Wojtka jednym uchem, jednocześnie lustrując teren dookoła. Oddaliła się o parę metrów, krocząc powoli leśnym poboczem.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – spytał Osowski z wyrzutem.

– Tak, podejdziesz tu? – powiedziała i kiwnęła ręką na weterynarza.

– Co tam masz?

– Widzisz to? – Wskazała na ziemię pod swoimi nogami.

– Koleiny samochodowe.

– Auto z szerokimi oponami, częściowo odcisnął się wzór. – Wilczek kopnęła grudę ziemi, a ta tylko nieznacznie się odkształciła.

– Ślady nie są świeże. To zastygła glina. – Nagle coś jej zaświtało. – Czy dzik był czysty, kiedy go znaleziono?

– Nie rozumiem. Padł wiele dni wcześniej. Co prawda były przymrozki, ale tkanki zaczęły się już rozkładać, poza tym był przysypany igliwem.

– Chodzi mi o ślady na jego kończynach. Miał czyste futro?

– Szczecinę. Dziki nie mają futra – poprawił ją Osowski, po czym sięgnął w głąb pamięci. – Rzeczywiście, miał dosyć dużo zaschniętego błota na racicach i podbrzuszu. Ale jakie to ma znaczenie?

– Takie, że w dniu, kiedy zginął, była dodatnia temperatura, może wcześniej nawet padało. Sprawca potrącenia mógł przejechać tędy – Sara wskazała kierunek ręką – zostawiając w glinie głębokie ślady, które utrwaliły się, kiedy złapał przymrozek.

– To całkiem możliwe, pani detektyw.

– Nie nazywaj mnie tak. Nie jestem detektywem.

– Drażnię się tylko. A tak na serio, podziwiam za umiejętność dedukcji.

– Zobacz, koleiny ciągną się dalej – powiedziała Sara i podbiegła kilka metrów do przodu. – Tutaj zakręcają.

– Zaczekaj. – Wojtek próbował dotrzymać kroku policjantce, która nagle zbiegła z pobocza i wbiła się w leśną ścieżkę. – Co robisz?

– Kierowca pewnie wjechał do lasu, żeby sprawdzić, co się stało z autem i czy jest na tyle sprawne, żeby jechać dalej – wysapała, po czym gwałtownie się zatrzymała i kucnęła. Nabrała w dłoń trochę ziemi i zaczęła ją wałkować między palcami. Na skórze pozostała jej tłusta maź w kolorze spalonego karmelu. – Na co ci to wygląda?

Wojtek kucnął naprzeciw Sary i chwycił jej dłoń. Zbliżył jej palce do nosa i ostrożnie się zaciągnął.

– Pachnie ziemią, ale wygląda na olej samochodowy i to taki niepierwszej świeżości.

– Woźniak bełkotał coś o ciekącym oleju – powiedziała jakby do siebie.

– To może zadzwoń do Pałuckiego, żeby ktoś obejrzał ten wóz i przesłuchał właściciela? Jako była żona Wierzbickiego, może coś wskórasz.

– Zaczekaj. Chcę zobaczyć, jak głęboko wjechał w las. – Sara wyprostowała się i ruszyła dalej.

– Ale po co? Jeśli wyjechał gdzieś z drugiej strony, będziesz tak szła bez końca?

– Najwyżej zrobię sobie dłuższy spacer. – Sara szła nieprzerwanie, nie zważając na uwagi Wojtka. – Nie spiesz mi się, ale ty lepiej wracaj do swoich pacjentów. Potrzebują cię.

Osowski przewrócił oczami.

- I mam cię tu zostawić? Panią pechową samą w lesie?

- Nie bój się, tym razem nie zabłądzę. Poza tym to nie ja jestem pechowa, tylko to miejsce. Dlatego z przyjemnością je opuszczałam i byłabym już w połowie drogi do domu, gdybym cię nie zobaczyła na tym cholernym poboczu.

- Bardzo mi przykro. Nie kazałem ci się zatrzymywać.

- Stój - powiedziała nagle. - Zobacz, plama oleju jest większa i skupiona w jednym miejscu. Tak jakby auto stało tu przez dłuższy czas, a potem pojechało dalej.

- Czego jeszcze szukasz? - Osowski wydawał się bardziej zniecierpliwiony niż zadowolony. - Nie masz już wystarczająco dużo poszlak, że to sprawka Woźniaka?

- Ich nigdy nie jest za wiele - odpowiedziała Sara i ruszyła między drzewa. - Patrz, tu leży jakaś szmata. - Chwyciła pierwszy lepszy patyk i przy jego pomocy uniosła znalezisko na wysokość oczu. Kawałek materiału prawie w całości pokrywała brunatna plama. - Wygląda na zakrwawioną. Pewnie kierowca też ucierpiał podczas uderzenia. Tylko że...

- Co takiego? - spytał Wojtek.

- Tej krwi jest dużo, a nie kojarzę, żeby Woźniak miał jakieś rany czy choćby lekkie zadrapania.

- Duże krwawienie nie musi oznaczać poważnej rany. Na przykład pęknięty łuk brwiowy krwawi bardzo intensywnie, ale wystarczy kilka szwów i po sprawie. Wszystko zależy, ile czasu minęło od tego wypadku do twojego spotkania z Woźniakiem. Jeśli, tak jak przypuszczałem, dzik nie żył od trzech czy nawet czterech tygodni, rany u kierowcy mogły się już wygoić.

- Coś mi tu nie pasuje. Dlaczego wyrzucił tę szmatę do lasu? Zostawiłby na sobie idealny namiar.

- Może był w szoku. A z tego co mówisz, facet nie jest jakoś wybitnie inteligentny.

- Racja. Do tego nieustannie zamroczony alkoholem. Jeśli prowadził po pijaku, mógł się wystraszyć odpowiedzialności i w popłochu ratować ucieczką.

- Zabierzmy tę szmatę. - Wojtek wyciągnął rękę po zakrwawiony dowód wiszący na patyku. - W aucie mam jakieś foliówki. Zawieziemy ją na komisariat, a ty zadzwoń do Pałuckiego, jeśli możesz. Złapiemy skurwysyna i już nigdy nie wsiądzie za kierownicę.

- W sumie... - zaczęła Sara - to chyba wolałabym nie dzwonić, bo będę musiała tu zostać, żeby złożyć zeznanie. Wojtek, ja naprawdę chcę już wrócić do domu. Sam się tym zajmij.

- Rozumiem - powiedział po chwili z widocznym rozczarowaniem. - Dużo przeszłaś. Nie przejmuj się, jakoś sobie poradzę.

Spojrzał na nią tym swoim nieodgadnionym wzrokiem, a potem wsadził rękę w kieszenie i, zamiast pójść w stronę głównej drogi, wszedł głębiej między drzewa. Sara została na leśnej ścieżce sama. Stojąc w plamie rozlanego oleju, biła się z myślami, czy wrócić do nissana i odjechać, czy może jednak pomóc Osowskiemu. To w końcu tylko jeden telefon.

Nagle usłyszała wołanie Wojtka. Zerwała się i pobiegła w jego kierunku.

- Co jest?

- Patrz, co znalazłem.

Starsza sierżant podeszła, ostrożnie stawiając stopy. Pod jednym z drzew znajdowało się coś na kształt legowiska, utworzonego pośrodku kępy miękkiego mchu. Twarde elementy runa takie jak gałęzie i patyki były odgarnięte na boki, a pomiędzy nimi leżało coś organicznego, przypominającego kawałek starego mięsa pokrytego żyłami. Ze środka obłego tworzywa wystawał gruby blady flak.

– Co to? – spytała z obrzydzeniem.

– Nie wiem na sto procent, ale przypomina łożysko.

Sara przeniosła spojrzenie na Wojtka i chwilę jej zajęło, zanim zrozumiała, o jakim łożysku mówi, bo do tej pory jej myśli wciąż krążyły wokół pojęć związanych z mechaniką samochodową.

– Myślisz, że należało do jakiegoś zwierzęcia?

– Nie, jest za duże. Poza tym dziki nie tworzą barłogów tak blisko drogi i nie o tej porze roku. Zwierzęta zwykle rozmnażają się wiosną albo początkiem lata. Izolują się od człowieka i szukają zacisznych miejsc.

– Chcesz powiedzieć, że to ludzki organ?

Sara spojrzała na Wojtka z przerażeniem, a na jej ramionach pojawiła się gęsia skórka. Przypomniała sobie rozmowę z Aldoną i jej brzuch, który wydawał się trochę za mały i znajdujący się zbyt wysoko jak na ostatnie dni przed rozwiązaniem.

Zerwała się i zaczęła szukać innych śladów.

– Co robisz? – spytał Osowski, zdezorientowany jej chaotycznym krążeniem od drzewa do drzewa i rozgrzebywaniem ściółki zalegającej w leśnych zagłębieniach.

– Szukam dziecka.

– Myślisz, że zostało porzucone? – Rozłożył ręce w geście niezrozumienia, nie ruszając się z miejsca.

- Porzucone, zakopane, nie wiem. - Sara uniosła głos, nie odrywając oczu od podłoża. W jej żyłach pulsowała adrenalina, a stoicyzm Wojtka w tej sytuacji tylko wzmacniał uczucie przerażenia i frustracji.

- Nawet jeśli tak się stało, sama chcesz je znaleźć w tym wielkim lesie?

Sara nie odpowiedziała. Jeszcze przez jakiś czas kontynuowała chaotyczne poszukiwania, lecz w końcu się poddała. Wróciła do Osowskiego, wzięła głęboki wdech i powiedziała: - To nie ma sensu. Potrzebujemy wsparcia.

- Właśnie to próbowałem powiedzieć.

Wyjęła komórkę. Zaczekała kilka sygnałów, zanim odebrał Pałucki.

- Panie prokuratorze, tu starsza sierżant Sara Wilczek. Niedaleko miejsca wypadku Krzysztofa Wierzbickiego znalazłam w lesie ludzkie łóżysko i podejrzewam, że może to mieć związek z jego żoną, Aldoną. Halo, słyszy mnie pan? - Połączenie rwało się co chwile. - Bardzo proszę o wysłanie patrolu do domu Wierzbickich, na Ruczajową 12. Nie wiem, co tam się dzieje, ale przypuszczam, że noworodek może być w niebezpieczeństwie. Proszę też przysłać technika do lasu. Jest tu ze mną pan Osowski, będzie czekał przy drodze, żeby wskazać miejsce. Halo? Kurwa mać! - zaklęła, po czym zwróciła się do Wojtka: - Tu nie ma zasięgu. Wyjdź na szosę i spróbuj jeszcze raz połączyć się z Pałuckim. Nie wiem, czy mnie dobrze zrozumiał. Albo lepiej zadzwoń na 112. I niczego nie dotykaj. Technik zabezpieczy, co trzeba. Ja muszę jechać.

- Dokąd?

- Do Wierzbickich.

- Przecież miałaś wracać do domu?

- Nie mogę tak tego zostawić. Moja obecność w Karczewie, szantaż, śmierć Krzysztofa, łożysko w lesie – to wszystko jakoś się ze sobą łączy, chociaż jednocześnie nie trzyma się kupy. Będziemy w kontakcie! – krzyknęła i pobiegła do samochodu.

* Ukeje (ft Sarsa) *Od połowy*

11.

Kiedy policjantka wjechała na ulicę Ruczajową, przed willą Wierzbickich nie było jeszcze żadnego radiowozu. Być może prokurator nie usłyszał wszystkiego, co Sara próbowała mu przekazać w trakcie przerywanej rozmowy. Nie usłyszał albo zwyczajnie ją zignorował. W czasie jazdy dzwoniła do niego jeszcze parę razy, jednak numer był zajęty. Od początku miała wrażenie, że prokurator traktuje ją nie jak koleżankę po fachu, ale osobę osobiście zaangażowaną w sprawę Wierzbickiego. I to nadmiernie zaangażowaną. Ona sama zresztą nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć i czy łożysko znalezione w lesie w jakikolwiek sposób powiązane jest z rodziną Krzysztofa. Ale miała przecucie. Już niejednokrotnie mu zaufała i niewiele razy się na nim zawiodła.

Podwórko było puste. Między kępami pozółkłej trawy walały się psie zabawki, ale Angus prawdopodobnie był zamknięty w swoim kojcu. Policjantka myślała, że gdzieś na zewnątrz spotka ogrodnika, lecz nikt nie kręcił się po posesji. Nie czekając na wsparcie, przebiegła przez trawnik i kilkoma susami pokonała schodki prowadzące do drzwi wejściowych domu. Ku jej zdziwieniu te otwarły się bez problemu, kiedy tylko nacisnęła klamkę. Najwyraźniej Aldona zapomniała je zaryglować. Wilczek wyjęła z kabury pistolet i weszła do mieszkania.

– Halo, pani Wierzbicka! – krzyknęła, przechodząc przez długi korytarz. Nie doczekała się odpowiedzi.

Mniej więcej w połowie drogi między wejściem a salonem zatrzymała się przy portalu ściennym, na którym stał bezprzewodowy telefon stacjonarny. Nie był odłożony do bazy, a światełko informujące o zużyciu baterii migало na czerwono. Kawalek dalej, pośrodku korytarza, leżały rozrzucone damskie klapki, te same, które Barbara miała na sobie podczas stypy. Sara zapamiętała ich nedorzecznie bogate zdobienia wyglądające na podróbki Swarovskiego.

Minęła porzucone obuwie i zajrzała do pustej kuchni. Na blacie stały dwie pękate szklanki częściowo wypełnione płynem w słomkowym kolorze, a w zlewie zalegało kilka brudnych talerzy. Sara wyszła z powrotem do pomieszczenia przejściowego i postanowiła zajrzeć do salonu, mając nadzieję, że znajdzie tam Aldonę.

Wkroczyła do dużego pokoju i ponownie się odezwała, jednak i tutaj nikogo nie było. Miała się już wycofać, kiedy coś przykuło jej uwagę. Na kanapie leżały niedbale rzucona babcina podomka, którą młoda wdowa miała na sobie podczas rozmowy z Sarą, a tuż obok plastikowa miska o okrągłym kształcie.

Skojarzenie faktów nie było trudne i potwierdzało wcześniejsze obserwacje Sary, chociaż policjantka wciąż niedowierzała, że dała się nabrać na tak prowizoryczną mistyfikację. Podniosła miskę i przyłożyła ją sobie do ciała tuż pod biustem, a następnie naciągnęła na nią poły swojej kurtki. Kuchenny przedmiot utworzył pod materiałem idealnie zaokrąglony brzuch.

I w tym przypadku spostrzegawczość oraz zmysł analityczny jej nie zawiodły, bo już podczas rozmowy coś jej nie pasowało w zachowaniu i wyglądzie ciężarnej. Wychodziło na to, że Aldona próbowała oszukać Sarę.

W głowie starszej sierżant momentalnie zaczęły pojawiać się prawdopodobne scenariusze zdarzeń. Jeden z nich zakładał, że młoda Wierzbicka urodziła i porzuciła dziecko w lesie, a potem usiłowała to zataić. Tylko dlaczego miałyby to robić? I dlaczego do porodu doszłoby akurat w miejscu, do którego prowadziły ślady auta biorącego udział w wypadku z dzikiem sprzed miesiąca? I to tak niedaleko miejsca, w którym zginął Krzysiek?

Sarze nasuwało się na myśl wiele odpowiedzi. Jedną z nich był szok poporodowy. Rzeczywiście, kobieta miała w oczach coś szalonego, chociaż mówiła spokojnie, a jej słowa składały się w logiczne zdania. Wyglądała na zmęczoną, ledwo trzymała się na nogach. Wówczas Sara zrzuciła to na karb bólu spowodowanego śmiercią męża i uciążliwość ostatniego trymestru, ale teraz, kiedy na horyzoncie pojawiły się nowe fakty, w grę zaczęły wchodzić również inne rozwiązania. Na przykład takie, że kobieta nie czuła się dobrze u przyjaciółki i postanowiła nagle wrócić do domu. Tylko czemu tamta jej nie odwiozła?

Przyszło jej do głowy, że kobiety mogły się pokłócić. Po śmierci Krzyśka Aldona nie była sobą. Ordynator szpitala wspomniał, że w sferze psychiki było z nią nieciekawie. Możliwe, że przyjaciółka próbowała przemówić jej do rozumu i doszło między nimi do sprzeczki. Aldona postanowiła złapać stopa, jednak droga do Karczewa przez Liny należała do mało uczęszczanych. Sara przypuszczała, że czekając na podwózkę, kobieta nagle zaczęła rodzić. Nie wiedząc, co zrobić, weszła do lasu, coś złego stało się z dzieckiem, a później bała się przyznać, że popełniła straszny błąd, opuszczając szpital. Taki scenariusz zdarzeń był dość prawdopodobny.

Wierzbicka zostawiła fejkowy brzuch na kanapie, co znaczyło, że nie zamierzała ukrywać swojego faktycznego stanu przed babcią dziecka. Czyżby Barbara tuż po rozmowie z Sarą dowiedziała się prawdy i właśnie dlatego zasłała? To musiał być dla niej cios, zakładając, że dziecko nie przeżyło porodu.

– Pani Barbaro! – Sara ponowiła wołanie.

Pomyślała, że musi sprawdzić pomieszczenia na piętrze, gdzie z pewnością znajdowały się sypialnie. Wbiegła na górę i zapukała do najbliższych drzwi. Powoli nacisnęła klamkę i uchyliła je. Weszła do środka.

Pokój był urządzone w minimalistycznym stylu, ale przytulności dodawały mu ciężkie zasłony w kolorze kawy z mlekiem. Pośrodku jednej ze ścian stało szerokie łóżko z pięknym zagłówkiem, a po jego bokach mieściły się dwie nocne szafki z lampkami. W pomieszczeniu znajdowała się też duża oszklona szafa. W narożniku pokoju ustawiono łóżeczko dla dziecka, a tuż obok komodę z przewijakiem. Wszystko było gotowe na przyjęcie noworodka. Jednak w tym momencie w małżeńskiej sypialni nie było nikogo.

Przez moment Sarę naszała myśl, żeby poszperać w rzeczach byłego męża. Może udałoby jej się znaleźć jakieś informacje, które wyjaśniłyby, po co ją tu ściągnął. Jednak nie było na to czasu. Rozejrzała się tylko pobieżnie, a potem wyszła, żeby sprawdzić pozostałe pokoje.

W drugiej sypialni również stało łóżko, ale mniejsze, jednoosobowe, zakryte patchworkową narzutą. Na jednej ze ścian wisiał obraz olejny przedstawiający górski pejzaż, a tuż pod nim antyrama z podobizną papieża. Parapety zieleniły się od roślin. To musiał być pokój Barbary.

Sara podeszła do toaletki, na której stała do połowy wypełniona wodą szklanka. Podniosła opakowanie z lekiem uspokajającym. W blistrze tkwiła ostatnia tabletką. Kiedy odkładała leki z powrotem na blat, usłyszała szuranie dobiegające z przedpokoju, a potem odgłos tupania na schodach.

Wybiegła z sypialni seniorki i rzuciła się w pościg. Zanim jednak dotarła do schodów, zdążyła jedynie zobaczyć znikającą za zakrętem głowę. Rozpoznała Aldonę po długich ciemnych włosach.

– Stój! Zaczekaj! Chcę ci pomóc! – krzyknęła Sara, jednak kobieta się nie zatrzymała.

Pokonawszy ostatni stopień, policjantka znalazła się z powrotem w długim korytarzu na parterze budynku. Aldona raczej nie wyszła na zewnątrz, bo byłoby słycać trzaśnięcie drzwi. Sara przystanąła na chwilę w nieruchomej pozie, żeby wsłuchać się w odgłosy domu. Gdzieś z jego głębi, jakby spod podłogi, zdawały się dobiegać stukanie i stłumione pojękiwania. Kierując się tymi dźwiękami, policjantka dotarła do drzwi, które pokryte tapetą w tym samym kolorze, co ściana, wtapiały się w nią i były ledwie widoczne. Chwyciła za okrągłą gałkę, przekręciła ją, a drzwi skrzypnęły i uchylły się. Za nimi znajdowała się ciemność i strome schody w dół. Zejście prowadziło do jakiegoś składziku lub piwnicy.

Sara nie mogła namierzyć włącznika światła. Uważając na każdy krok, zeszła kilka stopni w dół. Odwróciła się, przestraszona, gdy pozostawione w lekkim uchyleniu drzwi zaczęły się same zamykać, odcinając jedyne źródło światła. Pewnie były skonstruowane podobnie jak w lodówkach, na wypadek, gdyby ktoś zapomniał je domknąć. Dopiero gdy Sara znalazła się na samym dole, wymacała na ścianie podłużny pstryczek. Spojrzała w górę. Tam również był

włącznik, tyle że umieszczony w tak nieoczywistym miejscu, że tylko ktoś, kto tam mieszkał, mógł wiedzieć, gdzie go szukać.

Kiedy żółty blask wypełnił pomieszczenie, policjantkę uderzył szokujący widok.

W narożniku, na betonowej wylewce siedziała Barbara Wierzbicka. Ręce i nogi miała przywiązane do drewnianej belki biegnącej od podłogi do sufitu, a jej usta przysłaniała brązowa taśma klejąca. Sylwetka kobiety była nienaturalnie pochylona do przodu, co musiało sprawiać duży dyskomfort, może nawet ból.

Sara nie była pewna, czy Wierzbicka żyje. W ogóle się nie poruszała. Nagle jej prawie ramię drgnęło. Zacharczała i resztkami sił się zmusiła, żeby unieść głowę. Patrzyła na Sarę wzrokiem sarny, która uwięziona we wnykach, czeka na jedno z dwojga: oswobodzenie lub skrócenie cierpienia.

Starsza sierżant podbiegła do kobiety, zdecydowanym choć delikatnym ruchem odkleiła jej taśmę z ust, a potem uwolniła resztę ciała. Seniorka opadła na policjantkę. Przelewała się przez ręce i traciła przytomność.

– Pani Basiu, słyszy mnie pani? Zaraz wezwę pomoc. Proszę się położyć.

Ułożyła ciało Barbary w pozycji bezpiecznej bocznej, potem szybko zdjęła kurtkę, złożyła ją na pól i podłożyła w miejscu, gdzie twarz starszej pani stykała się z betonem.

– Coś mi wstrzyknęła. Zatrzymaj ją. Biegnij – wymamrotała Wierzbicka i odpłynęła, przykładając policzek do miękkiego materiału.

Sara sprawdziła jej puls. Był słabo wyczuwalny, ale miarowy.

W tym samym momencie usłyszała ruch na korytarzu. Ktoś gwałtownie otworzył drzwi od piwnicy. Zerwała się i chwyciła za dolną poręcz schodów. Gdy spojrzała w górę, zobaczyła nieruchomą sylwetkę dobrze zbudowanego mężczyzny. Ostre światło padające od tyłu ukrywało rysy twarzy w cieniu, ale Sara rozpoznała po posturze, z kim ma do czynienia.

– Igor? To ty? Co tu się dzieje? – krzyknęła.

Mężczyzna się nie odezwał. Beznamiętnie patrzył na policjantkę, a kiedy Sara ruszyła po schodach, by wydostać się z piwnicy, szarpnął za drzwi i zamknął je z trzaskiem. Potem usłyszała chrobotanie przekręcanego klucza.

– Nie, Igor, zaczekaj!

Dopadła do klamki i zaczęła nią nerwowo kręcić, ale ta nie chciała drgnąć.

– Ja pierdołę! – krzyknęła, a potem chwyciła za telefon.

Kiedy zobaczyła, że na wyświetlaczu nie pojawia się ani jedna kreska zasięgu, oblał ją zimny pot. Wiedziała, że numer alarmowy łapie sygnał najbliższej sieci, jednak czasem się zdarza, że w trudno dostępnych miejscach ciężko jest uzyskać łączność z jakimkolwiek nadajnikiem. Mimo to wcisnęła przycisk połączenia, który miała skonfigurowany w postaci skrótów na ekranie komórki. Sygnał się nie pojawił, ale chwilę później ktoś chwycił za klamkę po drugiej stronie drzwi.

Zamek przekręcił się dwa razy, a w świetle dobiegającym z przedpokoju tym razem ukazała się postać mężczyzny w policyjnym mundurze, który przezornie trzymał dłoń na przytroczonej do pasa palce, pozostając w gotowości, by użyć jej w razie potrzeby.

- Pani sierżant? Co pani tu robi? - Aspirant Szwarc-Dołęga nie krył zdziwienia na widok Sary. Ściągnął brwi w oczekiwaniu na wyjaśnienia. Chwilę później zza jego pleców wyjrzała kobieta, prawdopodobnie partnerka policjanta.

- Posterunkowa Beata Pochwała - przedstawiła się. - Dostaliśmy zgłoszenie. Mamy sprawdzić, czy u pań Wierzbickich wszystko w porządku.

Sara wyszła do przedpokoju i w geście wdzięczności dotknęła ramienia znajomego policjanta, chociaż tak naprawdę miała ochotę go uściskać.

- W samą porę. Wezwijcie karetkę. Starsza pani jest na dole, potrzebuje pilnej pomocy medycznej. Twierdzi, że coś jej wstrzyknięto. Nie pozwólcie jej stracić przytomności.

Posterunkowa Pochwała chwyciła za krótkofalówkę i zbiegła do piwnicy, a Sara zwróciła się do aspiranta:

- Widzieliście kogoś przed domem? Kobietę lub mężczyznę?

- Nie, nikogo nie było.

- Podejrzewam, że Aldona Wierzbicka urodziła i, jeśli dziecko przeżyło, nie jest bezpieczne. A chłopak, który tu pracuje, prawdopodobnie ma coś wspólnego z uwięzieniem staruszki. Poinformujcie o tym Pałuckiego.

- Jaki chłopak? - Szwarc-Dołęga był wyraźnie skonfundowany natłokiem informacji, jakie starsza sierżant wystrzeliwała z siebie niczym serię z karabinu.

- Igor! - krzyknęła Sara w przyпіływie adrenaliny. - Nazwiska nie znam. Nie stój tak, dzwoń do prokuratora!

Szwarc-Dołęga otrząsnął się z chwilowego stuporu, wyciągnął policyjne radio i przekazał niezbędne informacje. Kiedy kończył

rozmowę, z piwnicy dobiegło wołanie posterunkowej Pochwały. Aspirant ruszył jej na pomoc.

W tym samym momencie Sara usłyszała silnik samochodowy, a zaraz potem pisk opon.

Ktoś właśnie opuścił garaż przy Ruczajowej 12.

12.

Wilczek wypadła na podwórko przez drzwi wejściowe. Elektryczna brama prowadząca na posesję właśnie się domykała, a gdy Sara do niej dobiegła, zdążyła tylko zobaczyć znikające za zakrętem czarne volvo.

Chciała pobiec do micry i udać się w pościg, lecz skonstatowała, że zanim dobiegłaby do auta, szanse na złapanie o wiele szybszej fury drastycznie by zmalowały. Zaniechała pościgu również z innego powodu. W głębi garażu, przez uchyloną bramę zauważyła jakiś ruch.

Chwyciła za broń i podeszła bliżej. Dyskretnie zajrzała do środka.

Garaż był duży, bo przeznaczony dla dwóch aut, chociaż w tym momencie nie było tam żadnego z nich. Białe audi Aldony poszło pewnie do kasacji, a volvo Krzysztofa przed momentem odjechało w nieznaną.

Starła się stąpać jak najciszej, żeby nie ujawnić swojej obecności. W rogu pomieszczenia dostrzegła Igora. Pochylił się nad metalowym wiadrem, które wcześniej postawił na podłodze z szarego gresu. Nie widział Sary, był zwrócony tyłem do wejścia. Trzymał coś, co przypominało mały kanister. Policjantka usłyszała charakterystyczne bulgotanie, a chwilę później zapach benzyny wypełnił wnętrze. Mężczyzna sięgnął po zapalniczkę, przezornie zrobił krok w tył i zamarł, jakby obawiał się potencjalnych skutków swojego czynu.

Policjantka wykorzystała moment zawahania, dobiegła do chłopaka, chwyciła go za rękę i wykręciła nadgarstek w sposób, który sprawia ból. Zapalniczka niemal natychmiast upadła na gres. Sara na wszelki wypadek kopnęła ją jak najdalej od miejsca polanego paliwem, a następnie obezwładniła mężczyznę, przykładając mu broń do skroni.

– Pod ścianę! Na kolana i ręce za głowę! – krzyknęła, a zatrzymany nie stawiał oporu.

Musiała sobie poradzić bez kajdanek. Kazała mu pozostać w klęczącej pozycji, a sama cofnęła się do wiadra, na którym przed momentem tak bardzo skupiał się zatrzymany. Trzymając broń w gotowości, z trwogą zerknęła do środka. Wciąż miała przed oczami sztuczny brzuch Aldony i nie opuszczała jej świadomość, że z dzieckiem musiało stać się coś złego, dlatego wyobraźnia podpowiadała jej, że wewnątrz wiadra zaprezentuje makabryczny widok.

Tymczasem wewnątrz leżały tylko kolorowe pocztówki, pusta strzykawka i para gumowych rękawiczek. I jakiś dokument. Schyliła się i wyciągnęła kilka spiętych zszywkami kartek formatu A4. Litery na przesiąkniętym benzyną papierze częściowo się rozpuściły, jednak wciąż można było przeczytać nagłówek pisma, jakim był policyjny raport sprzed dwudziestu lat. Wyglądał na oryginał. Sara odnalazła na nim własne imię i nazwisko, a poniżej wyniki badań krwi.

Nie mogła w to uwierzyć. Patrzyła właśnie na przedmiot, którym posłużył się Krzysztof, żeby ją zaszantażować. Nie blefował. Przez te wszystkie lata po rozstaniu przechowywał ten dokument, jakby czekał na odpowiedni moment, by go wykorzystać.

Oczy Sary zaszyły łzami złości. Przełknęła je szybko, a potem zmięła tłuste kartki, wcisnęła w kieszeń kurtki i podeszła do klęczącego Igora, który wciąż klęczał z twarzą przy ścianie.

– Co się tu dzieje i gdzie jest Aldona? Dlaczego próbowałeś to spalić?

Mężczyzna nie odpowiedział na żadne z zadanych pytań. Z jego ust dobiegały jedynie dziwaczne pojękiwania. Skulił się, drżąc jak osika, choć posturą bardziej przypominał potężny dąb.

Sara oparła lufę pistoletu o jego plecy.

– Mów, do cholery – powiedziała z naciskiem.

– Ona mnie zmusiła. Nie chcę do więzienia.

– Kto cię zmusił? Aldona?

Kolejny słaby jęk wydobył się z Igora. Po chwili zaczął nerwowo oddychać, jakby dopadł go atak paniki.

– Uspokój się. Mogę ci pomóc, ale musisz mi wszystko powiedzieć.

– Pani Aldona jest... złą kobietą. – Igor się jąkał, próbując łapać oddech. – Była niedobra... dla pana Krzysia i... musiałem to zrobić.

– Co musiałeś zrobić?

– Zepsuć hamulce. Nie mogłem stracić pracy, a ona chciała mnie zwolnić. To był jedyny sposób.

– Zepsułeś hamulce w samochodzie Aldony?

Igor wykrzywił twarz jak dziecko, które chce wzbudzić w rodzicu litość, kiedy robi coś złego, i przytaknął zamaszyście.

– Nie wiedziałem, że pan Krzysztof weźmie jej samochód akurat tego dnia. To ona miała zginąć! – dodał.

Sara nie wierzyła własnym uszom. Broń w jej dłoni zaczęła dygotać. Mocniej zacisnęła rękojeść.

– A pani Barbara? Dlaczego ją uwięziłeś? Dowiedziała się, co zrobiłeś?

– Nie. To ona mi kazała. Zrobiła zastrzyk, a ja miałem panią Basię zanieść do piwnicy i związać.

– Aldona kazała ci to zrobić? Mów jaśniej, nic nie rozumiem.

– Aldony już nie ma.

– Tak, wiem, widziałam, jak odjeżdża.

Igor skulił się jak zbity pies i zaczął szlochać.

– Ona powiedziała, że tak trzeba. Obiecała, że po wszystkim będziemy razem. Ja ją kocham. I ona mnie też.

– O czym ty mówisz, do cholery?

Wilczek traciła cierpliwość. Wiedziała, że Igor jest w jakimś stopniu upośledzony, jednak podczas ich poprzedniej rozmowy mówił całkiem do rzeczy. Teraz z jego ust wyskakiwały zdania, które świadczyły o tym, że chłopak całkiem odkleił się od rzeczywistości. Najpierw Aldona była złą kobietą, a chwilę potem twierdził, że ją kocha.

Sara westchnęła głęboko, zastanawiając się, jak może do niego dotrzeć. Rozejrzała się po garażu. Jej wzrok zatrzymał się na zdjęciu, które stało na pobliskiej półce, przedstawiającym mężczyznę i kobietę. Oboje stali na tle domku o nazwie Wierzba. Od razu rozpoznała konstrukcję charakterystyczną dla letniaków znajdujących się w ośrodku Kormoran. Za to z dwójki osób ściskających się na fotografii Sara rozpoznała jedynie Krzysztofa.

– Kto jest na tym zdjęciu? – spytała.

Igor uniósł głowę i ze strachem spojrział na fotografię.

- Pan Krzysiu i pani Aldona.

Prawda uderzyła Sarę falą gorąca. Brunetka uśmiechająca się ze zdjęcia wcale nie przypominała kobiety, z którą dwie godziny wcześniej rozmawiała. Jedynym podobieństwem były długie ciemne włosy. Kobieta, która przed kilkoma minutami opuściła posesję w czarnym volvo, nie była Aldoną Wierzbicką.

Część czwarta

1.

Ostatni tydzień Kris spędził w Warszawie, gdzie odbierał kolejną nagrodę za wkład w ochronę środowiska. Dzwonił codziennie, jednak przez telefon nie umiałam mu przekazać wiadomości o tym, że zostanie ojcem. Obawiam się jego reakcji. Sama nie czuję się dobrze w tej nowej sytuacji. Nigdy nie miałam instynktu macierzyńskiego i, szczerze mówiąc, nie widzę się w tej roli.

Wszystko do tej pory szło zgodnie z moimi założeniami. Nasz związek nabrał mocy w momencie, gdy ujawniłam swoje skłonności do dominacji. Z początku pan doktor był zaskoczony i zdystansowany, jednak szybko się przekonał, że ten rodzaj zbliżeń bardzo mu odpowiada. Jak większość ludzi nie znał własnych upodobań lub sam przed sobą bał się do nich przyznać. Miał jednak szczęście, że trafił na mnie – osobę, która wyzwoliła jego prawdziwą naturę.

Mój telefon zasypywany jest wiadomościami tekstowymi od Krisa, których treść zdecydowanie nie nadawałaby się do wyemitowania w telewizji śniadaniowej. A ja świadomie odpisuję tylko na nieliczne z nich. Ten szanowany mężczyzna, doktor habilitowany, działacz społeczny i lokalny polityk, jest ode mnie uzależniony, a ja jestem uzależniona od kontrolowania jego emocji. Utrzymuję mojego kochanka w stanie permanentnego głodu i wydzielam mu siebie w minimalnych dawkach, by wciąż chciał więcej i więcej. Przyznaję, że też trochę tęsknię, głównie za jego

roziskrzonymi oczami i za siłą, z jaką rzuca mnie na łóżko, kiedy mu na to pozwolę.

Jestem w stanie zaryzykować stwierdzenie, że spotkałam prawdziwą miłość. Co prawda kilka razy w swoim dwudziestoletnim życiu zarzucono mi, że nie potrafię kochać, ale to nieprawda. Ja po prostu inaczej to odczuwam, na wyższym poziomie. Jeśli ktoś za szybko się podporządkowuje, po prostu się nudzę. Z Krisem jest inaczej. Jest silny, zdecydowany i pewny siebie, ale ja dostrzegam gdzieś w jego głębi czułe struny, za które nauczyłam się pociągać tak, żeby już zawsze grały, jak lubię. Ten mężczyzna jest dla mnie prawdziwym wyzwaniem. Czuję, że on nigdy mi się nie znudzi, że stworzymy związek, jakiego jeszcze nie było.

Kris mieszka z matką, dlatego rzadko do mnie dzwoni, kiedy jest na miejscu. Wciąż się upiera, że powinniśmy ukrywać nasz związek, przynajmniej do momentu, gdy skończę studia. Zgadzam się na to, bo po pierwsze cholernie mnie to podnieca, a po drugie nie pozwala wpaść w rutynę. Za to kiedy jest w delegacji, każdego wieczoru dzwoni do mnie z hotelu i błaga, żebym opowiadała pikantne szczegóły o tym, co będziemy robić w domku nad jeziorem. Jednak teraz nasza sytuacja diametralnie się zmieniła i będziemy musieli na nowo odnaleźć się w tym związku oraz zdecydować, co dalej.

Postanowiłam, że dzisiaj powiem mu o dziecku.

Czekam, aż wszyscy opuszczą salę wykładową, żeby wślizgnąć się do środka. Przez ten rok spędzony u boku Krisa zdążyłam już poznać jego uczelniane rytuały. Nie wychodzi od razu po wykładzie. Porządkuje notatki i przegląda internet, co zwykle zajmuje mu jakieś dziesięć do piętnastu minut.

Wyciągam z torebki nowe perfumy, które Kris mi sprezentował, i dyskretnie spryskuję nimi dekolt. Jedynie malutki strumień. Nie chcę go udusić, tylko przyprawić o lekki zawrót głowy. Alien od Muglera otacza mnie mgiełką słodkiego jaśminu. Z początku nie byłam zachwycona tym zapachem, jednak z czasem się do niego przekonałam. Jest mocny, zdecydowany i tajemniczy. Świetnie oddaje moją osobowość. No i Kris go uwielbia.

– Cześć, doktorku, niespodzianka – mówię zaraz po wejściu i staję przed Wierzbickim w lekkim rozkroku. Krzyżuję ręce na piersi i uśmiecham się zalotnie.

– Co ty tu robisz? – szepcze, mimo że jesteśmy na sali tylko we dwoje. – Mieliliśmy się spotkać jutro w Kormoranie.

– Daj spokój, do jutra jeszcze tyle czasu... Nie cieszysz się, że jestem?

– Jasne, że się cieszę, ale ustaliliśmy, że nie będziemy się widywać na uczelni.

– Przecież ja tu studiuję.

– W innym kampusie. Jeszcze gdybyś była moją studentką, mogłabyś przyjść na jakieś zaliczenie. A tak nasze spotkania sam na sam mogą wzbudzać podejrzenia.

– Zaliczenie ciebie w tej pięknej starej auli brzmi jak wyzwanie. A ja lubię wyzwania.

Podchodzę do Krisa i zatapiam język w jego ustach. Ciepło naszych oddechów przenika się i multiplikuje. Lubię czuć, że jesteśmy jednością. Nagły zawrót głowy sprawia, że tracę równowagę i lekko się zataczam. Kris przytrzymuje mnie, a potem ze złością przekierowuje na ścianę, na której zwykle wisi rzutnik. Rozkłada moje ręce na boki, przyciskając je tak, bym nie mogła się

poruszyć. Wyglądam jak ukrzyżowana. Na plecach odbijają mi się pionowe paski ściennej boazerii.

– Co ty wyprawiasz? – pyta wściekle, ale jego oczy płoną pożądaniem. – Drzwi są otwarte, w każdej chwili może tu ktoś wejść.

– Więc chyba powinienesz czym prędzej się odsunąć – szepczę i unoszę nogę, a następnie opieram kolano o jego krocze. Delikatnie odpycham go od siebie, z satysfakcją obserwując, jak trawi go żądza, której nie może zaspokoić.

Obchodzę Krisa i siadam na krześle za katedrą. Tym razem łączę ze sobą kolana i kładę na nich dłonie, żeby wyglądać jak grzeczna uczennica. W jednej sekundzie dopasowuję postawę i ton głosu do sytuacji. Jestem w tym dobra.

– Muszę ci o czymś powiedzieć.

– Mogłaś z tym poczekać do jutra – mówi Kris, powoli odzyskując równowagę.

– Nie mogłam. To ważne. – Robię pauzę, bo słowa, które mam wypowiedzieć, dziwnie grzęzną mi w gardle. Nagle zdaję sobie sprawę, jak podniosła jest ta chwila i jak bardzo może zmienić nasze życie. – Jestem w ciąży.

– Nie rozumiem. – Kris patrzy na mnie wzrokiem błazna i głupio się uśmiecha. Chyba myśli, że żartuję.

– To może innymi słowami: spłodziliśmy nowe życie, będziemy rodzicami.

Wierzbicki przestępuje z nogi na nogę i podpira się ręką o biurko. Wciąż patrzy na mnie z niedowierzaniem, licząc na wyjaśnienia. Jakby w wieku czterdziestu paru lat nadal nie wiedział, w jaki sposób działa układ rozrodczy człowieka i że w wyniku stosunku płciowego może dojść do takiej sytuacji.

- Ale jak to możliwe? Przecież bierzesz tabletki.
- Mogłam jakąś przeoczyć, to się zdarza.
- Zdarza się?

Kris stoi przez dłuższą chwilę jak porażony piorunem, nie domykając ust. Najwyraźniej nie wie, jak skomentować moje wyznanie, więc postanawiam mu pomóc.

- Jestem gotowa urodzić nasze dziecko, jeśli też tego chcesz - mówię dobitnie, ale z dużą dozą spokoju.

- A co z twoimi studiami?

- Wezmę dziekanę. Jakoś sobie poradzimy.

- Nie, nie, to nie takie proste. - Przymyka powieki i zaczyna pocierać skroń. Zatacza palcami koła, jakby chciał wydłubać z mózgu najlepsze rozwiązanie.

- Nie powiedziałam, że to proste, tylko że jest taka opcja.

- To żadna opcja. - Kris kuca przede mną i chwyta moją dłoń, a potem zaczyna mówić powoli jak do dziecka, które chce dostać zbyt drogą zabawkę: - Wiesz, ile dla mnie znaczy kariera naukowa. Na wyjazd do Stanów, który miał być jej ukoronowaniem, pracowałam całe dorosłe życie. Każde małe i duże przedsięwzięcie, począwszy od studiów, krok po kroku prowadziło mnie do tego wydarzenia. Ty też się cieszyłaś, że pojedziesz ze mną.

- Jeśli udałoby się załatwić wizę.

- Na pewno się uda. Mam dojścia.

- Moglibyśmy pojechać z dzieckiem.

- Tu nawet nie chodzi o dziecko i o to, że nie mógłbym mu poświęcać wystarczająco dużo czasu i uwagi.

– Więc o co chodzi? – pytam rzeczowo, autentycznie próbując wczuć się w intencję mojego partnera.

– O moją reputację. Wszystko, do czego doszedłem, zbudowałem na wiedzy i doświadczeniu zdobywanym przez lata, ale tak naprawdę fundamentem mojego być albo nie być są układy i sposób, w jaki postrzegają mnie pewne osoby. Kluczowe osoby, które pociągają za sznurki. Chyba nie muszę ci tego tłumaczyć. Jesteś kobietą twardo stąpającą po ziemi i wiesz, jak działa ten świat. Związek ze studentką mógłby przekreślić całą moją karierę.

– Owszem. Wiem. I zgadzam się z tobą – mówię szczerze, chociaż gdzieś w środku rozczarowanie dźga mnie w serce niczym sztylet. – Czyli nie chcesz być tatą?

Twarz Krisa łagodnieje, jakby chciał pokazać, że nie jest moim wrogiem, tylko sprzymierzeńcem w dokonaniu właściwego wyboru.

– Szczerze, to nigdy nie chciałem. Jakoś tego nie czuję. Nie można traktować decyzji o dziecku jak kupna mebli na raty, to jest bezterminowe zobowiązanie. Przy moim trybie życia zrobilibyśmy mu tylko krzywdę, sprowadzając je na świat.

– Co w takim razie proponujesz?

Kris patrzy mi głęboko w oczy. Wiem, co zaraz powie, ale te słowa muszą wyjść z jego ust. To on musi ponieść odpowiedzialność.

– Pójdiesz na zabieg. Oczywiście dam ci pieniądze.

– Jesteś pewien?

– Tak będzie najlepiej.

Nienaturalna cisza wypełnia salę wykładową, a chwilę później z hukiem uchylają się drzwi. Wygląda zza nich niechlujnie ubrana kobieta w średnim wieku.

– Przepraszam, można posprzątać? – pyta.

– Tak, my już skończyliśmy – odpowiada jej Kris, a potem zabiera z biurka swoją aktówkę i wychodzi, żegnając mnie jedynie smutnym spojrzeniem.

2.

Jestem wściekła. Kris nie odbiera moich telefonów. Dzień po tym, jak dowiedział się o ciąży, odwołał spotkanie w Wierzbie, wymigując się chorobą. Obiecał, że odezwie się do mnie po weekendzie, ale od naszej ostatniej rozmowy minął tydzień, a on wciąż milczy. Wyłączył komórkę.

Napisałam mu esemesa, że jestem już po zabiegu. Ale to było kłamstwo. Z początku zamierzałam to zrobić i nie brałam pod uwagę innej opcji. Chciałam jak najszybciej mieć to za sobą, pojechałam więc pod adres, który wskazał mi Kris. Wizyta była umówiona w trybie pilnym, co z pewnością stanowiło normę w podobnych przypadkach.

Czekając na korytarzu, miałam czas na przemyślenia na temat naszej przyszłości. Odnosiłam wrażenie, że coś się między nami popsuło. Coś, czego już nie odbudujemy. Entuzjazm Krisa względem naszego związku przygasł, jakby wiadomość o dziecku była wiadrem zimnej wody wylanym na jego rozgrzane do czerwoności zmysły.

Umykał mi. Z każdym kolejnym dniem coraz mocniej czułam, że nasza relacja wisi na włosku. Nie mogłam dopuścić do katastrofy, bo przecież on do mnie należał. Nie wolno mi było pozwolić, żeby przez ciążę rozpadło się coś tak namiętnego i wartościowego.

Kris mnie kochał, nie dopuszczałam innej myśli. Założyłam, że przestał się odzywać, bo potrzebował czasu, żeby ochłonać i

wszystko przemyśleć. Albo nawet pożałował swojej decyzji i szukał sposobu, żeby nam to wynagrodzić. Bardzo chciałam, żeby tak było.

Jednak kiedy siedziałam na plastikowym krześle poczekalni prywatnej kliniki ginekologiczno-położniczej, rozsądek zaczął mi podpowiadać zupełnie inny scenariusz, bardzo zły i bolesny. Dotarło do mnie, że Kris będzie chciał z nami skończyć, bo jego męskość nie była na tyle dojrzała, żeby wziąć odpowiedzialność za tę aborcję. Jedynym rozwiązaniem, żeby go przy sobie utrzymać, było zachowanie życia, które wciąż rozwijało się w moim wnętrzu. Czytałam, że miłość do dziecka u mężczyzny budzi się dopiero, kiedy ten zobaczy minikopię samego siebie na własne oczy, dotknie jej, przekona się, jak bardzo jest krucha i bezbronna. Wtedy uaktywnia się instynkt ojcowski nakierowany na to, by za wszelką cenę chronić własne potomstwo.

Wpatrywałam się w wiszący na ścianie plakat, który przedstawiał szczęśliwą rodzinę z małym bąblem w ramionach ojca i pomyślałam, że jeśli miałyby to zadziałać również w przypadku Krisa, to nasze wspólne dziecko może być w tym momencie najlepszym, a może nawet jedynym narzędziem, żeby zatrzymać go przy sobie. Stanie się łącznikiem, który splecie nasze losy już na zawsze i pozwoli mi kontrolować każdy ruch człowieka, który przyczynił się do jego poczęcia.

Muszę tylko wszystko dobrze zaplanować.

Na początek załatwię dziekankę, kiedy ciąża zacznie robić się widoczna i na czas porodu. Studia są dla mnie na pierwszym miejscu, nie mogę ich porzucić, nawet gdybym miała powtarzać pierwszy rok. Z moimi ocenami raczej mi to nie grozi, a Krzysztof pomoże mi, kiedy dziecko już się pojawi na świecie.

A jeśli tak się nie stanie? Muszę być gotowa na plan B. Gdyby strategia „na dziecko” nie wypaliła, zawsze mogę oddać bachora do adopcji. A potem wymyślę coś innego, żeby odzyskać moją mężczyznę.

3.

Minęło kilka miesięcy, a ja wciąż nie mogę uwierzyć w to, że Kris zakończył naszą znajomość. A tak naprawdę tylko mu się wydaje, że ją zakończył.

Nasze ostatnie spotkanie było bardzo bolesne dla nas obojga. Najpierw mnie przytulił, powiedział, że aborcja była jedynym słusznym rozwiązaniem, a potem wyznał, że najważniejsza jest dla niego kariera i nie chce się z nikim wiązać na stałe. To go rozprasza, a on nie może wtedy dawać z siebie stu procent. Podkreślał, że niczego mi nie obiecywał i od początku stawiał sprawę jasno. Nie mogłam się z tym nie zgodzić.

Nie potrafiłam wyznać mu prawdy o tym, że wciąż noszę jego dziecko. Nie dlatego, że bałam się jego reakcji. Po tym, jak mnie odtrącił, czułam coś w rodzaju satysfakcji, że tylko ja o tym wiem i mam nad nim przewagę. To była moja tajna broń, którą trzymałam w ukryciu, żeby odpalić ją we właściwym czasie. Czułam się jak mistrz pokerowy, który ma asa w rękawie, i nikt nie jest w stanie z nim wygrać.

Bo ja się nie poddam. Nigdy.

Kiedy Kris ze mną zrywał, był pod wpływem silnych emocji i to one kierowały jego decyzjami. Jednak według mnie weszliśmy tylko w przejściowy stan, kryzys, jakiego często doświadczają pary. Pomyślałam wtedy, że to minie, kiedy odwiedzę go ze swoim okrągłym brzuchem, a on uświadomi sobie, jak wiele mógł stracić.

Ten czas nadszedł właśnie teraz. Wierzbicki będzie miał szansę zmierzyć się z sytuacją raz jeszcze na świeżo. Cięża weszła w ósmy miesiąc, a dziecko nie jest już tylko abstrakcyjnym pojęciem, którego nie da się doświadczyć zmysłami. Teraz to namacalny byt, wierzący się gdzieś między moim sercem a żołądkiem. Jest jak pasożyt powodujący niestrawność i zgagę. Kris może go zobaczyć, dotknąć i zaznać pierwszych emocji związanych z ojcostwem. Jestem pewna, że to zadziała i znów będziemy razem.

Dzisiaj jest dobry dzień na spotkanie. Na stronie uczelni sprawdziłam, że doktor Wierzbicki ma ćwiczenia z zaocznymi do późnego wieczoru. Zrobię mu niespodziankę. Zaczekam na niego pod budynkiem C, aż skończy zajęcia, ale najpierw kupię sobie ładną sukienkę i zrobię paznokcie. Zobaczy, co prawie stracił przez swoją głupotę.

W Karczewie jest kilka fajnych butików, ale totalnie nie mam pojęcia, czy są jakieś z ciuchami dla ciężarnych. Od dłuższego czasu nie wychodziłam do ludzi, nie licząc lokalnego spożywczaka, więc wystarczyły mi luźne dresowe spodnie i bluzki w rozmiarze XXL, które idealnie ukrywały powiększające się krągłości mojego ciała. Jednak dziś, w ten ważny dzień, chciałabym sobie kupić coś ładnego i drogiego, zanim wyruszę do Rzeszowa.

Przypominam sobie, że nie byłam jeszcze w tym nowym pawilonie z szeregiem małych sklepów. Jego huczne otwarcie, w którym brał udział sam burmistrz, było dla Karczewa wielkim wydarzeniem. Pisali o nim nawet w regionalnej gazecie. Tam na pewno coś znajdę.

Parkuję auto i wysiadam bezpośrednio pod długim budynkiem, a w oczy rzuca mi się charakterystyczny szyld z tłustym bobasem. Jeśli

mają tu ubrania dla dzieciaków, może znajdzie się też coś dla przyszłych matek.

Gdy jestem już w holu, momentalnie oblewa mnie gorąco. Ze złością stwierdzam, że właściciele lokalu zdecydowanie przesadzają z ogrzewaniem. Jest dopiero połowa października, a oni urządzą klientom istną saunę. Rozwijam szal, który chronił mnie przed zimnem jesiennego wiatru, a potem pospiesznie rozpinam guziki dzianinowego płaszcza. Ostatnio miewam okropne zawroty głowy, nie mogę dopuścić, żeby zrobiło mi się słabo.

Przemykam między tłumem ludzi, którzy na widok mojej sylwetki ustępują mi z drogi. Raczej nikt mnie tu nie zna, więc eksponuję brzuch jeszcze bardziej, czerpiąc satysfakcję z ludzkiej uległości. Stwierdzam, że to jeden z nielicznych plusów okropnego stanu, jakim jest ciąża.

Butik, do którego zamierzam zajrzeć, znajduje się kilka sklepów dalej, jednak po drodze coś innego przykuwa moją uwagę. Przechodząc obok witryny z biżuterią, widzę srebrne kolczyki w kształcie motyli. Są w kuszącej promocyjnej cenie i przez chwilę się zastanawiam, czy sobie ich nie kupić. Lubię motyle. Unoszę wzrok, żeby przez szybę ocenić, ilu klientów przebywa w środku. Nie będę czekać, jeśli jest duża kolejka.

Nagle kolczyki schodzą na drugi plan, a mnie przeszywa fala gorąca jeszcze większa niż ta, której doświadczyłam po wejściu z dworu do ciepłego budynku. Przy ladzie z biżuterią widzę Krisa z jakąś brunetką. Sprzedawca prezentuje im grubą pozłacaną bransoletę.

W pierwszej chwili się zastanawiam, co ojciec mojego dziecka robi w podrzędnym pasażu w tak małej miejscinie oddalanej od

swojego miejsca pracy i zamieszkania. Przecież Rzeszów oferuje kilka dużych galerii handlowych. Stwierdzam, że to nie ma najmniejszego sensu, po czym zadaję sobie o wiele ważniejsze pytanie: kim jest kobieta, która trzyma go za rękę?

Korzystając z chwilowego zamieszania przy drzwiach, wchodzę do środka. Zatrzymuję się po przeciwnej stronie lokalu, udając, że oglądam wystawione tam precjoza. W pionowym lustrze przeszklonego regału mogę dyskretnie obserwować parę kupujących. Chwilowo widzę tylko ich plecy, jednak kiedy kobieta się obraca, żeby udostępnić swój nadgarstek, dociera do mnie paraliżująca prawda.

Towarzyszka Krisa jest w ciąży.

Wygląda na koniec trzeciego trymestru, bo jej brzuch jest zdecydowanie większy od mojego i już lekko obniżony.

– Chcielibyśmy wewnątrz zrobić imienny grawer – mówi Kris.

– Oczywiście, usługa jest w cenie i wykonujemy ją od ręki. Tutaj mają państwo dostępne czcionki i rozmiary tekstu. Jak małżonka ma na imię?

– Aldona.

Wierzbicki wypowiada imię z czułością, po czym obejmuje kobietę w pasie.

Silne mdłości szarpią moim ciałem. Czuję, jak zawartość żołądka wypełnia mi przelyk. Wytaczam się ze sklepu, mając w głowie dwie walczące o uwagę myśli: „To nie może być prawda” i „Gdzie jest kibel?”. Potrącam mijanych zakupowiczów, którzy w jednej chwili przepoczwarzają się w bezmózgie zombie, poruszające się po posadzce pasażu bez ładu i składu. Niebieskie ludziki na znaku wskazującym toalety rozmazują się w moich oczach. Jakimś cudem

docieram do drzwi i, nie zważając na kobiety czekające w kolejce do kabiny, puszczam pawia prosto do lśniącej umywalki.

4.

Wybiegam ze sklepu. Stara skoda wuja nie chce odpalić, a ja muszę jak najszybciej opuścić to miejsce. Ściskam kluczyk tak mocno, że na palcach pokazują się sine odciski. Wiem, że powinnam to robić z wyczuciem, jednak wzburzenie sprawia, że mi nie wychodzi. Przekręcam kluczyk po raz dziesiąty i krzyczę z całej siły, bo choć próbuję się skupić na prostych czynnościach, w głowie mam wciąż ten sam obraz: Krzysztofa i jego ciężarną żonę, której istnienie przez cały czas ukrywał, wmawiając mi, że nie chce się z nikim wiązać na stałe. Namawiał mnie na aborcję, jednocześnie szykując się do rodzicielstwa z inną kobietą.

Nie potrafię tego ogarnąć myślami. Jak on mógł tak mnie potraktować? W moich skroniach pulsuje wściekłość, która za chwilę rozwali mi mózg. Do tego dzieciak wierci się jak szalony. Ogarnia mnie coraz większa nienawiść do tego przeklętego płodu.

– Mogłam cię usunąć, bękarcie! Nienawidzę cię! – krzyczę do brzucha z obrzydzeniem, po czym kolejny raz przekręcam kluczyk.

Grat w końcu odpala. Ruszam spod sklepu, żeby jak najszybciej znaleźć się w domu.

Mijam ostatni w Karczewie budynek i wjeżdżam między drzewa. Za chwilę skręcę w leśną drogę prowadzącą do przeklętej leśniczówki wuja.

Nie potrafię skupić się na drodze. Łzy wściekłości zasłaniają mi widoczność. Jak mogłam do tego dopuścić? Zupełnie inaczej

wyobrażałam sobie moje dorosłe życie, gdy opuszczałam rodzinny dom. Studia miały być trampoliną do sukcesu. Chciałam być kimś ważnym, cenionym i szanowanym. Pokazać starym, że nie mieli racji, wątpiąc w swoje jedyne dziecko.

Potem, gdy poznałam Wierzbickiego, plany na życie uległy modyfikacji. Mieliśmy założyć rodzinę, jechać do Stanów, opalać się w słońcu Kalifornii. Zdradził mnie, wszystko zniszczył. Nienawidzę go. Tak bardzo go nienawidzę!

W szumie myśli próbuję odnaleźć jakiś punkt zaczepienia, coś, co pozwoli mi nie zwariować. Uspokajam szloch, łapię powietrze i naprędce układam w głowie nowy plan. Bo życie to chemia. Uwolnione cząsteczki nie lubią próżni, a efektem ubocznym rozpadu związku może być tylko nowa jakość. Znajdę sposób na to, żeby przetrwać i odrodzić się na nowo.

Biorę głęboki wdech. Uspokajam emocje. Jedno jest pewne: nikt nie dowie się o tej ciąży. Wuj jest ciągle nawalony i totalnie się mną nie interesuje. Przyjął mnie do siebie na prośbę rodziców, w zamian za opiekę i pomoc przy kwaterowaniu gości ośrodka. Alkoholizm i pogłębiająca się choroba zwyrodnieniowa zaczęły ściągać go w dół, a mi bardziej opłacało się dojeżdżać na uczelnię, niż wynajmować pokój w Rzeszowie, więc rozwiązanie z moim zamieszkaniem w leśniczówce wydawało się dobre zarówno dla mnie, jak i dla niego.

Mimo braku kilku uniedogodnień jak na razie nie miałam powodów, żeby narzekać. Dopóki wuj ma ogarnięty dom i pełną lodówkę, nie zadaje pytań, nie zagląda do mojego pokoju na poddaszu, ogólnie ma na mnie wywalone. Nie pamiętam nawet, czy od mojego przyjazdu z Gorzowa choć raz spojrział mi w oczy. Gdy ciąża uwypukliła mój brzuch, zaczęłam ukrywać go pod luźnymi

ciuchami, a jeśli stary dotąd go nie zauważył, to już raczej nie zauważy. Kiedy przyjdzie czas, urodzę w leśniczówce i zawiozę dzieciaka do okna życia.

Mogłabym się go pozbyć w inny sposób i teraz bardziej niż kiedykolwiek kusi mnie by to zrobić, ale to bardzo ryzykowne. Gdyby znaleźli ciało, poszłabym za kratki. Za to zrzeczenie się noworodka jest legalne i pozwala na anonimowość. Nikt nie zadaje pytań, po prostu zanoszą się dziecko i zostawia jak przeczytaną książkę do biblioteki, żeby inni mogli z niej skorzystać.

Po wszystkim będę mogła wrócić na studia, znajdę jakąś pracę i spróbuję się finansowo uniezależnić od starych. Wynajmę sobie kawalerkę w Rzeszowie i zrobię wszystko, żeby zapomnieć o Wierzbickim.

Moje oczy ponownie zalewają mi łzy. Coraz gorzej widzę szosę, której krawędzie zanikają w popołudniowej szarówce. Jestem dumna ze swojej siły i determinacji. Wiem, że dzięki tym cechom poradzę sobie w każdej sytuacji. Ale czasem nawet ja mogę pozwolić sobie na słabość. Wciskam gaz do dechy, przeklinając dzień, w którym spotkałam Krisa. Ostre zakręty wyskakują jeden po drugim tak nagle, że ledwo nadążam na nie reagować. Nie hamuję, ściagam tylko nogę z gazu, ale czuję, że to balansowanie na krawędzi. Wiem, że droga jest mało uczęszczana, więc może nie wyjedzie nikt z naprzeciwka. A jak wyjedzie, to trudno. Będzie, co ma być. Jestem panią tej chwili, panią własnego życia.

A może podświadomie chcę wszystko zakończyć? Właśnie teraz, w momencie, kiedy czuję się jak ścierwo. Poważnie zaczynam to rozważać, ale po chwili zdaję sobie sprawę, że pragnienie zemsty jest we mnie silniejsze od pragnienia wiecznej ulgi.

Nagle na drodze pojawia się jakiś duży brązowy obiekt. Jest tak blisko, że nie mam czasu na żadną reakcję. Zamykam oczy, skręcam kierownicę i wciskam hamulec. Czekam na uderzenie, które przychodzi nadzwyczaj szybko, a zaraz po nim drugie. Szarpnięcie do przodu sprawia, że uderzam głową o kierownicę, jednocześnie czując, jak pas bezpieczeństwa wciska się w mój brzuch. Sekundę później odrzuca mnie z powrotem i wracam do pierwotnej pozycji. Nie słyszę już silnika, a w moich uszach wybrzmiewa ciągły pisk, który po chwili zamienia się w głuchą ciszę.

Przez chwilę nie czuję nic i zastanawiam się, czy to koniec. Potem przyjemne ciepło na czole zaczyna przeobrażać się w pieczenie połączone z pulsowaniem, a kątem oka widzę, jak po moim nosie cienką strużką spływa szkarłatna ciecz. Metaliczny zapach przyprawia mnie o mdłości. To krew. Rejestruję ją przynajmniej trzema zmysłami: wzrokiem, dotykiem i węchem, co znaczy, że jeszcze żyję.

Przymykam powieki, powtarzając sobie, że wszystko będzie dobrze.

Jednak pełną przytomność umysłu odzyskuję dopiero wtedy, gdy potężny skurcz ściska moje podbrzusze. Ból jest niewyobrażalny. Nie potrafię się poruszyć, ani nawet wydać głosu. Czekam, aż się skończy.

Po kilku minutach skurcz odpuszcza, a ja z trudem się prostuję, żeby wysiąść z auta. Nogi mi drżą, a świat wiruje i wydaje się nierealny jak w sennym koszmarze. Chcę jednak zobaczyć, w jakim stanie jest samochód. Muszę jak najszybciej dojechać do leśniczówki.

Otwieram drzwi i wytaczam się prosto na miękką powierzchnię. Buty grzęzną mi w gliniastym błocie. Wchodzę między auto a drzewo, oglądam miejsce uderzenia. Nie jest tak źle. Stłukła się jedna lampa i odprysnęło trochę lakieru, ale nie wygląda to zbyt poważnie. Prostuję się, podtrzymując ciężący brzuch, i dopiero teraz dostrzegam dzika leżącego w niewielkim zagłębieniu. Potężne cielsko otacza długa trawa. Zwierzę się nie porusza.

Zostawiam truchło w rowie, wsiadam do auta i próbuję je odpalić. O dziwo, udaje się za pierwszym razem. Kilkanaście metrów dalej jest zjazd na drogę prowadzącą do leśniczówki. Wrzucam wsteczny i usiłuję wycofać, lecz koła grzęzną w błocie, najpewniej powstałym po wczorajszym deszczu. Buksują w miejscu. W końcu jednak wydostaję się z błotnej pułapki i skręcam w prawo między drzewa. Jeszcze tylko kawałek, kilka minut i będę w domu.

Auto podskakuje na wybojach, kiedy łapie mnie kolejny skurcz, jeszcze silniejszy od poprzedniego. Zatrzymuję się i gaszę silnik. Zaciskam zęby, próbując bezgłośnie przetrwać najgorsze, ale nie udaje mi się. Krzyczę z całych sił, zapierając się nogami o pedały samochodu, a moim ciałem wstrząsają niekontrolowane konwulsje.

Niemożliwe, żeby aż tak bolało. To nie do wytrzymania. Skurcz jest dłuższy od poprzedniego, nie odpuszcza, a ja pragnę być teraz w tamtym rowie na miejscu nieżyjącego dzika. Błagam o śmierć, żeby tylko tego nie czuć.

W końcu się uspokaja. Skurcz powoli przechodzi, a ja czuję, że robi mi się ciepło w okolicach krocza. Dopiero po kilku sekundach uświadamiam sobie, że to nie jest mocz. Odchodzą mi wody płodowe. Ale przecież jest za wcześnie. O wiele za wcześnie!

Sięgam po leżącą na miejscu pasażera torebkę, z której wyciągam komórkę. Przez chwilę się zastanawiam, czy zadzwonić na 112. Jeśli to zrobię, moje życie przepadnie. Rodzice dowiedzą się o dziecku i nie pozwolą mi go oddać do adopcji. Będę zmuszona porzucić studia i odnaleźć się w roli samotnej matki. Wolę już umrzeć.

Chowam telefon do kieszeni płaszcza, tak na wszelki wypadek, i otwieram drzwi auta. Muszę jak najszybciej wysiąść, bo jeśli zabrudzę fotel, wuj zacznie dopytywać, co się stało. Stojąc w lekkim rozkroku, czuję nacisk na krocze. Nie wiem, co się dzieje z moim ciałem. Przerazenie paraliżuje moje ruchy, ale wreszcie postanawiam włożyć rękę w spodnie i sprawdzić. Dotykam się tam. Między nogami czuję coś twardego. Napiera ku dołowi. To dziecko. Ono naprawdę wychodzi. Nie dam rady już powstrzymać porodu.

W jednej sekundzie mój umysł przełącza się z trybu paniki na tryb działania.

Ze schowka w drzwiach wyciągam scyzoryk, potem zabieram z paki dwa koce, których wuj używa podczas wędkowania, i wchodzę między drzewa. Muszę gdzieś usiąść, oprzeć się. Wiotkie jak gąbka nogi wyginają mi się na nierównym podłożu. Mam nadzieję, że zdążę przed następnym skurczem. Parę metrów dalej znajduję dąb, pod którym rozściela się okazały kawałek miękko wyglądającego mchu. Odgarniam patyki i inne twarde elementy, a w ich miejsce kładę złożony na cztery koc. Siadam, opierając plecy o twarde pień. Z trudem zsuwam mokre spodnie i układam się na prowizorycznym legowisku. Adrenalina sprawia, że ignoruję zimno oblepiające skórę moich nóg swoimi mackami.

Kolejny skurcz jest krótki, ale bardzo intensywny. Gorszy od dwóch poprzednich. Wrzeszczę na całe gardło, a mój głos rozchodzi

się po lesie niczym lament upiorycy. Muszę to przetrwać. Próbuję sobie przypomnieć, jak duże jest dziecko w siódmym miesiącu swojego rozwoju. Powinno mieć około trzydziestu centymetrów długości i jakieś trzy czwarte kilograma. Dam radę.

Parcie, które ściska mi krtań, nadchodzi tak niespodziewanie, że nie jestem w stanie złapać kolejnego oddechu. Wszystko się we mnie zaciska, a ja poddaję się temu bezwładowi, aż robi mi się słabo. Spoglądam w górę, a korony drzew rozmywają się na tle szarego nieba. Wreszcie łapię oddech, ale tylko na sekundę. Kolejny skurcz wyrzuca obce ciało, które mieszkało we mnie przez wiele miesięcy.

Przez chwilę nie robię nic, wycieram tylko brudną od smarków twarz i czuję się, jakbym była zupełnie kimś innym. Nie ma już tamtej mnie. Nienaturalna cisza wdziera się w moje uszy i z każdą sekundą czuję rosnący strach. Wiem, że w końcu muszę tam spojrzeć.

Nachylam się, zaglądając między własne nogi. Małe sine ciało się nie porusza. Jego nieproporcjonalnie duże gałki oczne pokrywają powieki z widocznymi żyłkami. Dziecko owija pępowina, a obok leży jakiś pomarszczony kawałek mięsa. To chyba łożysko. Łapię za gruby flak i przecinam go szybkim ruchem scyzoryka. Drżącymi rękoma robię na nim supeł. Przez chwilę wpatruję się w noworodka, czekając na pierwszy krzyk. Ale on nie wykazuje żadnych oznak życia. Sięgam po mniejszy koc i kładę na nim dziecko. Jest wiotkie, nie reaguje na dotyk. Owijam je nieporadnie, a potem unoszę, rozchylam poły płaszcza i kładę sobie na piersiach. To chłopiec. Malutki, zziębnięty chłopiec.

Nagle zapominam o bólu. Moja świadomość krzyczy, że muszę zrobić wszystko, żeby ten mały zaczął oddychać. Nie chciałam go,

tak samo jak Kris, ale teraz czuję ogromny żal i złość. Podczas gdy ten drań adoruje przyszłą matkę swojego prawowitego potomka, ja trzymam w ramionach bezbronną istotę, która nie dostała szansy na życie. Dlaczego moje dziecko miałoby być gorsze od jej dziecka?

– Uratuję cię. Musisz żyć. Słyszysz? Oddychaj!

Rozpinam bluzkę i przyciskam małego do gołej skóry. Oddaję mu swoje ciepło, klepię go po mikroskopijnych plecach i potrząsam nim, ale nic nie działa. Złość na Wierzbickiego przeplata się z dławiającą rozpaczą i strachem.

Dziecko nadal milczy. Robi się coraz bardziej sine, drętwieje, a ja czuję, jak razem z jego małą duszą ulatuje jakaś częśćka mnie.

5.

Dźwięk wydawany przez wskazówki zegara wprawia mnie w trans. Nie ruszę się, dopóki nie przestaną tykać. Czy to w ogóle możliwe, żeby przestały? Co musiałyby się stać? Może wreszcie wyczerpie się bateria, a wtedy nie będę miała wyjścia i wstanę. Bo tak sobie postanowiłam. Podniosę się z łóżka tylko wtedy, gdy nastanie zupełna cisza.

Jednak one są nieustępliwe. Po każdym tyknięciu pojawia się kolejne. I następne. Więc czekam. Trwam w jakimś dziwnym zawieszeniu i sama już nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie się podnieść.

Fizycznie czuję się lepiej. Minał jakiś tydzień, odkąd zostałam matką, i moje ciało się zagoiło, ale wciąż odczuwam wielkie zmęczenie. Ciężko mi wstać z łóżka chociażby do toalety czy po jedzenie.

Wuj niczego się nie domyśla. Bardzo się zdenerwował stłuczoną lampą w swoim aucie i to wszystko. Przyznałam się, że wpadłam w poślizg, ale nie wspomniałam o dziku. Staruch jest bardzo wrażliwy na krzywdę zwierząt, jeszcze wyrzuciłby mnie z domu. A tak, pogadał trochę, potem opróżnił pół litra wódki, które podsunęłam mu w ramach przeprosin, i o wszystkim zapomniał. Powiedziałam jedynie, że mam grypę i musi sam sobie poradzić, dopóki nie wydobrzeję. Tylko raz spytał, czy mi czegoś nie trzeba, a potem zostawił mnie w spokoju.

Krzysztof nie zasłużył na wiadomość, że został ojcem. Nie dowie się o tym, jeszcze nie teraz. Przyjdzie taki dzień, kiedy niczego się nie spodziewając, będzie rozpalał grilla pod Wierzbą albo nalewał drinka tej swojej dziwce. Wtedy pojawię się na ich pięknie wystrzyżonym trawniku i wyjawię całą prawdę. Żona go znienawidzi, jego matka poczuje zawód, a on sam będzie cierpiał, jak nigdy dotąd. Zrobię wszystko, żeby zranić go do głębi.

Za chwilę muszę wstać, żeby nakarmić małego. Nie nadałam mu jeszcze imienia. Żadne nie wydaje się dość dobre dla tak doskonałej istoty. Wpatruję się w drewnianą kołyskę, którą znalazłam w piwnicy. Wyciągam rękę i delikatnie nią poruszam, nucąc pod nosem kołysankę, która nagle, nie wiem skąd, odżyła w mojej głowie. Musiałam kiedyś usłyszeć ją w telewizji, bo rodzice nigdy mi nie śpiewali. Nie bawili się ze mną, a wszystkie nasze rozmowy skupiały się na obowiązkach i wymaganiach. Znów patrzę na kołyskę i postanawiam, że z nami będzie inaczej. Będę najlepszą matką na świecie.

Wciąż nucę tę spokojną melodię, ale dźwięki są coraz krótsze, rwą się. Tak niewiele spałam tej nocy... Zamykam oczy. Wszystko się jeszcze ułoży.

6.

Dzwonek telefonu wybudza mnie z drzemki. Odbieram połączenie z nieznanego numeru.

– Słucham?

– Pani Agnieszka Matys?

– Tak, kto mówi? – odpowiadam kobiecie zachrypniętym głosem.

– Regina Wołejko, dzwonię z dziekanatu. Koleżanka porządkuje teczki studentów i zauważyła błąd w pani peselu. Na wniosku o stypendium jest inny numer niż na reszcie dokumentów. Musiałaby pani przyjechać, żeby to skorygować.

Przekładam telefon do drugiej ręki i lekko unoszę się na łokciu, próbując poskładać w logiczną całość słowa, które właśnie usłyszałam.

– Dobrze – odzywam się wreszcie. – Załatwię to przy okazji. Jestem w trakcie urlopu dziekańskiego i obecnie nie przebywam w Rzeszowie.

– Niestety księgowość będzie zmuszona wstrzymać wypłatę stypendium, dopóki osobiście nie złożą pani wniosku z poprawnymi danymi. Więc zostawiam to pani decyzji.

Grzecznie dziękuję za informację i się rozłączam.

Wędruję wzrokiem po brudnym suficie poddasza i myślę, że zawsze coś musi się zesrać. Nie mam najmniejszej chęci, żeby jechać taki kawał drogi tylko po to, by wypełnić jakiś pieprzony wniosek.

A może to jest znak? Wszechświat wyciąga do mnie rękę, żebym podniosła się z wyrka i zaczęła działać. Tym bardziej że moje konto świeci pustkami, a za dwa dni miałam dostać przelew. Leżę tu od tygodnia i czekam na jakiś cud. Nie mogę tak bez końca.

Tylko nie wiem, jak zorganizować ten wyjazd. Nie mam wózka, a nawet gdybym miała, nie mogłabym pokazać się z dzieckiem. Jeszcze nie postanowiłam, co z nim zrobię, ale na razie chcę, żeby pozostało w ukryciu. Na szczęście mały jest cichy i bezproblemowy. Przesypia całe dni, rzadko budzi się na karmienie. Jak się postaram, to szybko obrócę.

Nie wezmę skody, bo ciągle jest uszkodzona. Staruch nie ma pieniędzy na naprawę. Będę musiała dostać się na uczelnię busem. Myję głowę, dokładnie suszę, a potem maluję usta. Dłoń mi drży, nie umiem poprowadzić równej linii. Wystarczy trochę poprawić. O tak, tak jest dobrze. Wkładam sukienkę i wychodzę na przystanek.

Dwadzieścia minut później dojeżdżam do Rzeszowa. Autobus zatrzymuje się przy samym kampusie, a ja przechodzę przez bramę i krocę po złotych liściach prosto do wejścia budynku dziekanatu. Jest tak pięknie, kolorowo, pachnie jesienią. Przystaję na chwilę i obserwuję wdrapującą się na drzewo wiewiórkę. Jest szybka i nieuchwytna. Bezskutecznie próbuję namierzyć ją wzrokiem wśród gałęzi klonu. Zawieszam się, a moje myśli oblepia gęsta mgła. Tracę głowę. Zapominam, po co tu jestem. I właściwie, jak się tu dostałam? Prawdopodobnie przyjechałam pekaesem, ale tego nie pamiętam. Co się ze mną dzieje?

A tak, już wiem, muszę coś wypełnić w dziekanacie. Poprawiam torbę, która zsuwa mi się z ramienia, i pewnym krokiem wchodzę do znajomego budynku. Trafiam na dobrą godzinę, bo poza mną w

środku nie ma żadnych studentów. Przez chwilę rozmawiam z sekretarką, która tłumaczy, jak wypełnić wniosek. Kobieta niechętnie pożyczka mi długopis i podaje druk. Siadam przy małym stoliku, wpisuję własne dane, potem uzupełniam nazwę wydziału. Zatrzymuję się przy nazwisku dziekana. Nie pamiętam go. Na szczęście siedzę pod jego gabinetem, więc zerkam na drzwi, żeby spisać dane z umieszczonej tam tabliczki. Profesor Henryk Hoffman. Coś mi świta. Czy to nie mężczyzna, z którym Kris spotykał się w Kormoranie tuż przed naszym pierwszym spotkaniem?

Nagle drzwi, z których spisywałam nazwisko się otwierają, a z gabinetu wychodzi starszy mężczyzna. Już wiem, że miałam rację, to ten sam człowiek, przyjaciel Krisa, który lubi obserwować ptactwo. Za nim wyłania się ktoś jeszcze. Mężczyzna odwraca się i łapie pod rękę ciężarną kobietę. Śmieją się i rozmawiają, a ja zastygam, nie wierząc własnym oczom.

– Nie martw się, tato. Przekonam Krzyśka do tego imienia. A jeśli będzie stawiał opór, użyjesz swoich tajnych sztuczek. One zawsze na niego działają.

– Nie wiem, o czym mówisz, Aldonko. – Śmieje się dziekan i porozumiewawczo mruga okiem.

– Jesteś mistrzem, tato. Pa.

– Pa, kochanie. Posłuchaj ojca i weź zwolnienie. Nie możesz się teraz przemęczać. Poradzą sobie jakoś bez ciebie. A, i przypomnij mężowi o...

Ostatnie słowa szepcze jej do ucha, po czym oboje głośno się śmieją. Brunetka o długich włosach żegna się z sekretarką i

wychodzi, a ja w pośpiechu podpisuję wniosek, daję do sprawdzenia razem z dowodem osobistym i ruszam za nią.

7.

Żona Krisa rozgląda się na boki, po czym przechodzi przez gęsto zastawiony parking. Ubrana w elegancki jasnobezowy trencz i brązowe kozaczki ze skóry wygląda dość wytwornie. Tak samo się porusza, mimo ogromnego brzucha, który niszczy jej idealną figurę. Ciągnie się za nią ogon jaśminowego zapachu. Alien od Muglera, rozpoznam go wszędzie.

Jesteś taki przewidywalny, Kris, aż mi ciebie żal. A jeszcze bardziej żal mi tej, z którą mnie zdradzasz. Wiem już, dlaczego utrzymujesz tak dobre stosunki z dziekanem. Jesteś jego zięciem, skurwielu. A całe to twoje małżeństwo jest papierową wydmuszką, która pozwala ci realizować swoje cele.

Trzymam się z tyłu, w bezpiecznej odległości. Jeszcze nie wiem, po co za nią idę, ale nie potrafię przestać. Tak bardzo pragnę, by cierpiała. Mam ochotę podbiec, chwycić ją za gardło i ścisnąć z całej siły. Wyobrażam sobie, że polewam tę śliczną buźkę kwasem, a jej skóra kurczy się i topi, aż zaczyna przypominać wędzoną śliwkę.

Kobieta zatrzymuje się pod parkanem i wsiada do białego audi. Nie powtarza mojego błędu i nie zapina pasa bezpieczeństwa, żeby chronić brzuch. Pod płotem widzę rząd taksówek. Wskakuję do jednej z nich i każę kierowcy podążać za audicą. Oby Wierzbicka jechała prosto do domu.

8.

– Wyjeżdżamy poza miejską strefę opłat – oznajmia taksówkarz. – Nadal chce pani śledzić ten samochód?

– Tak – odpowiadam, mając nadzieję, że Wierzbicka zatrzyma się gdzieś na obrzeżach Rzeszowa.

Kiedy mijamy drogowskaz kierujący na Karczewo, robi mi się gorąco. Przypominam sobie dzień, kiedy zobaczyłam ją i Krisa po raz pierwszy w pasażu handlowym. Zdziwiłam się wtedy, że robią zakupy w tak małej miejscinie, ale teraz to zaczęło nabierać sensu. Prawdopodobnie tam mieszkają, a kolejne oszustwo doktorka właśnie wychodzi na jaw.

– Mam przy sobie stówę. Wystarczy na dojazd do Karczewa?

– To zależy, gdzie dokładnie. – Taksiarz pokręcił nosem. – Powiedzmy, że nie dalej niż do centrum.

– Zgoda. Proszę przyspieszyć, bo ją pan zgubi.

– Spokojnie, kochanieńka. Co to, jakiś pościg?

– Coś w tym rodzaju – odburkuję i udaję, że szukam czegoś w telefonie, żeby facet się nie rozwinął ze swoją taksówkarską gadką, a tak naprawdę nie spuszczam z oczu białego auta przed nami.

Po kilku kolejnych minutach w szybie miga mi tablica z nazwą miejscowości. Samochód Aldony przemyka obok drogi na cmentarz, a potem skręca, nie wjeżdżając do centrum Karczewa. Chwilę później zza rzędu topoli wyłaniają się piętrowe domy otoczone drogo

wyglądającymi ogrodzeniami i obrosnięte krzewami zapewniającymi anonimowość.

Audi zatrzymuje się przed jedną z bram, która sama się rozsuwa. Samochód znika w objęciach nowoczesnej twierdzy.

– Proszę się tu zatrzymać – mówię pospiesznie, podając kierowcy banknot.

Wysiadam z taksówki i czekam, aż odjedzie. Potem rozluźniam owinięty wokół szyi szal i narzucam go na głowę. Powoli podchodzę do wjazdu na posesję. Szczęk żelastwa oznajmia, że brama właśnie się zamknęła. Przemykam wzdłuż poprzecznego przesła, szukając jakiejś większej szpary między tujami. Znajduję ją przy furtce.

Widzę uchylony ku górze wjazd do podwójnego garażu. W środku stoi białe audi, ale nie ma czarnego volvo, którym jeździ Kris. Najwyraźniej musi być poza domem. Aldona z trudem wysiada z auta, a chwilę później z kimś się wita.

W głębi garażu widzę sylwetkę postawnego mężczyzny, który obchodzi samochód dookoła i pochyla się nad bagażnikiem. Wyciąga z niego siatki z zakupami, a potem stoi jak słup i czeka. Dopiero teraz mogę dostrzec jego rysy. Jest młody, nawet przystojny, ale ma tępy wyraz twarzy. Jakby nie było w nim żadnych emocji. Gapi się na Wierzbicką w dziwny sposób. Ciężko stwierdzić, czy to spojrzenie wyraża sympatię, czy nienawiść. A może jedno i drugie.

Nagle jedna z siatek wyslizguje mu się ręk, po czym z płaskiem upada na podłogę. Mężczyzna się schyla, żeby ją podnieść, ale w tym samym momencie podchodzi Aldona i uderza go w twarz, wypluwając przy tym jakieś ostre słowa. Potem chwyta jego dłoń i kładzie ją na swojej piersi. Oczy chłopaka powiększają się, zaczyna

szybciej oddychać, wyraźnie buzuje w nim pożądanie. Zbliży usta do jej czoła, a wtedy ona śmieje mu się w twarz i odchodzi.

Mężczyzna wciąż stoi z uniesioną dłonią, jakby zmienił się w kamień, lecz po chwili się rozluźnia i znowu obdarza znikającą w głębi garażu Aldonę tym dziwnym wzrokiem. Teraz już wiem, że nie może on wyrażać żadnego dobrego uczucia. To czysta nienawiść połączona z szaleństwem. Ten człowiek spadł mi jak z nieba. Myślę, że będzie idealnym narzędziem, żeby dowiedzieć się o Wierzbickich czegoś więcej, a potem wykorzystać tę wiedzę przeciwko nim.

Zaraz, która jest godzina? Patrzą na wyświetlacz telefonu, ale cyfry zegara niewiele mi mówią, bo nie jestem w stanie sobie przypomnieć, o której wyszłam z domu. Czy to było dzisiaj?

Wszystko mi się miesza. Patrzą na opadającą bramę garażu Wierzbickich i wiem, że już niczego nie wskóram. Odwracam się i ruszam w kierunku głównej szosy. Muszę złapać stopa.

9.

Chłopak ma na imię Igor i jest niewiele starszy ode mnie. To jakiś przygłup, którego Kris zatrudnił dwa lata temu do pomocy przy domu. Wierzbicki sprytnie to sobie wymyślił. Za jedną pensję ma ogrodnika, mechanika samochodowego i złotą rączkę, a skrzywdzony przez los facet jest mu wdzięczny za to, że dostał szansę na samodzielność.

Nietrudno było zdobyć uwagę i zaufanie Igora, bo w jego postawnym męskim ciele wciąż tkwi umysł dziesięciolatka. Wystarczyło się zacząć, kiedy szedł na spacer z psem, a potem udawać, że potrzebuję pomocy przy założeniu łańcucha rowerowego, który, niby to przypadkiem, zsunął się z zębarki. Przesadne zainteresowanie jego sprawnymi dłońmi i kilka mało wyszukanych tekstów flirciarskich rozbudziły w nim nadzieję, że między nami do czegoś dojdzie. Dokładnie o to mi chodziło.

Znam już kilka istotnych faktów o Wierzbickich. Między innymi to, że Aldona mimo zaawansowanej ciąży cały czas pracuje w oczyszczalni. Jest chemiczką i szefową jakiegoś działu, ale Igor nie potrafił podać więcej szczegółów na ten temat. Dla mnie najistotniejsze jest jednak to, że żona Krisa w każdy poniedziałek jeździ tam o świcie na dyżur, co nasunęło mi pewien pomysł.

Sama się przekonałam, jak niebezpieczna jest droga wyjazdowa z Karczewa prowadząca do oczyszczalni. Jechałam sprawnym samochodem, a mimo to wpadłam w poślizg i wylądowałam na

drzewie. Od kilku dni chodzi za mną myśl, że bardzo bym chciała, by Aldona znalazła się w tej samej sytuacji. I najlepiej, żeby z niej nie wyszła cało. A razem z nią bękart, którego tak bardzo wyczekuje Wierzbicki. Kiedy wyobrażam sobie, co by wtedy poczuł, rozkoszne dreszcze rozplývają się po moim ciele.

Dzisiaj zacznę wprowadzać swój plan w życie. Biorę rower, bo Igor zaprosił mnie na lody do jakiejś zapyziałej karczewskiej kawiarni. Normalnie raczej nie pokazuję się w mieście, bo nie chcę natknąć się na Krisa albo na tę jego sukę, ale wiem, że o tej porze oboje są w pracy, więc się zgodziłam.

Siedzimy przy małym okrągłym stoliku. Chłopak przesuwa na bok wielki puchar wypełniony lodami, żeby nie zasłaniał mu widoku. Wgapia się maślanymi oczami w mój dekolt.

– Zawsze tylko opowiadasz o swoim pracodawcy, a nigdy nie mówisz o jego żonie. Nie lubisz jej? – pytam, nabierając łyżeczką dużą porcję bitej śmietany, po czym wkładam ją do ust i lubieżnie zlizuję.

Igor zaprzecza, z rozmachem machając głową na boki. Wspomnienie Aldony wyraźnie budzi w nim niechęć.

– Jest dla mnie niedobra.

– Dlaczego? – podpytuję.

– Bo... ona chciała robić ze mną różne rzeczy. Ale przecież jest żoną pana Krzysia. Tak nie można.

– Jakie rzeczy? – pytam, ale nie mogę doczekać się odpowiedzi. Pomagam więc Igorowi, wywołując nagły rumień na jego policzkach: – Chciała iść z tobą do łóżka?

– Nie do łóżka. To było w szopie z narzędziami, przy domu, tam, gdzie trzymamy drewno na opał.

- Odmówiłeś jej? – pytam.
 - Kilka razy. Groziła, że jeśli powiem jej mężowi, to mnie zwolni.
 - Ale chyba ci się podoba? To piękna kobieta.
 - Kiedyś mi się podobała.
 - A teraz?
 - Teraz ty mi się podobasz – mówi i znów przenosi wzrok poniżej linii mojej brody.
 - I ani razu nie pomyślałeś, żeby wykorzystać tę sytuację?
 - Pan Krzysiu to dobry człowiek. Nie mógłbym mu tego zrobić – duka. – Poza tym się bałem, że stracę przez to robotę. Nie skończyłem zawodówki i nigdzie mnie nie chcieli zatrudnić, a pan Wierzbicki dał mi szansę.
 - O, a gdzie się uczyłeś? – udaję zainteresowanie.
 - W samochodówce. Na praktykach szło mi dobrze, bo ja lubię motoryzację. Ale z teorią nie mogłem sobie poradzić i dużo opuszczałem.
- Uznaję, że to dobry moment, żeby pociągnąć go za język.
- Ja w ogóle się na tym nie znam. Potrafisz naprawić każde auto?
 - Zależy, co się zepsuje. I czy mam części. Ale jestem zawzięty, tak mówi moja siostra. To ona mi pomogła znaleźć pracę.
 - A zepsuć samochód też byś potrafił?
 - Jak to? – Pytanie najwyraźniej powoduje spięcie w zwojach mózgowych Igora, bo pierwszy raz, odkąd usiedliśmy, na dłużej odrywa wzrok od mojego biustu i marszczy brwi.
 - Umiałbyś zrobić tak, żeby zaczęło szwankować w czasie jazdy?
 - Nie wiem. A co dokładnie miałyby się stać?

– Widziałam w takim jednym serialu, że ktoś celowo zepsuł hamulce i kierowca nie mógł się zatrzymać. A potem samochód wpadł w poślizg i się zapalił.

W Igora wstąpiła niebezpieczna ekscytacja. Rozpromienił się i zaczął głośno myśleć:

– Musiałbym pogrzebać przy przewodach hamulcowych. To nie powinno być trudne. Ale samo się nie zapali, nie ma szans, to tylko tak w filmach robią, żeby się fajniej oglądało.

– Rozumiem. – Uśmiecham się i nabieram kolejną porcję deseru na łyżeczkę. – Auta Wierzbickich też naprawiasz?

– Czasem trochę grzebię, ale to nowe fury, rzadko coś się psuje. Bardziej dbam o czystość i pilnuję terminów przeglądu.

– Mogę ci coś wyznać? Ale to tajemnica, nikomu nie możesz powiedzieć... – pytam, udając wahanie. Chłopak kiwa głową, a ja pochylam się nad stolikiem i chwytam jego dłoń. Cały sztywnieje, nie wiedząc, jak zareagować. – Ja znam Aldonę. Zorientowałam się, kiedy pokazałeś mi ją na zdjęciu. Studiowałyśmy razem. Ona... wyrzuciła mi straszną krzywdę.

– Jaką? – Igor z wyczekiwaniem patrzy na moje różowe, lśniące błyszczkiem usta.

– Są rzeczy, o których ciężko mówić. Sam dobrze wiesz, prawda? – Igor przytakuje, a ja ciągnę dalej ze łzami w oczach: – Ta kobieta to potwór w ludzkim ciele. Tacy ludzie nie powinni chodzić po tym świecie. Obawiam się, że skoro skrzywdziła mnie i ciebie, może też zrobić coś złego swojemu mężowi.

– Pan Krzysiu jest w niebezpieczeństwie?

– Tak myślę. I powinniśmy coś zrobić, żeby temu zapobiec. Pomyśl, jakby było super, gdyby pan Wierzbicki został tylko z matką.

Gdyby nie było Aldony, już nikt by ci nie groził zwolnieniem, a mi nie przypominał o tym, co przeszłam. Moglibyśmy zamieszkać razem i stworzyć szczęśliwą rodzinę.

– Musimy się jej pozbyć? – odgaduje Igor, a ja powoli przytakuję, wpatrując się prosto w jego przestraszone oczy, żeby stworzyć między nami fikcyjną więź opartą na tajemnicy. – Ale jak to zrobić?

– Najlepiej radykalnie – mówię, jednak Igor nie rozumie tego słowa. – Na zawsze – dodaję szeptem.

– Chcesz ją... zabić? – pyta i z przestachem rozgląda się po sali. – Ale ona nosi dziecko pana Krzysia.

– Więc pomożemy i jemu. Dopóki dziecko się nie urodzi, nic nie czuje – kłamię. – A życie u boku takiej matki to by była straszna męczarnia.

– Tak nie można – mówi Igor i wyrywa dłoń. Potem opiera się o krzesło i tępo gapi w pucharek, po którym cieknie strużka rozpuszczonego czekoladowego lodu. Gubi się w gąszczu własnych myśli, a ja daję mu czas, by odnalazł drogę. Dyskretnie obserwuję, jak niewinność dziesięciolatka walczy z nienawiścią zranionego mężczyzny. Oczy zachodzą mu mgłą szaleństwa, a kiedy wreszcie podnosi wzrok, widzę w nim szerokie pole możliwości.

Ten chłopak jest jak plastelina, a ja jestem w stanie ją ulepić tak, jak chcę.

10.

Nie lubię Kormorana. Otwieram skrzypiącą furtkę starego ośrodka, a przed oczami jak na zawołanie staje mi najgorszy okres życia – moje dzieciństwo.

Starzy przywozili mnie nad jezioro niemal w każde wakacje. Razem z wujem przesiadywali całymi dniami w ciemnej kuchni leśniczówki, na brudnej ceracie stawiali wódkę, do tego jakieś ogórki domowej roboty i przez dwa tygodnie nie wychodzili ze stanu alkoholowego upojenia. Ja w tym czasie błąkałam się po okolicy. Strasznie było nudno w tej dzicz, więc wypuszczałam się na ośrodek, bo tam zwykle znajdowałam jakieś dzieciaki, którymi mogłam rządzić. Najbardziej lubiłam straszyć te najmłodsze, a kiedy leciały do rodziców na skargę, ja czmychałam z powrotem do leśniczówki i tyle mnie widzieli. Marna była to rozrywka, ale zawsze jakaś. Dlatego wolałam szkołę od wakacji, bo ona zapewniała mi konkretne zadania, sprawiała, że miałam w życiu cel. I dawała coś jeszcze – wiedzę. A wiedza sprawia, że można być lepszym od innych.

Zbliżam się do Wierzby, ściskając w dłoni klucz, który zabrałam z szafki wiszącej w pokoju wuja. Ostrożnie podchodzę do domku i rozglądam się, czy nie ma przy nim auta. Wygląda na to, że letniak jest pusty. Wchodzę do środka i zamykam za sobą drzwi.

Mam nieodpartą pokusę, żeby poznać małżeństwo Wierzbickiego od podszewki, odkryć wszystkie jego tajemnice. Dowiedziałam się

od Igora, że Aldona nie lubiła przyjeżdżać w to miejsce. Byli tu razem z Krisem kilka razy po ślubie, ale pewnego dnia wykrzyczała mu, że nienawidzi ryb, smrodu gnijących wodorostów i komarów. A Krzysiek, jak chce, to może się tam nawet przeprowadzić, wszystko jej jedno. Dowiedziałam się też, że często się kłócili, zwłaszcza od czasu, kiedy zaszła w ciążę, i Wierzbicki zrobił sobie z domku bazę wypadową, żeby raz na jakiś czas odpocząć od żony. To dlatego z taką beztruską mnie tu przywoził. Wiedział, że Aldona nas nie nakryje. To było ostatnie miejsce, w jakim mogła się niespodziewanie pojawić.

Przechodzę obok marmurowego blatu, na którym posuwał mnie Kris. Jak zwykle leżą na nim papierki po kawowych karmelkach. Jest też pusta butelka po czeskim piwie. Wierzbicki nigdy nie pił przy mnie alkoholu i teraz wreszcie rozumiem dlaczego. To była asekuracja z jego strony, musiał być mobilny w razie, gdyby żona przypomniała sobie o jego istnieniu lub coś działo się z jej ciążą. Ale skoro nie kojarzę tej butelki, to znaczy, że po naszym rozstaniu jeszcze tu wracał.

Odwracam się i w skupieniu lustruję resztę pomieszczenia. Pościel nie została wymieniona na świeżą, a łóżko jest całe rozgrzebane, jakbyśmy dopiero co z niego wyszli. Na podłodze w rogu pokoju leży koszulka, którą nosiłam podczas naszego ostatniego nocowania w Wierzbie. Zastanawia mnie jedno: czy Kris był na tyle leniwy, że nie posprzątał po swojej kochance, czy też zrobił to celowo, bo chciał pozostawić po mnie jakąś pamiątkę.

Ogarnia mnie dziwna melancholia. Możliwe, że jego uczucia były prawdziwe. Może jest jeszcze szansa, żeby go odzyskać?

Nie, nie mogę tak myśleć. Przypominam sobie, co mi ten drań zrobił i po co właściwie tu jestem. Odrywam uwagę od mało znaczących rzeczy i idę do drugiego pokoju z nadzieją, że Wierzbicki nie pozbył się przedmiotu, którego zawartość z taką zawziętością przede mną ukrywał.

Kucam przed komodą i otwieram dolną szufladę. Uśmiecham się przebiegle, bo wszystko jest na swoim miejscu. Wyciągam drewniane pudełko owinięte w hinduską chustę. Stawiam je na komodzie, a potem próbuję poluzować małą kłódkę. Mocno się trzyma. Nie zamierzam szukać do niej klucza. Niewykluczone, że Kris schował go w swoim domu. Podnoszę tajemniczy skarb i udaję się do kuchni. Umieszczam go na marmurowym blacie, a z szafki wyciągam młotek do mięsa. Uderzam w kłódkę kilka razy. W końcu delikatny pręcik pęka, a ja siadam na naszym łóżku, podwijając jedną nogę, i z podnieceniem unoszę drewniane wieczko.

Ze środka wyciągam garść papierów. Część z nich to jakieś stare pocztówki przedstawiające budynki. Podnoszę pierwszą lepszą i przyglądam się fragmentom architektury skomponowanym w wizytówkę Barcelony. Odwracam kartkę, licząc na to, że powie mi coś więcej. Serce zaczyna szybciej tłoczyć krew, kiedy moim oczom ukazują się rzędkie koślawych liter.

Pozdrowienia ze słonecznej Katalonii! Ten staż to super sprawa, ale bardzo tęsknię, Sarenko. K.

Sarenko? Co za idiotyczna ksywka? Przenoszę wzrok na pole przeznaczone dla adresata. Widnieje na nim zupełnie mi nieznane imię i nazwisko.

Sz. P. Sara Wilczek, ul. Konwaliowa 15, Studzieniec

Sara, Sarenka, kim jest ta kobieta? Wzdrygam się na myśl, że to moja poprzedniczka, kochanka, która znudziła się doktorowi Wierzbickiemu, albo zaczęła mu przeszkadzać w „życiu 1.0”.

Kim ty jesteś, Kris? Pieprzonym seksoholikiem? Kolekcjonerem kobiet, po których zostawiasz sobie trofea i skrzętnie ukrywasz je przed żoną? Zabawiasz się w zdobywanie i porzucanie? Ja to wszystko jestem w stanie zrozumieć. Wcale tak mocno się nie różnimy. Zastanawia mnie tylko, czy zacząłeś jeszcze przed ślubem, czy dopiero po nim, kiedy ustatkowane życie zaczęło cię przytłaczać. A może kręci cię ukrywanie się, balansowanie na granicy kłamstwa i prawdy?

Mrużę oczy, próbując rozszyfrować datę stempla pocztowego, ale tusz jest rozmazany.

Wyciągam resztę pocztówek, rozrzucam je po pościeli i zaczynam nerwowo przeglądać. Jeśli moja teoria co do skłonności Krisa jest prawdziwa, powinnam tu znaleźć więcej dowodów na przelotne romanse.

Jednak wszystkie kartki wyglądają podobnie, adresatka pozostaje ta sama, zmieniają się tylko widoki i nazwy europejskich miast. Żadnego śladu innych kobiet.

Jest też zdjęcie. Kris wygląda na nim bardzo młodo. Obejmuje roześmianą dziewczynę, a w tle widać ruiny zamku. Na rewersie fotografii widnieje podpis: „S. & K., Ogrodzieniec 2006”.

Rozczarowanie sprawia, że chce mi się krzyknąć. Nie dowiedziałam się wiele, wręcz przeciwnie, w mojej głowie pojawiły się kolejne pytania, na które już nigdy nie znajdę odpowiedzi.

Nagle dostrzegam, że na dnie pudełka leży coś jeszcze. Sięgam po czystą szarą kopertę. Jest zaklejona, więc ostrożnie odrywam jej

brzeg. W środku znajduję krótką tabelkę z wynikami badań krwi, które wykazują zawartość fluoksetyny i lorazepamu – substancji psychoaktywnych stosowanych przy leczeniu depresji i bezsenności. Przed oczami stają mi wzory i łączenia chemiczne, a także lista skutków ubocznych działania tego typu leków takich jak: senność, zaburzenia koordynacji ruchowej czy ostrości widzenia. Dokument wygląda na oryginał, jest podbity pieczętką policyjnego laboratorium. Tutaj datę widać jak na dłoni. Z nagłówka wynika, że jest to badanie krwi na obecność środków niedozwolonych podczas pełnienia służby zlecone przez Prokuraturę Rejonową w Zawierciu. Natomiast badaną osobą jest posterunkowa Sara Wierzbicka.

Prawda uderza mnie jak piorun. Pojedynczy błysk rozświetla ciemność i nadaje wszystkiemu sens. Kobieta, do której Wierzbicki wysłał te wszystkie kartki, była kiedyś jego żoną. Policjantką, która prawdopodobnie pojawiła się na służbie pod wpływem psychotropów. Musiało się wydarzyć coś niedobrego, skoro prokurator zlecił te badania.

Odkładam dokument na łóżko i szperam dalej, szukając kolejnych odpowiedzi. Tym razem wyciągam wycinek z pożółkłej gazety. „Policjantka oczyszczona z zarzutów” – zapoznaję się z nagłówkiem i czuję rozlewającą się po ciele falę ekscytacji, zupełnie jak przed pierwszą randką. Wykorzystuję umiejętność szybkiego czytania, żeby przeskanować tekst i wyłuskać z niego najważniejsze informacje.

Dowiaduję się, że podczas jednej z interwencji funkcjonariuszka z komisariatu w Ogrodzieńcu postrzeliła młodego mężczyznę w kolano, doprowadzając go do kalectwa. To było zwykłe zgłoszenie, dotyczące domowej awantury, jednak po przyjeździe na miejsce

policjanci rozpoznali Mirona T. poszukiwanego za współpracę z szajką zajmującą się handlem ludźmi działającą na terenie całego kraju. Był płotką, pośrednikiem i informatorem, ale w jego mieszkaniu znaleziono obciążające go dowody, między innymi pornografię dziecięcą. Podczas czynności zabezpieczających zatrzymany zaczął uciekać ulicami miasta, a pełniąca wówczas służbę posterunkowa Sara W. strzeliła do mężczyzny, co według oskarżyciela nie miało uzasadnienia, a dodatkowo zagrażało bezpieczeństwu przypadkowych przechodniów. Policjantka twierdziła, że widziała w ręce uciekającego broń i oddała najpierw strzał ostrzegawczy, a potem wycelowała w nogi. Okazało się jednak, że zatrzymany nie był uzbrojony, a w dłoni trzymał telefon komórkowy. Obrońca mężczyzny złożył wniosek o zbadanie okoliczności zajścia ze względu na trwałe uszkodzenie ciała swojego klienta. Posterunkową poddano standardowym badaniom, które nie wykazały żadnych substancji niedozwolonych w jej krwi, skutkiem czego została uniewinniona.

Niesamowite. Badanie, które leży obok mnie, wskazuje na coś zupełnie innego. Wygląda na to, że była żona Wierzbickiego wiele lat temu dopuściła się fałszerstwa, które miało uratować jej dupę, a to, co uważałam za „ołtarzyk” na cześć dawnej miłości, okazuje się zbiorem dowodów przeciwko niej, czekających w gotowości, by w razie potrzeby ich użyć.

Sprytnie Kris, nawet mi zaimponowałeś. Wiedziałam, że jesteś szują, ale o coś takiego bym cie nie podejrzewała. Nie potrafiłeś się pozbyć sentymentalnych pocztówek i zdjęć, co oznacza, że naprawdę kochałeś tę kobietę. Jednocześnie przechowujesz coś, co może zniszczyć jej życie. Jesteś bardziej popierdolony, niż myślałam.

Teraz wiem, dlaczego tak trudno było tobą manipulować. Trafił swój na swego. Ale to jeszcze nie koniec. Pokażę ci, kto w tej grze jest górą.

Przerażające uczucie złości i pustki zalewa mnie niczym fala tsunami. Zachłystuję się żalem, duszę upokorzeniem, tonę w odrzuceniu. Jestem w stanie znieść wszystko, tylko nie odrzucenie. Kładę rękę na brzuchu, który już nie odstaje. Czasem zapominam, że już nie jestem w ciąży, a czasem wydaje mi się, że tylko ją sobie wymyśliłam. Wszystko mi się miesza.

To twoja wina, Kris. Gdyby tylko cierpienie dało się zmierzyć, zaserwowałabym ci dokładnie tę samą dawkę, jaką otrzymałam od ciebie. Nie wiem, czy utrata żony i dziecka, którego oczekujesz, przepelni czarę goryczy. Kusi mnie, żeby zabrać ci coś jeszcze. Kogoś, kto był dla ciebie ważny kiedyś i kto jest ważny teraz. Była żoną, którą kiedyś musiałeś bardzo kochać jakimś popierdolonym rodzajem miłości. Myślę, że to dobry pomysł, tak na wszelki wypadek, gdybyś po śmierci Aldony przypomniał sobie o istnieniu Sary. No i masz jeszcze matkę. W twoim życiu są obecnie trzy kobiety, które kochasz lub kochałeś. Odbiorę ci je wszystkie.

Nowy plan wydaje się idealny. Ostrożnie odrywam nagłówek artykułu, a resztę wkładam razem z innymi papierami z powrotem do pudełka i zamykam wieko.

Potem opadam na poduszkę i przykładam miękki materiał do twarzy, wciągam zapach Krisa. Nasz zapach. Przykrywam się kołdrą po samą szyję, zamykam oczy i przenoszę do innego świata. Nie ma w nim pustki, nie ma innych kobiet.

Jesteśmy tylko my. Znowu razem.

11.

Pospiesznie wyciągam z szuflady zeszyt zameldowań. Wczoraj przez telefon podałam wujowi panińskie nazwisko Sary, licząc na to, że wróciła do niego po rozwodzie i ponownie się nie ożeniła. Na szczęście stary połknął wszystko jak pelikan i nie rozpoznał mojego głosu w słuchawce.

Prawdopodobieństwo, że mój plan wypali, jest znikome, bo nie mam wystarczająco dużo danych. Nie wiem nawet, jak ostatecznie zakończyła się sprawa policjantki, o której pisała lokalna gazeta, i czy Sara faktycznie została uniewinniona. Prawdziwy dowód mógł zostać okazany nawet kilka lat później, chociaż w takim wypadku oryginał badań musiałby znaleźć się w sądowych aktach, a on wciąż leży w drewnianym pudełku, które przywiozłam z Wierzby.

Próbowałam też znaleźć w internecie jakieś wzmianki na temat tego postrzelenia, jednak nie dowiedziałam się niczego poza tym, co było zawarte w artykule. Czyli prawdopodobnie sprawa została zamknięta na korzyść oskarżonej, a to otwiera mi furtkę, żeby posłużyć się jedną z najskuteczniejszych technik przymusu – szantażem.

Nie mam też pewności, czy adres byłej żony Krisa spisany z pocztówki jest aktualny. Marne szanse, że od dwudziestu lat mieszka w tym samym miejscu, myślę jednak, że warto spróbować.

Brząk tłuczonego szkła sprawia, że podskakuję na krześle. Zamykam zeszyt, wkładam do szuflady i idę sprawdzić, co się

wydarzyło.

Wuj stoi przy zlewozmywaku i gapi się na gumoleum przyozdobione kawałkami rozbitej szklanki, jakby nie wiedział, co ma z nią zrobić.

- Wylało się, wszystko się wylało – mamrocze tak, że ledwo go rozumiem. Jest bliski płaczu.

- Przecież nic się nie stało. Ja to posprzątam – odpowiadam, a spod zlewu wyciągam zmiotkę i szufelkę.

- Ale to była ostatnia – jęczy stary.

- Ostatnia szklanka? – pytam, wrzucając śmieci do kosza.

- Małpka! – próbuje krzyknąć, ale jego głos przekształca się w żałosny falset.

- Spokojnie, wujku, właśnie wybierałam się na zakupy. Jaką ci wziąć? – proponuję niezwłocznie, bo utrzymywanie stałego stężenia alkoholu we krwi wuja jest mi bardzo na rękę.

- Dobre dziecko – mówi, a jego twarz rozpromienia się nagle i łagodnieje. Z kieszeni spodni wyciąga portfel. Grubymi palcami stara się wyłuskać z niego banknoty. – Tutaj masz pieniądze, kup pół litra czystej, a resztę możesz wziąć dla siebie. I jakby była ta orzechówka, to weź jeszcze dwie setki. Tak na czarną godzinę – dodaje i uśmiecha się niepełnym uzębieniem.

- Dobrze, wujku. – Udaję posłuszeństwo, chociaż jedyne, co czuję, to odraza.

- A wiesz, że wczoraj dzwonił ktoś z uniwersytetu, żeby zrobić rezerwację domku?

- Rezerwację? O tej porze roku? Po co ktoś miałby przyjeżdżać późną jesienią nad jezioro? – Zgrywam zaskoczoną, chociaż tak

naprawdę przepelnia mnie satysfakcja, że tak dobrze udało mi się wkręcić starego.

– Też się zdziwiłem. W dodatku ze wszystkich domków wybrali Modrzew. Cały ośrodek jest pusty, a oni wynajmują domek najbardziej oddalony od jeziora.

– A kto dokładnie dzwonił?

– Jakaś kobieta. Przedstawiła się, ale nie pamiętam nazwiska. Kto by tam za tymi uczonymi nadażył?

Wuj macha ręką i wychodzi z kuchni. W progu się zatrzymuje, odwraca, ale nie patrzy na mnie. Jego zamglony wzrok błądzi gdzieś po kuchennych szafkach.

– Weź auto, będzie szybciej.

– Wujku, ale auto jest uszkodzone, nie pamiętasz?

– Kurwa jego mać! – rzuca nader wyraźnie i przytrzymuje się framugi, po czym podnosi na mnie wzrok i dodaje po chwili: – Jedź już, dziecko, bo sklep zamkną.

– Dobrze, wujku. Połóż się i odpocznij.

Patrzę, jak stary chwiejnym krokiem wychodzi z kuchni. Po chwili z dużego pokoju dobiega odgłos skrzypiącej kanapy i pijacki zaśpiew. Wuj jak zwykle nuci swoją ulubioną piosenkę Budki Suflera, a ja mam ochotę udusić go poduszką. Na samo wyobrażenie tego momentu rośnie we mnie znajoma ekscytacja. Ireneusz Woźniak to degenerat, który już nigdy nie wyjdzie z nałogu. Jest z nim coraz gorzej i staje się coraz bardziej nieznośny. Gdybym tylko nie była od niego uzależniona finansowo i mieszkaniowo...

Zanim wybiorę się do miasta, muszę jeszcze zajrzeć do małego i zabrać list. Na szczęście poczta jest niedaleko od przystanku. Jeśli nadam dzisiaj priorytet, powinien dotrzeć do Ogrodzieńca najdalej

pojutrze. A jeśli dotrze do adresatki, wszystko będzie zależało od tego, jak bardzo zależy jej na zachowaniu swojej tajemnicy.

12.

Igor wie, co do niego należy, i mam nadzieję, że kiedy przyjdzie czas, nie zawiedzie. W niedzielę wieczorem ma się zakraść do garażu i sprawić, żeby audi Aldony odmówiło posłuszeństwa, kiedy będzie jechała na poniedziałkowy dyżur. Nie znam się na mechanice samochodowej, ale wiem, że to pasja tego przygłupa i jedyna dziedzina, w której całkowicie mogę się na niego zdać.

Ustaliliśmy, że uszkodzi w aucie przewody hamulcowe w taki sposób, żeby pękły przy próbie mocniejszego hamowania. Długa prosta po wyjeździe z Karczewa zachęca kierowców, żeby się rozpędzić, a potem, kiedy szosę z dwóch stron otacza las, zakręty robią się coraz ostrzejsze i trzeba nagle zwalniać.

Najsłabszym punktem planu jest psychika Igora. Kiedy myślę o jego wkładzie w moje przedsięwzięcie, wiem, że poradzi sobie z zadaniem pod względem technicznym. Obawiam się tego, że w najważniejszym momencie zwątpi i się wycofa. Sądzę jednak, że odpowiednio mocno się postarałam, by tak się nie stało. Na zachętę pozwoliłam mu na kontakt fizyczny. Nie doszło do pełnego zbliżenia, nie zgodziłam się też, żeby mnie dotykał. To ja dotykałam go w taki sposób, żeby nie był w stanie mi niczego odmówić i żeby liczył na więcej.

Chłopak jest we mnie zakochany po uszy. Niewiele mu o sobie mówię, a on jakoś specjalnie nie docieka. Łyka każde kłamstwo, każde zapewnienie, patrząc na mnie tymi maślanymi wielkimi

oczami. Udaję przed nim poukładaną dziewczynę z dobrego domu, która nie szuka księcia z bajki, tylko pracowitego i oddanego mężczyzny. Łatwo było wejść w jego nieskomplikowaną głowę i poustawiać tam wszystko według własnego pomysłu. Wystarczyła obietnica, że zamieszkamy razem, ale tylko wtedy, gdy będzie miał pewną pracę. Przekonałam go, że jedyną drogą, by to osiągnąć, jest pozbycie się żony Wierzbickiego.

Igor nie jest pozbawiony uczuć, wręcz przeciwnie, wydaje się bardzo wrażliwy. Dlatego wiem, że nie namówiłabym go na upozorowanie wypadku Aldony, gdyby nie fakt, że ta kobieta bardzo zaszła chłopakowi za skórę. Tak naprawdę mój plan jest dla niego wybawieniem z sytuacji, w której męczy się już od dłuższego czasu. Igor zdaje sobie sprawę, że trudno byłoby mu znaleźć lepszą pracę w okolicy. Poza tym lubi Wierzbickiego, a ten płaci mu za usługi naprawdę ładną kasę, taką, której niepełnosprawny umysłowo facet nie zarobi nigdzie indziej. Widocznie pan doktor ma do niego zaufanie i docenia umiejętności chłopaka.

A może powód, dla którego Kris trzyma go pod swoim dachem, jest zupełnie inny? Taki pozornie nieogarniający rzeczywistości koleś nie zorientuje się w przekrętach swojego pracodawcy, nie będzie też zadawał pytań, gdyby coś przypadkiem usłyszał, łatwo go zastraszyć lub po prostu przekupić. A Kris może mieć sporo za uszami, jest związany z polityką, czyli źródłem nieczystych układów i zagrań. Dokładając do tego niezbyt udane stosunki małżeńskie, jego reputacja i kariera są niczym tykająca bomba. Wystarczy iskra, żeby wszystko, na co tyle lat pracował, wystrzeliło i rozsypało się niczym konfetti, którego nie będzie już w stanie zamieść pod dywan.

Dlatego Wierzbickiemu się wydaje, że głupi Igor to idealny pracownik. Ale już niedługo się na tym przejedzie. Ludzie z umysłem dziecka może i nie rozumieją wszystkiego, ale o wiele więcej zauważają. Pod powłoką niepozornej i niegroźnej istoty kryje się chodzący bank danych. Trzeba tylko znaleźć odpowiedni klucz, żeby się do niego włamać.

I ja go znalazłam.

13.

Dziś rano Ireneusz Woźniak uroczyście oświadczył, że zrywa z nałogiem. Ten cosobotni rytuał wuja, wynikający z faktu, że w niedzielę wybiera się do kościoła i chce być trzeźwy w świątyni, zawsze kończy się fiaskiem. Wuj wytrzymuje mniej więcej do zachodu słońca, a o północy leży już zrobiony na cacy i chrapie do rana, przekładając wizytę w kościele na kolejny tydzień.

Jednak do południa nawet można się z nim dogadać. Tyle, o ile, bo chociaż umysł ma trzeźwy, to jest cholernie drażliwy.

Przed chwilą nawet sam odebrał telefon, choć zwykle w takich sytuacjach wysługiwał się mną. Gdy tylko usłyszałam irytujący dzwonek starej stacjonarki, dyskretnie zeszałam na dół, żeby podsłuchać, z kim rozmawia brat mojej matki.

– Chwilę, wezmę zeszyt zameldowań – mówi i odkłada słuchawkę na biurku. Szura krzesłem i podchodzi do regału, w którym trzymamy dokumenty.

– Czego szukasz, wujku? – pytam, a on podskakuje przestraszony. Nie spodziewał się mnie stojącej tuż za drzwiami.

– Zeszytu zameldowań. Przecież zawsze tu był, gdzie się podział, do jasnej cholery?

Podchodzę i otwieram drugą szufladę, tę po lewej.

– Jest tam, gdzie powinien być. Szukasz w złej szufladzie. – Podaję mu zeszyt z fałszywym uśmiechem. – A po co ci on?

– Potem ci powiem, teraz muszę dokończyć rozmowę.

Odwraca się i drepcze z powrotem do telefonu. Mówi dość cicho, ale ja i tak już wszystko wiem. Kiedy kończy, podchodzę do niego i pytam:

– O co chodziło?

– Jakaś baba dzwoniła, że domek chce wynająć. I to ten sam, co tamta z uniwersytetu, dasz wiarę? Co ci ludzie?

– Myślę, że to zwykły zbieg okoliczności. One czasem się zdarzają. A co jej odpowiedziałeś?

– No, że domek już zarezerwowany na jakąś Sarę i mogę dać jej inny. A ona na to, że w takim razie dziękuje i jeszcze się zastanowi. Dupy zawracanie i tyle. – Wuj wstaje i kuśtyka do kuchni. Zwykle, gdy nie pije, włącza mu się potężne ssanie w żołądku. Przez drzwi widzę, jak otwiera lodówkę i wyciąga z niej kielbasę. Odgryza porządny kawałek, a potem mówi z pełnymi ustami: – A Modrzewia byłem dzisiaj rano przygotować dla tej paniusi. Odpaliłem kominek, bo ostatnio szwankował, ale wygląda na to, że cug jest prawidłowy. Tylko nie wiem, kiedy ona przyjedzie, bo rezerwacja jest od wczoraj na całe dwa tygodnie, ale żadnego do niej telefonu nie mamy, ani nic. Powinna już chyba być, co?

– Nie mam pojęcia. Pewnie się odezwie przed przyjazdem. Skoro domek jest gotowy, to nie ma się czym przejmować. Idę odpocząć, boli mnie głowa – mówię i wracam do siebie. Po drodze zatrzymuję się na korytarzu, otwieram szafkę z kluczami i wyciągam ten, przy którym dynda zawieszka z napisem Modrzew.

Idąc po schodach, uśmiecham się w duchu.

Udało się. Sara Wilczek dostała mój list i połknęła haczyk. Zakładając, że to ona przed chwilą dzwoniła, żeby się upewnić, czy domek na nią czeka, przyjedzie tu na dniach. Muszę się pospieszyć.

Wuj uskładał drewno na opał i założył pościel. Teraz moja kolej, żeby poczynić odpowiednie przygotowania.

Oby tylko Igor wywiązał się ze swojego zadania, a wkrótce obie żony Krisa, była i obecna, pożegnają się z tym światem. Potem jeszcze zajmę się mamusią, odczekam jakiś czas i ponownie stanę na drodze mojego mężczyzny. Może wtedy znajdzie się dla mnie miejsce w jego życiu. I dla naszego synka.

14.

Nie śpię od czwartej. Siedzę na łóżku i czekam na wschód słońca. Słyszę huczący w kominie wiatr, na dach spadają gałęzie i szyszki. Warunki pogodowe są wprost idealne, by wszystko poszło zgodnie z założeniami. Nie dość, że wieje, to jeszcze w wieczornej prognozie zapowiadali gołoledź.

Według Igora Aldona w każdy poniedziałek wyjeżdża z domu o czwartej czterdzieści pięć, żeby przed piątą być w pracy, więc już niebawem nastąpi to, co nieuniknione. Zaciskam pięści, a paznokcie wbijają mi się w dłonie. Dzięki temu czuję, że wciąż tu jestem, że to nie sen.

Siedzę na krawędzi łóżka i patrzę na mojego synka. Śpi tak spokojnie, a ja nie wiem, czy go kocham, czy nienawidzę. Czasem jest mi zupełnie obojętny, a potem nagle mam nieodparte uczucie, że muszę go chronić. Nie chcę go oddawać. Może nie będę musiała.

Nagle moje piersi robią się ciepłe. Odruchowo dotykam koszuli nocnej na wysokości sutków. Jest mokra. Kiedy myślę o dziecku, samoczynnie wypływa z nich mleko. Ale wiem, że to nie jest miłość, tylko zwykły fizjologiczny odruch, niezależny ode mnie. Tak naprawdę nie jestem matką, a to coś leżące w kołysce nie jest dzieckiem. Oboje jesteśmy kukielkami w teatrzyku Krisa, którymi chwilę się pobawił, a potem rzucił je w kąt. Jak mały chłopiec. Mały, wredny, rozpuszczony bachor.

Nawet głupi Igor jest od niego lepszy. Zależy mu i jest dla mnie gotowy zrobić coś nadzwyczajnego. Oby i on mnie nie zawiódł. Wczoraj, gdy do niego dzwoniłam przed północą, wydawał się roztrzęsiony. Nie chciał za dużo rozmawiać. Przytaknął tylko, kiedy spytałam, czy zrobił swoje, a potem domagał się potwierdzenia, że już na zawsze będziemy razem i nikt się nie dowie o naszej tajemnicy. Zapewniłam go, że wszystko będzie dobrze i już wkrótce zamieszkamy w jakimś przytulnym mieszkanku, potem weźmiemy ślub i będziemy żyli długo i szczęśliwie. Uspokoił się jak przedszkolak, któremu wystarczy opowiedzieć odpowiednią bajkę, żeby zamknął oczy i zasnął.

Na zewnątrz jest już jasno, a ścienny zegar wskazuje siódmą. Musiałam przysnąć z małym przy piersi. Odkładam go i przykrywam kocem. Delikatnie poruszam kołyską, żeby się nie rozbudził, a potem wstaję i podchodzę do okna.

Myślę o tym, co musiało się wydarzyć przy drodze na Liny. Oczami wyobraźni widzę, jak Aldona ściska kierownicę, próbując zapanować nad rozpędzonym autem. Wpada w panikę, wdusza pedał hamulca i krzyczy, przeraźliwie krzyczy. A potem dostrzega zbliżające się drzewo, nie może nic zrobić, wstrzymuje oddech i...

Zginam się wpół. Ból w podbrzuszu przeszywa moje ciało. Nie umiem złapać oddechu, jakbym znowu tam była. Na drodze, z pasem bezpieczeństwa wrzynającym się w moje ciało.

Muszę wziąć się w garść, wyjść na powietrze, przewietrzyć głowę.

Wkładam płaszcz i wybiegam z leśniczówki. Maszeruję przed siebie, bez kierunku, bez celu, bez tchu. Nogi same niosą mnie przez budzący się las. Nie mogę się zatrzymać, pragnę uciec od myśli, które atakują mnie jak rój agresywnych szerszeni. Czasem już nie

wiem, co jest dobre, a co złe. Czy to wszystko musiało się stać i czy w ogóle miało miejsce? A może to tylko moje urojenia?

Nagle się orientuję, że stoję między dwoma domkami. Jestem na terenie Kormorana, choć nie wiem, jak się tu znalazłam. Dyszę, wypuszczając ciepłe powietrze, które momentalnie zamienia się w białe obłoki pary. Mam kolkę i czuję totalną dezorientację. Spoglądam na główny pomost, na przycumowane do niego łódki. Wyglądają tak znajomo, tak nieprzyjaźnie. Ogarnia mnie dziwne uczucie, jakbym tu niedawno była, a teraz coś przyciągnęło mnie w to samo miejsce.

Mój umysł mimowolnie projektuje dręczące obrazy. Migają mi w głowie niczym światła z kuli disco. Uderzają z mocą, rażąc w oczy, a po chwili się rozmywają, pozostawiając jedynie poświatę wspomnień.

Żółta maska skody, pień drzewa, pisk opon, szarpnięcie, mój krzyk niosący się po lesie, ból, niekończący się ból.

Ciemność.

I znów rozbłysk.

Dziecko leżące bez ruchu między nogami. Nie oddycha, nie porusza się.

I znowu ja za kierownicą. Jadę. Dziecko leży obok.

Wszystko będzie dobrze. Będziesz bezpieczny.

Stukanie łodzi o pomost.

Ciemność.

Bicie serca pośród ciszy.

Wynurzam się z hipnotycznego transu zachłannym oddechem. Przesuwam dłonie po twarzy, szczypię się w policzki. Jestem tu, to nie jest sen. Ile minęło czasu? Muszę wracać do domu. Ostatni raz

spoglądam na jezioro i widzę coś jeszcze. Tym razem obraz jest wyraźny i bardzo realny.

Kobieca postać w czerwonej kurtce wchodzi na drewnianą konstrukcję wcinającą się w jezioro, a potem się zatrzymuje i patrzy w dal.

To na pewno ona. Przyjechała.

Przypominam sobie zdjęcie blondynki, które znalazłam w drewnianym pudełku. Jestem ciekawa, jak teraz wygląda Sara Wilczek, czy jej twarz mocno się zmieniła od czasu, gdy patrzyła w obiektyw aparatu, siedząc z Krisem pod zamkiem w Ogrodzieńcu. Wiem, że to ryzykowne, ale podchodzę bliżej. Nie zobaczy mnie, jeśli ukryję się za jednym z domków. Ostrożnie się wychylam i patrzę na nią jak na swoją zdobycz. Jeszcze nie wie, co ją czeka. Ja sama tego do końca nie wiem, ale to nie będzie nic dobrego.

Czuję pod butem większą gałąź, która nagle pęka z trzaskiem. Odskakuję w bok i znikam z pola widzenia dokładnie w momencie, gdy Sara odwraca głowę w moją stronę.

Chyba mnie nie widziała, ale i tak wpadam w panikę.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, co zrobiłam. I po co mi to było? Ściągnęłam do Karczewa kobietę, której będę musiała się pozbyć, a nie wiem, czy sobie z tym poradzę. Jeszcze wczoraj to wszystko wyglądało zupełnie inaczej w mojej głowie. Chyba zaczynam tracić zmysły.

15.

Dzwonię do tego głupka już szósty raz. Wczoraj czekałam na wieści przez cały dzień, a on się nie odezwał. Muszę się dowiedzieć, co z Aldoną i czy nasze przedsięwzięcie zakończyło się sukcesem.

Jest już wtorek, a ja wciąż niczego nie wiem. Przeglądam lokalną gazetę wuja, licząc na jakąś wzmiankę o wypadku, jednak żadnej nie znajduję. Mam ochotę wziąć rower i pojechać na Ruczajową, żeby zobaczyć, co jest grane. Wiem jednak, że pokazanie się pod domem Wierzbickich nie byłoby najlepszym posunięciem. Jeśli faktycznie doszło do wypadku, może się tam kręcić policja.

Gapię się w ekran komórki, zeszkrobując z niej popękana obudowę. Bezczyenne czekanie sprawia, że zaczynam wariować. W końcu na wyświetlaczu pojawia się ikonka koperty. Pospiesznie otwieram wiadomość od Igora.

„Co my zrobiliśmy? Jesteśmy mordercami”.

Serce podchodzi mi do gardła.

A więc się udało. Odczuwam coś na podobieństwo seksualnej rozkoszy połączonej z wygraną w totolotka. Milion myśli przewija się naraz przez moją głowę i nie umiem ich zatrzymać. Wreszcie jedna wysuwa się na prowadzenie: co teraz?

Biorę kilka głębokich wdechów i skupiam się na najbliższej przyszłości. Ostrożność to teraz mój największy sprzymierzeniec.

Igor się wystraszył, ale nie powinien się wygadać. W końcu to on zepsuł hamulce, a z pewnością nie chce odsiadywać dożywocia za

zabójstwo. Wcześniej uświadomiłam mu, co grozi za taki czyn. Powiedziałam, że to jest ryzyko, które musi podjąć w walce o nasze szczęście, i jeżeli wszystko dobrze zaplanujemy, nikt się nie dowie, że pomogliśmy losowi, aby ten wypadek się wydarzył. Musi tylko trzymać gębę na kłódkę, choćby nie wiem co. Dam chłopakowi chwilę, żeby ochłonał, a potem spróbuję znowu zadzwonić. Chociaż tak naprawdę już nie jest mi do niczego potrzebny. Jeśli nie chce mnie widzieć, tym lepiej. Nie będę zmuszona kombinować, jak z nim zerwać.

Teraz myślę tylko o tym, żeby zobaczyć minę Krisa, kiedy będzie żegnał swoją małżonkę. Muszę pojawić się na jej pogrzebie. Obserwowanie jego cierpienia stanie się najlepszym zadośćuczynieniem za moje krzywdy.

16.

Nie wiem, co się dzieje. Dłużej nie wytrzymam w tej niewiedzy. Krążę po pokoju, poddając się pożerającej moje ciało panice. Słyszę własne myśli. Podszepty rozsądku, a za chwilę śmiechy szaleństwa rozsadzają mi mózg.

Mija kolejny dzień w leśniczówce, jestem odizolowana od reszty świata, od zdarzeń, które sama wywołałam. Z bezsilności wpadam w odrętwienie, a początkową ekscytację sukcesem zastępuje paralizujący strach. Nie poznaję swoich reakcji. Obawiam się, że wszystko się wyda.

Telefon Igora zaczął odpowiadać innym niż zwykle sygnałem, co może oznaczać, że mnie zablokował. Chyba myliłam się co do niego. Powierzyłam mu zbyt trudne zadanie.

Jak by tego było mało, była żona Wierzbickiego zamieszkała w Kormoranie, a ja wciąż nie uczyniłam nic, żeby się jej pozbyć. To miało się wydarzyć pierwszej nocy jej pobytu. Zaczadzenie wydawało się najlepszym rozwiązaniem. Nie musiałam robić wiele, ani nawet się starać, by zatuszować swój udział w tym zdarzeniu. Wyglądałoby na tragiczny wypadek, jakich wiele w okresie jesienno-zimowym. Najpierw wybrałam odpowiedni domek, wystarczyło odciąć dopływ prądu, aby unieruchomić zaciągnięte rolety, zablokować zamek w drzwiach, a potem zatkać komin. Zabrałam też małego pilota dołączonego do kluczy, żeby móc zamknąć rolety, gdyby Sara sama tego nie zrobiła przed pójściem spać.

Tyle że ona przyjechała tuż przed wypadkiem Aldony, kiedy nie byłam w stanie zmusić się do jakiegokolwiek działania. Podejrzewam, że jeśli nie doczeka się dalszych wskazówek z mojej strony, skontaktuje się z Krisem, jeśli już tego nie zrobiła. A kiedy on zaprzeczy, że wysłał do niej list, oboje zaczną szukać prawdziwego nadawcy.

Niepotrzebnie ściągałam tu tę policjantkę. Działałam pod wpływem emocji. Trzeba było skupić się na Aldonie, a dopiero potem myśleć o reszcie. I nie wtajemniczać we wszystko faceta o małym mózgu. Co teraz robić? Jak się z tego wyplątać?

Podchodzę do okna i uchylam firanę. Promienie popołudniowego słońca rażą mnie w oczy. Dawno nie widziałam pogodnego nieba. Nie wiem dlaczego, ale wpada mi do głowy myśl, że to może być ostatni tak słoneczny dzień w tym roku. To może być też ostatni dzień mojej wolności. Mimo przyjemnego ciepła, które pada mi na twarz, przeczuję zbliżającą się klęskę.

Nagły ruch na podwórku zwraca moją uwagę. Jakaś postać przechodzi przez bramę i zbliża się do stojącej na podjeździe skody. Średniego wzrostu blondynka niepewnie kroczy w kierunku wuja, który opiera jedną rękę na podniesionej masce samochodu, ani trochę nie zwracając uwagi na niespodziewanego gościa. Pewnie stary znowu postanowił sam naprawić auto. Po pijaku włącza mu się tryb bohatera, który wszystko potrafi i jest samowystarczalny.

Słońce razi mnie w oczy. Nie widzę twarzy kobiety, ale rozpoznaję jej czerwoną kurtkę. To Sara Wilczek.

Co ona tu, do cholery, robi?

Moje serce przestaje na chwilę bić, kiedy uświadamiam sobie, jaki popełniłam błąd. Spoglądam na drewniane pudełko leżące na

toaletce naprzeciw łóżka. Pamiętam, jak Kris był zdenerwowany, kiedy odkryłam jego istnienie i zaczęłam dopytywać, co znajduje się w środku. Jeśli Sara skontaktowała się z nim, na pewno przyjechał do Wierzby i spostrzegł, że jego cenny przedmiot zniknął. A ja w tym momencie stałam się główną podejrzaną, bo tylko ja o nim wiedziałam. Niepotrzebnie zabrałam pudełko.

Tak czy inaczej ani Kris, ani Igor nie znają mojego prawdziwego miejsca zamieszkania. Nikomu nigdy nie mówiłam o leśniczówce, a w moich papierach uczelnianych widnieje ten sam adres, który mam w dowodzie, czyli dom moich rodziców znajdujący się na drugim końcu Polski. Pozostaje więc tylko jedna możliwość: Kris sprawdził moje dane w dziekanacie, skontaktował się z moimi starymi, a oni powiedzieli mu, że pomieszkuję u wuja pod Karczewem.

Mam mętlik w głowie. Nie pozostaje nic innego, tylko czekać, aż policjantka w cywilu wkroczy do domu, żeby mnie zdemaskować. W panice obmyślam, jak się jej pozbyć tu i teraz. Na myśl przychodzi mi jedynie kuchenny nóż, ten cienki do filetowania ryb. Po wszystkim mogłabym przechować jej ciało w spiżarni pod schodami, a w nocy wrzucić do jeziora. Tylko jak je tam zaciągnę? I co z wujem?

Boże, o czym ja myślę? To się nie uda. Kurwa mać.

Nerwowo spoglądam w dół, mając nadzieję, że kobieta wciąż tam stoi. Próbuję rozszyfrować słowa z ruchu jej warg, ale odległość między nami jest zbyt duża. Widzę tylko, jak wuj macha ręką, a ona wycofuje się w kierunku bramy. Nabieram powietrza, żeby odetchnąć z ulgą, ale w tym samym momencie policjantka unosi głowę i patrzy prosto w moje okno. Cofam się momentalnie i puszczam firankę. Jeszcze przez chwilę obserwuję z ukrycia, jak kobieta mija płot, a potem znika między drzewami.

17.

– Kim była ta pani? – pytam wuja, podając mu przez stół kromkę chleba. Staram się zachowywać przy nim naturalnie, choć wiele mnie to kosztuje.

– Która?

– Ta, z którą rozmawiałeś na podwórku. Widziałam przez okno.

– A, to ta paniusia z uniwersytetu, co na ośrodek przyjechała.

– Co robiła po drugiej stronie jeziora?

– A bo ja wiem? Na spacer wyszła chyba.

– O czym rozmawialiście?

– A ty co? Książkę piszesz?

– Po prostu jestem ciekawa. Nudzi mi się, odkąd poszłam na dziekanę.

– Trzeba było nie iść, tylko uczyć się pilnie.

– Przecież wiesz, dlaczego to zrobiłam. Studia okazały się trudniejsze, niż się spodziewałam. A ty będziesz miał za miesiąc zabieg i ktoś powinien się tobą opiekować, zakupy robić. – Wuj pozytywnie reaguje dopiero na ostatni argument, który w jego umyśle z pewnością jawi się głównie jako nieprzerwany dostęp do napojów procentowych. – To powiesz mi, co ta pani od ciebie chciała?

– Uparta jesteś jak matka. – Wuj odgryza kawałek chleba, po czym zapija czarną jak smoła herbatą. Przetyka i po chwili znów się

odzywa, wyraźnie poirytowany: – Pytała, co się stało z samochodem. Szkoda, że cię wtedy nie zawołałem, lepiej byś jej wytłumaczyła, czemu lampa jest stłuczona – mówi, a ja zamieram, czując cień wdzięczności, że krewny nie ujawnił mojej tożsamości. – Coś też o wypadku gadała, że znów ktoś zginął na tej drodze na Liny. Jakby to nowość była. Ludzie codziennie gdzieś giną i codziennie się rodzą. Taka kolej rzeczy. I pyta mnie, rozumiesz, czy ja czasem nie chcę pod wpływem za kierownicę wsiadać – zachnął się. – Pouczać mnie będzie, baba jedna.

Wypadek. Ktoś zginął, powtarzam w myślach słowa wuja, a oczami wyobraźni widzę pochylonego nad trumną Krisa.

– Halo, jest tam kto? Prosiłem o sól. – Stary gapi się na mnie otepiałym wzrokiem, a ja niechętnie wracam do rzeczywistości.

– Przepraszam, zamyśliłam się. A ty coś wiesz o tym poniedziałkowym wypadku? – drażę, póki stary w miarę kontaktuje i jeszcze coś pamięta.

Wuj znowu podnosi szklanekę do ust i głośno siorbie, a potem sięga po pudełeczko z tytoniem. Sypie trochę na bibułę, opiera plecy o krzesło i zaczyna rolować papierosa między krzywymi od artretyzmu palcami.

– Wiem tyle, że wieczorem chciałem iść z Mietkiem na rybki, bimber miał wziąć, ale przez ten głupi wypadek nie pójdę, bo pogrzeb jest jutro w południe i Mietek do roboty musi iść. A z łowienia nici. – Prycha, a małe cząstki śliny rozbryzgują się po ceracie.

Wchodzi we mnie nowa energia. Zdażyłam się pogodzić z myślą, że pożegnalna ceremonia Aldony mnie ominęła. Tymczasem pogrzeb ma się odbyć dopiero jutro.

– Mówiła coś jeszcze?

– Co? – Wuj odrywa wzrok od mocno już ubitego rulonika i patrzy na mnie bez zrozumienia.

– Ta kobieta z Kormorana. Dlaczego w ogóle wspomniała o tym wypadku? – podpytuję niby bez większego zainteresowania, udając wyluzowaną.

– Nie mam pojęcia – odpowiada stary od niechcienia. Wygląda na to, że niespodziewana wizyta pani policjantki nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia. – Pewnie była w mieście i podsłyszała jakieś plotki. A potem zobaczyła na odludziu znajomą gębę starego leśnika i o czymś musiała zagadać. Ludzka tragedia to zawsze dobry temat do rozmowy.

– A mówiła, kiedy będzie się stąd zwijać?

– Może mówiła, może nie. Nie pamiętam. Coś ty się tak uwzięła? Dajże mi wreszcie spokój, dziewczyno!

– Dobrze już, spokojnie. Chciałam tylko wiedzieć, gdyby ktoś się o jej domek pytał.

– Myślałby kto. Zima za pasem, do końca roku nikt już na ośrodku nie zawita.

– Wszystko jest możliwe. Sam mówiłeś, że poza tą panią ktoś jeszcze interesował się Modrzewiem. Zbiegi okoliczności się zdarzają.

– Tak, zdarzają – zakpił wuj – ale limit na ten rok się już wyczerpał. Idę się położyć. I nie zostawiaj brudnych naczyń, bo wczoraj poszło i doszorować nie mogłem.

Stary wstaje z trudem i człapie do swojego pokoju. Chwilę później popołudniową ciszę wypełnia dudniący głos spikera wiadomości.

Wstaję od stołu i szybko zbieram brudne naczynia, a wujowi zanoszę zimne piwo. Mam niewiele czasu. Do wieczora muszę być gotowa. Zabieram pojemną reklamówkę i wychodzę do lasu, żeby nazbierać igliwia i szyszek. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, dzisiejszej nocy pani Wilczek już się nie obudzi.

18.

To koniec. Wszystko stracone.

Wczorajsza noc to był jakiś koszmar.

Kiedy zaczęłam wspinać się po drabinie opartej o Modrzew, Sara pojawiła się w ośrodku z jakimś mężczyzną. Najpierw czekałam chyba ze dwie godziny, aż gość policjantki opuści jej domek. Żeby nie umrzeć z zimna, schroniłam się w Wierzbie, jednak co chwilę musiałam wychodzić na główną alejkę. Kontrolowałam, czy światło u policjantki wciąż się świeci.

Kiedy wreszcie zgasło, odczekałam jeszcze jakiś czas, a potem dokończyłam to, co wcześniej musiałam przerwać. Zatkałam zamek w drzwiach, a do komina wsypałam zawartość reklamówki. Potem podeszłam do skrzynki z elektryką i odciąłam prąd, żeby rolety pozostały opuszczone. Do tego momentu wszystko szło zgodnie z moimi założeniami. Dym cofnął się do wewnątrz pomieszczenia, co spowodowało, że pani Wilczek prawie się udusiła.

Prawie, bo najwyraźniej w ostatniej chwili się ocknęła, jakimś cudem wyważyła drzwi i wydostała się na zewnątrz. Mogłam się wtedy wycofać do lasu i odjechać na rowerze, ale Sara zaszła mnie od tyłu i nie miałam wyjścia, musiałam uciekać w kierunku jeziora. Nie wiem, co mną wtedy kierowało. Mało brakowało, żeby mnie dogoniła i zdemaskowała, jednak byłam szybsza, a jej zabrakło tchu i tylko dlatego ostatecznie zdołałam uciec.

Nie tak miało być.

Teraz policjantka nie odpuści, dopóki nie dowie się, kto czyhał na jej życie.

19.

Po wczorajszej nocy ledwo trzymam się na nogach, ale nie potrafiłam sobie odpuścić.

Na cmentarzu jest spory ruch. Przechodzę przez główną bramę, wkładam okulary przeciwsłoneczne, a na włosy naciągam czarną chustę. Przystaję przy jednym z grobów, udając, że przyszłam do kogoś w odwiedziny. Kątem oka obserwuję żałobny orszak zmierzający do miejsca pochówku. Kiedy tłum ludzi się zatrzymuje i skupia wokół trumny, podchodzę bliżej. Wysokie tuje odgradzające rząd pomników od cmentarnej alei pozwalają mi obserwować ceremonię z ukrycia.

Przelatuję wzrokiem po zebranych, ale nie widzę Wierzbickiego. Jest tylko jego matka i dziekan Hoffman z niską kobietą u boku, rodzice Aldony. Kawałek dalej stoi Igor, a ta babka obok to pewnie jego siostra, Maryla.

Wreszcie dostrzegam Sarę Wilczek. Skoro pojawiła się na pogrzebie, to najwyraźniej jest już po rozmowie z byłym mężem. Pewnie złożyła mu kondolencje, ale czy powiedziała, co tak naprawdę ją tu sprowadziło i co wydarzyło się zeszłej nocy? Czy Wierzbiccy mogą się czegoś domyślać?

Stoi w lekkim oddaleniu. Ma złożone dłonie i wygląda okropnie. Na jej twarzy maluje się smutek, a cienie pod oczami zdają się krzyczeć o dodatkową dawkę snu. I tak szybko do siebie doszła.

Mogłam zaczekać, aż zapadnie w głębszy sen. Wtedy obie panie miałabym już z głowy.

Zastanawiam się, w jaki sposób uzyskała informację o śmierci Aldony. Może wiedziała już wtedy, gdy rozmawiała z wujem pod leśniczówką? Musiała skontaktować się z Wierzbickim jeszcze przed wypadkiem, a teraz będzie go pocieszać. Tylko gdzie on, do cholery, jest? Co mogło spowodować, że nie pojawił się na pogrzebie własnej żony?

Przenoszę wzrok z trumny na miejsce, w którym przed momentem stała Sara, jednak już jej tam nie ma. Po chwili widzę, jak powoli idzie w moją stronę, marszcząc brwi i wypatrując czegoś między krzakami. Odwracam się i szybkim krokiem schodzę z alei, potrącając po drodze jakiegoś dzieciaka. Skręcam w poprzeczną dróżkę, po czym chowam się za grubym bukiem.

Ostrożnie się wychylam. Nigdzie nie widzę policjantki, chyba odpuściła.

20.

„Jak się czujesz? Musimy się spotkać. Proszę, odezwij się”.

Wybieram numer Igora i wysyłam wiadomość, bez większych nadziei na to, że odpowie. Pogrzeb już dawno dobiegł końca i wszyscy się rozeszli, a ja nadal tkwię na cmentarzu, opierając się o gruby buk. Ku mojemu zdziwieniu po chwili słyszę dźwięk esemesa.

„Nie wiem, co robić. To twoja wina”.

„Wszystko się ułoży, tak jak obiecałam. Wierzbicka już nas nie skrzywdzi”.

„Skąd wiesz? Jak wyjdzie ze szpitala, to na pewno zawiadomi policję i zamkną mnie w więzieniu”.

Przez chwilę myślę, że Igorowi powykrzywiały się ostatnie klepki, które jeszcze miał w głowie.

Co on bredzi? Aldona nie może leżeć w szpitalu, bo przed chwilą byłam świadkiem jej pogrzebu.

Coś mi jednak nie daje spokoju. Igor jest w centrum wydarzeń i zwykle przedstawia je zgodnie z faktycznym stanem. W prosty, czasem wręcz dziecinny sposób, ale raczej nie mija się z prawdą.

A jeśli chłopak ma rację? Skoro Aldona tylko została ranna i zabrana do szpitala, to kogo dzisiaj pochowano?

Żołądek podchodzi mi do gardła i czuję, jak cała krew spływa ze mnie jak z rozprutej gęsi. Kroczę bezwiednie w kierunku świeżego grobu. Mogę już do niego swobodnie podejść, bo w pobliżu nie ma żywej duszy. Usypany z ziemi pagórek obłożony jest wieńcami, a

szerokie wstęgi okalające kwiaty przekazują wyrazy miłości dla kochanego syna, męża i zięcia. „Pogrążeni w żalu – pracownicy Uniwersytetu Rzeszowskiego” – głosi jedna z nich. Nie mam odwagi, by spojrzeć na płytę przybitą do tymczasowego nagrobka, zawierającą informację o zmarłym. W końcu jednak się zmuszam, unoszę wzrok i czytam.

Śp. Krzysztof Wierzbicki

To niemożliwe.

Opadam na stojącą za moimi plecami wąską ławeczkę. Świat wiruje. A potem nagle zastyga w bezruchu.

Wszystko traci sens.

Przecież to ona miała umrzeć. Zawsze jechała do pracy sama. Czyżby tym razem Kris postanowił ją zawieźć? Dlaczego właśnie tego dnia?

A teraz? Teraz nie ma już nic. Z każdą kolejną minutą spędzoną na twardej zimnej ławce uczucie żalu, jakie żywiłam do Krisa, i chęć utarcia mu nosa przepoczwarzają się w żądzę mordy, w palącą potrzebę odebrania życia kobiecie, która zrujnowała mi życie.

Nagle doznaję olśnienia.

Krisa już nie ma, ale jest jeszcze jego dziecko. A ja będę dla niego najlepszą matką. Nigdy go nie oddam. Nigdy.

Czuję, że moje emocje wchodzą na wyższy poziom, a jakaś wewnętrzna siła każe mi działać. Wyciągam telefon i znów piszę do Igora.

„Jeszcze wszystkiemu można zaradzić. Spotkajmy się tam, gdzie zawsze”.

21.

Najpierw wysłałam wiadomość do matki Aldony. Napisałam w jej imieniu, że z dzieckiem już wszystko w porządku i jadę na parę dni do przyjaciółki. Poprosiłam, żeby mnie nie szukali, bo muszę sama uporać się z żałobą.

Następny był Igor. Tym razem nie tak łatwo dało się go urobić, jakoś jednak zdołałam przekonać chłopaka, że nie jest winny śmierci Wierzbickiego. Wytłumaczyłam mu, że to był wypadek, bo żadne z nas nie mogło przewidzieć, że akurat tego dnia Krzysztof pojedzie autem żony. Ponadto kazałam mu przypomnieć sobie, jak Aldona go traktowała. Z pewnością nie chciałby tego na nowo przeżywać, a teraz, kiedy dom przy Ruczajowej nie ma już gospodarza, młoda wdowa z pewnością pozbędzie się wszelkich hamulców i zrobi z życia Igora prawdziwe piekło. Będzie musiał szukać nowej pracy i znów ciężko się starać, by zdobyć czyjeś zaufanie. I tak przedstawia się najprzyjemniejszy ze scenariuszy, bo jeśli Aldona zacznie drażnić i odkryje, kto spowodował wypadek jej męża, Igor zostanie skazany na dożywocie i zgnije w więzieniu.

Potem długo przekonywałam chłopaka, że wszystko, co mówiłam wcześniej, jest prawdą, że go kocham i chcę naszego wspólnego szczęścia. W końcu uległ moim zapewnieniom. Strach przed utratą wolności, ale też takiej dziewczyny jak ja wziął górę nad sumieniem. Przyszedł czas na działanie. Kazałam mu dowiedzieć się od matki

Krisa, w jakim szpitalu przebywa jej synowa, a potem wziąć czarne volvo Wierzbickiego pod pretekstem zrobienia zakupów.

Pojechaliśmy na oddział położniczy w Rzeszowie. Wpuścili mnie bez problemu, kiedy przedstawiłam się jako przyjaciółka ciężarnej. Aldona akurat spała, więc miałam ułatwione zadanie. Wstrzyknęłam jej odpowiednią dawkę środka ogłupiającego i kazałam zwlec się z łóżka na wózek. Wyjaśniłam, że jestem pielęgniarką i musimy pilnie pojechać na badanie. Nie protestowała. Zorientowała się, że coś jest nie tak dopiero w momencie, gdy razem z Igorem sadzaliśmy ją na tylnym siedzeniu samochodu jej zmarłego męża. Jednak substancja chemiczna krążąca w krwiobiegu sprawiała, że wszystko było jej obojętne i wydawało się mało realne.

Wysadziłam Igora na obrzeżach osiedla, a sama zawiozłam Aldonę w bezpieczne miejsce. Kiedy zostałyśmy same, a ona siedziała bezbronna naprzeciw mnie, miałam ochotę zrobić to natychmiast. Chwycić jej chudą szyję i ścisnąć, dopóki twarz nie zsinieje. Ale jeszcze nie przyszedł na to czas. Upewniłam się, że więzy są mocne, i zostawiam ją na noc, żeby się trochę pomęczyła.

Następnego dnia miałam do zrobienia jeszcze jedną ważną rzecz. Musiałam odsunąć od siebie jakiegokolwiek podejrzenia dotyczące listu i nakierować uwagę Sary Wilczek na Wierzbickiego.

Wcześniej wszystko sobie poukładałam w głowie. Policjantka przyjechała do Kormorana w niedzielę, a w poniedziałek rano Kris zginął w wypadku. Z dużą dozą prawdopodobieństwa w ciągu tych kilku godzin nie zdążyła się z nim skontaktować. Jeśli rzeczywiście tak było, policjantka nadal musiała być przekonana, że to były mąż ją tu ściągający i że to właśnie on ją szantażował. Najpewniej będzie chciała dać matce Krzysztofa chwilę na dojście do siebie po

pogrzebie syna, ale potem wkroczy, sama lub z policją, na ich posesję, żeby znaleźć jakieś wskazówki lub nawet obciążające zmarłego dowody.

A ja będę tak miła i jej te dowody podsunę pod nos.

22.

Umówiłam się z Igorem, że wpuści mnie, kiedy stara Wierzbicka będzie spała. Nie chcę, żeby mnie zauważyła.

Trochę to trwa, ale chłopak w końcu puszcza mi sygnał, który oznacza, że droga jest wolna. Wkładam rękę w kieszeń i sprawdzam, czy strzykawka napełniona środkiem usypiającym przypadkiem nie wypadła mi gdzieś po drodze. Zamierzam jej użyć tylko w sytuacji, gdy gospodyni stanie mi na drodze.

– Dziękuję – mówię do Igora i cmokam go w policzek, kiedy oboje jesteśmy już w garażu. – Musimy szybko działać.

– Co chcesz zrobić?

Z ramion zdejmuję plecak, a następnie wyciągam z niego drewniane pudełko.

– Musisz to zanieść do sypialni Wierzbickich i gdzieś ukryć, najlepiej w szafie albo jakiejś komodzie.

– Co to jest? – pyta chłopak bez przekonania.

– Nasza przepustka do wolności. Potem wszystko ci wyjaśnię, teraz nie mamy na to czasu.

– Ale ja nie mogę wchodzić na górę. Nie wolno mi. Jeśli pani Basia mnie zobaczy, to będę miał kłopoty.

Zaciskam powieki i liczę do dziesięciu. Wiem, że muszę przy nim grać troskliwą i wyrozumiałą, ale czasem puszczają mi nerwy. Nie mogę polegać na Igorze w takim stopniu, jakbym chciała.

Ostatecznie dochodzę do wniosku, że sama najlepiej wykonam to zadanie.

– W takim razie ja się tym zajmę. A ty mnie ubezpieczaj. – Wyrywam pudełko z rąk Igora. – Musisz robić, co każę, inaczej oboje pójdziemy do więzienia. Jasne? – Wbijam w niego władcze, nieznoszące sprzeciwu spojrzenie.

Igor spuszcza wzrok i przytakuje bez przekonania. Widzę, że chce jeszcze o coś spytać, ale nie mam czasu ani siły na kolejne wyjaśnienia.

Przez wąskie drzwi wchodzę do mieszkalnej części domu. Pokonuję kilka schodków i już po chwili jestem w przedpokoju, z którego dobiega płaczliwy głos.

Ostrożnie wychylam się zza rogu i widzę starszą panią rozmawiającą przez telefon. Jest zwrócona bokiem, więc mogę dokładnie obejrzeć profil jej zapadniętej twarzy. Wygląda na zadbaną, ale zmęczoną wydarzeniami ostatnich dni.

Dostrzegam też schody prowadzące na piętro i przez chwilę się waham, czy ruszyć do nich od razu, lecz słowa wypowiedane przez Wierzbicką sprawiają, że zastygam w miejscu.

– Sara, pomóż mi, proszę. Ja naprawdę się martwię i nie mam głowy do działania. Ale coś mi tu nie pasuje. Mam złe przeczucia.

Barbara Wierzbicka rozmawia z byłą żoną Krisa i prosi ją o pomoc. W głowie włącza mi się czerwona lampka. Policjantka już wie o nagłym zniknięciu Aldony ze szpitala, oby tylko nie uznała, że czuje się zobowiązana, by jej szukać.

Nie mam zbyt dużo czasu na myślenie, działam impulsywnie i zgodnie z tym, co nakazuje mi instynkt. Zanurzam dłoń w kieszeni i chwytam za strzykawkę. Układam palce w taki sposób, żeby jednym

szybkim ruchem wtłoczyć jej zawartość w mięśnie, a potem pewnie stawiam kolejne kroki po wąskiej wykładzinie prowadzącej wprost do Wierzbickiej.

Kobieta zauważa moją obecność dopiero w momencie, gdy stoję tuż obok. Nie ma szans na ucieczkę, a zaskoczenie powoduje, że nawet nie wydaje z siebie głosu. Jej oczy zdają się mówić: „Kim jesteś?”, ale ja nie odpowiadam. Wbijam igłę w pomarszczoną szyję, a starsza pani wiotczeje jak na zawołanie.

Teraz przyda się Igor, sama nie dam sobie rady z takim ciężarem. Wołam go i pytam, czy w domu jest piwnica. Kiedy przytakuje, każę mu tam zanieść bezwładną kobietę. Później się nią zajmę.

– Co jej zrobiłaś? – pyta lekko zasapany Igor, kiedy oboje stoimy nad ciałem Barbary spoczywającym na betonowej wylewce.

– Unieszkodliwiłam. Nic jej nie będzie, za kilka godzin powinna dojść do siebie – odpowiadam nie do końca zgodnie z prawdą.

Po pierwsze nie wiem, jak wstrzyknięta substancja zadziała na starszą panią chorującą na serce. Po drugie – już wcześniej postanowiłam, że odbiorę życie wszystkim kobietom Krisa. I nawet teraz, kiedy jego już nie ma, czuję silną ekscytację na myśl, że to, co miało być czystym aktem zemsty, teraz może się przerodzić w coś więcej. Wierzbicka prędzej czy później będzie musiała pożegnać się z życiem.

Ku mojemu zaskoczeniu widzę w Igorze chęć współpracy o wiele większą niż wtedy, gdy dowiedział się o przypadkowej śmierci swojego pracodawcy. Najwyraźniej już pogodził się z tym faktem, a teraz działa pod wpływem strachu, jak mysz próbująca się wydostać ze śmiertelnego labiryntu.

– Co teraz? – mówi cicho, jakby się bał, że obudzi naszą ofiarę.

– Przynieś coś, żebyśmy mogli związać jej rękę. I jakąś taśmę do zaklejenia ust.

– Po co? Ona przecież się nie rusza.

– Bo ma toksynę we krwi. Ale kiedy się ocknie, będzie chciała uciec i wezwać pomoc. – Tłumaczę najspokojniej, jak się da w tej niewygodnej sytuacji.

Igor potrzebuje chwili, żeby przetrwać moje słowa, ale w końcu wykonuje polecenie. Wbiega po schodach, a kilka minut później wraca zaopatrzony w gruby sznur oraz szeroką taśmę klejącą. Rzuca to wszystko na betonową posadzkę i klęka obok mnie.

– Dobra robota – mówię na zachętę, po czym kładę otwartą dłoń na jego policzku. Lgnie do niej jak zziębnięty porzucony pies. – Widzisz? Tworzymy idealny duet. Musisz tylko robić, co mówię, a wszystko pójdzie gładko jak po maśle i będziemy...

Przerywa mi natarczywy dźwięk dzwonka do drzwi. Kto to może być? Mam nadzieję, że listonosz albo inny nic nieznaczący człowiek. Każę Igorowi zostać i pod żadnym pozorem nie wychodzić z piwnicy, dopóki mu nie pozwolę.

Dzwonek na zmianę z pukaniem nie milknie. Dodatkowo słyszę wołanie:

– Pani Barbaro! Tu Sara, proszę otworzyć!

A więc jednak. Była synowa się zaangażowała i postanowiła sprawdzić, co z Barbarą. Ciekawe, czy ze zwykłej dobroci serca, czy też z racji wykonywanego zawodu? A może kieruje się wyłącznie własnym interesem. Zresztą teraz to nie jest ważne. Muszę ją jakoś spławić, a zarazem uspokoić, że z Aldoną wszystko w porządku, żeby móc w spokoju dokończyć to, co zaczęłam.

Przez chwilę myślę, że podobnie jak w szpitalu, podam się za przyjaciółkę młodszej Wierzbickiej. Ale później wpada mi do głowy inny pomysł. Szalony i perfidny.

Biegnę do salonu. Muszę narzucić coś luźnego, a potem wypchać legginsy poduszką. Widzę przewieszoną przez oparcie fotela podomkę, która musi należeć do starszej pani. Zakładam ją, ale jak na złość nie znajduję ani jednej poduszki. Wpadam w panikę, bo jeśli za chwilę nie otworzę drzwi, policjantka może zaalarmować służby ratunkowe. W ostatniej chwili dostrzegam leżącą na stole okrągłą miskę. Wyrzucam z niej orzechy, które z łoskotem rozsypują się po stole, po czym przykładam przedmiot płaską częścią do brzucha. Naciagam luźne legginsy i zapinam podomkę na kilka górnych guzików. Nie mam czasu, żeby uporać się ze wszystkimi.

Biegnę do drzwi i uchylam je, licząc na to, że Sara nie będzie zbyt drażnić.

– Dzień dobry. – Policjantka wygląda na mocno zaskoczoną. – Czy z panią Barbarą wszystko w porządku?

– Kim pani jest? – pytam, zachowując kamienną twarz.

– Nazywam się Sara Wilczek. Rozmawiałam z panią Wierzbicką przez telefon i odniosłam wrażenie, że źle się poczuła. Dlatego przyjechałam. A pani jest kimś z rodziny?

Uśmiecham się w duchu, bo już wiem, że Sara nigdy nie spotkała się z Aldoną, a ja mogę w spokoju kontynuować przedstawienie.

– Aldona Wierzbicka – odpowiadam z dumą i otwieram szerzej drzwi, ukazując całą swoją postać. Lekko się garbię, żeby ukryć fałszywą ciążę. – Z mamą jest już dobrze. Zrobiło jej się słabo. Miała szczęście, że właśnie wróciłam do domu i podałam jej leki na serce. Teraz śpi.

- Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się tu pani. Kilka minut temu Barbara dzwoniła do mnie przerażona, że opuściła pani szpital i pojechała do znajomej.

- Tak, to prawda. Ale już wróciłam, a teściowa jak zwykle przesadza – odpowiadam z mocą. – Jesteś była żoną Krzyśka, prawda?

Sara niepewnie kiwa głową. Znowu udaje mi się ją zaskoczyć.

- Bardzo mi przykro. Nawet sobie nie umiem wyobrazić, jak...

- Daj spokój – przerywam jej. – Jeszcze się nasłucham wyrazów współczucia. Życie toczy się dalej. Trzeba teraz ratować, co się da, i udawać, że wszystko jakoś się ułoży. – Pora zagrać kochającą przyszłą mamę. Patrzę na wypukłość pod biustem i czule głaszczę coś, co w rzeczywistości jest pustą przestrzenią.

- Skąd wiesz, kim jestem?

Tym razem to ona zaskakuje mnie pytaniem, ale nietrudno znaleźć mi wiarygodne wytłumaczenie. Wzruszam ramionami.

- Znałam przeszłość mojego męża, to żadna tajemnica, że nie jestem jego pierwszą kobietą. Poza tym Barbara wspominała o twoim przyjeździe.

Sara wygląda na zakłopotaną. Nie wie, co powiedzieć, a ja czuję, że mam nad nią przewagę. Powinna już się pożegnać i sobie pójść. Czekam na jej ruch.

- Dlaczego tak nagle wyszłaś ze szpitala? – pyta.

- Bo inaczej by mnie nie wypuścili. A ja nie mogłam już tam wytrzymać – mówię i łapię się za brzuch. Marszczę brwi w grymasie bólu, żeby zasygnalizować Sarze, jak męczy mnie ta rozmowa. – Strasznie kopie. Przepraszam, ale muszę się położyć.

- Potrzebujesz czegoś? Nie powinnaś być sama, w każdej chwili możesz zacząć rodzić.

- Spokojnie - mówię - znam numer alarmowy. Poza tym jest z nami Igor, to bardzo pomocny chłopak.

- A pani Barbara? Na pewno wszystko z nią w porządku?

- Tak, nie musisz się martwić. Złego diabeł nie weźmie - mówię, mając nadzieję, że kobieta stojąca naprzeciw mnie odpowiednio odczyta te słowa. - Była też twoją teściową, więc chyba wiesz, co mam na myśli?

Sara uśmiecha się lekko, a potem spuszcza wzrok i delikatnie przytakuje. Chyba udało mi się nawiązać nic porozumienia.

- No dobrze - mówi. - W takim razie... nie będę już przeszkadzać. Powodzenia.

Zamykam drzwi i z ulgą wciągam powietrze.

Dałam radę, udało mi się oszukać policjantkę. Po drodze do piwnicy wchodzę do salonu, ściągam z siebie podomkę, miskę i wszystko rzucam na kanapę. Następny krok to zabezpieczenie nieprzytomnej Barbary.

Schodzę na dół i widzę siedzącego nad nią Igora. Jest skulony, a rękoma oplata podciągnięte kolana. Wpatruje się w gospodynię, jakby była okazem w muzeum. Nie pierwszy raz zrobił komuś krzywdę, ale wciąż jest to dla niego szokujące. Przyzwyczai się. Z własnego doświadczenia wiem, że każdy kolejny raz jest łatwiejszy i przynosi większą satysfakcję. Na pewno by mu się spodobało. Jednak nie zamierzam się o tym przekonywać, bo niedługo wyjadę z tego zadupia i zacznę nowe życie z dala od Igora, Wierzbickich i przeklętego jeziora.

Szturcham chłopaka w ramię, a potem wydaję mu konkretne polecenia. Z nim tak trzeba. Razem przewracamy kobietę twarzą do dołu. Potem Igor przytrzymuje jej ręce, a ja tworzę wokół nich mocne więzy. To samo robię z nogami, tyle że wkładam już nieco mniej siły. Bez wolnych rąk Wierzbicka i tak nie ma szans na uwolnienie nóg. Na koniec przewracamy ją z powrotem na plecy, lekko unosimy i opieramy o słup, a ja odrywam kawałek przezroczystej taśmy i zaklejam kobiecie usta.

Zaraz po wyjściu z piwnicy przychodzi ulga. Kolejny etap za mną. Dom wydaje się teraz taki pusty, spokojny. Wszechobecna cisza sprawia, że wreszcie czuję się w nim dobrze. Jakby już należał do mnie.

Wchodzę do kuchni i wyobrażam sobie, że to zwykłe popołudnie, a ja przyszedłam tu, by zrobić kawę sobie i swojemu mężczyźnie. Włączam ekspres i ustawiam na nim dwie filiżanki. Wkrótce pomieszczenie wypełnia mocny aromat brazylijskiej arabiki. Chwytam za małe uszka, odwracam się i widzę stojącego za mną Krisa.

– Zaparzyłam kawę – mówię i podaję mu filiżankę. Kładę głowę na jego piersi. Słyszę, jak bije mu serce. Jest tak dobrze, bezpiecznie. Chcę, żeby ta chwila trwała bez końca. Tak ma wyglądać moje życie. W tym domu i z tym mężczyzną.

Jednak on nagle odsuwa się ode mnie.

– Ja nie piję kawy – odzywa się ordynarnie, budząc mnie z pięknego snu na jawie.

Odwracam się od Igora i ze złością wrzucam obie filiżanki do zlewu. Czarny płyn rozbryzguje się po kamiennych ściankach i spływa do ścieku. Idealna metafora dla naszej miłości, Kris, myślę i

wychodzę z kuchni, potracając głupka, którego najchętniej splawiłabym już na zawsze. Jednak wiem, że może mi się jeszcze przydać.

Teraz, kiedy pozbyłam się obu przeszkód w osobach matki i byłej żony Wierzbickiego, mogę dokończyć to, po co tu przyszłam. Cofam się w głąb korytarza, podnoszę z podłogi drewniane pudełko i wchodzę z nim na piętro.

Część piąta

1.

Starsza sierżant Wilczek zdjęła muszkę z pleców mężczyzny, po czym kucnęła przy nim, żeby zmniejszyć dystans. Miała nadzieję, że w ten sposób uda jej się w końcu wyciągnąć z Igora jakiś konkret.

– Musisz mi powiedzieć, co tu się stało i kto za tym wszystkim stoi. Kim jest kobieta, która podszywa się za Aldonę?

– Agnieszka. – Igor wypowiedział imię tak cicho, jakby wierzył, że Sara nie dosłyszy i nie spyta o to samo po raz kolejny.

– Co za Agnieszka? Ma jakieś nazwisko?

– Nie wiem, po prostu Agnieszka.

– Co ją łączy z Wierzbickimi? To jakaś krewna, przyjaciółka Aldony?

Igor zaprzeczył, poruszając głową na boki, a Sara starała się zachować spokój, zadając kolejne pytanie:

– Wiesz, dokąd pojechała?

Znów zaprzeczył.

– Czy Aldonie Wierzbickiej coś grozi?

Igor coraz intensywniej kręcił głową na boki, a jego twarz krzywiła się jak do płaczu.

– Mówiła tylko, że zabiera ją do miejsca, którego ona nienawidzi.

– Wiesz, co to za miejsce?

– Nie.

Dzwonek telefonu przerwał znużoną interwizję. Sara odebrała pospiesznie, nakazując zatrzymanemu pozostanie w tej samej pozycji.

– Wilczek, słucham?

– Z tej strony Pałucki. Czy pani wciąż jest u Wierzbickich?

– Tak, jestem na miejscu.

– Może mi pani wyjaśnić, co tam się, do cholery, dzieje?

– W piwnicy znalazłam związaną matkę Krzysztofa. Zatrzymałam mężczyznę, który tu pracuje i jest za to współodpowiedzialny. Nazywa się Igor Bełza. Myślę też, że Aldona Wierzbicka nie opuściła szpitala z własnej woli. Doszło do porwania.

– Co takiego?

– Warto podesłać kogoś na porodówkę w Rzeszowie, żeby zabezpieczyć nagrania z monitoringu. Podejrzana to kobieta przed trzydziestką, drobna brunetka, długie proste włosy, ubrana w czarny płaszcz. Najpierw razem z Igorem napadła na starszą Wierzbicką, a jakieś dziesięć minut temu opuściła posesję, zabierając z garażu czarne volvo. Nic więcej nie wiem.

– Czemu miałyby porywać ciężarną tuż przed porodem? Ma pani jakieś przypuszczenia?

– Na razie nie. Trzeba przycisnąć Igora, jest jej współnikiem. – Ściszyła głos, żeby klęczący pod ścianą mężczyzna nie słyszał, co mówi. – A co z łóżyskiem, które znaleźliśmy w lesie?

– Pani Wilczek, doceniam pani interwencję w domu Wierzbickich, ale dalsze działania proszę zostawić prokuraturze, dobrze?

– Oczywiście. Proszę tylko powiedzieć, czy sprawdził pan tego Woźniaka.

- Wysłałem tam ludzi. Zatrzymali go do przesłuchania, a to nastąpi dopiero, gdy wytrzeźwieje. Wstępnie facet wybełkotał, że jakiś czas temu pożyczył pickupa siostrzenicy, która z nim mieszka. Miała jakąś stłuczkę z drzewem, a auto nie było ubezpieczone, więc nie zgłaszał zdarzenia.

- Przeszukał pan leśniczówkę?

- Owszem. Gdyby chodziło tylko o potrącenie dzika, nie zawracałbym sobie głowy. Ale ślady opon wskazują, że kierowca pojazdu mógł mieć coś wspólnego z tym, co znaleźliście w lesie.

- A ta jego siostrzenica była na miejscu podczas przeszukania?

- Nie. Woźniak nie potrafił powiedzieć, gdzie się znajduje. W ogóle ledwo mówił. Pijany jak świnia. Wiemy tylko, że dziewczyna jest studentką i nazywa się Agnieszka Matys.

Imię się zgadzało. Sara poczuła nagły przyływ adrenaliny. W jednym momencie elementy układanki zaczęły się ze sobą łączyć, chociaż do pełnego obrazu jeszcze trochę jej brakowało. Uszkodzony żółty pickup i narzekanie Woźniaka, że już nigdy nikomu nie pożyczy samochodu. Ślady prowadzące do miejsca, gdzie z dużym prawdopodobieństwem na świat przyszło nowe życie. Wreszcie Agnieszka, dziewczyna, która mieszkała z opiekunem ośrodka wypoczynkowego Kormoran i miała dostęp do informacji o wczasowiczach. A może nawet mogła im na boku wynajmować domki. Czyżby to ona zwabiła Sarę do Karczewa?

Kobieta z nieznanymi jeszcze powodów podająca się za wdowę po Krzysztofie była krewną Woźniaka. Tylko co ją łączyło z rodziną Wierzbickich? Dlaczego udawała ciężarną i posłużyła się Igorem, żeby obezwładnić Barbarę?

A może wcale nie udawała, a przynajmniej nie do końca? Może to łóżysko znalezione w lesie...

– Jest tam pani? – Głos prokuratora przywołał ją z powrotem na ziemię.

– Jestem. Przyjedzie pan na Ruczajową?

– Za jakieś dwadzieścia minut. Jestem w trasie. A pani niech się trzyma z daleka od całej tej sprawy. Jest tu pani prywatnie. Będziemy w kontakcie.

Rozłączył się, a Sara przez uniesioną do połowy bramę zobaczyła sanitariuszy pędzących z noszami.

Chwilę później do garażu wpadł aspirant SzwarzDołęga.

– Tu pani jest.

– Co z Wierzbicką? – spytała.

– Jest przytomna. Już się nią zajmują. – Policjant spojrział na klęczącego pod ścianą Igora. – A to kto?

– Sam się przedstawi. Skujcie go i czekajcie na Pałuckiego. Już tu jedzie. Ja się zmywam, muszę coś sprawdzić.

– Ale jak to?

Nie odpowiedziała, była już w drodze do swojego nissana.

2.

Do tej pory policjantce udało się utrzymać powód przybycia do Karczewa w tajemnicy. I chociaż czuła, że coraz bardziej grzęźnie w bagnie tej sprawy, postanowiła rozwiązać ją samodzielnie. Była świadoma, że ujawnienie przekrętu z czasów jej młodości wisi na włosku, jednak póki tak się nie stało, chciała zrobić wszystko, żeby uratować reputację ojca i swoją.

Ryszard Wilczek był dobrym człowiekiem i jeszcze lepszym policjantem. Po równo kochał obie swoje córki, ale kiedy zaginęła ta starsza, zaniedbał relację z młodszą. Nie potrafił być czułym ojcem, kiedy w sercu miał wyrwę, a cały jego świat wypełniały gorycz tęsknoty, niepewność i bezsilność granicząca z obłędem. Tak na dobrą sprawę Sara pamiętała dwóch różnych ojców, którzy przynależeli do dwóch epok: kiedy Eliza była z nimi i po jej zaginięciu.

Pierwszy etap trwał krótko, bo zaledwie osiem lat życia Sary, z czego pamiętała może trzy ostatnie. Były to raczej wrywki wspomnień. Nie do końca wiedziała, które z tych obrazów były rzeczywistymi zdarzeniami, a które jej dziecięcą fantazją.

Jedno z nich było nad wyraz ostre. Widziała w nim siebie, tatę i Elizę zmierzających w niedzielne popołudnie do wesołego miasteczka. Mama została wtedy w domu, a dziewczynki miały ojca tylko dla siebie. Ciepłe promienie letniego słońca oraz perspektywa spędzenia czasu na karuzelach przepelniały dzieci radosną

beztroską. Sara siedziała w pchanej przez tatę spacerówce, a Eliza skakała dookoła niczym młody koziołek. Co chwilę się schylała, rwała z trawnika żółte mlecze, po czym przynosiła młodszej siostrze wraz z obietnicą, że po powrocie uplecie z nich wianek. Kiedy Elizę zabolowały nogi, tata pozwolił jej usiąść w wózku, a Sarę wziął na barana. Nie pamiętała, co było potem. Żadnych karuzeli, baloników ani cukrowej waty. Zachowała tylko tę wspólną drogę usłaną mleciami i śmiech taty, którego po zaginięciu Elizy nie usłyszała już nigdy.

Dopiero kiedy dorosła i weszła w zastępy policji, ojciec znów zaczął ją dostrzegać. Po latach zrozumiała, że fałszerstwo, którego się dopuścił, żeby ją ochronić, było swego rodzaju zadośćuczynieniem za brak miłości, jakiego doświadczyła z jego strony w dzieciństwie. Kiedy Sara oddała niefortunny strzał, jej ojciec miał bardzo mało czasu na reakcję. Podjął trudną decyzję o podmianie dowodów, działał niemal w afekcie, wierząc, że ratuje swoje dziecko, i z pewnością mierzył się z ciężarem tego uczynku, dopóki żył.

Sara też ponosiła karę za każdym razem, kiedy odzywały się w niej wyrzuty sumienia. I nie tylko one. Żyła w strachu, że kiedyś wszystko zostanie ujawnione i będzie musiała pożegnać się z zawodem. Dodatkowo sama przed sobą się zobowiązała, że do końca życia będzie anonimowo wpłacać dziesięć procent swojego uposażenia na fundację wspierającą osoby niepełnosprawne. Dotrzymywała obietnicy, ale to nie przynosiło całkowitego oczyszczenia. Fakty były bezlitosne: naraziła niewinnych ludzi na niebezpieczeństwo utraty zdrowia, a nawet życia, i musiała żyć z tą świadomością.

Teraz liczyło się tylko jedno. Chciała dorwać Agnieszkę, zanim dziewczyna trafi w ręce prokuratora. Jeśli wyniki badań jakimś sposobem wpadły w jej ręce, musiała też być wtajemniczona w całą sprawę Sary sprzed lat. Najważniejsze pytanie dotyczyło tego, po czyjej stronie stoi tajemnicza dziewczyna Igora i co nią kieruje? Czy paląc oryginalny dokument, zamierzała oczyścić z zarzutów samą siebie, czy też policjantkę? Sara mogła się tego dowiedzieć, jedynie rozmawiając z Agnieszką. Najlepiej bez świadków.

Siostrzenica Woźniaka musiała zabrać Aldonę tam, gdzie byłyby w całkowitym odosobnieniu, żeby nikt nie usłyszał jej wołania o pomoc. Jeśli nie było ich w leśniczówce, Sarze na myśl przychodziło tylko jedno miejsce. Przypomniała sobie rozmowę z Barbarą Wierzbicką, która wyznała, że Aldona w przeciwieństwie do Krzyśka nie lubiła przebywać na łonie natury. Na zdjęciu wiszącym w garażu, stojąc pod Wierzbą, nie wyglądała na zachwyconą, a Igor twierdził, że Agnieszka zabrała Aldonę do miejsca, którego ona nie znosi. To mógł być dobry trop.

Wsiadła do micry i z piskiem opon ruszyła tam, gdzie wszystko się zaczęło.

3.

Niebo zasnuwane było ciemnymi chmurami, kiedy Sara parkowała przy recepcji Kormorana. Wkroczyła na teren ośrodka z bojowym nastawieniem.

Po tym, co ta mała psychopatka zrobiła pani Barbarze, można było się spodziewać, że Aldona i jej dziecko są w poważnym niebezpieczeństwie. A Sara czuła, że jest w jakimś sensie odpowiedzialna za to wszystko. Była częścią chorej gry, której zasad nikt nie raczył jej wyjaśnić. Może nawet była głównym ogniwem zapalnym, chociaż za nic nie mogła zrozumieć, w jaki sposób jej osoba łączy się z Aldoną Wierzbicką, o której istnieniu jeszcze kilka dni wcześniej nie wiedziała.

Poza tym miała już serdecznie dość tajemnic, nagłych wypadków, porwań i mistyfikacji. Postanowiła, że jeśli tego dnia nie rozprawi się z tym bajzłem raz na zawsze, zadzwoni do swojego komendanta i wyzna mu całą prawdę. Nie miała już siły dłużej się ukrywać.

Minęła Modrzew, w którym dwa dni wcześniej omal nie pożegnała się z życiem. Drzwi wciąż były lekko uchylone, nikomu nie spieszyło się z ich naprawą. Przed oczami stanął Sarze tamten wieczór. Przez chwilę się zastanawiała, czy osobą, którą wtedy goniła po pomoście, był Igor czy jego dziewczyna? A może działali razem?

Potruchtala główną alejką, skupiając się na nazwach poszczególnych letniaków.

Wierzba znajdowała się dość daleko od bramy wjazdowej, przy samym jeziorze. Sara już wcześniej, przechadzając się po ośrodku, zwróciła uwagę na tego letniaka, bo wyróżniał się wśród pozostałych ładnie utrzymanym pomostem oraz metalową przybudówką w kształcie długiego prostopadłościanu przypominającą garaż. Wtedy jeszcze nie miała pojęcia, że to wszystko było własnością Krzysztofa.

Metalowa wiata była teraz otwarta na oścież obu stron w taki sposób, że tworzyła tunel. Kilka metrów dalej, nad samym jeziorem, stało czarne volvo. Długa przyczepka przymocowana do haka samochodu do połowy kół zanurzona była w jeziorze.

Sara wyjęła glocka i podeszła do drzwi domku. Powoli nacisnęła klamkę, która nie stawiała oporu. Przez małą szczelinę zajrzała do środka, wypatrując jakiegoś ruchu. Nikogo jednak nie zauważyła. Ostrożnie przekroczyła próg, po czym przeszukała każde pomieszczenie. Domek był pusty, ale środkiem mniejszego pokoju stało samotne krzesło. Po obu stronach oparcia ktoś przywiązał dwa fragmenty przedartej na pół kolorowej chusty. Wzór materiału przypominał Sarze indyjską mandalę. Kiedyś chciała sobie podobną wytatuować na ramieniu, ale się rozmyśliła. Lekko już poluzowane supły świadczyły o tym, że chusta była wcześniej przywiązana do czyichś rąk.

Na podłodze pod łóżkiem leżała pusta butelka po wodzie mineralnej, a ze stojącej obok miski śmierdziało moczem.

Sara się nie myliła. Siostrzenica Woźniaka najprawdopodobniej przetrzymywała tu Aldonę, od kiedy porwała ją ze szpitala. Jeśli kobieta w ostatniej fazie ciąży przez cały ten czas była zmuszona siedzieć ze skrępowanymi rękoma na twardym krześle, musiała bardzo cierpieć. Sara nie mogła pojąć, czym zasłużyła na takie

traktowanie. Co takiego zrobiła Agnieszce Matys ona i cała rodzina Wierzbickich? I dokąd Agnieszka zabrała Aldonę? Do innego domku, do lasu? Sara nie potrafiła wczuć się w intencje dziewczyny. Nie znała jej motywacji, w ogóle nic o niej nie wiedziała, a jej zachowanie wydawało się pozbawione logiki.

Policjantka wyszła na zewnątrz i się rozejrzała. Na deskach tarasu ani na pomoście nie znalazła żadnych śladów. Po raz kolejny spojrzała na samochód należący do Krzysztofa. Skoro Agnieszka zostawiła auto pod domkiem, kobiety musiały się przemieszczać o własnych siłach. Tylko dokąd mogły pójść? Możliwe, że Agnieszka spanikowała po tym, jak niemal wpadła na Sarę w domu przy Ruczajowej, i teraz próbowała ukryć swoją ofiarę w mniej oczywistym miejscu. Czyżby zmusiła ciężarną, żeby ta przeszła kawał drogi wokół jeziora aż do leśniczówki Woźniaka? Pewnie była przekonana, że nikt nie wie o chacie starego pijaka ukrytej w lesie.

Sara zajmowała jeden z letniaków ośrodka, była blisko centrum wydarzeń, więc nawet podczas zwykłego spaceru mogła odkryć, co się dzieje w Wierzbie. Może właśnie dlatego Agnieszka próbowała się pozbyć policjantki tamtej nocy. Może wcale nie chciała jej zabić, tylko wykurzyć, zmusić do wyjazdu.

Wilczek ze zgrozą zdała sobie sprawę, że Aldona przez kilka dni przebywała tak blisko, a ona, niczego nieświadoma, nie mogła jej pomóc. Gdyby tylko wiedziała... Teraz pozostawała jedynie nadzieja, że jeszcze nie jest za późno na ratunek.

Tylko gdzie jej szukać? Byłoby łatwiej, gdyby umiała wejść w głowę porywaczki. Była wściekła, że nic nie potrafi wymyślić, lecz patrząc na wodę obmywającą koła przyczepy, coś przyszło jej do głowy. Czemu wcześniej o tym nie pomyślała?

Do samochodowego haka przymocowano konstrukcję do transportu i wodowania łodzi. W metalowej wiacie Krzysztof przechowywał jakiś sprzęt pływający. A zbudował ją w taki sposób, żeby można było podjechać autem od przodu, podpiąć przyczepę z łodzią, a następnie, cofając, zwodować ją na jeziorze.

Sara podbiegła do brzegu. Wypatrzyła ślady dwóch różnych par butów odcisnięte w podmokłym piasku. Momentalnie przerzuciła wzrok na jezioro. Było smutne i niespokojne. Delikatne falowanie sprawiało złowieszcze wrażenie, jakby głębiny skrywały jakąś ponurą tajemnicę. Niedaleko przeciwległego brzegu leniwie sunęła po wodzie rodzina łabędzi. Poza tym przestrzeń pozostawała pusta aż po horyzont. Żadnych ludzi, żadnych łódek.

Była jeszcze wyspa. Czarna plama pośrodku wielkiej wody, na której wyginały się wierzchołki wąskich drzew. Sara zmrużyła oczy. Zdawało się jej, że widzi tam jakiś niebieski element wystający zza trzciny, zbyt jaskrawy jak na dzieło natury. To mogła być łódź porywaczki, a raczej Wierzbickiego.

Odwróciła głowę w kierunku głównej plaży ośrodka i już po chwili była pewna, co robi.

Biegając, odebrała telefon, który zawibrował jej w kieszeni. Dzwonił Osowski.

– No nareszcie – powiedział wzburzony. – Nie można się do ciebie dodzwonić.

– Byłam poza zasięgiem, a teraz mam wyciszoną komórkę.

– Co u Wierzbickich? Zajechałem tam na chwilę. Pod domem stoją dwa radiowozy i karetka. Bałem się, że coś ci się stało, ale nikt nie chciał mi udzielić informacji.

- Nic mi nie jest. Sorry, Wojtek, ale nie mam czasu na wyjaśnienia. Później zadzwonię.

- Hej, nie zbywaj mnie tak. Gdzie jesteś? I dlaczego tak dyszysz?

- Lepiej, żebyś nie wiedział, gdzie jestem.

- Czy ty właśnie wbiegłaś na pomost? - Sara nie odpowiadała. Jej ciężkie trampy dudniły z każdym krokiem stawianym na drewnianych deskach, kiedy zmierzała w kierunku łodzi przycumowanej najdalej od brzegu. - Jesteś nad jeziorem?

- Wojtek, odpuść. Sama muszę się z tym uporać.

- Cokolwiek planujesz, zaczekaj na mnie. Zaraz tam będę.

Nie mogła czekać. Wiedziała, że każda minuta zwłoki może skończyć się tragedią.

4.

Osowski dobiegł do łódki w momencie, gdy Sara zanurzyła wiosła w wodzie. Chwycił za cumę, której końcówka wciąż leżała na pomoście.

– Co ty wyprawiasz? Nagle wzięło cię na pływanie po jeziorze? – spytał, ale Sara nie odpowiedziała od razu. Próbowwała opanować oba wiosła jednocześnie. Nigdy wcześniej nie sterowała łodzią, ale uważała, że to nie może być nic trudnego.

– Agnieszka zabrała Aldonę Wierzbicką na wyspę – rzuciła w pośpiechu. – Muszę się tam dostać, i to jak najszybciej.

– Co za Agnieszka?

– Siostrzenica Woźniaka. Wstrzyknęła coś Barbarze Wierzbickiej i spętała ją w piwnicy. Potem uciekła do letniaka Krzysztofa, w którym więziła Aldonę. Myślę, że teraz zabrała ją na wyspę.

Osowski wyprostował się i wskazał kawałek lądu wyrastającego z wody.

– Mówisz o tej wyspie?

– A widzisz jakąś inną? – Popatrzyła na niego w roztargnieniu. Przytrzymał jej spojrzenie, więc zreflektowała się, że Wojtek oczekuje bardziej szczegółowego wytłumaczenia sytuacji. – Przepraszam, ale nie mam czasu na wyjaśnienia. Możesz puścić linę?

Osowski nie odpowiedział, a jego twarz była nieprzenikniona. Najwyraźniej niewiele zrozumiał z informacji, jakie właśnie do niego

dotarli. Przyciągnął cumę do siebie, a łódź zbliżyła się do pomostu, lekko o niego uderzając.

– Co robisz? – oburzyła się Sara.

– Płynę z tobą. – Nie czekając na pozwolenie, wszedł do środka. Balansując lekko pochylonym ciałem, opanował kołysanie, usiadł naprzeciw Sary i zabrał jej z dłoni wiosła. – Przyda ci się pomoc.

– Dobra, jak chcesz, ale musimy być cicho, żeby nie spłoszyć Agnieszki.

– Zawiadomiłaś służby?

– Nie.

– To na co czekasz? Jakaś psychopatka porywa ciężarną, a ty chcesz wszystko rozwiązać sama? Ta Wierzbicka może potrzebować pomocy medycznej.

– Wojtek, nie mogę – powiedziała cicho, licząc na zrozumienie. – Muszę się najpierw dowiedzieć, co tu jest grane. Nawet nie wiem, czy one tam są, to tylko moje przypuszczenia. Zadzwonimy, jak będziemy wiedzieli, co dokładnie się dzieje.

– Ciągłe się boisz, że wyda się twoja tajemnica? – spytał bez ogródek.

Sara milczała. Nie musiała odpowiadać, a on nie naciskał, choć widziała, że nie ma między nimi zgodności w tej kwestii. Zanurzył wiosła w wodzie i odepchnął zdecydowanym ruchem, a łódka ruszyła z miejsca.

– Powiesz mi, co ma krewna Woźniaka do Wierzbickich? – spytał, kiedy byli już kilkanaście metrów od brzegu.

– Sama chciałabym wiedzieć. Myślę, że to ona potrafiła dzika, a potem próbowała mnie zacytować tamtej nocy. Była w zмовie z Igorem Bełzą, który pracował u Wierzbickich.

– Czekał, z tym upośledzonym bratem Maryli? – Wojtek wyraźnie nie nadążał za tymi sensacjami.

– Z tym samym. Podejrzewam też, że to ona mnie ściągnęła do Karczewa.

– Skąd taki wniosek?

– Znalazłam przy niej dokument, który mnie obciąża. Razem z Igorem w popłochu próbowali go zniszczyć, kiedy mieli nóż na gardle. – Sara przypomniała sobie o wynikach badań krwi, które wciąż miała w kieszeni. Mogła je spalić wtedy w garażu, zanim pojawili się koledzy z policji. Jednak tego nie zrobiła. Chciała im się najpierw przyjrzeć, zobaczyć, co faktycznie wykazały, bo dwadzieścia lat temu nie miała takiej sposobności. Była wtedy święcie przekonana, że mąż zajął się nimi w odpowiedni sposób, żeby nie narażać żony i samego siebie na przykre konsekwencje.

– To jakiś obłąd.

– Zgadza się, obłąd.

Dalej płynęli w ciszy.

Zacząło padać. Pierwsze krople tworzyły na wodzie małe okręgi. Deszcz o tej porze roku nie był niczym przyjemnym, jednak w obecnej sytuacji miał swoje plusy. Szum, jaki powstał na jeziorze, zagłuszał nieco odgłosy wiosłowania, zwiększając szanse na to, że Sara i Wojtek dostaną się do celu niepostrzeżenie, a tym samym nie spłoszą porywaczki.

Kiedy znajdowali się już kilka metrów do brzegu, Sara stwierdziła, że wyspa na Jeziorze Głębokim z oddali wydawała się o wiele mniejsza, niż była w rzeczywistości. Jej brzeg dokoła porastał wysoki tatarak, nieco głębiej falowały wiotkie trzciny, a w centralnej części rosło kilkanaście jodeł i nieco niższych drzew. Przy

najłagodniejszym zejściu do wody z za pożółkłych łodyg wylaniał się tył niebiesko-białej motorówki Wierzbickiego. Sara gestem ręki pokazała, żeby Wojtek zatrzymał łódkę w pewnej odległości.

Osowski znalazł kawałek płaskiego i nieobrośniętego brzegu, a kiedy łódź obijała się o ląd, wysiadł z niej i podał Sarze rękę. Potem wciągnął łódkę, żeby nie porwała jej woda.

Policjantka przygarbiła się nieco, żeby nie rzucać się w oczy i szybkim krokiem podeszła do motorówki. W stacyjce tkwił kluczyk. Nachyliła się nad burtą i go wyciągnęła. Potem przystanęła w nasłuchującej pozie. Z głębi wyspy dobiegała niewyraźna rozmowa przeplatana przeraźliwymi jękami. Spojrzała na swojego towarzysza i położyła palec na ustach, dając mu do zrozumienia, żeby zachował ciszę. Potem wkroczyła w wysokie trawy.

Między drzewami dostrzegła leżącą kobietę, która miała na sobie jedynie białą szpitalną koszulę, skarpetki i flauszowy płaszcz w kolorze bakłażana. Jej ciemne włosy zwisały w nieładzie, dotykając ziemi, a ogromny brzuch znajdował się nisko między podciągniętymi nogami. Wokół rozrzucone były jakieś szmaty. Z tyłu klęczała inna kobieta, trzymając głowę ciężarnej na swoich kolanach.

To była Agnieszka Matys. Ta sama, z którą Sara rozmawiała przez drzwi domu Wierzbickich w przekonaniu, że ma do czynienia z kimś zupełnie innym. Dziewczyna przemawiała do rodzącej spokojnym, niemal czułym tonem, zachęcając ją do miarowego oddychania. Czyżby Sara myliła się co do niej? Może Igor kłamał? To on mógł wszystko zaplanować, w jakiś sposób namówić dziewczynę do współpracy, a teraz jego współniczka poszła po rozum do głowy i próbowała ratować żonę Krzysztofa.

Tak czy inaczej Aldona potrzebowała pilnej pomocy, więc Sara nie zwlekała ani chwili dłużej. Wyłoniła się z cienia i wycelowała lufę pistoletu prosto w klęczącą dziewczynę.

– Wstań i odsuń się – powiedziała głośno i wyraźnie.

Zaskoczona obecnością policjantki Agnieszka drgnęła, ale nie ruszyła się z miejsca. Butnie uniosła głowę, po czym przyłożyła strzykawkę wypełnioną białym płynem do szyi Aldony. Przerażona kobieta wlepiła w Sarę pełen nadziei wzrok.

– To ty się odsuń, bo ją zabiję.

– Co to jest? – Sara zatrzymała się w pół kroku.

– Substancja zwiotczająca – odpowiedziała Agnieszka z ledwie zauważalnym uśmiechem. – W małej ilości zaledwie rozluźni mięśnie, w dużej spowoduje zatrzymanie akcji serca. A ja mam tu dawkę dla konia.

– Spokojnie. Porozmawiajmy.

– To nie jest dobry czas na rozmowy – powiedziała, patrząc wymownie na płaczącą Aldonę. – Za chwilę przywitamy nowe życie. Ale najpierw ty rzucisz spluwę w moim kierunku i wycofasz się. Pozwolę ci wrócić, skąd przysłaś.

– Nie ma mowy.

– W takim razie już ją zabiłaś – wycedziła przez zęby, po czym zanurzyła końcówkę igły w szyi Aldony. Kobieta pisnęła ze strachu.

– To ty mnie ściągnęłaś do Karczewa, prawda? – Sara próbowała odciągnąć uwagę Agnieszki od ofiary.

– Brawo, domyśliłaś się. Co by nie mówić o Krisie, zawsze wiązał się z bystrymi kobietami. To nasza wspólna cecha.

– Byłaś dziewczyną Krzyśka?

– Kochanką – wyznała z niepohamowaną szczerością, a gdy Sara przelotnie spojrzała w zapuchnięte oczy Aldony, dodała: – Jego żona już wie. Miałyśmy sporo czasu, żeby szczerze pogadać. Wybaczylśmy sobie, bo w końcu żadna z nas nie wiedziała o drugiej. Obie byłyśmy jego ofiarami. Prawda, Aldonko?

Twarz Wierzbickiej wykrzywiła się w grymasie strachu i bezsilności. Z jej nosa kapały krople deszczu wymieszane ze łzami. Nie spuszczała z Sary błagalnego spojrzenia.

– Skoro obie jesteście ofiarami, to dlaczego chcesz ją skrzywdzić?
– podchwyciła Sara.

– Wcale tego nie chcę. Nie mam wyjścia.

– Ta wariatka chce zabrać moje dziecko! – krzyknęła Aldona, przeciągając ostatnie słowo, gdy została silnie pociągnięta za włosy.

– Ty też byłaś w ciąży, prawda? – Sara opuściła broń i zrobiła krok do przodu, żeby zmniejszyć dystans. To było psychologiczne zagranie, po które już nieraz sięgała podczas służby. Zmieniła ton na współczujący. – A ojcem dziecka był Krzysztof. Który to był miesiąc?
– Nie dawała za wygraną. Powoli zaczynała rozumieć motywację porywaczki.

Agnieszka nie odpowiedziała. Spoglądała gdzieś w dal, zawieszona jakby była pusta skorupa, którą nagle opuściła świadomość. – Jechałaś drogą na Liny – kontynuowała policjantka – na drogę wyskoczył dzik, uderzyłaś w niego, a potem w drzewo i zaczęły się skurcze. W panice wjechałaś do lasu i tam urodziłaś. Co się stało z twoim dzieckiem?

– Miałam być idealną matką – powiedziała tak cicho, że Sara ledwo usłyszała. – Naprawdę. Ale nikt nie jest idealny. Ty też. – Nagle przebudziła się z letargu i przeniosła wzrok na Sarę. – Może

opowiesz nam, co zrobiłaś dwadzieścia lat temu na służbie? Aldona też chętnie posłucha.

Sara dostrzegła za plecami kobiet jakiś ruch. Kilkanaście metrów dalej skradał się Wojtek. Gdyby udało mu się bezszelestnie dojść do Agnieszki, mógłby spróbować ją obezwładnić. Żeby mu w tym pomóc, Sara musiała skupić całą uwagę na sobie.

- Postrzeliłam groźnego przestępcę - wyznała. - Jestem policjantką, takie ryzyko jest wpisane w mój zawód.

- Tylko tyle? Zapomniałaś dodać, że byłaś wtedy pod wpływem silnych psychotropów, co w jakiś sposób udało ci się zataić. Jesteś ćpunką?

- Nie. - Sara przełknęła ślinę. Mogła wymyślić jakąś historyjkę, lecz na oczekaniu nic nie przychodziło jej do głowy. Uznała, że powie, jak było, co będzie w pewnym sensie spowiedzią, której nigdy nie odbyła. Jednocześnie da czas Osowskiemu, żeby zbliżył się do Agnieszki. - Chorowałam na bulimię. To źle wpływało na moje małżeństwo z Krzysztofem. Długo się leczyłam, a kiedy poczułam, że staję na nogi, odstawiłam leki. Kilka dni później poszliśmy na imprezę do jego znajomych ze studiów. Krzysztof zachowywał się swobodnie i znów zaczął okazywać mi czułość. Tańczyliśmy, żartowaliśmy. Myślałam, że wszystko zacznie się w końcu między nami układać. A potem nakryłam go z koleżanką w ogrodzie. Całowali się. Wszystko zaprzepaścił.

- Cały Kris - wtrąciła Agnieszka, a na jej twarzy malował się ból podszyty czystą nienawiścią. Sara zerknęła na Wojtka. Był coraz bliżej. - Co było potem?

- Nie pamiętam, jak dojechałam do domu. Połknęłam antydepresanty. Na drugi dzień stawiałam się na służbie. To miał być

normalny dzień na komisariacie. Tyle że moje myśli wciąż krążyły wokół zdrady i tego, że nasze małżeństwo definitywnie zakończyło się ostatniej nocy. Musiałam czymś zająć głowę.

– Biegałaś po mieście na haju z bronią w ręce. – Agnieszka się zaśmiała, jakby usłyszała najlepszy dowcip w swoim życiu. – Naraziłaś na śmierć przypadkowych ludzi.

– Tak właśnie było – odpowiedziała Sara ze łzami w oczach. – Nie wyrzekam się winy. Nie wiem tylko, dlaczego postanowiłaś odgrzebać tę sprawę. Rozumiem, że Krzysztof zaszedł ci za skórę, ale ja nie mam z nim nic wspólnego od ponad dwudziestu lat.

– Ale miałaś. Kochał cię. A ja postanowiłam, że odbiorę mu wszystkie kobiety, które w jakikolwiek sposób były dla niego ważne. Musiał ponieść karę za to, co mi zrobił.

Osowski miał już Agnieszkę na wyciągnięcie ręki.

– I poniósł. Najwyższą z możliwych.

– Nie zgadzam się. Zginął szybko, nawet nie zdążył poczuć bólu. Za to, co mi zrobił, powinien cierpieć do końca życia, odwiedzając wasze groby.

– Jesteś chora – powiedziała Sara w momencie, gdy Wojtek się zamachnął, by złapać nadgarstek Agnieszki.

Szarpnął ją pewnym ruchem. Nie spodziewała się tego. Strzykawka z jej dłoni wyleciała w powietrze i upadła w trawę kilka metrów dalej, a Osowski objął dziewczynę, krępując jej ruchy.

Niemal w tym samym momencie Aldona wydała z siebie okropny krzyk, a potem zduszony jęk.

– Zaczęło się – powiedział Wojtek.

– Skąd wiesz? – spytała Sara.

– Byłem kiedyś przy porodzie.

– Wychodzi, dziecko wychodzi! – wrzasnęła Aldona. – Boli!

– Pomóż jej, jesteś weterynarzem, znasz się na tym bardziej niż ja. – Sara wydała polecenie, po czym skinęła na Agnieszkę. – Ja się nią zajmę.

Podeszła do dziewczyny z uniesionym glockiem, kazała jej klęknąć i założyć ręce za szyję. Tymczasem Osowski przykucnął między nogami rodzącej i zaczął ją instruować.

– Teraz odpoczywaj i oddychaj. Do kolejnego skurczu. Kiedy przyjdzie, musisz z całej siły przeciw. Słyszysz? – Nie przerywał dialogu z przyszłą matką.

– Nie dam rady.

– Dasz, pomogę ci.

Kobieta nieco się uspokoiła. Stosowała się do poleceń lekarza weterynarii. Lecz po kolejnym skurczu zaczęła głośno krzyczeć, a Sara dostrzegła na twarzy Wojtka przerażenie.

– Ja pierdołę – powiedział do siebie.

– Co jest? – spytała policjantka, podchodząc do rodzącej. Jej broń wciąż była wymierzona w Agnieszkę.

– Dziecko jest w pozycji pośladkowej.

– Co to oznacza?

– Że może być ciężko. Będę potrzebował twojej pomocy.

Sara opuściła broń, wyjęła komórkę i zadzwoniła pod numer alarmowy. Osowski zaczekał, aż zakończy rozmowę, po czym podniósł się z kolan i odciągnął policjantkę na bok. – Kiedy tu będą?

– Nie wiem – powiedziała szczerze. – Najszybciej jak się da. Ściągają jednostkę WOPR-u, żeby dostać się na wyspę.

– Za długo zwlekałaś – rzucił wściekle, po czym wrócił do wrzeszczącej Aldony.

– Co mam robić?

– Zastąp mnie. Spróbuję wypchnąć dziecko, a jeśli nie będzie postępów, złap je i wyciągnij. Ostrożnie, ale stanowczo. Musisz ze mną współpracować.

Położył dłonie na brzuchu rodzącej i delikatnie go naciskał, jakby chciał wyczuć położenie każdego fragmentu ciała płodu. Sara miała nadzieję, że wie, co robi.

Adrenalina sterowała teraz jej każdym ruchem. Rzuciła spojrzenie na klęczącą Agnieszkę, która z wciąż uniesionymi rękoma obserwowała akcję porodową, po czym uklękła przed Aldoną i położyła broń przy własnej nodze, żeby mieć ją w gotowości. Całkowicie zdała się na wskazówki Wojtka i choć czuła, że zadanie, jakie przed nią postawił, znacznie wychodziło poza jej kompetencje, była gotowa zrobić wszystko, żeby uratować matkę i dziecko.

Rodząca chwyciła Wojtka za ramię, kiedy ten zaparł się nogami o podłogę.

– Co robisz? – zdołała krzyknąć, zanim kolejny skurcz zacisnął jej gardło.

– Pomagam twojemu dziecku – pewnie odpowiedział Osowski, po czym rozłożonymi dłońmi zaczął napierać na brzuch kobiety tuż pod piersiami. – Przyj!

Kolejne sekundy porodu były dla Sary niesamowitym przeżyciem. W osłupieniu obserwowała, jak z pękniętego krocza wyłania się noworodek. Wyleciał z łona matki niczym obślizgły siny robal. Złapała go i owinęła w leżący obok, wilgotny od deszczu kocyk. Potem gapiała się przez chwilę na wąskie usteczka, które

napinały się do granic możliwości, ukazując drżący od niemego płaczu język. Wreszcie noworodek po raz pierwszy zachłysnął się powietrzem, a jego chrapliwy krzyk poniósł się po jeziorze.

Dopiero wtedy dotarło do Sary, że ma do czynienia z małym człowiekiem, z synem jej byłego męża. Przełknęła łzy wzruszenia, ostrożnie uniosła prężące się dziecko i podała je matce.

Na wpeł przytomna Aldona przytuliła małego do piersi. Szaleńczy szloch noworodka zaczął się zamieniać w delikatne łkanie, a potem zupełnie ucichł. Zastąpiło go coraz głośniejsze wycie syren, co oznaczało, że pomoc jest już w drodze.

Oowski odetchnął z ulgą. Najwyraźniej nie do końca wierzył w powodzenie swojego planu, czego do ostatniej chwili nie dawał po sobie poznać. Gdy pierwsze emocje opadły, poderwał się, żeby sprawdzić, w jakim stanie jest położnica. Zajrzał między nogi kobiety i się skrzywił.

– Mocno krwawi – powiedział dyskretnie.

– Już jadą. Zaraz będzie pomoc – uspokoiła jego, ale i samą siebie, a potem kontrolnie spojrzała w stronę Agnieszki i przeklęła pod nosem, bo dziewczyna rozplynęła się w deszczu.

5.

Wilczek minęła rzadko rosnące drzewa i ruszyła w kierunku płaskiego nabrzeża. Z daleka dostrzegła Agnieszkę miotającą się po pokładzie motorówki. Dziewczyna szukała kluczyka najpierw w stacyjce, a potem pod nogami. Nie znalazłszy go, wyskoczyła na mokry piach i zaczęła się desperacko rozglądać za jednostką, którą przy płynęli Sara i Wojtek.

Kiedy oczy Agnieszki zatrzymały się na oddalonej o kilkanaście metrów łódce, policjantka zmieniła kierunek pościgu i rzuciła się na przelaj przez wysokie trawy, żeby dotrzeć na miejsce przed porywaczką. Jej buty grzęzły w rozmoczonej deszczem ziemi. Przy kolejnym kroku złapał ją silny skurcz w łydce. Zatrzymała się i naciągnęła mięśnie, zaciskając zęby. Kiedy ból odpuścił, ruszyła dalej, jednak już nie mogła biec. Utykała, przedzierając się przez trzcinę sięgającą jej bioder.

Wypadając na wolną od zarośli przestrzeń, zauważyła, że łódź jest już kilka metrów od brzegu. Kochanka Krisa z całych sił walczyła, żeby wydostać się z wyspy. Wiosłowała zawzięcie, a z jej ust wydobywały się stłumione pojękiwania. Wątłe kobiece ciało nie radziło sobie z oporem wody i dziewczyna z każdym kolejnym ruchem widocznie traciła siły. Łódź już prawie nie poruszała się do przodu.

Policjantka stanęła tuż przy wodzie z wyprostowanymi rękoma, w których pewnie leżał jej pistolet.

– Zatrzymaj się! – nakazała.

Agnieszka przeciągle na nią spojrzała, po czym wznowiła walkę z materiały wody.

– Zatrzymaj się, bo strzelę! – Sara ponowiła ostrzeżenie.

– Strzelaj, może tym razem będziesz skuteczniejsza – zadrwiła Matys. – Tylko celuj w głowę, nie w kolano.

Wilczek zdębiała.

Kim była ta dziewczyna? Co musiała mieć w głowie, żeby dopuścić się tych wszystkich czynów, a teraz, w podbramkowej sytuacji, zamiast okazania odrobiny skruchy pozwalać sobie na tanią ironię?

Sara się zawahała. Od czasu tamtej feralnej akcji, kiedy była początkującą policjantką, jej pistolet nie wystrzelił ani razu. Przez dwadzieścia lat nie było ku temu okazji. Broń służyła jej wyłącznie jako straszak oraz forma zabezpieczenia w groźnych sytuacjach. Mimo że nigdy potem nie przyszła do pracy pod wpływem niedozwolonych środków, starała się nie wyciągać glocka na światło dzienne, co w małym, spokojnym miasteczku, jakim był Ogrodzieniec, nie stanowiło aż tak wielkiego wyzwania. Nie miała pewności, czy potrafiłaby ponownie nacisnąć na spust pistoletu wymierzonego w człowieka.

Tak było do dziś. Stała, przemoczona, czekając na reakcję uciekinierki, a jej wskazujący palec ślizgał się po mokrym spuście. Patrząc, jak bezwzględna morderczyni i szantażystka coraz bardziej się oddala, zaczęła rozważać, żeby ostrzegawczo strzelić w powietrze, jednak nie była przekonana, czy to przyniesie jakikolwiek skutek. Dziewczyna w łódce była niezrównoważona, nic nie mogło jej powstrzymać przed realizacją planu, jaki uknuł jej chory umysł.

Sara opuściła broń.

- Policja jest już w Kormoranie - krzyknęła, wskazując ledwie widoczne zza kotary deszczu letniaki. - Otoczą całe jezioro, nie uciekniesz.

Agnieszka odwróciła głowę w kierunku zachodniej części zbiornika. Niedaleko głównego pomostu ośrodka wodę na pół rozdierała pędząca w stronę wyspy motorówka WOPR-u, a na brzegu migały policyjne koguty. Dziewczyna chyba wreszcie zrozumiała, że nie uda jej się uniknąć odpowiedzialności. Jeszcze przez chwilę biła się z myślami, lecz w końcu puściła wiosła, mierząc się wzrokiem z policjantką. W pewnym momencie wstała. Ledwo utrzymując równowagę, sięgnęła do kieszeni płaszcza i coś z niej wyciągnęła. To musiała być strzykawka, którą groziła Aldonie. Przyłożyła dłoń do szyi.

- Co robisz?! - wrzasnęła Sara.

- Sama powiedziałaś, że nie ucieknę - odpowiedziała po chwili Matys, po czym zaczęła się trząść od płaczu.

- Zaczekaj, chcę ci pomóc!

- Miałam idealny plan, ale musiałaś wszystko zepsuć - łkała. - Niepotrzebnie cię tu ścigałam!

- Powiedz, co się stało z twoim dzieckiem. - Sara weszła po kostki do jeziora.

- Mój synek - powiedziała słabo Agnieszka, a jej myśli uciekły gdzieś daleko. - Był taki malutki, bezbronny. Ale zajęłam się nim. Chciałam, żeby jego tata go zobaczył. Wtedy na pewno by do mnie wrócił. - Przeniosła spojrzenie z powrotem na Sarę. - Ale jest już po wszystkim. Krisa nie ma, a ja nigdy nie będę idealną matką.

Dziewczyna wykonała stanowczy ruch, a krótka igła zatopiła się w jej szyi po sam koniec. Następnie wtłoczyła toksyczną substancję w swoje ciało.

– Nie! – krzyknęła policjantka, bezsilnie obserwując, jak rozpacz na młodziutkiej twarzy Agnieszki miesza się z uczuciem ulgi.

– Gdzie jest twoje dziecko? Pomogę mu. – Sara nie dawała za wygraną.

– Jest bezpieczne. – Agnieszka wypowiedziała ostatnie słowa z wielkim trudem. Najwyraźniej substancja krążąca w jej żyłach już zaczęła działać. – Bezpieczne w swojej kołysce.

Nagle nogi dziewczyny się ugięły, a ona przechyliła się na prawą stronę i wpadła w toń jeziora bezwładnie jak kłoda.

Sara się rzuciła, by ją ratować. Zrobiła kilka kroków w głąb lodowatej wody, jednak gdy ta znalazła się na wysokości jej bioder, policjantkę znowu złapał skurcz. Skrzywiła się i wydała z siebie dziki okrzyk bezsilności. Nie była dobrą pływaczką i zdawała sobie sprawę, że w tak zimnej wodzie, w pełnym ubraniu i z piekącym łydkę bólem nie da rady dopłynąć do łódki, a co dopiero nurkować w poszukiwaniu dziewczyny.

Dziewczyny, która podjęła jednocześnie najprostszą i najtrudniejszą decyzję, aby uniknąć konsekwencji swoich czynów.

Dźwięk silnika zbliżającej się motorówki coraz ostrzej rozdzierał przestrzeń, kiedy Sara z trudem brodziła w kierunku wyspy. Jej przemoczone nogi dotknęły brzegu dokładnie w momencie, gdy kilka metrów dalej ratownicy wyskakiwali na ląd. Jeden z nich podbiegł do Sary.

– Potrzebuje pani pomocy? – spytał z rozbieganym wzrokiem.

- Nie ja. Jestem policjantką - powiedziała bez przekonania i wskazała miejsce, gdzie znajdowała się Aldona i jej dziecko.

Zadzwoiła do prokuratora, żeby streścić mu przebieg wydarzeń, a potem z kieszeni na piersi wyciągnęła kluczyk, który wcześniej zabrała z niebieskiej motorówki Krzysztofa. Nie czekała ani chwili dłużej.

6.

Odgłos syren dobiegający z przeciwległego brzegu był już ledwie słyszalny, kiedy motorówka Wierzbickiego uderzała o brzeg.

Wilczek wyskoczyła na ląd i zaczęła biec w poszukiwaniu leśniczówki. Kierowała się po połowie instynktem oraz tym, co zapamiętała z ostatniej pieszej wędrówki, kiedy to zgubiła się w lesie.

Gdy dotarła na miejsce, pod drewnianym domem stał radiowóz.

Wbiegła do środka. W progu prowadzącym do kuchni zatrzymał ją jeden z policjantów.

– Chwileczkę. Pani tu mieszka? – spytał.

– Nie. Jestem od Pałuckiego. – Naciągnęła prawdę i machnęła policyjną legitymacją. – Znaleźliście dziecko?

Policjant zaprzeczył ruchem głowy. Gapił się na jej ciekące nogawki.

– Na razie przeszukaliśmy parter i piętro. Sprawdzamy jeszcze teren wokół budynku.

– Dzięki – rzuciła Sara, po czym wbiegła po drewnianych schodach na górę.

– Chwileczkę, ma pani pozwolenie? – krzyknął za nią, a gdy Sara go zignorowała, chwycił za radio, próbując nawiązać kontakt z prokuratorem. Nie obchodziło jej to.

Na piętrze rzeczywiście nikogo już nie było. Sara zajrzała do pokoju, który wyglądał jak składzik na rupiecie. Na podłodze leżało

pełno gratów, meble poodsuwano od ścian, szafy i szuflady pootwierano. Policjanci wykonali dobrą robotę. Drugie pomieszczenie było prawie puste. Na środku stała jedynie ława z puszkami po farbie, a wzdłuż ścian ktoś poukładał listwy podłogowe i inne akcesoria wykończeniowe. Najwyraźniej leśniczówka już dawno temu miała doświadczyć remontu, jednak właściciel nigdy nie zrealizował swojego planu.

Wyglądało na to, że z całego budynku Woźniak zajmował jedynie kuchnię oraz salon na parterze. Tylko gdzie w takim razie spała jego siostrzenica?

Wybiegając do przedpokoju, Wilczek wpadła na gliniarza, z którym rozmawiała na dole. Ponownie go zignorowała, rozglądając się w poszukiwaniu schodów. Doskonale pamiętała moment rozmowy z Woźniakiem na podwórku, kiedy w oknie poddasza poruszyła się firanka.

– Gdzie jest wejście na poddasze? – spytała, lustrując pomieszczenie.

– Słucham? Tu nie ma poddasza.

– Jest – oznajmiła bez możliwości sprzeciwu, po czym podbiegła do kija zwisającego z sufitu na końcu korytarza.

Pociągnęła za drąg, otwierając klapę, z której wyłoniły się wąskie drewniane schodki. Chwyła za nie i rozsunęła w taki sposób, żeby dotknęły podłogi. Pokonała je w kilka sekund. Nie obchodziły jej protesty kolegi, chciała jak najszybciej znaleźć się u góry.

Pokój był malutki, ściany po dwóch stronach ograniczał ostry skos dachu, a jedyne w pomieszczeniu okno zakrywała pożółkła firana. Na środku stało ładnie zaścielone łóżko, a tuż za nim drewniana kołyska. Wyglądała na bardzo starą, wykonaną

własnoręcznie przez jakiegoś artystę. Jej boki zdobiły piękne góralskie rzeźbienia. Tuż nad nią zwisał prowizoryczny baldachim z przedartego prześcieradła przyczepionego do kija od szczotki.

Sara drżała, podchodząc do mebelka, który się nie poruszał. Nie słyszała też żadnych dźwięków, płaczu czy postękiwania. W pomieszczeniu rozlegały się jedynie kroki policjanta, który wszedł za nią po schodach, po czym stanął przy łóżku w wyczekującej pozie. Wilczek bez słowa złapała jego zdziwiony wzrok, jakby chciała powiedzieć, że miała rację. Wstrzymując oddech, chwyciła za biały materiał, powoli go odsunęła i nachyliła się nad kołyską.

Przez chwilę naprawdę wierzyła, że uratuje to dziecko. Jednak mała łyśa główka wystająca spod kocyka się nie poruszała. Nie mogła się poruszać, bo nie należała do żyjącej istoty.

- To lalka - powiedziała cicho, po czym wyciągnęła gumowego bobasa ubranego w śpiochy, z prawdziwą pieluchą wsadzoną między pałkowate nogi.

Chwyciła zabawkę i z rezygnacją opadła na łóżko, wpatrując się w błękitne oczy z plastiku. W jednym momencie straciła całą nadzieję. Jedyne, co jej pozostało, to czekać na tragiczną wiadomość, która mogła nigdy nie nadejść.

7.

Osowski z piskiem opon wjechał na teren ośrodka i zatrzymał się między policyjną kłódką a srebrną corollą Pałuckiego, po czym wyskoczył z auta i podszedł do Sary, która właśnie kończyła rozmowę z prokuratorem.

Policjantka z grubsza przedstawiła mu sytuację, w jakiej się znalazła po przyjeździe do Karczewa, przekręcając nieco fakty tak, aby śledczy nie dowiedział się o szantażu. Trzymała się wersji, którą znała już Barbara Wierzbicka. Pałucki usłyszał więc o przyjeździe na Uniwersytet Rzeszowski w związku z chęcią podjęcia przez Sarę studiów zaocznych, potem o rozmowie telefonicznej z Krzysztofem, która wskazywała na to, że wykładowca miał jakieś kłopoty, a na końcu o próbie zaczadzenia policjantki przez Agnieszkę Matys w wynajętym domku. Pozostawała kwestia przekonania Aldony, żeby zachowała dla siebie to, co usłyszała na wyspie. Sara wierzyła, że wdzięczna za pomoc kobieta, nie będzie chciała jej zaszkodzić.

– Witam. – Wojtek podał dłoń Pałuckiemu, po czym zwrócił się do Sary, która stała lekko skulona, owinięta kocem termicznym. – Jesteś cała?

– Nic mi nie jest.

– Sierżant Wilczek – wtrącił prokurator – dziękuję za pomoc. Proszę pozostać na miejscu przynajmniej do jutra, złożę pani pełne zeznanie, a potem będziemy już w kontakcie telefonicznym.

– Oczywiście. Do widzenia – pożegnała się sucho Sara, a kiedy Pałucki odjechał, ponownie zwróciła się do Wojtka: – Dzięki za wszystko. I przepraszam, że zostawiłam cię bez słowa na wyspie. Wiedziałam, że pomoc jest w drodze. Chciałam odnaleźć dziecko Agnieszki.

– Jasna sprawa – odrzekł, przyglądając się akcji trwającej na jeziorze. – Ciągle jej szukają?

Sara się nie odezwała, westchnęła tylko.

– Nie obwiniaj się. Dobrze sobie poradziłaś. Wierzbicka i jej dziecko są bezpieczni dzięki tobie. I to jest najważniejsze. Nic więcej nie mogłaś zrobić.

– To ty odwalisz całą robotę – powiedziała Sara, omijając temat Agnieszki, żeby się nie rozkleić. – Może powinieneś rozważyć zmianę zawodu? – zażartowała.

– Myślisz, że byłbym dobrym gliną?

– Mówiłam o położnictwie. – Gorzko się zaśmiała. – Ale w sumie, czemu nie? Stanowilibyśmy całkiem dobry duet.

– Nie ma szans. Wolę pomagać zwierzętom. – Osowski też się uśmiechnął. Sara patrzyła na jezioro, ale czuła na sobie jego wzrok. W końcu znowu się odezwał: – Dużo przeszłaś, powinnaś odpocząć.

– Obawiam się – zrobiła krótką pauzę – że nie mogę.

– Dlaczego?

Wilczek nabrała powietrza i zamrugła oczami, które niespodziewanie wypełniły łzy.

– Gdy ratowałam Barbarę Wierzbicką, znalazłam w jej garażu dokument, który Agnieszka wykorzystwała, żeby mnie tu ściągnąć. Igor w popłochu próbował go spalić.

Wojtek uniósł brwi i wnikliwiej wlepił wzrok w Sarę.

- To chyba dobrze, że go znalazłaś?

- Mhm. Ale potem wsadziłam go w kieszeń, pojechałam na poszukiwania Aldony i o nim zapomniałam. Dopiero teraz, podczas rozmowy z Pałuckim, zorientowałam się, że już go nie mam. Musiał mi wypaść, kiedy wchodziłam do łodzi albo gdzieś na wyspie - powiedziała, nie ukrywając złości na samą siebie. - Może też być w leśniczówce Woźniaka albo przy Wierzbie. Każde z tych miejsc jest teraz zabezpieczane przez policję. Jeśli to znajdą... - Zerknęła przelotnie na Osowskiego, który wciąż się delikatnie uśmiechał, a ona nie rozumiała dlaczego. - Co w tym śmiesznego?

Wojtek sięgnął za pazuchę swojej grubej kurtki, wyciągnął zwitek papieru i podał go Sarze.

- O tym mówisz?

Policjantka chwyciła zamoczony, lekko przedarty wynik badań.

- Skąd to masz?

Wojtek wzruszył ramionami.

- Chwilę po tym, jak woprowcy zaopatrzyli Wierzbicką, pobiegłem cię szukać. Zobaczyłem łódź dryfującą kilka metrów od brzegu i ciebie odpływającą na motorówce w nieznanym kierunku. Wracając do ratowników, zauważyłem w zaroślach coś białego. Kartka z twoim nazwiskiem była przyklepiona do pałki tataraku. Pomyślałem, że lepiej tego tam nie zostawiać.

Serce Sary zatłukło się w piersi. Była tak bardzo wdzięczna Osowskiemu, a jednocześnie czuła się przed nim obnażona. Prawdę o jej sekrecie poznał już podczas interwencji na wyspie, mimo to czuła palący wstyd.

- Nie martw się. Nikt się nie dowie - powiedział cicho, jakby czytał w jej myślach.

- Dziękuję - odrzekła.

Przez chwilę wpatrywała się w rozmazany od deszczu tusz. Litery i cyfry, od których tak wiele zależało, zniekształciły się w niewyraźne ciągi znaków, a czerwona pieczęć policyjnego laboratorium stała się zupełnie nieczytelna. Sara w gniewie zaczęła drzeć kartkę na coraz mniejsze kawałki. Rozmiękły papier rozłaził się w oczach, z każdym ruchem tracił wartość i znaczenie.

- Już po wszystkim - powiedział Osowski, kiedy z ulgą wcisnęła strzępy papieru z powrotem w kieszeń.

- Tak. Już po wszystkim - powtórzyła bezwiednie jego słowa, które o czymś jej przypomniały. To samo powiedziała Agnieszka chwilę przed tym, jak sparaliżowana wpadła do jeziora.

Niemal w tym samym momencie Sara przypomniała sobie jeszcze inne słowa dziewczyny. Patrząc na kołyszące się przy pomocy łodzie, coś przyszło jej do głowy. Zrzuciła z ramion srebrno-złoty koc i ruszyła w ich stronę.

- Co robisz? - krzyknął Osowski.

Słyszała za sobą jego kroki, ale nie odpowiedziała mu. Wbiegła na pomost i zatrzymała się przy pierwszej od brzegu łódce, tej zapomnianej przez wszystkich, o której mówił Woźniak, kiedy oprowadzał ją po ośrodku. Uklękła, a potem rozciągnęła się wzdłuż mokrego pomostu, żeby sięgnąć do pokrytej osadem płachty. Odwiązała zabezpieczenia i z całej siły szarpnęła materiałem, częściowo odsłaniając wnętrze łódki.

Pod poprzeczną deską służącą za siedzisko leżało podłużne zawiniątko. Lekko zakrwawiony koc rozchodził się w jednym miejscu na boki. Wystawała z niego malutka zaciśnięta piastka.

8.

Starsza sierżant Wilczek przyglądała się leżącemu na policyjnej folii sinemu ciałku, które wcale nie przypominało małego człowieka.

Próbowała się wyłączyć, żeby być ponad tym, jak zawsze w podobnych sytuacjach. Nauczyła się tego w pracy, która wyniszczała jej psychikę bardzo powoli, jednocześnie hartując emocje. Całe okrucieństwo tego świata latami osadzało się w jej mózgu jak lepki dym, aż w końcu wszystko zdawało się potencjalnie złe i nieuniknione.

W najgorszych momentach, takich jak wpatrywanie się w małą, bezbronną istotę, której nie potrafiła pomóc, najlepiej było wyzbyć się wszelkich ludzkich odruchów. To jednak nie przychodziło łatwo. Nie dało się tak do końca odciąć od cierpienia. Każda tragedia, której Sara była świadkiem, na trwałe odciskała piętno w jej umyśle, sprawiając, że nie była już tą samą osobą, co poprzedniego dnia. Gryzący dym wszechobecnego zła rozprzestrzeniał się, panoszył, dusił.

– Skąd wiedziałaś, że tam jest? – spytał Osowski, podając jej butelkę wody mineralnej wygrzebanej z bagażnika.

– Dziewczyna powiedziała, że dziecko jest bezpieczne w swojej kołysce. Tyle że nie miała na myśli tej, znajdującej się w leśniczówce. A może miała? Chyba wszystko jej się pomieszało. Agnieszka dobrze знаła ten ośrodek, dlatego kiedy zobaczyłam bujające się na wodzie łódki, skojarzenie z kołyską pojawiło się samo.

- Wygląda na to, że maluch leżał tam już od jakiegoś czasu.

Wilczek raz jeszcze przeanalizowała prawdopodobny ciąg wydarzeń.

- Podejrzewam, że Agnieszka urodziła martwe dziecko, wystraszyła się, nie wiedziała, co robić i przywiozła je tutaj. Potem miała wyrzuty sumienia, może jakieś urojenia, nie wiem. Trudno mi to sobie wyobrazić.

- Myślała, że ta lalka jest jej dzieckiem? A o prawdziwym zapomniała?

- Nie wyobrażasz sobie, co można zrobić pod wpływem szoku.

- A potem porwała żonę Wierzbickiego, żeby ukraść jej dziecko i do końca życia ukrywać się z nim pod dachem tego alkoholika? Jakoś nie mogę w to uwierzyć.

- Nie takie rzeczy już w życiu widziałam. Nie mam pojęcia, co dokładnie planowała Agnieszka Matys, ale wiem, że naprawdę była chora, najpierw z miłości, a potem z nienawiści.

Oboje zamilkli. Sara pociągnęła łyk wody.

- Niech mi teraz ktoś powie, że całe to pierdolenie o kreowaniu przez nas rzeczywistości ma sens - odezwał się nagle Wojtek zrezygnowanym tonem. - Ty czy ja możemy jeszcze coś zmienić, ale popatrz na niego. - Skinął na martwego noworodka, którego właśnie przenoszono do ambulansu. - Pewnie nie miał szans, żeby wykonać choćby jeden oddech.

- Jedni mają miliony szans i ich nie wykorzystują, a inni są skreśleni na samym początku.

- Dlaczego tak jest? - spytał Osowski, patrząc przez przednią szybę auta gdzieś w dal.

Sara miała wrażenie, że jego myśli powędrowały w stronę całkiem innej osoby, również bezbronnej i bez szans na lepsze jutro. Bliskiej mu teraz lub kiedyś.

Nie tylko Sara miała tajemnice. Nie tylko ona dźwigała swój krzyż. Jej ścieżka przecięła się ze ścieżką Osowskiego przypadkiem, coś ich połączyło, a jednak byli sobie zupełnie obcy, jak bohaterowie dwóch różnych książek zamknięci we własnych historiach. A teraz każde musiało iść w swoją stronę.

– Bo życie nie wydaje reszty – powiedziała bardziej do siebie niż do niego, wysiadła z samochodu i odeszła, zostawiając ślady na mokrym piasku.

Spis treści

Część pierwsza

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

Część druga

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

Część trzecia

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

Część czwarta

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

Część piąta

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

Spis treści

Landmarks